

rudzielce

KATA RZYNA BUZIAK

Stalowe, ciężkie niebo zwisa nisko podłużną, pofalowaną blachą nad pustymi polami. Poszarpane tylko przy horyzoncie czarną linią drzew, zdaje się od prawej przytłaczać świat i osuwać powolutku, milimetr po milimetrze, w kierunku ziemi, by zmiażdżyć ją zaraz gwałtownie w płaski, zrównujący wszystko naleśnik. Z lewej strony chmury są nieco jaśniejsze i wyższe, więc mam wrażenie, że jadę w poprzek zamykającej się nieodwracalnie przestrzeni, jakbym umykała resztkami sił przed głośnym plaśnięciem, które nastąpi z hukiem już za chwilę.

Jestem przy tym zupełnie sama, co dodaje dramatyczności nadchodzącej nieuchronnie, kosmicznej katastrofie. Sama nie tylko w sensie dosłownym, tu, w samochodzie, ale w ogóle, w życiu, na całej planecie, w galaktyce nawet. Jedyne ode mnie zależy, czy ucieknę i ocale życie, czy zdołam dotrzeć do jaśniejącej w oddali, siwawej plamy przesmyku, będącego zaledwie nadzieją na przyszłość. Czy jeśli nawet tam dotrę, to zmienię cokolwiek? Czy zdołam ochronić choćby jakąś część swojego istnienia, żalosnej egzystencji, którą uporczywie prowadzę? Tego nie wiem, ale jadę przed siebie konsekwentnie, bo nie stanę przecież w miejscu, godząc się na najgorsze...

Wbrew pozorom to nie scena z filmu science fiction, raczej zaskakująco trafne nałożenie się mojego fatalnego nastroju na niezwykle brzydką pogodę wokół, na aureę, która jak na zamówienie, doskonale koresponduje z moim ponurym i smętnym samopoczuciem. Ponadto sama jestem rzeczywiście i wszystko wskazuje na to, że będę się musiała do tego stanu na długo przyzwyczaić, co nawet mogłoby być w porządku, bo samotność przecież zdarza się ludziom codziennie, ale czyja sobie z nią poradzę? Jak ją udźwignę, skoro opadła na mnie, niby czarna zasłona rozmazująca z nagłą wszystkie kontury rzeczy i zdarzeń, tym bardziej, że podobno mam wyraźne zachwiania emocjonalne, dzikie napady śmiesznych fobii, wpadające ostatnio w stadia już ponoć jednoznacznie chorobowe.

7

Czy naprawdę jesteś histeryczką, Anno? No, czy jesteś histeryczką? — zadaję sobie dręczące pytania, zaciskając jednocześnie dłonie na kierownicy, aż bieleją mi palce, i wpatrując się w świat przed sobą oczyma posypanymi ostrymi ziarnkami piasku. Dobrze, że przynajmniej samochód jest sprawny, skoro kierowca traumatyczny, bo jadę takimi zrywami, że

tylko wola boska ratuje mnie od jakiegoś wypadku. Nie pomagają nawet Koncerty brandenburskie Bacha, które dotychczas miały na mnie zawsze łagodzący wpływ. Ich niskie, pobrzękujące basami dźwięki, wydają się za to doskonałym komentarzem do żalonych myśli przyszłej mieszkanki jakiegoś zamkniętego na głucho zakładu psychiatrycznego, gdzieś na końcu świata.

Czy histeryzujesz? No, sama sobie odpowiedz! — wykrzykuję w myśli ostatnie słowa Huberta, wypowiedziane dziś rano zimnym, cichym głosem.

Jak powinny brzmieć ostatnie słowa rozpadającego się związku? Takie swoiste rozliczenie dawnych porywów serca, uchwycone w zdania i zamknięte ściśle, w prosty rachunek zysków i strat, by na zawsze uciec od wspomnień? Jakie określenia byłyby najbardziej odpowiednie, wystarczająco wyraziste? Tak jasne i jednoznaczne, by dzięki nim udać, że można zapomnieć, obrócić w żart, zaśmiać się, patrząc komuś w oczy i ponieść okruchy stłuczonych marzeń z wysoko podniesioną głową? Kiedyś, na początku naszej historii (naszej historii! ależ to podniośle brzmi!) rozmawialiśmy nawet na ten temat, omawiając dogorywający miesiącami romans Marka i Aśki, mojej koleżanki z roku. Doszliśmy wtedy do wniosku (doszliśmy?! czy Hubert stwierdził?), że sposób, jaki wybrał Marek, był chyba najgorszy z możliwych. Twierdził on bowiem, że przecież jednak jakoś kocha jeszcze tę Aşkę i nie powinien być dla niej zbyt okrutny. Jeśli da jej jedynie delikatnie do zrozumienia, że między nimi wszystko skończone, to może nie okaże się aż takim łajdakiem. Ale Aśka wcale nie chciała pojąć subtelnych aluzji byłego ukochanego i szarpali się jak rybki na haczykach, aż do pełnego wykrwawienia. Czy na jednej wędce mogą umierać dwie rybki? Nie mam pojęcia, ale obrazek wydawał się nam wtedy (nam czy Hubertowi?) bardzo wymowny i wyrazisty. Wspólna żyłka, która rozdziela się w pewnym miejscu na dwa odrębne kawałki, a złapane stworzenia ani się urwać nie mogą, ani pozostać razem. Zgroza kompletna!

— Pamiętaj — szeptałam przewrotnie, przytulając się ciasno do Huberta — nigdy mnie tak nie zostawiaj. Nie tak, żebym mia-

8

ła jeszcze jakieś złudzenia. Najlepiej od razu przeciąć wszystko ciach, ciach, by zakończyć historię ostatecznie i nieodwołalnie.

Oczywiście przysięgał wtedy, że nigdy ode mnie nie odejdzie, bo kocha mnie nad życie albo, jeśli tak miałyby się stać, to na pewno z mojej winy, bo pójdę do innego (cha, cha, cha), więc dobije mnie wówczas zgrabnie

siekierą, żebym się nie męczyła. Doczekam się wtedy swego ciach, ciach! Czy histeria to taka lekarska metafora siekiery? Czy pamiętał o obiecanej bezwzględności dziś rano, kiedy zamykał za sobą drzwi naszego mieszkania? (Mojego! do diabła! mojego!) — to pytanie będzie pewnie musiało pozostać bez odpowiedzi, jak i wiele innych, które lęgną mi się w głowie z szybkością pochłanianych przez koła kilometrów. Samochodowe monologi o melodramatycznym charakterze są chyba nie najlepszą formą terapii, bo palce drżą mi coraz bardziej, a w gardle niebezpiecznie zasycha. Z trudem przełykam ślinę i stać mnie jedynie na uporczywe wpatrywanie się w szosę za szybą.

Do tego wszystkiego zaczęło padać. Jedna, dwie, pięć kropel, pac, pac, pac... i wiem, że będzie naprawdę źle. Jakby wszystkiego innego nie było już dość! Jeszcze deszcz i niskie, listopadowe chmury, zmierzające złowieszczo w moim kierunku. Świat dookoła robi się zdecydowanie nieprzyjemny, jakby złośliwe duchy rzeczywiście chciały stworzyć odpowiednią dla mego nastroju, tragiczną scenerię. No, pięknie! Nienawidzę Wszystkich Świętych! — zgrzytam wściekle zębami i uprzytamniam sobie, że jeżeli natychmiast nie przystopuję, to naprawdę zrobię sobie dziś krzywdę, z kategorii tych jednoznacznych i ostatecznych. A przecież aż do tego stopnia draniowi sprawy nie ułatwię, to pewne! Powoli zjeżdżam na przydrożny parking, hamuję z ulgą i po chwili zamawiam kawę w dość obskurnym barku. Nie jest tu miło, ale nie mam sił jechać dalej, więc decyduję się po prostu na to, co jest. — Jak zawsze, prawda? — dokopuję sama sobie radośnie i wyciągam z torebki paczkę papierosów, zaplątaną tam na pewno zupełnie przypadkiem, ponieważ usiłuję przecież rzucić palenie. Cha, cha, cha...

Ponura dziewczyna z makabrycznym makijażem, żując wyraziście gumę krwawo umalowanymi ustami, popycha w moim kierunku grubą filiżankę, rozlewając przy tym nieco płynu na spodek. Jezu! Sama subtelność i niebanalny wprost wdzięk! Niemal mam ochotę rozejrzeć się ukradkiem, czy nie kręcą tu z kolei ukrytą

9

kamerą jakiegoś horroru, po tamtym, katastroficznym, na szosie. Profilaktycznie uśmiecham się mile, bo gdybym miała znaleźć się w kadrze, to niech chociaż wyglądam przyjemnie, ale ostatecznie siadam tyłem do niej, mimo że krajobraz, który rozciąga się za oknem, jest chyba równie antypatyczny.

Niebo zlało się jednak z ziemią smugami szarego deszczu, ale równocześnie chmury bledną powoli i do ostatecznego spłaszczenia chyba

nie dojdzie. Dobrze i to! Należnikowa ziemia nikogo by nie uszczęśliwiła, chyba byłaby nudna? Dziewczyno! O czym ty myślisz? Życie na okrągłej planecie jest wystarczająco okropne! Oddycham głęboko, ale dopiero po dłuższej chwili i przy drugim papierosie zaczynam myśleć nieco spokojniej.

Nikt chyba nie lubi Wszystkich Świętych. To przecież trudny dzień, choć dla mnie miał zawsze jakiś przewrotny, niezwykły urok. Może ze względu na światła świec, zapach kwiatów i cienie ludzi snujących się wśród grobów o zmierzchu. Lubiłam nawet te jesienne, chłodne cmentarze, utopione w mgłach, migotliwe i nieco tajemnicze. Urok? No, może. Kiedyś. Od siedmiu lat już zdecydowanie nie czuję w tym czasie ani miejscu niczego przyjemnego.

Siedem lat temu, tego dnia zginęli moi rodzice, wracając właśnie tą szosą z miasteczka. Pewien głupiec, od samego rana świętujący wódką imieniny Wszystkich Świętych, w pełnym pędzie wpadł na ich samochód i zepchnął go na drzewo. Oboje zginęli. Moi rodzice. Moi skłóceni wówczas ze mną rodzice. Koniec. Kropka. Właściwie nie wiem, czy kropka, bo pijany głupiec przeżył i do teraz pewnie nawet zdążył wyjść z więzienia. Mogę mieć tylko jakąś nadzieję, że dziś przynajmniej nie świętuje. Ale pewności? Żadnej!

Tamtego dnia po raz pierwszy w życiu nie pojechałam z nimi na groby. Bo mi się najzwyczajniej nie chciało. Bo czułam się zmęczona po wieczornej zabawie w duchy, która odbywała się hucznie w klubie studenckim poprzedniego dnia. Była to też moja pierwsza randka z Hubertem i bardzo mi zależało, żeby dotrzeć do końca imprezy, by żadna inna dziewczyna mi go nie poderwała. Napraw-dę.

Ten olśniewający medyk stanowił wtedy u nas, na anglistyce, rodzaj bóstwa, do którego modliłyśmy się wszystkie, mniej lub bardziej jawnie. Ja może nieco mniej bezpośrednio, pewnie dlatego zwrócił właśnie na mnie swą boską uwagę i usiłował oczarować miłymi gestami, które, rzecz jasna, skrupulatnie przyjmowałam. Wcale nie musiał się bardzo starać, bo i tak byłam przecież ugotowana na miękko już na długo przedtem, zanim mnie w ogóle

10

zauważył. Jakie to oczywiste i jakie głupie zarazem. Dziś to wiem, ale wówczas miałam wrażenie, że najpiękniejsze gwiazdy spadły mi prosto do rąk.

Ojca mocniej bolała moja decyzja. Przyszedł nawet porozmawiać, by przekonać mnie, że przecież będę mogła przespać się po drodze, w

samochodzie, że powinnam z nimi pojechać, bo to dzień szczególny, zwłaszcza że babcia umarła bardzo niedawno i wszyscy czuliśmy jeszcze intensywnie i boleśnie jej brak. Ale ja byłam po południu znów umówiona z moim fascynującym, nowym, wreszcie usidlonym chłopakiem i granitowo pewna, że trzeba kuć żelazo, póki gorące, bo inaczej królewicz jeszcze się rozmyśli. Hubert w roli gorącego żelaza! Dobrze! Królewicza z żelaza! Jeszcze lepsze!

Pojechali więc sami. I nie wrócili. Melodramatyczne? Może. Nie stać mnie na jakąś logiczną klasyfikację. W ogóle trzeba przyznać, że na niewiele mnie stać, i wtedy, i teraz. Nigdy przecież nie zdobyłam się nawet na uczciwe przemyślenie tamtej swojej decyzji i wszystkich jej konsekwencji. Coś mnie jednak wyraźnie gryzie. Sumienie lub dusza, bo odtąd co rok odbywamy z Hubertem swoistą, niewyrażoną słownie, pielgrzymkę tą drogą i tego dnia. Żeby przekonać siebie? Innych? Może po prostu, by udowodnić, że kiedy zginęli rodzice, właśnie zaczynała się wielka miłość naszego życia i naprawdę nie mogłam pojechać z nimi. Znam oczywiście różne wygodne warianty samo-usprawiedliwień, łącznie z twierdzeniem, że moja obecność niczego by nie zmieniła, tylko zginęłabym z nimi, a rodzice, gdyby znali swój los, na pewno tego by dla mnie nie chcieli. Gdyby, gdyby, gdyby... Potrafiłam je wszystkie usypiać zrećnie i konsekwentnie przez ostatnie lata aż do dzisiaj, kiedy Hubert nazwał histerią moje przygotowania do podróży i naiwnością przeświadczenie, że on również jedzie ze mną.

Byliśmy razem przez cały ten czas. Właściwie od śmierci rodziców nie rozstawaliśmy się niemal wcale, a on mógł swobodnie roztaczać czułą opiekę nad biednym, zdanym na jego wspaniałomyślność, kurczątkiem, którym się wtedy czułam. Potrafił pięknie grać rolę opiekuna i władcy, to trzeba mu oddać. Grał z zapałem, przekonująco, sam pewnie w swój scenariusz wierzył. Przynajmniej przez jakiś czas, to oczywiste. Nie chciałam mieszkać sama w domu rodzinnym, więc załatwił mi akademik, a zaraz na drugim roku studiów dostałam stypendium naukowe do Londynu. Musiało być w to zaangażowanych wiele współczujących mi osób, ale do

11

dziś nie zadałam sobie trudu, by o nich choćby pomyśleć. Najważniejszy okazał się jedynie fakt, że Hubert wziął urlop dziekański i mimo oporu swojej rodziny, pojechał ze mną do Anglii. Czy trzeba mi było lepszych dowodów miłości i poświęcenia?

Kocha mnie! Kocha! — myślałam w upojeniu, poznając lepiej język,

zwiedzając z nim Londyn, najwięcej zaś czasu spędzając, cóż... w łóżku. Nie poznałam dobrze kraju, ograniczając swoje zainteresowania naukowe do minimum, ale za to zdobyłam pewność, że chcę z moim ukochanym pozostać do końca życia. Więc po powrocie do kraju zlikwidowaliśmy mieszkanie rodziców (...likwidacja! dobre słowo! nawet pacyfikacja byłaby tu na miejscu...) i kupiłam niewielkie mieszkanie na nowym osiedlu, z którym nie wiązały mnie żadne wspomnienia. Dzielnice, w której mieszkaliśmy wcześniej, omijałam rozległym łukiem przez następne lata. I po prostu żyłam, dziękując Bogu, że nie jestem całkiem sama, że ktoś o mnie i za mnie myśli.

Swoją drogą, jak niewiele zostało po rodzicach... Gdy dziś o tym myślę, czuję się zaniepokojona. Setki książek, owszem, trochę mebli i drobiazgów, jakieś zdjęcia, które nie oglądając, zapakowałam w kartony — i tyle. Resztę wspomnień o nich szczelnie zawinęłam w ochronny materiał niepamięci i wcisnęłam głęboko w podświadomość. Jakże wygodnie.

To, że Hubert nie dołożył pieniędzy do mieszkania, nie wspominał nigdy o ewentualnym ślubie, a własne zasoby finansowe zużył na elegancki samochód, umknęło mojej otepiałej z miłości uwadze. Jesteśmy przecież ludźmi nowoczesnymi, prawda? Komu dziś zależy na papierku z urzędu i konwenansach? Zresztą finansowo okazałam się nieźle zaopatrzona. Funkcjonowały jakieś konta, nawet dewizowe, na moje nazwisko, działał prawnik, nastąpiły skomplikowane rozliczenia i tym sposobem stałam się właścicielką mieszkania, małego samochodu oraz niewielkich oszczędności, wystarczających, by zacząć dorosłe życie. Wszystko układało się samo, nie wymagając właściwie moich świadomych decyzji i logicznych planów.

Chciałam, jak mama i babcia, uczyć w szkole, jednak Hubert (znowu on i wciąż on!), uważał, że to czysta strata czasu i bezmyślna filantropia. W zamian zdałam egzamin tłumacza przysięgłego, by zająć się pracą poza oświatą. Współpracowałam i współpracuję z różnymi firmami, które rosną teraz jak grzyby po deszczu, a że zaczęłam wcześnie, mam pewien dorobek, dzięki któremu przed-

12

siębiorcy bardziej mi ufają. Los wyraźnie wstrzymał oddech, dając mi kilka lat na to, bym dorosła, ale chyba nie skorzystałam odpowiednio z jego uprzejmej propozycji...

Zaufanie... Zapalam kolejnego papierosa i przyglądam się temu uczuciu skrupulatnie. Ba! Jeśli uczucia w ogóle można jakkolwiek zmierzyć i

ocenić, to stwierdzić należy, że mały, skrzywdzony kur-czaczek miał oczywiście wiele ufności do pięknego pana doktora, ale całkowicie ślepy przecież nie był. Wiem, że od pewnego czasu coś zaczęło zgrzytać. Coraz głośniej i głośniej, tylko ja jakoś głuchłam na wszystkie sygnały. Jego rodziców odwiedziliśmy ostatnio na Boże Narodzenie, przy czym nocne dyżury i prywatna praktyka zaczęły nagle pochłaniać mu dzień za dniem. Zakładałam, że to stan przejściowy. A jednak nie. Ostatni wyjazd na symposium lekarskie wydłużył się bardzo niebezpiecznie poza wszystkie dopuszczalne normy i komórka wciąż złośliwie traciła zasięg, czyniąc go niedostępnym dla kurczaczka. Po powrocie natomiast władca był nieobecny duchem i niezwykle drażliwy.

Dlaczego, wpatrując się tępo w szosę za brudnym oknem, widzę wszystko wyraźniej, niż do niedawna, kiedy sytuacja wydawała mi się tylko nieco zagmatwana i niejasna? Czy jak zwykle chowałam głowę w piasek, czekając aż sprawy jakoś same się wyjaśnią? No, to się doczekałam i wszystko stało się jasne, prawda? Rozjaśniło się jak jasny gwint!

Zdecydowanie gaszę niedopałek w popielniczce, jakbym chciała wyłączyć telewizor z tym kiepskim filmem o głupim życiu kurcząt, a właściwie z wszystkimi marnymi filmami, które dziś chodzą mi po głowie i decyduję się ruszyć tyłek, bo inaczej nie zajadę na ten cmentarz przed wieczorem. Odwiedzam trzy najważniejsze dla mnie groby. To dla nich przyjeżdżam tu, co roku. Dla dziadków, rodziców i wujka Adama. Wujka? No, jak zwał, tak zwał. Nie będę przecież teraz kruszyć kopii o rodzinne nazewnictwo. I tak jestem mocno spóźniona i do domu wrócę chyba głęboką nocą. Ale jeśli nawet, to co? Przecież nieszczególnie mi się spieszy.

Zaczynam, rzecz jasna, od rodziców i taszcę z samochodu znicze oraz kwiaty wzdłuż wąskiej alejki wysadzonej wielkimi, starymi drzewami.

Lubię, gdy wiele płomyków rozświetla to miejsce. Zapalam je najpierw, a potem układam kwiaty, grabię ziemię dookoła i... po prostu kłamię. Mówię do nich w myślach tak, jakby

13

stali obok i przekonuję, że wszystko u mnie w porządku. Finanse rewelacyjne, samopoczucie w normie, zdrowie dopisuje, miłość kwitnie... Dosłownie bredzę w myślach, jak u cioci na imieninach! Bla...Bla... Bla... Nie wiem, na ile mi się to godzi ze świadomością, że jeśli mnie słyszą, to i tak wiedzą doskonale, co naprawdę jest grane. Jednak rozmowa z umarłymi przeznaczona jest chyba przede wszystkim dla żywych? To oni przecież mają się uspokoić i przekonać samych siebie, że warto istnieć dalej. Tak myślę. Umarli znajdują się w lepszym świecie, więc nasze małe

troski zupełnie ich nie interesują, czyż nie?

Zostawiam rozświetlony grób rodziców, wiedząc, że wrócę tu ponownie przed odejściem z cmentarza i idę do dziadków. Tu nieodmiennie wstrząsa mną moje własne imię i nazwisko na nagrobku. Anna Chotecka. Szał! Babcia Nusia nosiła to samo imię, co ja, albo odwrotnie, to ja mam imię po niej, ale za życia nikt nie nazywał jej Anną, więc przerażające wrażenie jest zawsze takie samo. Oto stoję nad własnym grobem. I umarłam już dawno, wcale nie siedem lat temu ani tym bardziej nie dziś rano. Jestem zatem żywa, czy od dawna umarła?

Żywa! Konstatuję z niechęcią, kiedy uderzam kolaniem o twardą płytę nagrobną i czuję coraz zimniejsze stopy w zbyt cienkich półbucikach, zanurzonych głęboko w zwiędłych liściach, mokrych jeszcze po przedpołudniowym deszczu. Żywa, głodna i zmarznięta! A do tego smutna jak diabli i nie potrafię tego ukryć przed nikim, nawet przed samą sobą.

Dziadka Krzysztofa dobrze pamiętam. Mam w sobie najpierw jedno, niby ulotne, ale trwałe, wspomnienie małej dziewczynki siedzącej na kolanach potężnego, opiekuńczego pana i późniejsze, znacznie wyraźniejsze, z lat szkolnych, kiedy uczył, lub w każdym razie próbował, nauczyć mnie dystansu wobec świata, oglądanego z perspektywy kilkunastoletniej smarkuli, która myśli, że wszystko już wie. Jakże on opowiadał!

Wykrzywił usta i mówił takim swoistym półgębkiem, a wszystko, co wokół dostrzegał, godne było komentarza, wzbogaconego nutą piekającej ironii. Nie rozumiałam długo niemal żadnych podtekstów, ale wyczuwałam zawsze zaskakujący komizm jego wypowiedzi odkrywających w otaczającym mnie świecie dorosłych zupełnie nowe aspekty. Umiał jednym słowem trafnie i nieodwołalnie scharakteryzować człowieka, że w mojej pamięci pozostawał biedak już na zawsze nazwany tak, a nie inaczej, jak z przyklepioną do czoła karteczką.

14

Nie interesowały go wiadomości radiowe czy telewizyjne. Zawsze wtedy, gdy dorośli siadali, aby wysłuchać najnowszych informacji, on brał mnie za łapkę i wychodziliśmy na spacer, wśród jego groźnych, komentujących pomruków i wyrazistego, nieco zbyt głośnego, domykania drzwi między światem a nami. Nawet później, kiedy byłam starsza, właśnie ten czas wydawał mu się najdogodniejszy do naszych rozmów prywatnych. Na komentarze rodziców czy babci, że powinnam przecież wiedzieć coś o otaczającej mnie rzeczywistości, wzruszał tylko wymownie ramionami i mruzczał nieprzychylnie. Nigdy nie wierzył w socjalizm, ale w zmiany zachodzące w Polsce lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych też nie.

— To wszystko tylko psu na budę — mówił — stara sitwa pożyje dłużej niż my wszyscy. Niech już ja sobie pozostanę niewiernym Tomaszem, aż do końca! A dziecko idzie ze mną!

I dziecko szło, radośnie podskakując u jego boku, żyjąc dzięki niemu w cudownym świecie wyobraźni i żartu.

Na spacerach najczęściej pokazywał mi trawy, kwiaty i ptaki, wierząc, że są one nieśmiertelne. Wymyślał też różne niestworzone historie o mijanych przez nas miejscach i ludziach, od których bolał mnie brzuch ze śmiechu albo bardzo poważnie wtłaczał mi do głowy uniwersalne prawdy o życiu, zawsze jakoś tak, że nie nudził. I choć bardzo kochał babcię Niusię, denerwowała go jej naiwna — jak twierdził — wiara w demokrację, czego nigdy nie potrafił dobrze ukryć.

— Jaka wolność, kochanie? — starał się nie grzmieć, ale głos niebezpiecznie podnosił się mu o kilka tonów. — Może za kilka pokoleń coś się tu logicznego wylęgnie, ale bardzo w to wątpię! Daj że spokój! I taki wątpiący zasnął, podczas jednej ze swych codziennych przechadzek po parku, w końcu lata. Akurat wtedy, gdy wyjątkowo wcześniej wyjechaliśmy, przed początkiem roku szkolnego, z miasteczka. Zmarł godzinę później, przeniesiony przez znajomych na własne łóżko, zanim nadjechała karetka.

Dziadka nie okłamuję, nie ma po co i tak odpowiedziałby, wyginając wargi: — Nie błażnij, Anka!

Często nazywał mnie Błazenkiem, z czego wnioskuję, że musiałam sprawiać wrażenie żartobliwie usposobionego dziecka. A może rzeczywiście taka byłam? Przy nim łatwo wybuchałam śmiechem i on często w rozmowach ze mną pohukiwał radośnie, co stanowiło jego prywatną odmianę okazywania radości. Pewnie stanowiliśmy

15

zabawną parę, wysoki mężczyzna z siwą czupryną i malutka, ruda dziewczynka na patyczkowatych nóżkach, która z biegiem czasu zmieniła się w chudego, nieco rozkapryszzonego podlotka.

Inaczej rzeczy miały się z babcią Niusią. Ta patrzyła srogo spod czarnych brwi, ale zachowywała się zupełnie nieodpowiednio do wyglądu. Była zdumiewająco łagodna i dziecięco ufna, co często wypominał jej z czułością dziadek, jakby na starość powróciły do niej radość i naiwność dziewczyny, która musiała zabić w sobie entuzjazm dużo wcześniej, w odległej młodości. Miała ciężkie i pogmatwane życie, które zbywała machnięciem ręki i odwiecznym: — Takie były czasy, ot co! Ją też lubiłam, ale znałam jakby mniej, choć spędzałam u niej przecież wszystkie

letnie miesiące, a gdy umarła, w dwa lata po dziadku, miałam już prawie osiemnaście lat.

Boże! Cóż to były za wakacje! Nazwałam je kiedyś „czasem zielonych jabłek” i traktowałam jak ukryty we wspomnieniach, najdroższy skarb, do którego można wracać zawsze, kiedy człowiekowi potrzeba odrobiny wytchnienia.

Babcia stanowiła opozycję swojej synowej, mojej mamy, która nigdy nie pozwalała mi na dziecięce przygody, z nadmierną troskliwością pochylając się zawsze nad moją psotną buzią. Ona za to godziła się na wszystko! Gdy bywałam u niej, mogłam wałęsać się choćby całą noc po świecie, a ona zostawiała niezamknięte drzwi i spokojnie kładła się spać. Ale, po prawdzie, i bać się nie było czego. Bawiłam się z gromadą okolicznych urwisów, a świat był tak bezpieczny, jak nigdy później.

Dziadkowie mieszkali w służbowym mieszkaniu, w budynku szkoły i wnuczki pana dyrektora, nawet po jego śmierci, nikt by w miasteczku nie skrzywdził. Kochali też babcię, więc jeśli ktoś podpatrywał, dokąd biegnę z rozdokazywanymi dziećmi, to przede wszystkim z życzliwością, sprawdzając, czy nie zrobię sobie krzywdy. Nawet kiedy byłam nastolatką, miejscowi chłopcy zawsze zachowywali się wobec mnie kulturalniej i grzeczniej, niż ci w mieście, w którym mieszkałam.

Przeżywałam w czasie tych letnich miesięcy także swą pierwszą, dziecinną miłość do syna miejscowego kominiarza. Dziś myślę, że podobało mi się w Heńku przede wszystkim właśnie to jego bliskie pokrewieństwo z człowiekiem szczęścia, panem Czesiem, który nieodmiennie pozwalał mi kręcić guzikiem swojej niemiłosiernie ubrudzonej, kominiarskiej kurtki. Dzięki młodocianemu „narzeczonemu” dopadałam do niej częściej niż inni, przekonana, że przyniesie mi więcej przychylności losu, niż moje własne guziki

16

od sukienki. W podzięcie miałam potem zawsze radosny uśmiech dla Heńka i to w zupełności wystarczało do intensywnego rozwoju naszej wzajemnej „miłości”.

Zawód pana Czesia martwił natomiast jego ojca, dziadka Heńka, starego pana Walerego, który przychodził do dziadka na karty i przykrywając łyse czoło wielkimi dłońmi, powtarzał, ilekroć rozmowa schodziła na tematy rodzinne: — To upadek, Krzysiu, nic, tylko degradacja!

Dopiero teraz Heniek spełnia marzenia pana Walerego o kontynuacji wzniosłych, zawodowych tradycji rodu i pełni w miasteczku zaszczytną funkcję komendanta policji, zawsze elegancko stukając palcem o daszek

mundurowej czapki, ilekroć mijamy się na ulicy. Odkąd nie ma już jego ojca, nasze uczucie umarło śmiercią naturalną, charakterystyczną dla wszystkich dziecinnych zauroczeń, choć jestem pewna, że uśmiechamy się do siebie nieco cieplej, niż do zwykłych znajomych z tamtej, szczeniackiej grupy.

Z westchnieniem odchodzę od grobu starszych Choteckich, by z resztą zniczy i kwiatów powędrować do wujka Adama. Czy ten Adam zawsze zasługuje jedynie na resztki? Tak, jakby całe jego życie było tylko marginalnym przypadkiem, na który starcza zaledwie odrobiny uczuć i zainteresowania. Odrobiny cmentarza nawet, bo pochowano go pod samym murem, na końcu alejki, a i to dopiero po wielkich wojnach dziadków z miejscowym proboszczem. Wujek Adam był bowiem samobójcą. Ale dziadek Krzysztof przekonywał dobitnie księdza Żarneckiego, by tę śmierć zakwalifikować jako nieumyślne przedawkowanie leków, babcia zaś „wzięła jego śmierć na własne sumienie” i przysięgła, że tak właśnie było. Zatem okazało się, że nie tylko całe życie wujka Adama, a nawet jego śmierć, od początku do końca, pozostały na sumieniu babci Niusi.

Grób Adama nie jest jednak całkiem zapomniany! Na płycie znajduję piękny bukiet białych, drobnych chryzantem, położonych chyba wczoraj, bo mimo deszczu są jeszcze świeże i jasną, zastanawiającą plamą, odcinając się wyraźnie od czarnego marmuru, tego, zdaniem niektórych, zbyt wystawnego pomnika, jak na nagłe i podejrzanym okoliczności śmierci spoczywającego tu zmarłego. Nie wiem, kto je położył, ale myślę ciepło o nieznanym darczyńcy, bo Adamowi rzeczywiście potrzebne jest każde serdeczne wspomnienie. Tak przynajmniej twierdził zawsze dziadek Krzysztof, który nie uważał wcale, jak niektóre-miejscowe plotkarki, że grób samobójcy nie powinien być Wyzywająco okazały i bogaty.

— Pradziadek Mariusz chciał tego — argumentował spokojnie — i nikomu słowa nie pozwolę złego powiedzieć. Niech sobie Adam leży jak szlachcic i kole w oczy głupio gadających!

Mam tu więc trzy groby. Staruszków z nieczystym sumieniem, zabitych przez pijaka rodziców i wujka nie-wujka, samobójcy. Istny horror! I ja sama pośród tych świeczek, kwiatów i zapadającego zmierzchu! Świetnie! A jednak nie sama. Nad grobem rodziców spotykam ciocię Jankę. Ciocia nie-ciocia, jak wujek nie-wujek, bo Janka nie jest moją prawdziwą krewną. W odróżnieniu od wujka Adama, który do rodziny zdecydowanie należał. Ciocia Janka to była uczennica babci Niusi. Niegdyś szczuplutka jak szparag, szarooka sierotka przysłana do miasteczka wraz z grupą innych

maluchów zaraz po wojnie. Wieźli ją z Syberii jako polskie dziecko, ale po drodze tyle razy zmieniali się opiekunowie, grupy i miejsca postoju, że dokumenty Janeczki nie wiadomo jak i kiedy przepadły. Wiedziano tylko, że Polka i sierota. Pozostało też imię, które rezolutna pięciolatka zdołała zapamiętać, nazwisko jednak umknęło. I tak Janka Kowalska znalazła się w miejscowym sierocińcu, a później w klasie babci Niusi, którą pokochała żarliwie, zamiast całej swojej zagubionej na syberyjskiej ziemi rodziny. Babcia też ulubiła sobie tę dziewczynkę, młodszą trochę od Adama, a starszą od Iwa, mojego ojca, pasującą doskonale na brakującą w rodzinie córeczkę. Adoptować się jej jednak nie dało, bo dziadkowie nie stanowili „odpowiedniej, socjalistycznej komórki społecznej”, więc Janka po wyjściu z sierocińca została po prostu przyszywaną krewną. Dzisiaj, przeszło sześćdziesięcioletnia, prościutka jak struna, schludna i skromna w szarym płaszczyku, w chustce na głowie, stoi przy grobie, patrząc wyczekująco, jak nadchodzę.

— Wiedziałam, że jeszcze tu przyjdiesz — mówi niepewnie po powitaniu i uściskach — i pomyślałam sobie, że poczekam. Bo skoro jesteś dzisiaj sama — waha się, ale po chwili brnie dalej — to może cię namówię, żebyś przenocowała? Co? Raz u starej ciotki? Zawsze się spieszycie, a ja spokojnie pogadać muszę, no i wstyd, że nigdy nie mamy dla siebie czasu. Obejmuje i siebie tym „brakiem czasu”, czym dźga mnie w samo serce, bo to ja przecież nigdy nie znajduję dla niej ani chwilki i zawsze zwijamy się z Hubertem, (zwijaliśmy! czas przeszły, dziewczyno!) zaraz po zmroku, obiecując, że następnym razem już na pewno ją odwiedzimy.

18

Dlaczego nie mam zanocować? Dzień dał mi się przecież wystarczająco mocno we znaki, od pamiętnego, „histerycznego” ranka począwszy. Po nocy jechać nie mam zamiaru i nie wiadomo też, czy jakiś inny pijany głupek nie zdążył już wyjechać na drogi, by potrać przejezdnych.

— Pewnie, że zostanę do jutra — mówię więc spokojnie, jakbym z taką właśnie myślą do niej jechała i biorę ją pod ramię, pytając jednocześnie o kwiaty na grobie Adama.

— Bo ja wiem? — odpowiada niechętnie, wruszając nieznacznie ramionami. — Od kilku lat się pojawiają, nigdy w samo święto, więc upolować nie mogę od kogo. Zawsze takie same, bielutkie. Też zwróciłaś na nie uwagę?

Upolować? Powtarzam w myśli te słowa, które potwierdzają jej zawzięte pragnienie sprawdzenia, kto jeszcze pamięta o zmarłym dawno towarzyszu z dzieciństwa. Bo sama Janka gardzi kupnymi kwiatami i na grobach, w

tym także u Adama, kładzie zawsze niewielkie wiązanki ze świerków i suszków, które sama, wcale zgrabnie, produkuje na jesieni. Połączone milczeniem, pełnym wspomnień i tajemnic, opuszczamy wreszcie cmentarz, ciesząc się myślą o ciepłej kolacji, która złagodzi głód i — czy chcemy tego, czy nie — potwierdzi w nas gotowość na dalsze życie. Ciocia Janka mieszka w domku z ogródkiem, na skraju miasteczka, niedaleko cmentarza, ale nie przy samym murze. Grobów stąd nie widać, tylko przyświeca nam w drodze łuna od świeczek i powoduje, że na tej mrocznej zwykle uliczce jest dziś niemal jasno, jakby władze miejskie zdecydowały się wreszcie postawić tu ze dwie latarnie. Domek to dawna chatka dróżnika stojąca samotnie przy zarastających trawą torach. Mąż cioci Janki, Zdzisław, pracował kiedyś na kolei i wykupili chatkę po latach starań, by teraz ona jako wdowa mogła tu spokojnie mieszkać na swoim. Czy rzeczywiście żyje bez kłopotów, tego nie jestem zupełnie pewna, bo z ogólnikowych uwag, które rzuca przez resztę wieczoru, wynika, że na mieszkanie ma ochotę jej wnuk, Jacuś, jedna z nielicznych chmur mojego dzieciństwa. Heniek stoczył z nim niegdyś niejedną bitwę, udowadniając, że nie wolno ciągnąć mnie za warkocz i wyzywać od rudzielców. — Nie, nie — odgania się ciocia Janka od moich pytań, czy nie potrzebuje pomocy, więc, choć chwilę rozważam nawet nawiązanie kontaktu z Heńkiem, ostatecznie postanawiam zaufać jej pewności

19

— nie trzeba mi niczego. Wszystko mam i z Jacusiem sobie poradzę! Nie taka ja słaba! W życiu się musiałam nauczyć walki. Jacuś za drobny jeszcze, żeby babkę przegadać. Dobrze, że przynajmniej wnuczka mi się udała, więc ogólnie nie narzekam. Malinka to czyste złoto, powiadam ci. Dzieci też dobre, dbają o starą matkę, nie mam powodu do marudzenia, Aniu, słowo daję!

Kręci się zadziornie po malutkim pokoiku i przygotowuje mi biało-szeleszczące gościnne łóżko, a ja dziękuję w duchu dobrym aniołom, że nie muszę się do niczego mieszać. Bo sił mam dziś dokładnie tyle, ile ów smętny kurczaczek, pod którego piórkami ukrywałam się przez ostatnie lata.

— Chodzi mi tylko o to, żebyś swoje rzeczy stąd wzięła, Jacuś paluchy ma lepkie — szarooka babcia nie zwykła owijać w bawełnę — i nie chcę, żeby co twojego zginęło.

Rozdarta między niepewnością, czy ciotka, okradana przez wrednego wnuka, nie potrzebuje opieki, a zdumieniem, jakie to moje rzeczy może ona posiadać, domagam się szczegółów, ale gospodyni zbywa mnie

pospiesznym „pogadamy jutro” i każe kłaść się jak najprędzej. Jak każda heroina smętnego romansu, mam oczywiście pewność, że nie zasnę, bo w głowie kłębią mi się urywki dzisiejszego, pełnego wrażeń, dnia i, jak większość owych sentymentalnych bohaterek, owinięta nakrochmaloną, pachnącą ziołami pościelą, zanurzam się w cichy mrok maleńkiego pokoiku, by usnąć jak kamień, odpoczywając do rana, bez najmniejszego dręczącego obrazu.

Ranek natomiast zastaje mnie w wesołej, żółtej kuchni, nad kubkiem mocnej kawy i w zaskakująco dobrym humorze. Poranki zawsze dają nadzieję, prawda? Uwielbiam je, zwłaszcza kiedy mogę pozwolić sobie na niespieszne podejście do dnia. Mają w sobie tyle optymizmu i pozwalają uwierzyć, że człowiek ze wszystkim sobie poradzi, bo jest silny jak tur.

— Pal sobie, pal — godzi się prędko ciocia Janka na widok mojej niepewnej miny, kiedy wyjmuję z torebki papierosy i komórkę.

Natychmiast ląduje przede mną wielka, szklana popielniczka „po Zdziśku”, więc zaciągam się głęboko, odpychając od siebie wyrzuty sumienia, że i japo podtruwam.

— Zawsze wahałam, jak Zdzisiek palił — śmieje się ona — i nawet mi nie przeszkadzało, a smrodził o wiele gorzej niż ty. Czasem mi tego dymu nawet jakby trochę brakuje — kręci głową, sama sobie się dziwiąc.

20

— Jacuchowi tylko — nawiązuje do wrednego wnuka — nie pozwalam! Niech wie, że babka swoje zdanie ma! Zresztą, jak za bardzo mi się tu panoszy, to wołam do raportu Leszka, żeby syna nieco do ziemi przycisnął i jakoś leci!

Ciocia Janka jest zatem bezpieczna, ale chyba całkiem spokojna się nie czuje, bo po śniadaniu znowu siada przede mną z zakłopotaną miną.

— Ania, ty swoje rzeczy stąd zabrać powinnaś, bo to wstyd nawet, żebym ja je tyle lat przetrzymywała. Co twoje, to twoje, a nikogo innego — i przynosi porządnie zawiązany, odkurzony karton, w którym „dokumenty po rodzinie są i brać je trzeba, bo Jacuś za starymi rzeczami mocno węszy”.

Tak wygląda pierwsza doba reszty mojego życia, ale widzę, że atrakcji nie zabraknie i w przyszłości, bo gdy ostatecznie podjeżdżam pod dom, muszę zaparkować obok wielkiego wozu meblowego, przy którym mój dotychczasowy ukochany uwija się jak w ukropie, by dopilnować wyniesienia z mieszkania jak największej liczby przedmiotów. Jest zaaferowany, radosny i pełen entuzjazmu, a wygląda przy tym przystojnie i milutko, jak zawsze.

Może to kolejna zabawa w ukrytą kamerę? Mam nieodparte wrażenie, że jestem znowu w barku przy szosie, brak tylko diabo-licznie umalowanej barmanki, za to nastrój zdaje się podobny. Horror, w którym wszyscy znają swoje kwestie, a mnie najwyraźniej wyznaczono pośpiesznie do odegrania rolę pierwszej naiwnej. Ale chyba jednak nie, mam też swoje dwa zdania w scenariuszu, nie tylko milczący epizod ofiary, bo zobaczywszy mnie, Hubert tylko lekko się waha, po czym podchodzi godnie, szybko odzyskując spokój i właściwą sobie równowagę.

— Dlaczego nie odbierasz telefonu? — indaguje z pretensją w głosie, a ja uprzytamniam sobie, że rzeczywiście przy śniadaniu u cioci Janki zauważyłam nieodebrane połączenia w komórce oraz resztką świadomości zarejestrowałam, że dźwięk w telefonie jest wyłączony. Później zajęłam się jednak tajemniczym kartonem, a w drodze powrotnej podjęłam próbę podsumowania wrażeń z dorocznej pielgrzymki na groby, jak również oddałam się procesowi czynienia sobie milczących wyrzutów dotyczących, najogólniej rzecz biorąc, własnej głupoty, więc zapomniałam kompletnie o telefonie i jego zapisach. Tego mu przecież nie powiem!

21

— A dlaczego pytasz? — zaczynam słodko. — Chciałeś wiedzieć, kiedy wrócę i czy uda ci się zniknąć z domu bez problemów?

Właściwie dopiero, kiedy kończę pytanie, uprzytamniam sobie, co naprawdę dzieje się przed moimi oczyma. Hubert rzeczywiście się wyprowadza! Jak? Dokąd? Dlaczego? Wiem, że moje wewnętrzne rozterki nie powinny nawet zostać wypowiedziane, bo prędzej odgryzłabym sobie język, niż dała mu tę satysfakcję, przemilczam je zatem, nie tyle jednak z powodu wrodzonego taktu, ile w ramach zwyczajnej samoobrony. Ale umorusany kurzem książkę postanawia kontynuować rozmowę.

— Wydawało mi się, że lepiej załatwić wszystko kulturalnie — zaznacza, patrząc na mnie z wyższością, co zwykle dobrze mu wychodzi, bo po prostu rósł długo.

— Kulturalnie, to znaczy do czysta? — upewniam się grzecznie, patrząc jak muskularni faceci wynoszą do samochodu meble, które zwykłam dotychczas uważać za swoje. — Chciałeś też obyć się bez świadków? Czy może potrzebne ci moje pokwitowanie?

— Nie histeryzuj — powtarza nieco przestarzałą już śpiewkę byłe bóstwo, uznawszy widocznie, że zdiagnozował bez najmniejszych wątpliwości moją przypadłość i postanawia teraz z godnością, to znaczy z nie swoją własnością, opuścić otoczenie biednej chorej na umyśle.

— Biorę tylko swoją część. Ostatecznie mieszkałem tu kilka lat i

inwestowałem we wszystko — tłumaczy mi powoli i dobitnie, podczas kiedy ja niemal słyszę niedopowiedziane: — czytaj mi z ust, jeśli ogłuchłaś, kurczaczku!

Inwestował! Zamurowało mnie dosłownie. Drżą mi ręce i nogi, a nawet głupie, przerażone serce. Muszę wyglądać nie tylko jak głucha! Dookoła zebrało się już nawet kilkoro gapiów, którzy zawsze wyrastają jak spod ziemi, kiedy tylko dzieje się coś, choćby odrobinę odstającego od normy. Ciekawe, czy mają wmontowany w siebie jakiś detektor odbierający nasilenie drzeń w otoczeniu? Jeśli tak, to wyczuli na pewno narastające wibrowanie wewnątrz i na zewnątrz mojego ciała i pewnie zaraz zatoczą ciaśniutki, ciekawski krąg wokół nas dwojga. Przy tym wszystkim jeszcze wiatr silnie zawiewa, dodając scenie przenikliwego zimna i robi się naprawdę dramatycznie.

Aby natychmiast nie ulec histerycznemu atakowi, którego pewnie oczekuje zarówno Hubert, jak i zgromadzeni widzowie, usuwam się na z góry upatrzone pozycje, usilnie starając się nie sprawiać wrażenia panicznej ucieczki, i ostrożnie wprowadzam

22

samochód do garażu, Bogu dzięki, własnego! Przynależnego do mieszkania. A następnie, wciskając kluczyki głęboko w kieszeń spodni (przecież chyba mnie nie zrewiduje?), powracam wolniutko na miejsce rabunku. Samochód jest już w połowie pełny, a nic nie wskazuje na to, żeby proces likwidacyjny mojego związku i mieszkania miał się ku końcowi. A nie mówiłam, że w wypadku Huberta słowo „pacyfikacja” brzmi bardziej wiarygodnie? Jakże on zgrabnie potrafi zamykać kolejne rozdziały swojego życia! I cudzego, niejako przy okazji.

W naiwności swojej sądziłam, że Hubert ma w mieszkaniu kilka zaledwie drobiazgów, oprócz rzeczy osobistych, rzecz jasna. Zawsze miałam smętne wrażenie, że nigdy całkowicie nie wyprowadził się od rodziców, bo kursował często między naszymi domami z rozdrażnionym „gdzie to, do diabła, jest?” na ustach. Narzekał też bez przerwy, że nie ma dla siebie wystarczająco dużo miejsca w domu i dlatego jego rzeczy są rozwłócone po całym mieście.

Otóż nic bardziej mylnego! Do niego należały wszystkie płyty (dobrze, że chociaż Koncerty zostały w samochodzie!), cały sprzęt grający, telewizor, wszystkie meble, łącznie z łóżkiem (ciekawe, ciekawe do czego mu to łóżko?), ponadto obrazy (marne! niech sobie bierze!) oraz mnóstwo innych przedmiotów codziennego i odświeżonego użytku.

Przyglądam się temu wszystkiemu w milczeniu, rozważając tylko, czy

uchodzący barbarzyńca odbije kafelki w łazience i kuchni. Przed prawdziwym atakiem szału bronią mnie zaledwie resztki dumy, poszarpanej już dosłownie na strzępy, ale mozolnie utrzymującej mnie w jednym, nie rozmazanym jeszcze na ścianie kawałku, decyduję się jednak, jak Rejtan, rzucić odważnie w obronie regałów z książkami, które dzięki temu odstapiono mi ze wzgardą, i zasłaniam własnym ciałem pralkę, na ciało spojrzano z obrzydzeniem, ale o to mniejsza. Lodówka jako wbudowana w meble kuchenne również zostaje, bo zainteresowany uchodźca musiałby wyrąbywać ją chyba siekierą, nabierającą powoli walorów legendy. Przez chwilę rozważa jednak tę opcję, co widzę wyraźnie na jego czółku, zmarszczonym w wyteżonym wysiłku umysłowym.

Kulturalne załatwianie sprawy, w wykonaniu Huberta, trwa, bez przerwy, do późnego wieczora, a kolejne kartony, (kiedy zdołał je zgromadzić?) wypływają dostojnie, jeden po drugim, na klatkę schodową i szarą strugą zdążają ku ciężarówce. Ograniczam się jedynie do roli biernego obserwatora, co chyba nie cieszy uchodźcego, bo co chwila spogląda na mnie spode łba, jakby oczekiwał

23

gwałtownej i prostej do zdefiniowania reakcji. W życiu mu tej satysfakcji nie uczynię! Prędeż tu zdechnę, powstrzymując oddech i potok łez, na który mam wyraźną ochotę. Ostatecznie pozostaję więc sama, na brudnej posadzce, w pustym pokoju, gratulując sobie ocalenia bielizny osobistej i kluczyków od auta.

Może jednak niepotrzebne mu były moje majtki, a samochód i tak ma o niebo lepszy — pocieszam się mężnie, ale po chwili mamroczę dalej zdławionym nieco, choć już nabierającym gniewnych nut, głosem: — Pal cię lichu, przyjacielu diabła! Jeśli myślisz, że nie dam sobie rady, to mylisz się, jak nigdy dotąd!

Baju, baju! Naprawdę czuję się zmasakrowana, jakby przejechał po mnie czołgiem. Dwa razy. Dziękuję bogom, że mogę być teraz sama, i oddaję się dygotaniu, które czaiło się we mnie od kilku godzin. Pozwalam sobie wspaniałomyślnie na godzinę odrętwienia i choć nadal jestem śmiertelnie zmęczona, prostuję w końcu z trudem swe ciało histeryczki, by powlec się do telefonu.

Właściwie, co stwierdzam zaskoczona w ciągu tego długiego dnia, nie mam chyba żadnych własnych przyjaciół ani znajomych. Wszyscy wspólni! Więc ich też pewnie sobie zabrał, cha, cha, cha! Przypominam sobie teraz mądry artykuł, przeczytany kiedyś w jakimś kobiecym

czasopiśmie i zagubiony potem beztrąsko w pamięci. Doświadczony autor przekonywał w nim naiwne, zakochane panienczki, by nie oddawać się całkowicie miłości do mężczyzny i pozostawić sobie zawsze w życiu miejsce na indywidualne rozwijanie własnej osobowości i zainteresowań. Nawet największe zauroczenie może kiedyś minąć, a to, jakie jesteśmy i co mamy w głębi siebie, pozostanie w nas na wieki. Święte słowa! Trzeba też schować, gdzieś głęboko przed aktualnym ukochanym, notes z prywatnymi numerami telefonów — dopowiadam sarkastycznie bystremu dziennikarzowi, bo był to facet, dam głowę! — w przeciwnym wypadku obudzisz się pewnego pięknego dnia z ręką nie tyle w nocniku, ile w przeraźliwej pustce towarzyskiej. Właśnie dlatego, że nie byłam odpowiednio przewidująca, stoję teraz z ręką bezradnie gmerającą w owej pustce nad telefoniczną słuchawką i szukam jakiegoś układu cyferek, który byłby nieznany Hubertowi. Cyferek, pod którymi ukryty jest odpowiedni dla mnie w tej chwili facet. Bogowie na szczęście czuwają, bo wreszcie znajduję! Eureka! Wydłubuję z pamięci Zbyszka. Ani przyjaciela, ani bliskiego znajomego, po prostu kolegę z podwórka. Z tamtego podwórka, z poprzedniego życia, słowem, sprzed lat. Nie widziałam go od dawna i Hubert z pewnością go nie zna, za-

24

szy z możliwych miesimy .u zxx\ e zmieniam numay Vc\cViin
Блхукл\ . Мл^ \v; '<Ч VNSW \^ \л^ Ъ ;bie jędzę, bo nikt nic stoi mi na
prieszY» a swoje obowiązki bez zmrużenia oka ; zawsze, ale nigdy tego
nic sprawdzałam, «n*

гБІаЪп «odbudowuje n\eco moje naA^tW c%o \ cmy;

Lmi, o książkach me ^spo^V nie ta^i.

„etreo mieszkania właściwa urzłdze-

0* />»*Cczego humoru ob^^ balu i oФ**-

Й ^tSS"- chrZęT^"d^ a spa6 złośliwego kontrj mme na przep
tucznej ^PoiY- W

25

kładam zresztą, że nawet, z tym swoim przekonaniem o właściwym doborze przyjaciół, poznać by nie zechciał.

Bo Zbyszek był synem i wnukiem stróża w moim domu rodzinnym, mogę zatem hipotetycznie zakładać, że teraz sam też jest gospodarzem domu na starych śmieciach, bo deklarował taki plan na życie zawsze, wszem i wobec, od najmłodszych lat. Względy grzecznościowe jakoś nie powstrzymują mnie ani przez chwilę przed wystukaniem numeru, tylko spłoszony wzrok omija skrzętnie zielone cyferki na tarczy telefonicznej.

Jest! Żyje! Istnieje! Jego głos zaś brzmi dla mnie, niby najpiękniejsze pienia anielskie. Wysłuchawszy mojej prościutkiej relacji, mówi tylko, że przyjedzie za pół godziny, więc siedzę sobie przez ten czas w całkowitym milczeniu, słuchając tykania zegara z kuchni, który jakimś cudem umknął sokolemu oku mego eksukochane-go. Staram się nie podnosić oczu, by nie oglądać rozpaczliwego spustoszenia, oddycham tylko w skupieniu, licząc klepki w parkiecie, jakby od poznania ich dokładnej liczby zależało co najmniej moje dalsze życie.

Około pierwszej w nocy Zbyszek, bez żadnych komentarzy, po kilku niezbędnych zabiegach przy zabezpieczaniu mieszkania, ściska mi dłoń i podaje nowe klucze, po czym przypomina, że „mogę do niego zawsze, jak w dym” i cichutko zamyka za sobą drzwi od pobjowiska.

Moja nowa rzeczywistość zaczyna się w listopadzie i każdy wie, że to najgorszy z możliwych miesięcy na cokolwiek, a na odbudowywanie istnienia z gruzów nie nadaje się zupełnie. A przecież błyskawicznie zmieniam numery telefonów i przenoszę pieniądze do innego banku.

Muszę przy tym wyglądać na zdeterminowaną, pewną siebie jędzę, bo nikt nie stoi mi na przeszkodzie, a urzędnicy załatwiają swoje obowiązki bez zmrużenia oka. Możliwe, że tak dzieje się zawsze, ale nigdy tego nie sprawdzałam, więc wykonanie tych działań podbudowuje nieco moje nadwątlone ego i czuję się coraz dumniej szą posiadaczką tej kuchni, łazienki i korytarza z szafkami, o książkach nie wspomnę!

Reszta pustego mieszkania właściwie mnie nie martwi. W przyływie wisielczego humoru obiecuję sobie nawet urządzenie w jego pustych apartamentach makabrycznego balu i odtańczenie złośliwego kontredansa na chrzęszczących resztkach własnej, potłuczonej głupoty. Nie stać mnie na przeprowadzkę, a spać

25

w naszym wspólnym łóżku i jeść przy wspólnym stole i tak bym nie potrafiła. Mam za to silne geny i twardy kręgosłup — przekonuję sama siebie z uporem, kiedy codziennie, nieco mozolnie wstaję z materaca pod oknem. Przykładnie uciekam też w pracę, co zawsze wydaje się najlepszym wyjściem z uczuciowego impasu, i wypełniam kolejne dni dodatkowymi tłumaczeniami, bo pieniądze są mi teraz szczególnie potrzebne. Samodzielne życie jest bardzo drogie (rachunki płaciliśmy wspólnie), a o kupnie nowych mebli mogę sobie tylko pomarzyć, więc mam o co walczyć.

Niestety, istnieją jeszcze noce, długie, ciemne i listopadowe, które ciągną się w nieskończoność, mimo ogromnego zmęczenia za dnia. Do głowy

przychodzą wówczas głupie myśli, za oknami śpi sobie spokojny świat, a ja chodzę bezradnie po pustych pomieszczeniach, rozważając swoje błędy i pomyłki. Takie myślenie nie ma oczywiście żadnego sensu, więc żeby zrobić coś pożytecznego, jeśli już nie zwyczajnie miłego, któregoś wieczoru przynoszę z garażu karton od cioci Janki i wypiwszy kilka kieliszków wina na odwagę, przecinam sznurki.

Na wierzchu znajduje się zabytkowy album w drewnianych, obciążonych wiśniową wytłaczaną skórą okładkach, a w nim sztywne, bardzo stare fotografie w kolorze sepii.

Oto pradziadek Mariusz i jego żona Helena — przyglądam się po raz pierwszy ich ślubnemu zdjęciu. Bo jest chyba ślubne? Młodzi stoją blisko, zetknięci ramionami, ale zainteresowani raczej fotografem, niż sobą wzajemnie.

Pradziadek wysoki, jasnowłosy, z wąsami. Prababcia dużo niższa, smagła, z włosami upiętymi wysoko, odsłaniającymi wypukłe czoło, wąską twarzyczkę oraz ciemne oczy i niewielkie, ładnie wykrojone usta. Nie ma welonu, a biała sukienka, ze stójką przy szyi, wydaje się raczej skromna. Dziwne, kresowy szlachcic, niebiedny przecież, i taka panna?

II

Wczesny poranek, na przełomie lata i jesieni, niechętnie budzi się do życia. Słońce, jeszcze chłodne, rzuca podłużne cienie na rozświetlone pola, ale nie daje ciepła, tylko wszechogarniającą wizję przejrzystej jasności. Powietrze jest chłodne, czyste jak łyk ożywczej wody i w dalekich zabudowaniach, gdzieś poza linią widnokregu, zmusiło już na pewno ludzi do wyjścia z domów, aby rozpocząć obrządek przy niespokojnych z rana zwierzętach.

Tu jednak jest cisza, tylko słychać gwar ptaków, zbudzonych rozjaśnionym niebem, mających wyraźną nadzieję na ostatni może, ciepły i niemal letni dzień. Fala nocnego chłodu przypada już ku ziemi, na mokre od rosy trawy, dające wrażenie srebrnej, lśniącej poświaty i wycofuje się z wolna w stronę cienia, rzucanego przez wielki, ciemny i gęsty las, o poplątanych i kudłatych gałęziach, wzbraniających wejścia do jego środka. Na brzegu pól i piaszczystej drogi, ciągnącej się wzdłuż czerni drzew, widać tylko samotnego, wysokiego mężczyznę, zsiadającego ze spienionego od ostrego biegu, ogromnego rumaka, którego boki parują wyraźnie w jaśniejącej, unoszącej się mgle.

Mariusz jest wściekły! Spocony, zmęczony, spragniony, ale przede wszystkim, ponad wszystko, po prostu wściekły! Czuje, że jeżeli nie ucieknie natychmiast gdzieś daleko, przed siebie, jeszcze głębiej na pola,

to zrobi coś nieobliczalnego, straszliwego, czego będzie żałował później do końca życia. Żałował, jak tego małżeństwa! Jak tej cholernej farsy, w której przeznaczono dla niego za ledwie rolę błazna! Tego żalosego przedstawienia, w którym wziął udział dobrowolnie i z naiwną radością a z którego wycofać się już nie może, biernie tylko obserwując rozwój obezwładniająco groteskowych wypadków!

Wyjechał jeszcze przed świtem i już od godziny pędził konia po bezdrożach, a teraz czuje, że za chwilę obaj padną z przemęczenia gdzieś w rowie, żeby się nigdy nie obudzić. On przynajmniej wie,

27

z jakiej przyczyny, ale biedny Brutus? Za co skazywać zwierzę, niczemu przecież nie winne? Przywiązuje więc wodze do gałęzi i ociera zziąjanego ogiera wiązками zerwanej pospiesznie trawy. Brutus parska i rzuca wokoło niespokojne spojrzenia, ale ochłonawszy, wytarty do sucha, zaczyna skubać trawę, szarpiąc jeszcze tylko niekiedy niespokojnym łbem, jakby chciał swemu panu powiedzieć kilka słów do słuchu.

Mariusz, który ma sam sobie wystarczająco wiele przykrych rzeczy do powiedzenia, doskonale go rozumie, więc poklepuje tylko po przyjacielsku wielki, czarny bok zwierzęcia i cmoka znajomo, czekając aż koń zupełnie się uspokoi i ochłonie. W ramach rekompensaty ustawia teraz zmęczone zwierzę tak, by wschodzące słońce pozwoliło mu w spokoju wyparować z siebie wściekły pęd sprzed chwili, potem sam siada ciężko na zwałonym pniu obok.

Czuje, jak pot na plecach powoli przesiąka mu koszulę i chłodzi ciało, a zaciskające się konwulsyjnie pięści drgają na kolanach. Spogląda w stronę horyzontu i nerwowo przygryza wąsy. Ma ochotę parskać jak Brutus albo lepiej jeszcze! Wprost walić, jak kopytami, o ściany ciasnego boksu, w który zamienił swoje życie!

Poranek dookoła niego wydaje się taki spokojny. Rozległe pola ciągną się daleko, dając złudne poczucie wolności i bez troski. To świat, który ukochał i który dawał mu przez lata pełną pewności swobodę, a także złudzenie samodzielnego decydowania o własnym życiu. Dziś dopiero czuje wyraźnie, ile w nim było pychy, zrodzonej nie z prawdziwej mądrości, a jedynie z braku autentycznych kłopotów.

Nie wie doprawdy, jak mogło do tego dojść? Jak pozwolił zapędzić się w ten ślepy zaułek bez wyjścia? Jak mógł być tak ślepy, bezmyślny, głupi nawet? A przecież był przy tym! Cały czas świadomy! Nic nie stało się bez jego woli i chęci! Żył sobie, zadowolony i pewny swego, obserwując rozwój wypadków, w krzepiącym przeświadczeniu, że postępuje słusznie,

logicznie i tak, jak tego pragnie! Na Boga!

Jakże dobrotliwie litował się nad Józefem! Ileż miał w sobie wyrozumiałej pobłażliwości, gdy ten przed trzema laty przedstawił mu swoją narzeczoną, taką zwyczajną, nieciekawą, okrągłutką blondyneczkę, z błękitnymi jak bławatki oczami i buzią różowego cherubinka. Miał czelność pomyśleć nawet, że przecież i takiego Józefa stać byłoby na lepszą, zabawniejszą, inteligentniejszą w końcu pannę. „Takiego Józefa”! Już sama myśl była podła i wstydził się jej, czując skrepowanie własną małostkowością.

28

A przecież kochał tego przyjaciela przez całe życie, jak prawdziwego brata, czyż nie?

Po wczesnej śmierci własnych rodziców właśnie w jego domu znalazł opiekę i serdeczność. To rodzice Józefa troszczyli się o niego, jak o drugiego syna i przyjmowali przyjaźnie, ilekroć do nich zawitał. Oni nauczyli go wszystkiego, co jako dorosły wiedzieć powinien o własnym majątku, oni w końcu wprowadzali go w życie towarzyskie okolicy, nigdy nie forując swojego dziecka, choć mogli nieźle skorzystać, gdyby tylko zechcieli, na całkowitej niewiedzy młodego dziedzica. Teraz, kiedy obaj byli już dorośli, dali im wolną rękę przy wyborze samodzielnego życia i co za tym idzie, dobrej żony. Nie komentowali uczuciowego wyboru syna, przyjmując w domu młodą narzeczoną z sympatią i radością, jak niegdyś jego najlepszego przyjaciela.

Ale Emilka miała w sobie zaledwie czar błękitno-białego, nieco pulchnego motylka, jakich wiele fruwało wówczas wokół okolicznych folwarków i, zdaniem Mariusza, niczym nadzwyczajnym się nie wyróżniała. Dla niego była jedynie rozgadaną śmieszką, dotykającą ramienia rozmówcy delikatnymi paluszkami, niby w roztargnieniu i gwałtownie cofającą rączkę, z różowym rumieńcem na pełnych policzkach. Uważał ją za nieszkodliwą kokietkę, pragnącą aplauzu całego towarzystwa. Uznawał jednak niechętnie jej prawdziwe zainteresowanie Józefem, ponieważ biała rączka najczęściej dryfowała właśnie w stronę ramienia uszczęśliwionego narzeczonego.

Teraz Mariusz w skrusze przyznaje sam przed sobą, że nie był do końca uczciwy w swych ocenach, a jego stosunek do Józefa był od wielu lat zabarwiony ciemną smugą współczucia, które go zawsze żenowało i złościło. Nie chciał przecież litować się nad kolegą, jednakże uczucie to, co chwila, uporczywie pojawiało się gdzieś, w tle ich zażyłości i powodowało, że on sam uważał się mimo wszystko, za nieco lepszego, a

w każdym razie mającego na pewno więcej szczęścia w życiu. Józef jako mały chłopiec nieszczęśliwie spadł z konia i złamał nogę w dwóch miejscach, uszkodził sobie również kręgosłup. Kulał od tego czasu wyraźnie, usiłując jednocześnie ukrywać przed otoczeniem nierówne ramiona swego wysokiego i chudego korpusu. Po latach odzyskał pewną sprawność i nawet jeździł konno, pozostawał jednak, jakkolwiek by tego nie nazwać, człowiekiem kalekim. Nosił też okulary krótkowidza i twarz jego nabrała z wiekiem dziwnego, pełnego udręczenia grymasu, który na pierwszy rzut oka czynił go nawet niesympatycznym.

29

Może właśnie dlatego Mariusz tak podejrzliwie przyglądał się przedstawionej sobie gadatliwej pannie? Badał, czy naprawdę dostrzega ona wybitne zalety przyjaciela, ciepło jego charakteru i umiejętność obdarzania innych prawdziwym zainteresowaniem. Podświadomie pewnie chciał nawet, by była lepsza od niego samego i bez jakichkolwiek podtekstów, bezwarunkowo kochała narzeczonego. Bo Józef zasługiwał na miłość, ofiarowaną bez wahań. Był dobrym, uczciwym człowiekiem, który nigdy nie popadał w melancholię, nie zazdrościł innym, potrafił też imponować rozległą wiedzą, którą nabył, leżąc miesiącami w łóżku, podczas młodzieńczej choroby. Czy narzeczona o tym wiedziała? Czy potrafiła to docenić? Bardzo wątpił. Sam wybrałby raczej na żonę dla przyjaciela tę mniej gadatliwą, ciemnowłosą przyjaciółkę Emilki, pannę Helenę.

— Wybrałby! Dobrze sobie! — musiał chyba powiedzieć to głośno, bo Brutus strzyże nagle uszami i niespokojnie odwraca łeb w stronę siedzącego, ale później znowu pochyła się nad kępkami trawy i żuje już spokojnie.

Jednak Józef okazał się w tym narzeczeństwie prawdziwie szczęśliwy i już za to tylko Mariusz zdecydował się w końcu polubić nawet tę pannę Emilię, która zdawała się rzeczywiście nie zauważać powierzchownych defektów swego narzeczonego i patrzyła w niego rozkochanym wzrokiem, jak w obraz.

Ślub odbywa się niebawem, a Mariusz, który družbował młodym, zaczyna teraz bez zastrzeżeń akceptować błękitną panią Mościńską, przyjeżdżającą często, wraz z mężem, w odwiedziny do jego domu. Kobieta wyraźnie kocha jego przyjaciela, dba o niego, kieruje w jego stronę całą swoją uwagę i nawet zyskuje dla niego, dzięki temu jawnemu uwielbieniu, przychylności innych, którzy dotychczas może nie cenili Józefa tak, jak na

to zasługiwał. Ona zaś pojawia się w towarzystwie zawsze z mężem, ale i z nieodłączną panną Heleną, z którą, co Mariusz zauważa rychło, młode stadło wyraźnie postanawia go zeswatać.

Z początku jedynie z rozbawieniem obserwuje ich zabiegi, bo ani jemu, ani co dziwniejsze, również dziewczynie, zdaje się nie zależeć na realizacji tego, niby misternego planu. Mariuszowi nie spieszy się wcale do żeniaczki. Jako majątny kawaler może przebierać w okolicznych pannach na wydaniu i w spokoju rozważać ich ewentualne powaby, jak też zasobność posagów. Wszędzie przyjmowany jest z radością, bo stanowi nie tylko dobrą partię, ale ma też dar humoru i dobrej zabawy, wysoko cenione w każdym

30

domu, nawet takim bez córek, gotowych do zamążpójścia. Co jednak powstrzymuje Helenę? Tego nie wie.

Dziewczyna, podobnie jak Emilka, jest zaledwie zubożałą szlachcianką i do tego sierotą, wychowaną na pensji u zakonnic, więc według wszelkich rachub, powinna usilnie szukać teraz męża, by nie zostać starą panną lub, co gorsza, guwernantką na jakimś odludziu. Los kobiet bez męża nie jest przecież do pozazdroszczenia i Mariusz gotów byłby nawet zrozumieć ewentualne zabiegi młodej dziewczyny.

Ona jednak konsekwentnie nie kokietuje. Ani jego, ani nikogo innego, czego Mariusz jest pewien, bo szuka w niej usilnie jakichś wad, które mógłby przedstawić i wypunktować w ewentualnej mowie, broniącej jego wolności przed zarzutami lub namowami Józefa, których spodziewa się nieodwołalnie, prędzej czy później. Z tych obserwacji wynika jednoznacznie, że Helena nie gra też niedostępnej czy obojętnej, by w ten przewrotny sposób zainteresować jakiegoś kandydata, spragnionego komplikacji emocjonalnych o romansowym charakterze. Niczego takiego nie można jej, niestety, zarzucić. Wydaje się po prostu i prawdziwie niezainteresowana jeszcze zamążpójściem. Jeszcze, ale chyba nie w ogóle, bo mężczyzn nie unika, jak inne panienki, deklarujące życie klasztorne, a przecież i takich kilka jest w okolicy.

Ona zachowuje się naturalnie i miło, rozmawia swobodnie, a dyskusje z nią niosą w sobie powiew czegoś nowego, nieznanego, interesującego. Jest zawsze sympatyczna, przyjacielska w granicach dopuszczalnych norm i grzeczna, pozostaje przy tym dziwnie odległa jak tajemnicza nimfa, ukrywająca się w jakimś, sobie tylko wiadomym świecie. Do krainy tej chciałoby się, nawet wbrew sobie, jakoś dotrzeć, zbadać, poznać.

W okolicy nie ma takich niezwykłych i zaciekawiających dziewcząt.

Wszystkie są tuzinkowe i zbyt łatwo, niemal ze znudzeniem, można przewidzieć, co powiedzą i zrobią. Ich sposób bycia, ubierania, rozmowy, nawet rodzaj umizgów, są nużące i nie pociągają wyrafinowanego kawalera, za jakiego Mariusz siebie uważa. Natomiast Helena wciąż go zaskakuje, a także imponuje mu nieco swą rozległą wiedzą oraz wszechstronnymi zainteresowaniami.

I to go wreszcie urzeka. Jej tajemnicze milczenie, gdy pragnie odsunąć się od towarzystwa, muzyka, która ją zawsze otacza, książki, które zna i o których umie ciekawie dyskutować. Wściekle go zajmuje i zaczyna fascynować ta jej odmienność od otaczających go panien i mężatek, tak zwyczajnych i przewidywalnych

31

jak stadko gęsi, na których tle Helena wydaje się rajskim, rzadkim ptakiem. Różni się od nich nie tylko zachowaniem, ale również, a może przede wszystkim wyglądem.

Ma bowiem niezwykłą i niepopularną w tych czasach urodę. Drobna, filigranowa, ciemnowłosa, patrzy na świat orzechowymi oczyma, a skóra jej policzków wydaje się opalona na miodowo tak, jak nie wypada dobrze urodzonym pannom. Gęste, drobne loki też nie mieszczą się w przyjętym kanonie urody, zwłaszcza że ciągle wymykają się niesfornie z misternie upiętej fryzury i okalają drobną twarzyczkę wijącymi się wężykami.

— Jakże pysznie może wyglądać z rozpuszczonymi włosami! — zachwyca się rozgorączkowany Mariusz, kiedy wreszcie, wbrew swej woli, lecz coraz częściej, zaczyna erotycznie roić o niej w sennych marzeniach. — To wspaniała, czarująca kobieta! Boże! Mogłaby dać szczęście, o jakim tamte kolorowe gąski nawet nie mają pojęcia!

Na jawie jednak, jak przedtem, nadal nic się nie dzieje. Panna zachowuje się jak zwykle, bardzo przyjaźnie, dużo ze sobą rozmawiają, grywa dla niego na fortepianie, ale nic w jej zachowaniu, gdy bywają sam na sam, nie sprzyja uczuciowym wyznaniom. Emilka, co prawda, uśmiecha się domyślnie, a Józef klepie go po przyjacielsku w ramię, jednak sama Helena zakrywa tylko orzechowe oczy powiekami o rozkosznie długich rzęsach i... milczy, nie przekraczając ani o włos norm towarzyskiej, grzecznej przyjaźni, która pozwoliłaby mu mieć nadzieję na wzajemność. Właśnie dlatego Mariusz traci już powoli nadzieję, a z nią i zainteresowanie Heleną, kiedy wybucha wojna. Nie jest typem chłopca kochającego się z oddali, latami, w pannie, która nie odwzajemnia jego ognistych emocji. Przyzwyczajony do łatwych podbojów, czuje się znużony i zniechęcony. Uznaje wówczas, że wyjazd do wojska będzie

najlepszym pretekstem do rozluźnienia łączącej ich jakoś, ale tak trudnej do zdefiniowania, zażyłości. Te zbyt częste wizyty u przyjaciela, tłumaczy sobie, mogą przecież odstraszać innych konkurentów od dziewczyny, która w końcu chyba nie jego upodobała sobie na męża.

Tamtego wieczoru, przed wymarszem na front, jedzie więc do majątku Józefów niemal całkiem spokojny, nastawiwszy się przedtem na sympatyczne pożegnanie i powściągliwą zaledwie prośbę o pamięć panny na czas jego żołnierskiego życia. Przekonuje siebie, że nie ma sensu pozostawiać w domu niedomkniętych spraw, zwłaszcza takich, które nie mają przed sobą żadnej przyszłości.

32

Sytuacja rozwija się jednak zupełnie inaczej, niż zaplanował. W czasie pożegnalnego spaceru, na który wysłała ich Emilka, po smagłych policzkach panny płyną łzy wzruszenia i żalu, wyraz jej skrytych dotychczas uczuć, a w nim samym odzywa się gorąca, gwałtowna krew i odzywają romantyczne rojenia. W uniesieniu odnajduje więc wargami słone krople na lśniącej skórze dziewczyny i zamyka jej drżące usta gorącymi pocałunkami. Ma wrażenie, że teraz dopiero poznaje ją naprawdę, jej delikatność, wrażliwość i całe to tajemne, niezwykle piękno, które wywiera na nim ogromne, pełne czulego zafascynowania wrażenie. Późną nocą, szaleńczo zakochany, wraca do domu jako człowiek zaręczony.

W wojennej zawierusze często pojawia mu się przed oczyma jej mokra od łez twarzyczka, w zapamiętaniu wspomina smak pocałunków, a każdy kolejny wieczór dodaje do tych wyobrażeń jeszcze jeden gest, jeszcze pół słowa, i w końcu sam już nie wie, co zdarzyło się naprawdę, a ile dopisała jego rozgorączkowana wyobraźnia. Dostaje też maleńkie, pachnące fiołkami liściki, dołączane do sążnistych epistoł Józefa, który pilnuje mu gospodarstwa, i z każdym dniem upewnia się, że kocha pannę, z którą ożeni się jak najprędzej po szczęśliwym powrocie. Listy są, co prawda, nieco wstrzemięźliwe, ale trudno przecież wymagać od nieśmiałej paniutki zwierzeń i wizji w rodzaju tych, z którymi on budzi się każdego poranka. Byłby zresztą prawdziwie zaszokowany i zaniepokojony, gdyby podobne słowa w jej piśmie wyczytał.

Ich pierwsze po wojnie spotkanie jest równie zaskakujące i odległe od jego wyobrażeń, jak ostatnie przed wyjazdem. Liczy tym razem na pocałunki i rozkoszne, narzeczęńskie sam na sam, ale trafia akurat na zjazd rodzinny u Józefów i chrzciny ich syna, Leona. Jako niespodziewany, uszczęśliwiający młodych rodziców gość, zostaje na samym wstępie

uhonorowany wrzeszczącym zawiniątkiem, a narzeczoną widzi za ledwie kątem oka, stojącą za rozanie-loną Emilką, która wyśpiewuje peany na cześć swego czerwonego od płaczu pierworodnego.

Młodą matkę ratuje od nagłej śmierci z rąk gościa jedynie fakt, że sadza wreszcie narzeczonych razem przy świątecznym stole, ale Helena jest wówczas wyraźnie zawstydzona i milcząca, co Mariusz uznaje za zrozumiałe, w sytuacji młodej panny witającej ukochanego wśród wyrazistego i głośnego świadectwa wszelkiego ewentualnego małżeńskiego pożycia.

Jasne jest, że w tych okolicznościach wszelkie fizyczne objawy jego uczuć mogą okazać się jedynie nachalnym, zgoła brutalnym

33

potwierdzeniem natychmiastowego oczekiwania na podobnie hałaśliwego potomka, ogranicza się zatem do gorącego uścisku lodowato zimnych paluszków panny, co ona przyjmuje z wdzięcznością i nieśmiałym wdziękiem. Ostatecznie nie mają dla siebie tego dnia ani jednej chwili samotności i tak wymarzone przez niego pocałunki muszą nadal pozostać jedynie w sferze rozgorączkowanych marzeń młodego wojaka. Mariusz znosi, co prawda, ten fakt z godnością, ale czuje się głęboko zawiedziony i po raz pierwszy naprawdę brzydko myśli sobie nie tylko o Emilce, ale w ogóle o wszystkich zgromadzonych przy stole.

Później sprawy toczą się jak śnieżna lawina. Rubasznie podekscytowany młody ojciec, widząc zawód, tak wyraźny na twarzy przyjaciela, podaje pod niemal ogólną dyskusję termin ślubu szczęśliwie oto powracającego z wojny młodziana, argumentując, że najlepiej zaraz powiadomić zebrane na chrzcinach towarzystwo okoliczne, na kiedy przygotować ma kolasy, wiozące je w najbliższym czasie po raz wtóry do parafialnego kościoła. — Ileż będziecie czekać? Czas już na ciebie, Mariuszu, czas! Wyprawa gotowa, panna ochroniona przed zakusami innych konkurentów, tylko się żenić! — peroruje ze swadą, pierwszy chyba raz w życiu podchmielony Józef. Więc Mariusz, ujęty sympatią przyjaciela, dobrotliwymi żartami towarzystwa i widocznym skrepowaniem narzeczonej, ustala pospiesznie termin ślubu za trzy tygodnie, by zakończyć temat, w ogniu którego zdaje się płonąć ze wstydu ukochana przez niego dziewczyna.

Czy odleglejszy termin ślubu zmieniłby cokolwiek? Chyba nie. Zna przecież Helenę długo, są oficjalnie zaręczeni, czekała na niego wiernie w czasie wojny, a poza tym wszystkim, on po prostu chce się z nią ożenić! No, sam tego chce! Ponad wszelką wątpliwość! Gdyby go wtedy nakłaniano do odkładania małżeństwa, to pewnie do pojedynku by mogło

dojść, tak czułby się urażony w imieniu siebie i panny!

Jakże może przypuścić, że dziewczyna, żyjąca pod jednym dachem z młodą mężatką, a później matką, tak nikłe będzie miała wyobrażenie o małżeńskim pożyciu? Dlaczego miałby zakładać, że chyba nie zamieniła słowa jednego z Emilką? Albo Emilka z nią? Czy może jednak winić za to żonę Józefa? Prędszej siebie samego! Siebie! Bo nie dostrzegł wcale, że Helena nie przejawia niemal żadnego zainteresowania fizycznością związku między kobietą i mężczyzną.

Nie ma przy tym pojęcia, że do rozmów takich dochodziło jed-

34

nak w domu Józefa kilkakrotnie i że Emilka wielokrotnie usiłowała wybadać stan uczuć i oczekiwań Heleny, ale przyjaciółka, tak zwykle szczerą i otwartą w ich wzajemnych kontaktach, wówczas milkła nagle i zaczynała się w niezrozumiałym uporze, opowiadając jedynie o obowiązku lojalności względem narzeczonego.

— A czy ja cię pytam o wasze listy czy miłosne wyznania? — sierdziła się Emilka, załamując przy tym dłonie w dramatycznym geście zdumienia. — Porozmawiać jedynie chciałam o sprawach życia w małżeństwie i twojej, wobec tego wszystkiego, postawie. Aż sama się dziwię, że ty nie pytasz o nic! Matki nie masz, więc kto, jak nie ja, podstawowe sprawy z tobą omówić powinien! Czy ty myślisz w ogóle o tych sprawach? Bo to konieczne jest, żebyście szczęśliwi byli!

Ale Helena wykręcała się takimi frazesami, od których Emilce tylko bezradnie opadały owe, załamane wcześniej, dłonie, i kategorycznie odcinała się od wszelkich dyskusji, twierdząc, że wszystkiego, co trzeba, dowie się po ślubie, od męża. Prawdziwie zaniepokojona Emilka usiłowała nawet zasięgnąć rady Józefa, ten jednak, skrępowany tymi panięńskimi sprawami, sugerował, żeby wszystko zdać jednak na los i pozostawić ufności w miłość dwojga młodych.

— Dziecko drogie — argumentował poważnie, ostatecznie już przymuszony przez żonę do wyrażenia swojego zdania — cóż mi tu radzić? Ludzie bywają szczęśliwi — tu pochylił się ku kragłemu policzkowi kochanej przez siebie kobiety — nawet wtedy, kiedy nic nie wiedzą o fizycznych sprawach. Może to zostawić właśnie tak trzeba? Mariusz chłopcem nie jest, w życiu trochę już widział, a Helenę może i zraziłyby jakieś dokładne twoje opowieści, któż to wie?

Więc zostawili wszystko swojemu biegowi, życząc jedynie w duchu szczęścia młodym małżonkom i mając nadzieję, że będą tak się gorąco kochali, jak oni sami. Jednak mniej tej ufności miała w sobie sama Emilka,

spoglądająca na przyjaciółkę ze zdziwieniem i niepokojem, kiedy zadawała sobie nagle dręczące pytanie, czy aby dobrze zrobiła, swatając ją tak usilnie z Mariuszem.

Ślub jest dość skromny, jako że nieco pospieszny i bezpośrednio po wojnie, która wiele domów pozostawiła w żałobie, ponadto młodzi nie mają rodziców i wielka feta, marzenie najczęściej matek państwa młodych, tu nie musi zostać dopełniona. Ale przyjęcie uznane zostaje przez wszystkich gości za bardzo udane, prawdziwie radosne, pełne dobrych wróżb na przyszłość, potwierdzonych

35

jeszcze piękną, sierpniową pogodą, zwiastującą młodym długie i szczęśliwe życie. Pan młody tryska wprost entuzjazmem, ściskając, kogo popadnie i całując z dubeltówki, a młoda pani Bielska wygląda bajecznie, niewinna i nieśmiała, ale piękna przecież, mimo tej, było nie było, zbyt ubożuchnej sukieneczki.

Przez pierwszych kilka małżeńskich nocy Mariusz czuje się wzruszony niezwykłą skromnością żony, później coraz bardziej zaniepokojony jej wyraźnym, chłodnym dystansem, wreszcie nie może i nie potrafi dłużej się oszukiwać! Helena jest po prostu zimna! Jak posąg! Nie reaguje wcale na jego subtelne pieszczoty, wręcz ich unika, dążąc do tego, by każde ich zbliżenie trwało jak najkrócej i kończyło się prędko, dając jej możliwość pospiesznej ucieczki w bezpieczny i obojętny sen. Ulega mu w milczącym zapamiętaniu, nie wroga, ale całkowicie obojętna do tego stopnia, że tylko jej otwarte oczy przekonują go, iż jeszcze nie śpi.

A przecież Mariusz wie dobrze, jak mogą reagować kobiety. No tak, wie! Miał tych kilka swoich kawalerskich doświadczeń, które, mimo że dziś nieco dla niego krępujące, dały mu jednak jakieś wyobrażenie o intymnej wspólnocie. I pomyśleć, że tamte kobiety wydawały mu się wtedy nienaturalne, zbyt śmiałe w reakcjach i nieco wyuzdane. Pewnie nawet takie były, ostatecznie od płatnej miłości wiele nie można oczekiwać, ale przynajmniej miało się wrażenie, że żyją!

Spuszcza głowę, sam przed sobą zakłopotany tymi porównaniami, bo jakże tu myśleć w podobnych kategoriach o żonie! Wprost nie wypada! Nie chce przecież porównywać Heleny do takich... Ale jednak! Wychodził może od nich z poczuciem niesmaku, grzechu choćby, nigdy jednak nie było mu potem aż tak paskudnie jak teraz. Tamtych nie kochał i nie szanował, tę wziął dobrowolnie na dobre i złe, ale czuje, z każdym dniem wyraźniej, dotkliwiej i boleśniej, że złego może być w tym małżeństwie zdecydowanie więcej niż dobrego.

Nie będzie jej przecież zdradzał! Jest ostatecznie człowiekiem honoru, więc jeśli już do czegoś się zobowiązał, to dotrzyma. Bez względu na to, jak bardzo mu z tymi przysięgami źle i trudno. Będzie postępował godnie, choćby po to, by samemu sobie móc patrzeć w twarz, bez wyrzutów sumienia. Czy to starczy za całą życiową satysfakcję? Tego się nie wie, to się dopiero okaże.

Tylko, co teraz? Mariusz przeciera twarz suchymi już dłońmi, prostuje ramiona w stojącym wysoko porannym słońcu i decyduje o powrocie na śniadanie. Wie, że po prostu musi żyć dalej.

36

Cóż innego mógłby uczynić? Nawet poskarżyć się nie ma komu, bo wstyd by mu było przed Józefem, tak wyraźnie szczęśliwym z Emilką. Tak! Właśnie z Emilką, którą Mariusz uważał kiedyś za nie dość dobrą dla przyjaciela! Ich wzajemna miłość aż razi w oczy, zwłaszcza w porównaniu z temperaturą uczuć panujących w jego własnym domu. I pomyśleć, że kiedyś współczuł Józefowi!

Najgorsze jednak są właśnie te poranki, pełne bezradnego rozzalenia i upokarzającego uczucia swoistego gwałtu na żonie, choć stara się przecież być wobec niej kochający i czuły. Poranki, kiedy wymyka się na pola, żeby nie krzyczeć z wściekłości na siebie, świat i Helenę. Przede wszystkim na nią za to, że zdaje się nie widzieć jego cierpienia i nie rozumieć oczekiwań. Chwilami miałby ochotę chwycić ją za ramiona, by potrząsnąć mocno, ale wie, że w zamian otrzymałby jedynie pełne wyrzutu i niezrozumienia spojrzenie brązowych, sennych oczu.

Jego miodowy miesiąc ma raczej kolor i smak gorzkiej, czarnej kawy, z ziaren palonych tak długo, że straciły już wszelki aromat i powab, pozostawiając na języku jedynie żółć i kwas, od którego nie ma ucieczki. Pełne delikatności, serdeczne uśmiechy Józefa, wczesnym wieczorem zagarniającego rozgadaną małżonkę do domu, doprowadzają go niemal do szewskiej pasji, którą powstrzymuje w sobie jedynie resztką sił.

Nienawidzi wieczorów, chyba równie silnie jak ranków, bo patrząc na Helenę, spoczywającą wdzięcznie w białej pościeli, ma wrażenie koszmarnego snu, z którego nigdy nie dane mu będzie się obudzić.

Ale ostatecznie życie może się składać głównie z dni, prawda? Dni wypełnionych pracą rozmowami z przyjaciółmi, życzliwą choć chłodną więzią z żoną. Można słuchać jej subtelnej gry na fortepianie, podyskutować o interesujących lekturach, czuć jej lojalne wsparcie w drobnych, codziennych kłopotach. Życie można sobie przecież ułożyć na wiele sposobów i czerpać z niego tyle, ile los zechciał nam dać. Więc

Mariusz odwraca jednak głowę od horyzontu pól, w które chciałby uciec, i patrzy nieco spokojniej w stronę własnego domu.

I może właśnie za tę gotowość życia za wszelką cenę los przez następne lata obsypie szczodrze Mariusza swoimi skarbami. Przede wszystkim daje mu córeczkę. Annę. Maleńkie, brązowowłose stworzenie o bursztynowych oczach i pyzatej buzi cherubinka. Annę, która kocha go zaborczo i bałwochwalczo przez pierwsze, radosne lata swojego życia. Która przypomina żywe srebro, a jej rozwiane loki pojawiają się co chwila w innym miejscu rozległego majątku.

37

Dziewczynka ma za przyjaciela Leona, syna Józefa i Emilki, który choć bardziej stonowany, ulega jednak zawsze kaprysom rozbrykanej panienki. Oboje całymi godzinami ujeżdżają w zapamiętaniu na kucykach, zdobywając okoliczne pagórki, by wieczorem, z rozgrzanymi od słońca policzkami, opowiadać, jedno przez drugie, o rozlicznych przygodach, które spotkały ich za dnia.

To dziecko przynosi mu przez kilka lat prawdziwą radość, aż do czasu, gdy Anna zaczyna podraastać, a jej włosy nabierać czerwonego blasku (dopiero wówczas Helena płukankami z dębowej kory odbiera barwę kędziorom córki). Matka schładza też skutecznie jej gorącą miłość do ojca i szaleńczą chęć poznawania świata ciągłymi pouczeniami, odnośnie do zachowań młodej panienki.

Wtedy jednak, zanim Mariusz popadnie w zgorzknienie, zaczynają sypać się pieniądze, a on całą duszę i wszystkie siły oddaje krajowi. Zyskuje spore poważanie i szacunek w okolicy, nie tylko ze względu na charakter czy majątek, ale głównie z powodu swej działalności publicznej. Zakłada stadninę, by hodować konie dla wojska. Nawiązując liczne kontakty handlowe, angażuje się też w spółkę handlującą uprzężami, siodłami i koniecznym dla ułańskich oddziałów sprzętem. To wszystko daje mu bodźce, żeby co dzień od nowa decydować się na życie.

Działa też aktywnie w polityce, zjednując sobie wiernych wyborców i z każdym rokiem czuje się lepiej w swojej skórze. Helena nie może i nie chce zniweczyć tych planów, wręcz odwrotnie, popiera go z całego serca, zdobywają zatem znowu jakiś wspólny, łączący ich temat rozmów.

W ciągu tych wielu lat dobrobytu Mariusz skutecznie potrafi przekonać samego siebie, że jest szczęśliwy. Z radością dziękuje Bogu za bogactwo, dorastającą córkę, piękną żonę, wiernych przyjaciół... Czuje się w zasadzie spełnionym człowiekiem. Człowiekiem naprawdę zadowolonym, usatysfakcjonowanym nawet, tylko, co stwierdza z przykrością,

zaskakująco starym.

Wiosną 1939 roku jest tak głęboko pogrążony w świadomości o swym własnym, podeszłym wieku, że nawet z pewną wdzięcznością patrzy na dwudziestodwuletniego Leona, zawsze dotrzymującego wiernie asysty osiemnastoletniej Annie. Czuje się spokojny, myśląc, że gdyby go zabrakło, błękitnooki syn przyjaciela zaopiekuje się godnie jego jedyną córką. Niepokoją go oczywiście polityczne perypetie Europy, w duchu jednak zakłada, że żyje wystarczająco daleko od ewentualnych ognisk zapalnych, by bezpośrednio w nich uczestniczyć, i ma nadzieję, że spokojnie uda mu się doczekać śmierci wśród najbliższych.

38

List, który otrzymuje z początkiem sierpnia, uprzytamnia mu, jak bardzo się mylił. Dostaje wezwanie do służby wojskowej! On! W wieku czterdziestu czterech lat! Nie jest to oczywiście nakaz służby czynnej, okazuje się jednak, że zmobilizowano go do prac rządowych i musi natychmiast stawić się w Warszawie.

Po pierwszym odruchu zdziwienia i zaniepokojenia zaczyna z wolna odczuwać coś w rodzaju zaciekawienia, a nawet podekscytowania. Odnosi wrażenie, że budzi się w nim jakaś dawno uszpięta siła, którą zagubił przed laty w pełną rozterek jesień po swoim ślubie. Starość, z którą zdążył się już na dobre oswoić, opuszcza go nagle, pozostawiając po sobie niezwykle wiele miejsca na nowe doznania i pragnienia, których wcale już nie oczekiwał.

Z każdą godziną przybliżającą go do wyjazdu, z każdym przedmiotem, ubraniem, pakowanymi naprędce do walizki, czuje, jak ubywa mu lat, staje się bardziej sprężysty, silniejszy i gotowy do działania. Zostawiwszy Józefowi dokumenty i zalecenia dotyczące majątku, czuje się w wieczór poprzedzający wyjazd niemal tak samo, jak przed dwudziestu laty, gdy wybierał się na wojnę. Dziwi się sobie, ale czuje jednocześnie, że lubi przecież to swoje nowe, wypływające gdzieś z głębi, wcielenie.

Pożegnawszy zaniepokojoną i popłakującą Annę, postanawia wybrać się jeszcze samotnie na wieczorny spacer po ogrodzie, by zaczekać, aż Helena wyda rozporządzenia na następny dzień i wyjdzie porozmawiać z nim i ustalić ostatecznie szczegóły na czas rozłąki. Wie, że tym razem wyjeżdża na krótko, bo nie wierzy, że wojna jednak wybuchnie. Liczy na dyplomatyczne rozwiązanie problemu i przekonuje sam siebie, że podobne podekscytowanie jest, w jego wieku, raczej śmieszne, ale cieszy się wbrew wszystkiemu, że okazał się potrzebny i może przysłużyć się sprawom pokojowym w tak niespokojny przecież czas.

Helena nadchodzi tak cicho od strony domu, oświetlona światłem padającym z okien, że Mariusz niespodziewanie spostrzega ją dopiero tuż przed sobą. Zaskoczony, nie widzi jej wyraźnie, zauważa jedynie jej mokrą od łez twarz, lśniące oczy i teraz, w półmroku, przypomina mu ona, jak we mgle, tamtą młodą pannę sprzed lat, o której miesiącami marzył, nie wiedząc, czy to uczucie ma jakikolwiek sens. Przytula ją spontanicznie i serdecznie, zapominając jej na moment, pod wpływem tej niezwyklej chwili, wszystkie milczące, smutne, minione lata, pełne niedopowiedzianego żalu między nimi.

Czuje, jak bije jej serce, czuje ciepłe łzy na swojej szyi, słyszy jakieś, szeptane bezładnie, w szlochu, słowa, które budzą w nim

39

szalone, dawno uśpione emocje, a później, kiedy żona unosi ku niemu twarz, widzi w jej oczach tyle niespodziewanej miłości, że porwany gwałtownym pragnieniem, pochyla się żarliwie, w gorączkowym pragnieniu, ku jej delikatnym ustom, których pieszczoty kiedyś tak mu brakowało.

III

W albumie jest niewiele zdjęć, ale za to wszystkie bardzo stare i ciekawe. Obok portretowego, ślubnego, jak sądzę, zdjęcia pradziadków, jest też zbiorowe, zrobione przed niskim dworkiem, chyba od strony ogrodu, bo fotograf, cofnąwszy się, by ująć grupę, zawarł w obrazku również fragmenty kwiatów na klombach i gałęzie drzew. Dworek jest spory, murowany, z ładnym ganeczkiem, porośniętym dzikim winem i ledwie widocznym zza pleców ludzi zgromadzonych do fotografii.

Oglądam sobie wszystko dokładnie przez lupę, przede wszystkim ze względu na ciuchy, które robią na mnie kolosalne wrażenie. Jak oni wytrzymywali w tym wszystkim w upalne dni? Nie mam pojęcia. A misterne fryzury pań są wprost fantastyczne! Czy chesały się same? Przez moment oddaję się wyobraźni i dociekam, jak też dałabym sobie radę w tamtych czasach, ale szybko dochodzę do wniosku, że jeśli tu idzie mi marnie, to wówczas pozostałby dla mnie tylko jakiś zakon albo służbówka. Obie wersje boleśnie niezadowolające, więc tym chętniej powracam do zdjęcia.

Na środku siedzą oczywiście pradziadkowie, w tych samych strojach, co poprzednio. Musiało to być tuż po weselu, bo prababcia Helena konsekwentnie występuje w tej samej sukni. Dłonie złożyła na kolanach i

równie ciekawie przygląda się fotografowi. Pradziadek natomiast jest sztywny jak kij, ręce ma zaciśnięte w pięści, każda na jednym, równoległym względem drugiego, kolanie. W ogóle oboje wyglądają jak wykuci z brązu. Natomiast pozostali wydają się dużo swobodniejsi. Obok dziadka (ileż można dodawać tych pra...?!) siedzi facet w okularach, bardzo brzydki, ale uśmiechnięty, zjedną nogą swobodnie założoną na drugą. Wdzięcznie opiera się na laseczce, przez co jedno jego ramię wydaje się jakby wyższe. Po stronie babci przycupnęła okrągła kobietka, cała w koronkach, jasnowłosa i roześmiana, z berbeciem maleńkim na kolanach.

Pozostali stoją. Dwie szykowne kobiety, w tym jedna w ogromnym kapeluszu, a druga z pięknym żabotem na piersi, dwóch panów,

41

wyraźnie przynależnych do pań, jeden z monoklem i w prążkowanym tużurku. Dalej starsze małżeństwo, chyba, bo mają identyczne, skrzywione miny! I znowu dwóch panów, tym razem bez pań, za to uśmiechniętych trochę głupawo. Jak na weselnych gości zbyt ich mało, zakładam więc, że uwieczniono raczej jakieś okolicznościowe spotkanie po ślubie, na tyle jednak wcześniej, by panna młoda mogła być tak samo ubrana.

Na kolejnym zdjęciu samotny dziadek, trzymający za uzdę wielkiego, czarnego konia. Wygląda po prostu bosko! Zawadiacki, że ha! Ubrany w bryczesy i wysokie buty do konnej jazdy, w rozpiętej koszuli. Oj, musiał mieć powodzenie w okolicy! Zresztą, znając jego życiorys, można się nawet tego spodziewać. Tu ma długą, gęstą czuprynę i wąsy. Na zdjęciach, które znałam dotychczas, był eleganckim, angielskim dżentelmenem, z włosami przyczesanymi do tyłu, ale podobieństwo do tego młodego przystojniaka pozostało w nim, aż po późną starość.

Goły niemowlak leżący brzuszkiem na puszystej, białej skórze, jakby niedźwiedziej, to pewnie malutka babcia Niusia, uwieczniona w charakterystycznej pozie, na żądanie dumnych rodziców. Następnie dziewczynka i nieco od niej większy chłopiec, oboje w marynarskich strojach, z tym, że ona w sukieneczce, a on w krótkich porciętach. To babcia Niusia na pewno, już podobna do siebie, a chłopaczek?

Kolejne dwie strony zajmują dwa wystylizowane zdjęcia w atelier, samych pań, babci Heleny i tej ze zdjęcia poślubnego. Raz jedna siedzi, a druga stoi, następnie odwrotnie. Babcia Helena musiała być osobą szalenie poważną. Nigdzie nie widzę jej uśmiechu, a przecież wygląda wspaniale i na pewno robiła furorę w otoczeniu. Ubrana raczej dostojnie niż elegancko, patrzy przed siebie, nieco w bok od widza, pewnie dokładnie w

to nieokreślone miejsce, które wskazał fotograf. Druga kobietka jest raczej sympatyczna niż ładna, ale zawsze mile uśmiechnięta, jakby w miejscu, na które patrzy, stał ktoś zabawny, kogo babcia zupełnie nie widzi, dlatego ta druga robi wyraźnie większe wrażenie na oglądającym i przyćmiewa blaskiem piękną przyjaciółkę.

Dalej kilka kolejnych zdjęć babci Niusi, od dziewczynki z piłeczką po poważnego podlotka z długim warkoczem. Przyglądam się jej szczególnie uważnie, bo tak niewiele mówiła o swojej młodości, ale mam przed sobą po prostu konwencjonalne portrety, typowe dla tych lat i okolicy. Niewiele z nich można wyczytać, może tylko to, że cała rodzina ma w sobie wiele nieco orientalnej urody

42

i niezaprzeczalnego czaru, ale mogę być stronnicza, bo to ostatecznie moi najbliżsi krewni i zachłanny wzrok w nich właśnie dopatruje się najwięcej zalet.

Na końcu albumu jeszcze dwie sceny. Zbiorowa, przed innym domem, późniejsza, na której babcia Helena, z nieodłączną towarzyszką, śmieszką, odpoczywa w ogrodzie, w głębokich fotelach. Dziadek stoi dumnie, z ręką na oparciu jednego z nich, a facet w okularach bawi się z psem w głębi ogrodu. Ostatnie jest zdjęcie dziadka, już starszego, nadal jednak ciężko przystojnego, w mundurze, pewnie tuż przed drugą wojną światową.

Fajne mieli życie — smętnie dopijam ostatni kieliszek wina, przypatrując się przepadłym w wojennej zawierusze szlacheckim dworcom — dziś i ja byłabym panną szlachcianką! Może jednak uchroniłabym się przed tym zakonem czy służbówką, w których widziałam się wcześniej? Ostatecznie i ja mam w sobie trochę ich krwi, i jakoś pewnie poradziłabym sobie na bezkresnych, romantycznych przestrzeniach, zwłaszcza jeśli część z nich należałaby do mnie. Dziadek był ponoć nieźle zaopatrzony po swoich rodzicach, a i sam sporo w życiu osiągnął. Gdyby mu to wszystko zostało! Ho, ho! Byłaby ze mnie całkiem posażna panna!

Starannie odkładałam zabytkowy niemal album i dziękczynnie myślę o cioci Jance, która skrupulatnie przechowała go dla mnie. Powinnam do niej zadzwonić i wywiedzieć się, jak sobie radzi, może zaprosić nawet? Tylko gdzie ją spać położyć? Sama waletu-ję jedynie na materacu. Gdyby ciocia zobaczyła, jak teraz mieszkam, musiałabym tłumaczyć jej historię z Hubertem, co tylko by ją zmartwiło, a mnie dołożyło wyrzutów sumienia. Ostatecznie została mi tylko ona, a i tak nie najlepiej wywiązuję się z rodzinnych względem niej obowiązków.

Zawsze traktowałam ją jak najprawdziwszą ciocię i kochałam szczerze,

zwłaszcza w dzieciństwie, kiedy nieodmiennie kojarzyła mi się z domem dziadków i całą tamtą rodziną, ale teraz nasze drogi tak bardzo się rozeszły... Ciocie po prostu są w naszym życiu, na co dzień jednak nie myślimy o nich nigdy zbyt intensywnie, prawda? Stanowią sympatyczny dodatek do rodziny i kochamy je, oczywiście, ale... W trakcie rzadkich rozmów telefonicznych z nią mówię na ogół nic nieznaczące ogólniki i tym wyraźniej czuję, jak odrębną żyjemy rzeczywistością i jak niewiele ważnego mamy sobie do powiedzenia. A teraz jeszcze te kłopoty... Nie ma sensu mieszać jej do tego wszystkiego, odezwę się do niej dopiero, kiedy okrzepnę i będę mogła zaproponować jej choćby hotel do spania.

43

Może gdyby ciocia Janka była jakaś dziwaczna, to kochałabym ją mniej, ale za to myślała o niej częściej? Dziwne. To mi przypomina krewną mojej przyjaciółki Zosi, niejaką Stellę, której nigdy nie widziałam na oczy, ale o której legendy zawsze krążyły w naszej przyjacielskiej paczce. Zosia opowiadała o niej niestworzone historie i nigdy nie mogłyśmy dociec, które z nich są prawdziwe. W każdym razie, w rodzinie Zosi mówiło się o niej „ciotka ano-malka”, bo twierdziła, że cała składa się z anomalii rozwojowych i wujek po jej śmierci będzie chciał sprzedać jej zwłoki jako eksponat do Akademii Medycznej. Żeby tego uniknąć, dawała sobie wycinać po kolei różne części tego nienormalnego ciała, by nikt nie polował zachłannie na jej życie. Pozbywała się kolejno to woreczka żółciowego, to wyrostka, to jakichś uchyłków albo guzków w gardle i za każdym razem z satysfakcją informowała o tym swoją przerażoną rodzinę, zaznaczając, że na niej już się nie wzbogacą.

Ja sama, bogata czy nie, postanawiam również uparcie żyć dalej, podobnie jak tamta ciocia Stella, nie godząc się na to, by ktoś decydował za mnie. Ostatecznie nie funkcjonuję przecież na zupełnej pustyni! Mogę spotykać się z ludźmi, ułożyć sobie jakoś logicznie i od nowa to połamane istnienie. Kiedyś miałam swoje przyjaciółki, własne pomysły i byłam odrębną istotą, a nie zdaną jedynie na bliską obecność takiego Huberta!

Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że w związku z facetem życie się człowiekowi zawęża i ogranicza? Wszystko podporządkowuje się komuś jednemu, a dawne układy i znajomości, zwłaszcza takie nieakceptowane przez aktualnego ukochanego, rozsypują ci się, niby popsuty obrazek puzzli, którego już nie potrafisz po raz kolejny złożyć w całość. Jakieś elementy nieodwracalnie się pogubiły i widoczek jest niepełny, a do tego dojmująco smutny. Podziurkowany, niby nienormalna ciocia Stella! Ale ja się nie dam! Będę znowu osobą samodzielną i wyrazistą, zobaczę wreszcie

w lustrze kogoś uśmiechniętego i pewnego siebie! Już! Natychmiast!
W konsekwencji tej nieostrożnej, pospiesznej decyzji, spotykam się z Ewką, która stanowi rodzaj pomostu między dawnym moim życiem a dzisiejszym. Widywałam ją za czasów Huberta, ale zbyt, jak sądzę, rzadko, by zbudować na takim kontakcie odskocznnię dla nowej płaszczyzny więzi międzyludzkich. No i kłapa, nie odskocznia! Wyszła mi z tego spotkania raczej deska do trumny, jeśli się już drewnianych metafor trzymać!

Właśnie od niej dowiaduję się, niemal natychmiast po powitaniu, między jednym łykiem gorącej jeszcze kawy a drugim, że

44

Hubert zamieszkał z młodą, przebojową panią doktor, Magdą Wilgą, poznaną rok temu na jakimś sympozjum. Sama Ewka zna ją tylko z widzenia, ale nazwisko i imię kojarzy z jakiegoś wspólnego spotkania towarzyskiego. Ludzi było wtedy mnóstwo, więc bezpośrednio nawet nie nawiązała z nią kontaktu, ale słyszała, że dziewczyna jest prężna i zdecydowana, i że potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji. Chodziło, co prawda, o sprawy zawodowe, ale okazuje się, że w życiu osobistym pani doktor też się nieźle potrafi urządzić.

Ciekawe, czy podobają się jej moje meble? A płyty? Może ma jednak podobne fascynacje muzyczne i nie musi się, biedaczka, zmuszać do słuchania niemiłych sobie melodii? A mój osobisty mężczyzna? No, ten przypadł jej do gustu z pewnością, skoro zawłaszczyła go sobie nieodwołalnie, ignorując jego poprzednie zobowiązania. Ale przecież nie była osamotniona w tych decyzjach, więc dlaczego głupio się czepiam? Może odśpiewał jej stary kawałek o tym, jak to go nie rozumiem i od dawna ze sobą nie śpimy? Napój pali mnie w przetyku, ale uśmiecham się mężnie, zdawkowo kiwając w stronę Ewki obolałą nagle głową.

Czy to możliwe, że od roku mnie zdradzał? Przyspieszony film, przypominający samotne wieczory, dziwnie milczący telefon i zmęczone oczy ukochanego, przewija mi się pod powiekami. Dosyć! Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak rozpoczynał się jego nowy romans, ani jak długo już trwa, ale Ewka uparcie nadaje dalej, jak nakręcona.

— Byłam w szoku, mówię ci, no dosłownie w szoku, kiedy ich zobaczyłam razem w tym kinie! Pomyślałam sobie nawet, że zaraz do ciebie zadzwonię! Co za tupet, tak się afiszować spokojnie, jakby wszystko było w porządku! Nigdy tego nie zrozumie, mówię ci, nigdy! Ale cham! Jeszcze miał czelność się ukłonić! To już szczyt wszystkiego! Odkłoniłam się, pewnie! Bo niby, czemu nie? Niech sobie nie myśli, że nie

umiem się zachować, ale tak na niego spojrzełam, mówię ci, że w pięty mu poszło! Na pewno zrozumiał, co sobie o nim myślę!

Puściła w niej chyba jakaś zamknięta dotąd tama i teraz postanawia powiedzieć mi wszystko, dosłownie wszystko, co myśli i co zawsze sądziła na nasz temat. Bo dotychczas milczała, przekonana, że ten drań jednak mnie kocha, ale jeśli pokazał swoje prawdziwe oblicze, to proszę bardzo, ona wyrazi swoje zdanie, żebym wiedziała, jak jest i jak zawsze było!

Słyszę zatem, że Hubert na mnie po prostu żerował, nic innego,

45

bezwstydnie korzystał z moich pieniędzy i zawsze był podły. Czy cały czas mnie zdradzał, tego ona, tak z całą pewnością, nie wie, choć może nawet i przypuszcza niejedno, nie będzie jednak rzucać oszczerstw, bo nie ma wiedzy absolutnej. Zresztą nie śledziła go przecież, coś tam jej się może o uszy obilo, ale nie słuchała, ona plotek nie roznosi, co to, to nie! Nie jest też taka wredna, żeby podawać bezpodstawne oskarżenia, ale, jeśli chcę, to może się dowiedzieć, proszę bardzo, bo co to dla niej? Pestka. Wolałabym żyć w słodkiej nieświadomości i żywić się złudzeniami o naszej z Hubertem historii, czego jej oczywiście nie mówię, bo i po co? Jeśli się czegoś dowie, to na pewno mi przekaże, w słusznej, jej zdaniem, konieczności wspólnego poznania i dokładnego skomentowania wszystkich, najlepiej drastycznych i pikantnych szczegółów. Ale co ja niby miałabym z nimi zrobić? Spisać na wołowej skórze? Udławić się? Doprawdy nie mam pojęcia. A w ogóle rozważanie sprawy z kimkolwiek, a już zwłaszcza z nią, tak bardzo i ognście zainteresowaną zakresem niewierności tej pary pięknych medyków, wydaje mi się tak okropne, że czekam tylko, by Ewka wypila swoją kawę i zanim wpadnie na genialny pomysł zamówienia następnej, zbieram swoje fatałaszki, umykając przed jej przyjaźnią, gdzie pieprz rośnie.

Co, do licha, napadło tę Ewkę? — rozważam niechętnie, bo żal mi nowego, przykrego aspektu naszej znajomości, który objawił się przede mną tyleż nagle, co niespodziewanie. Może rzeczywiście jestem głupio naiwna? I wszystkie moje rachuby względem ludzi zawsze były błędne? Nie znam jej dzisiaj tak blisko jak kiedyś, ale zakładałam, że nie będzie rozdrapywać powodów moich smutków. Liczyłam może na odrobinę wstrzemięźliwości, jakiś ludzki odruch zatrzymania dla siebie ewentualnej wiedzy, która mogłaby mnie zabołec. Nic z tego! Wiwisekcja na moim żywym organizmie zdawała się jej jedynym, najważniejszym celem na najbliższe dni. Nie tygodnie, bo do tego czasu coś innego

podekscytowałyby ją na pewno. Skąd jej się to wzięło?

Lubiłam ją przecież od dziecka i niestety nadal lubię, przede wszystkim za to, że pochodzi z miasteczka i kojarzy mi się zawsze z naszymi dziecinnymi przygodami w świecie „zielonych jabłek”. Przeprowadzałam ją do domu dziadków, jeszcze będąc brzdącem, i z dumą przedstawiałam dorosłym jako najukochańszą przyjaciółkę na całe życie. Przysięgałyśmy sobie wierność jeszcze w czasach, kiedy takie obietnice mają dla człowieka wartość silniejszą niż wszystko inne, a teraz wycina mi taki numer?

46

Spędzałyśmy przecież ze sobą mnóstwo czasu, wymyślając wariackie zabawy, przy których zaśmiewałyśmy się do łez, jak tylko dzieciaki potrafią. Była moją najwierniejszą towarzyszką w gonitwach po cudzych ogrodach i w podkradaniu kwaśnych, twardych papierówek, od których płynął nam zawsze po brodach lepki sok. Takie smaki i zapachy łączą człowieka na całe życie, przynajmniej dotychczas miałam taką nadzieję, czyżbym jednak znowu się myliła?

Pamiętam, że czasami dostawałyśmy po prostu szału podczas zabawy „w profesora”, kiedy, zmęczone bieganiną, siadałyśmy wreszcie na murku przed szkołą, w której mieszkali dziadkowie. Ta prosta gra słowna, pozornie zupełnie niegroźna, ponosiła nas niekiedy na niebezpieczne wody słowotwórstwa i nie pozwalała prawie nigdy godnie zakończyć dziecinnej rywalizacji.

Zaczynała się zawsze zakupami, które ten niezwykły nauczyciel czynił w kiosku na rogu.

- Pan profesor palił papierosy „Popularne” — zaczynała Ewka.
- Przedwczoraj pan profesor palił pięć papierosów po pięć pięćdziesiąt
- dorzucałam natychmiast, dopingując koleżankę do dalszej zabawy.
- Przedwczoraj pan profesor palił pięć papierosów „Popularnych”, po pięć pięćdziesiąt, pod parasolem przeciwsłonecznym! — dodawała Ewka, dbając, by porządnie powtórzyć ciągnące się w nieskończoność zdanie.
- .. .popijając piwo...
- .. .padając plackiem po piątym piwie...
- .. .podrywając pod pijalnię pannę Pelagię...
- ...przepędziwszy poprzedniego przyjaciela panny Pelagii, pięknego Pafnucego, pomocnika piekarza...
- .. .potem przetrwał popołudniowy podwieczorek, posypiając pod porzeczkami, porządnie pielonymi przez pomocnicę Pelagii, pewną ponętą pannę Patrycję...

— .. .potem... — i wówczas nieszczęsny pedagog przyśpieszał, paradyjąc po pagórkach, przechodząc przez przeszkody i poszturchując przechodniów, podejmował, pełne pychy, próby przeprawy pontonem przez Prypeć, pędził pociągiem przez puste połacie pustyni i po prostu pochłaniał naszą wyobraźnię do tego stopnia, że rozbawiona babcia Nusia, usiłując przerwać szaleństwo podstarzałego podróżnika, wołała do nas z okien kuchni:

— Przestańcie, podobno pan profesor pękł przedwczoraj pod Paryżem!

47

— Potem... — kończyłyśmy zgodnie — przerażona Pelagia pochowała profesora pod pelargoniami!

— Uważaj na tego Wiórka — mówił, co prawda, dziadek, obdarzając zawsze małą Ewkę podejrzliwym spojrzeniem, ale w tym wypadku nie umiałam zgodzić się z jego opinią, zakładając, że przy całej swej przenikliwości, jednak czasami zdarza mu się mylić.

Zresztą Ewka wcale nie przypominała żadnego wiórka! Podobnie jak matka i babka była pulchniutka i krągła jak jabłuszko. Zawsze przy tym pogodna i otwarta, równie często, jak ja ją, zapraszała mnie do siebie, a jej liczne ciotki witały mnie za każdym razem rozpromienione i częstowały ciepłym, drożdżowym plackiem z wiśniami. Podobała mi się jej kobieca, rozgadana rodzina, tak odmienna od spokojnego towarzystwa bywającego u moich dziadków. Lubiłam zwłaszcza jej babcię, panią Marysię, zawsze ciekawą naszego życia i dziecinnych przygód, i nigdy dotychczas rozmowność tej rodziny nie wzbudzała we mnie najmniejszej niechęci ani podejrzania. Dopiero dziś, zmykając po raz pierwszy w życiu od Ewczynego gadania, uznałam, że może dziadek miał jednak trochę racji i jej obecność bywa chwilami rzeczywiście uwierająca, jak ostry wiór pod koszulką czy w bucie.

Pocieszona jednak nieco przygodami podstępnego profesora, o którym nie myślałam już od lat, a który teraz przyczepił się do mnie znowu i jak zawsze zaczął wyczyniać w umyśle słowotwórcze figle, trafiam do wielkiego sklepu spożywczego, gdzie pieprz, do którego zmykałam przed przyjaciółką, co prawda, nie rośnie, a leży, ale, rozśmieszona skojarzeniami, doznaję lekkiej ulgi i odpuszczam nieco tej nieszczęsnej Ewce. Ale skreślam ją na razie z kalendarzyka spotkań towarzyskich, który dotychczas bardzo ubogi, teraz skurczył się niemal do zera, zostawiając mnie sam na sam z własnymi myślami.

Idę trochę jak błędna, mijając bezmyślnie kolejne regały i dając się ponieść nurtowi innych kupujących. Człowiek przestaje chyba myśleć w

takim sklepie, prawda? Przystaje się grupowo, tam, gdzie gromadzą się inni, pojada proponowane okruszki Bóg wie czego, co podobno kupić można niezwykle okazyjnie tylko dzisiaj, w obłędnej wprost promocji, a większość z nas przybiera w marketach tak dziwną i bezmyślną minę, że wyglądamy jak stado pacanów, bezradnie oparte, każdy o swój wypełniony wózeczek.

48

Dziś natomiast ja robię z siebie typowego, bezmyślnego klienta, uwikłanego w labirynt kolorowych półek. Chwilę wpatruję się w owoce, następny moment spędzam skupiona niby intelektualnie, przy pieczywie, ze znanstwem wacham sery, ale ostatecznie uzupełniam jedynie domowe zasoby wina, licząc się z kolejnym nostalgicznym wieczorem. Bez żadnej konstruktywnej myśli po kilkunastu dobrych minutach kręcenia się bez celu wśród półek, uzbrojona tylko w imponującą baterię butelek, trafiam do kasy, gdzie spotykam, no, kogo?

Czarowny Hubert w osobie własnej i to wcale nieosamotnio-nej! Pięknie! Że też ziemia nie zechciałaby rozstąpić się litościwie przede mną! On z nową ukochaną, a ja z przyjacielem alkoholem! Rewelacja! Każdemu według potrzeb, po prostu stworzył nam się czysty komunizm! Nie wiem dosłownie, gdzie oczy podziać, ale wycofać się również nie mogę, bo za mną już ustawiła się kolejka przepelnionych wózków i wszelka próba poruszenia tej barykady stworzyłaby jedynie dodatkowe, niechciane atrakcje.

Zostaję na miejscu, nie będą byle lekarze pluli mi w odważną twarz! Prostuję się godnie, przybierając wyraz gęby jak najbardziej obojętny z możliwych i robię kolejny krok do przodu. Cóż, teraz już nie ma ucieczki, więc niewzruszona, ze stoickim wręcz spokojem, wykładam swój szklany nabój na ladę. Ależ alkoholu nabrałam! Trudno, teraz przecież nie odstawię, to nie granica, więc na miejscu wypić też nie muszę. Może kupiłam kilka butelek dla krewnych i znajomych? Nikomu nic do tego! Zostałam oficjalnie zauważona i zdawkowo powitana, zatem odkłaniam się grzecznie, pamiętając wyznania Ewy i podobnie jak ona, korzystam mimowolnie z zasobów dobrego wychowania, wpojonych mi przez przodków, a następnie, nie zważając na jego znacząco uniesioną brew, która milcząco komentuje moje kontrowersyjne zakupy, zmywam się jak najprędzej z miejsca wypadku.

Cholera! Cholera jasna! — syczę sobie cichutko, przemykając parkingiem i pobrząkując smętnie butelkami. Drobną deszczyk siecze w rozpaloną twarz, nogi momentalnie stają się mokre, bo wdepnęłam w wielką jak

jezioro kałużę na środku drogi. Nic to! Dopadam swego auta, niby ostatniej oazy ratującej życie i staram się w ogóle nie zauważać, jak konwulsyjnie latają mi dłonie, którymi usiłuję uruchomić dziwnie oporny i zimny samochód. Złośliwość przedmiotów martwych zaskakuje mnie nieodmiennie, choć wiem przecież, że uparcie stawiają opór zawsze wtedy, kiedy najmocniej byłoby potrzebne ich wsparcie. Po chwili drań re-
49

aguje wreszcie, a delikatne ciepło zaczyna leciutko dmuchać mi w twarz. Dobra nasza! Startujemy!

Przyjaźń to dziwne uczucie, chyba bardziej nawet skomplikowane niż miłość — filozofuję melancholijnie, lawirując między innymi samochodami i spychając tłoczące się myśli o Hubercie oraz jego nowej ukochanej w głąb czaszki. Zawsze żyłam w przekonaniu, że przyjaciele oceniają nas z Hubertem raczej pozytywnie i widzą przede wszystkim fajną parę, mającą przed sobą jakąś przyszłość. Bzdura!

Wszyscy, z którymi ostatnio rozmawiam, przekonują mnie już po kilku chwilach zdawkowych uprzejmości, że właściwie nigdy nie mieliśmy szans i wcale nie byliśmy dla siebie stworzeni. Dziwne i interesujące. Spotykaliśmy się z nimi tyle lat, razem spędzaliśmy wakacje, wychodziliśmy na różne imprezy i nigdy, nigdy nikt nie sugerował mi, że do siebie nie pasujemy. Ani marnego słoweczka!

Dlaczego, na Boga, nie powiedzieli tego wcześniej? Z przyjaźni? Bo nie chcieli mnie martwić albo być złymi prorokami? Po co więc mówią teraz? Też z przyjaźni? Żeby pomniejszyć mój ból i smutek? Skłonić do uznania, że nie warto się nad tym wszystkim zastanawiać? Tylko, co mam zrobić? Popaść w amnezję? Jak? Siłą woli, czy też można się nią gdzieś zarazić? Może lepiej mieć wokół siebie samych wrogów? Z nimi przynajmniej łatwiej można sobie poradzić, od początku uzbroiwszy się w podejrzliwość i gotowość walki, w każdej chwili, na śmierć i życie. W jaki sposób taki wróg może cię zaskoczyć? Tylko pozytywnie, bo zła i tak już się po nim spodziewasz, więc wszystko inne będzie czystą przyjemnością. Albo otaczać się ludźmi całkiem nam obojętnymi, którzy by mijali w naszym życiu beznamiętnie, niby przypadkowi przechodnie na ulicy.

Gdybym nie przyjaźniła się z Ewką, tylko znała ją ot, jak zwykłą koleżankę, która wie o mnie tyle, co nic, siedziałybyśmy jeszcze w kawiarni, popijały trzecią kawę, rozmawiając o zwykłych, niewiele znaczących sprawach i na pewno nie doszłoby do feralnego spotkania w sklepie.

Ale... Gdybym nikogo nie lubiła i nikogo nie kochała, to spotkanie w

sklepie też by się nie odbyło, zauważyłabym może jakąś parę, stojącą przy kasie i tyle... E tam, wcale bym ich nie spostrzegła, takie z nich nic ciekawego, że po co bym w ogóle miała patrzeć? Czy zwróciłam uwagę na kogokolwiek innego w tej kolejce?

50

No, dobrze. Jestem niesprawiedliwa, wiem o tym. Złośliwa i niesprawiedliwa, więc wcale nie można się dziwić, że mądrzejszy i porządny Hubert po prostu mnie zostawił jako niereformowalną społecznie jednostkę. Taką, co to przyjaciół nie chce mieć i do tego wrogów sobie wynajduje. Słowem, i tak wracamy do punktu wyjścia, którym ciągle jeszcze okazuje się na mapie mojego życia ten podły bubek!

Dojeżdżam wreszcie, zupełnie zniechęcona do siebie samej i gotowa przyznać, że nie nadaję się do życia wśród ludzi. Jestem chorą samotnicą, takiej wypada tylko się owinąć w koc i bez paniki poczołgać w stronę najbliższego cmentarza. Na szczęście na klatce jest jasno i przytulnie, dzięki czemu oddycham spokojniej, więc może z kocem nie wystąpię tak zaraz i spróbuję jeszcze pożyć.

W skrzynce na listy czeka na mnie kilka reklamówek, proszę, jaki świat może być rozkoszny, czasopismo w prenumeracie, dowiem się pewnie z niego, jak mądrze postępować po rozpadzie związku i podłużna, oficjalna koperta z Anglii. To ciekawe. Czego chcą ode mnie z Harrogate? Oglądam list w skupieniu, uwolniwszy się wreszcie na chwilę od kretyńskich myśli, ale nic ważnego w życiu nie przychodzi zbyt łatwo. Zanim uzyskam odpowiedź na to frapujące pytanie, będę jednak zmuszona pogadać z moim byłym księciem, zwanym też niekiedy podłym bubkiem, który zwawym krokiem podbiega właśnie do zamykających się samoczynnie drzwi klatki schodowej. Jaka szkoda, zdążył.

Ależ musiał szybko jechać! Spieszył do mnie? Toż to szok! Nie wiem, czy się otrząsnę! Co zrobił ze sprawunkami? Jak udało mu się pokonać jeziora parkingu? Nie pytam o to, podobnie jak nie dociekam, gdzie zostawił swą uroczą nową ukochaną, a on nie uznaje, niestety, za wskazane sam mi o tym powiedzieć. A to strata zapewne niepowetowana, bo może rozkoszna pani doktor chciałaby dołączyć do towarzystwa i zorganizowalibyśmy naprędce jakieś upojne spotkanie kochających się szczerze przyjaciół? Napoje już są! Omal nie zagrzechotałam nimi radośnie na powitanie. Odbywamy w zamian rzeczową konwersację, a dlaczego na schodach? A dlatego! Rozmowę, dość trzeba przyznać jednostronną, bo składającą się niemal wyłącznie z monologu Huberta na temat mojego wysoce niestosownego zachowania. Że nie może się ze mną skontaktować, że

dziwi go zmiana numerów telefonów i kluczy do mieszkania. Sprawdzał? Podejrzane! Że nie mogę się zachowywać jak dziecko, bo po tylu wspólnie spędzonych latach (!!)

nie zaczniemy przecież chyba udawać teraz nieznajomych.

51

A dlaczego nie? Ja, jak się okazuje, odkrywam w nim ciągle nowe aspekty!

Równolegle przebiega mi w myśli szereg dziwacznych rozważań, wcale niezwiązanych z obojętną miną, z którą gram teraz pewną siebie, znudzoną i bierną rozmówczynię. Zastanawiam się, patrząc w tę przystojną i bliską mi przecież od tak dawna twarz, jak dziwnie potoczyły się losy naszego uczucia. Kochaliśmy się, prawda? Nasze spotkania, szept, obietnice naprawdę miały miejsce i były wtedy rzeczywiste, szczere, pełne uczuć. Gdzie i kiedy się nam one rozwiały, pośród codzienności, zwykłych spraw, ukrytych oczekiwań? Twarz Huberta wydaje mi się teraz zupełnie obca, wroga nawet, a wszystko, co kiedyś tak mnie bawiło, na przykład w jego sposobie mówienia, to przeciąganie samogłosek, aby bardziej wyraziście akcentować wyrazy, wkurza mnie dziś i powoduje, że mam ochotę warczeć.

Żeby zechciał już skończyć! Bo naprawdę nie zapanuję nad sobą i wrzasnę, prosto w jego zadufaną gębę, kilka takich słów, których oboje będziemy potem długo żałować! A po co nam to? Ludziom, jak twierdzi on, kulturalnym i grzecznym? Nie chcę też zwracać uwagi, że ręka wściekle mi cierpie, bo niepotrzebna nam również dodatkowa rozmowa o moim alkoholizmie, prawda? Ale rzeczywiście odnoszę wrażenie, że ramię wydłuża mi się sukcesywnie, milimetr po milimetrze i niedługo dotknie lodowatej posadzki w holu. Będę, z tymi rękami, długimi do kolan, wyglądać jak gorylica, to pewne. Gorylica alkoholiczka, która ma na koncie zabicie byłego gacha butelką, w miejscu publicznym!

Więc zbieram się w sobie, aby uniknąć takiej upojonej przyszłości i wyjaśniam, najchłodniej jak potrafię, że jestem wolnym człowiekiem i mogę postępować dokładnie tak, jak zechcę, po czym dostojnym krokiem, niemal wlokąc już za sobą tę wstrętą siate, udaję się do windy. Na jego próbę wejścia za mną, wykonuję sprawnie stanowczy gest „stop” i drzwi między nami zamykają się, jak w zabawnym, amerykańskim filmie, a jego ogłupiała mina, znikająca w coraz mniejszej szczelinie, sprawia mi mnóstwo złośliwej frajdy.

Wiem, że zamarł w pół kroku, wystarczająco urażony, żeby zaraz nie runąć w stronę schodów, a nawet gdyby wystartował natychmiast, pęd na szóste

piętro może potrwać ciut dłużej niż przejazd windą, jednak profilaktycznie przygotowuję klucze, zręcznym ruchem odmykam zamki i zatrzaszkuję za sobą drzwi. Masz, draniu! Dokładnie tyle wynikło z twoich rozwlekłych wykładów o grzeczności.

52

Cisza. Nie widzę go jednak na parkingu, zatem podejrzewam, że raczej przywarował pod drzwiami. Po co? Nie wiem. Chyba wkurza go, że tak zupełnie nie szukam z nim kontaktu i skutecznie uniemożliwiam jego męskie decyzje sterowania naszymi spotkaniami. Co za palant! Czego jeszcze ode mnie chce? Może jednak zdecydował się na te moje majtki, bezmyślnie poniechane w dniu wyprowadzki? Swoją drogą, ciekawe, skąd mi się bierze tyle siły i spokoju? Może czuwają nade mną jakieś dobre duchy, które dają mi energetycznego kopa w momencie krytycznym? Nadal cicho. Nie dyszy jednak na schodach. Może pękł mi pod drzwiami? Lokatorzy ubawią się po pachy, kiedy odkryją jego zwłoki w kawałkach, na swoich wycieraczkach! Sprzątać nie będę! Niech się rozkłada, bez mojej ingerencji! Aha! Odpadł wreszcie. Zszedł, ale chyba na paluszkach, bo ani windy, ani kroków słyszać nie było, jaki to się cichutki zrobił, istna mała myszka! Bezpiecznie ukryta za oknem, widzę, jak wsiada do auta i teraz dopiero ogarnia mnie straszliwe zmęczenie, wspomagane uporczywym szczękaniem zębami. Mięknę w kolanach i siadam, wraz z moimi butelkami, wprost na podłodze. Drewniany, z lekka zakurzony parkiet, łaskawie przyjmuje moje ciało, głucho oznajmiając równoczesne lądowanie siaty, a pokój, z tej perspektywy, wydaje się jeszcze większy i bardziej pusty niż zazwyczaj.

Aleś ty głupia — przemawiam do siebie uspokajająco i karcąco zarazem, zaciskając rozedrgane łapy na szkle z wysokoprocentową zawartością— niechby cię teraz zobaczył! Wszystkie jego lekarskie rachunki zgodziłyby się, co do joty, jak w sprawozdawczym bilansie. Rozumu rzeczywiście nie masz za grosz! O czym ty myślisz, dziewczyno? W winie możesz sobie popływać, a chleba powszedniego nie masz w domu nawet kromki! No i bardzo dobrze! — buntowniczo nalewam sobie pełen kieliszek czerwonego płynu, ale zakorkowana butelka wędruje jednak z pozostałością do szafki w kuchni. Potem wlokę się resztkami sił do pokoju i siadam przed rodzinnym kartonem, na którym można, w razie potrzeby, wygodnie oprzeć czoło, by ewentualnie popłakać, i zapalam papierosa, melancholijnie patrząc w sufit.

Jak wyglądała ta Magda? Zajęta utrzymaniem resztek godności, zdążyłam zaledwie na nią zerknąć, ale niewiele z tego pozostało mi w

pamięci. Raczej niewysoka, bo pętała się zaledwie koło ramienia wysokiego Huberta, podobnie jak niegdyś ja sama, więc mojego wzrostu. Gruba nie była, to bym zauważyła natychmiast i zanotowała z czystą przyjemnością, ale twarz?... włosy?...

53

oczy jakieś?... Nic. Żadnych skojarzeń, obraz zamazany, zero. Wielcy tego świata wybierają sobie zazwyczaj, za kolejne obiekty westchnień, kobiety podobne do poprzednich, tylko młodsze, ale przecież Hubert nikim znaczącym nie jest i pewnie nie będzie, a młodsza ode mnie to ona najzwyczajniej być nie może, skoro jest już po medycynie i jakoś jednak ustawiona zawodowo, jak twierdziła Ewka.

Więc jaka? Zupełnie ode mnie odmienna? Wyglądem? Takiej jest precudownej urody? Pozytywny wstrząs estetyczny też bym chyba odnotowała. A niczego takiego nie pamiętam. Może różni się charakterem, bo taka niby aktywna i sprytna? To najbardziej prawdopodobne. Albowiem moja aktywność ogranicza się raczej do niekontrolowanych wybuchów emocji, z czego więcej na ogół problemów niż zysków, a o sprycie to mogłabym sobie tylko pomarzyć. Gdyby, rzecz jasna, zależało mi na takiej cesze osobowości, a przecież nie zależy.

Czyja w ogóle znam kogoś naprawdę cwaneego? Takiego, który umie wykorzystać, a nawet stworzyć odpowiednie dla siebie okazje? Nikt nie przychodzi mi... Zaraz! No oczywiście, że znam! Agatkę! Widziałam ją, co prawda, ze dwa lata temu, ale takie charakterki łatwo się nie zmieniają, to pewne. Dziś pewnie jest jeszcze bardziej oblatana życiowo, niż wtedy, kiedy bliżej ją znałam. Tak, Agatka, moja była koleżanka z roku, jest naprawdę sprytna. Na początku wszystkim wydawała się malutkim wróbelkiem, z tych, co to do trzech same nie potrafią zliczyć, ale z każdym miesiącem, z każdym kolejnym zaliczeniem ćwiczeń, otwierały nam się coraz szerzej oczy ze zdumienia, gdy patrzyliśmy na wyczyny na tego szarego ptaszka!

Ależ miała pomysły! Na każdego wykładowcę inny, odpowiedni do jego wieku i zainteresowań. Starego profesora brała na nieśmiałość i niepewność dziewczynki z wioski za lasem, młodego adiunkta na biuścik, uwodzicielskie spojrzenie i krótkie spódniczki, nawet na kobiety miała swoje sposoby, wszystkie wściekle skuteczne, łącznie z melodramatycznym szlochem. Oczka łzawiły jej na zamówienie, a buzia uśmiechała się słonecznie, zawsze, kiedy było to potrzebne.

Dała do wiwatu wielu spośród nas, bo zła fama szła później za całą naszą grupą, z którą ludzie wiązali potem różne nieprzyjemne skojarzenia.

Zwłaszcza wtedy, kiedy doprowadziła do rozwodu doktora Chlebnika, literaturoznawcy, zakochanego w niej bez pamięci i pogrążającego się z tego powodu w niesławę, nie

54

tylko w oczach studentów, ale i innych pracowników naukowych. W sławetnej kłótni, która wstrząsnęła instytutem, kiedy rozdygotana Chlebnikowa rzucała w męża skarpetkami i spodniami, przytachanymi w walizce, Agatka uczestniczyła tylko biernie, ale niezwykle widowiskowo, załamując szczupłe rączki i pokazując zgromadzonym buzię tak niewinnie pokrzywdzonej, że niejednen obserwator naprawdę zwątpił w jej aktywne uczestnictwo w całej aferze. Nie dam głowy, czy ktoś ją tam nawet nie pocieszał, rzucając przy okazji złe spojrzenia na rozwydrzonych małżonków, którzy rozwłóczyli swą bieliznę po instytutowym korytarzu. Za biednego, ostatecznie rozwiedzionego Chlebnika w końcu i tak nie wyszła, bo na ostatnim roku poznała jakiegoś Anglika i wyjechała z nim w siną dal, rezygnując nawet z napisania pracy magisterskiej. Skoro jednak widziałam ją na mieście, to albo przyjeżdża do kraju, albo i tamtego faceta wyrolowała wdzięcznie, by urzędować teraz na gruncie rodzimym. Dobrze chociaż, że ja nie rzucałam dzisiaj niczym w tym sklepie, bo jeśli Magdusia ma charakter zbliżony nieco do Agatko-wego, to zabrałaby mnie stamtąd policja, jako że dysponowałam jedynie pełnymi butelkami, a ona sama zyskałaby pewnie sławę jako święta. Okazuje się, że dobre wychowanie i monotematyczne zakupy mogą jednak wyjść człowiekowi na dobre! — podsumowuję sama do siebie, patrząc przy tym ze zgrozą na niemal pełną popielniczkę. Ależ wypaliłam tych papierosów! I kiedy? Przez taką chwilkę? No trudno, nie można przecież wyrzec się wszystkiego! Nawet podstępny profesor popalał podobno papierosy podczas przerw, prawda?

1

IV

Przyj! Przyjże wreszcie, nieszczęsna kobieto! Bo zabijesz to dziecko! — gruba położna krzyczy, otwierając szeroko usta i nie wiadomo, czego więcej w jej głosie — strachu czy złości? Pewnie chce dobrze, ale wszyscy są już u kresu wytrzymałości po wielu godzinach bezradnej walki o to życie, które nie chce chyba wcale zaistnieć na świecie.

Anna czuje napływające do ust mdłości i z trudem opanowuje dreszcze, mdleją jej nogi a plecy zalewa lodowaty pot. Przegub, ściskany przez dłoń matki, jest siny i dziewczyna ma wrażenie, że ręka za chwilę po prostu

odpadnie od jej obolałego ramienia. Poród trwa już tak długo! Świat stoi w miejscu, wśród gęstego, zatykającego płuca smrodu i obezwładniającego upału dusznej przestrzeni, a mała nisza, utworzona z brudnej płachty płótna wokół łóżka, oddziela je jedynie od widoku, ale nie od hałasu i zaduchu reszty sali.

Obok też krzyczą inne kobiety i dźwięk ten, ciągły i przenikliwy, zmienia tylko niekiedy natężenie od rozpaczliwego wrzasku, przez przekleństwa i skowyt, do płaczu noworodków, chwytających w usta pierwszy łyk powietrza.

Matka jest sinoblada, ma spękane wargi, a jej włosy, mokre i brudne, oblepiają poszarpaną falą szarą poduszkę. Ogromne, pociemniałe od strasznego bólu oczy zdają się potwierdzać, że rozumie skierowane do siebie słowa, nie wydobywa z siebie jednak żadnego innego dźwięku, oprócz spazmatycznego, szarpiącego oddechu. Jej palce zacisnęły się na rękę Anny jak kleszcze i dziewczyna wie dobrze, że ten ostatni wysięk matczynej ciała skierowany jest właśnie na nią nie zaś na mające się urodzić dziecko.

Nagle jednak twarz rodzącej tężeje i brzuch, wbrew jej woli, wygina się łukiem ku górze, a Anna czuje niemal pękające kości przedramienia. Z nieludzkim wyciem matka wypycha z siebie czerwoną masę, wpadającą ślisko w wyciągnięte ramiona pochylonej położnej. Uścisk na rękę zanika nagle, krzyki cichną światło

57

gaśnie i Anna opada miękko w niebyt, uderzając głową o kafelki szpitalnej podłogi.

Świeci słońce. Jest ciepło i cicho. Nie..., słyhać śpiew ptaków, gdzieś w oddali, za oknem. Bo tu jest okno, w tym pokoju. Anna budzi się bardzo powoli i uprzytamnia sobie najpierw miękkość łóżka oraz otulającą ją kołdrę. Nie wie jeszcze, gdzie się znajduje i co się właściwie stało, ale instynktownie czuje, że najlepiej pozostać jak najdłużej w tej błogiej nieświadomości i blasku jasnych promieni.

Pamięć powraca jednak podstępnie, nagłą falą, gwałtownie uprzytamniając wszystko naraz. Matka! Ten straszny poród! Krwawe mięso między sinymi udami! Siada gwałtownie na łóżku i zanim zwiędnie poza nie bezsilnie, by zwymiotować gorzką żółcią, zauważa jeszcze podnoszącą się znad biurka postać w bieli.

— No, już, już, spokojnie — chłodne dłonie odgarniają jej włosy, by nie opadły na mokrą od wymiocin twarz. Na podłodze pojawia się para starych, zniszczonych butów, a mężczyzna, przytrzymujący jej głowę,

przysiada delikatnie, obok, na pościeli.

Gdy mijają ostatnie, szarpiące ciało i puste odruchy wymiotne, silne ręce chwytają Annę za ramiona i podnoszą powoli z bezwolnego skłonu nad śmierdzącą kałużą. Świat wiruje gwałtownie, a głowa dziewczyny z powrotem opada na poduszki. Rozświetlony sufit kołuje chwilę jeszcze, ale potem zwalnia, aż do powolnych, równomiernych wahaniec dziecięcej huśtawki. Błady mężczyzna, o pociągłej, dziwnie długiej twarzy, wyjmując z kitla chusteczkę, by bez najmniejszych oznak obrzydzenia otrzeć jej mokre od potu czoło i zabrudzone usta. Potem przeciera czoło wilgotnym ręcznikiem, leżącym obok na stoliku, dając ochłodzenie tętniącym skroniom.

— Oddychaj głęboko, Niusia, zaraz wszystko minie — mówi zgrzytliwym, a przecież dziwnie dobrotliwym głosem ten obcy jej człowiek i później siedzi obok, w trakcie długiego milczenia, które między nimi zapada. Anna przebiega po jego twarzy spłoszonym, zdezorientowanym spojrzeniem, ale bijące szybko serce pozwala jedynie na płytkie oddechy utrzymujące przytomność i powstrzymujące dalsze nudności, i nie daje jej dojść do słowa.

— Nazywam się Wierzbiński — tłumaczy wolno mężczyzna — Feliks Wierzbiński. Jestem lekarzem, a ty chorowałaś, leżysz

58

w szpitalu. Jesteś jeszcze zbyt słaba, żeby się tak zrywać, rozumiesz mnie? Jego spojrzenie pada krótkim błyskiem na twarz Anny, na tyle jedynie, by upewnić się, że dziewczyna słyszy i nieznacznie, twierdząco, porusza powiekami, potem wędruje w stronę okna, a w pokoju nadal trwa bezradna cisza, pełna niewypowiedzianych pytań.

O czym tu mówić? W głowie Anny rozbłyskują przerażające ułamki obrazów z porodu matki, a Feliks przypomina sobie szok sprzed dziesięciu dni, kiedy niemal biegnąc przez salę „przypadków”, jak nazywają w szpitalu łóżka umierających, zobaczył nagle bledszą od poduszki twarz dziewczyny swoich marzeń. Marzeń odległej młodości, minionej wiele lat temu, ale wyrazistych tak, jakby kiedykolwiek rzeczywiście ją spotkał. Stał nagle jak porażony, a wściekłość i bezradność rozbłysły w nim niemal jednocześnie. Potem, w histerycznym odruchu, krzycząc, kazała natychmiast przenieść do izolatki, a gdy okazało się, że nigdzie nie ma wolnych łóżek, do swojego małego pokoiku na końcu korytarza. Spłoszone sanitariuszki niemal fruwały wokół chorej, biegiem przenoszonej do czystej pościeli, mając głębokie przekonanie, że oto polski doktor odnalazł właśnie wśród „przypadków” kogoś ze swojej

rodziny. Nie tłumaczył im niczego, nie rozumiał przecież nawet samego siebie, ale płomień, który się w nim rozpałał, nadawał rysom twarzy takiej determinacji, że nikt nawet nie usiłowałby z nim dyskutować.

— Jest jeszcze dziecko — meldowała pielęgniarzka, przerażona stanem spokojnego zwykle przełożonego — to braciszek chorej. Urodzony z tej zmarłej wczoraj matki, którą — tu zająknęła się, głośno przełykając ślinę — pochowano we wspólnym grobie ze zmarłymi na tyfus.

— Bo myśmy... — „nie wiedzieli” chciała dodać, ale zamilkła, widząc wykrzywioną wściekłością twarz doktora.

— Noworodek silny — woła w zamian szybko — karmią go inne położnice. Ma chłopak werwę, przeżyje! — i patrzy na Feliksa, niepewna, czy tą informacją zagłuszyła choć trochę tamtą wcześniejszą, o pochówku matki dziecka.

Potem po prostu mijają kolejne doby. Wierzbiński, choć zawstydzony i przerażony własnym wybuchem, nie potrafi i nie chce zmienić decyzji względem chorej dziewczyny. Nakazuje tylko

59

troskliwą opiekę nad niemowlęciem, a do swojego pokoju wstawia wąską pryczę, ukrytą niemal za biurkiem, postawionym daleko od łóżka chorej. I czekają. Pielęgniarki na polepszenie zdrowia pacjentki, z którym wiążą nadzieję na odzyskanie spokojnego, niosącego poczucie bezpieczeństwa zachowania doktora, a sam Feliks na wściekłych krewnych nieznajomej, przed którymi będzie musiał wytłumaczyć się jakoś ze swoich czynów. Z każdym dniem, powoli, uspokajają się wszyscy. Zwłaszcza Wierzbiński, pewny teraz, że będąca w głębokim szoku dziewczyna przeżyje, ale i pielęgniarzki obserwujące powolny powrót doktora do normalnego stanu. Dziecko żyje, dziewczyna coraz częściej, z głębokich omdleń, wchodzi w spokojny, ożywczy sen, a Feliks właściwie nie bywa w swoim pokoju, rozpaczliwie skrepowany obecnością nieprzytomnej Anny. Brak odzewu jakichkolwiek krewnych sugeruje mu tylko, że dziewczyna i dziecko pozostali zupełnie bez opieki.

Siedzi teraz na brzegu swego dawnego łóżka, patrzy w okno i zastanawia się ile, z całej tej prawdy, może powiedzieć osłabionej po chorobie pacjentce. Dziewczynie, której przecież nawet nie zna, a która zawładnęła przez te dni wszystkimi jego myślami i wydaje się tak bliska, jak nikt dotychczas.

— Nusia? — cichy głos dziewczyny rozładowuje w końcu napięcie — tak mnie pan nazwał?

Zaczęła z najwygodniejszej strony! Jak to dobrze! Uspokojony, usiłuje się

nawet uśmiechnąć nieco pogodniej, jakby próbował wprowadzić weselszy nastrój do tej, tak trudnej rozmowy, która ich czeka.

— Tak, proszę wybaczyć, ale zdrobniłem pani imię, bo przypomniała mi pani moją siostrę, też Annę. Zawsze w domu mówiliśmy do niej Niusiu. To ładnie brzmi, prawda?

— Owszem, choć do mnie nikt nigdy tak się nie zwracał. Może być Nusia, jak pan woli. Proszę mi tylko powiedzieć, co się stało? Mało pamiętam. Boję się o mamę.

Powoli, najłagodniej jak potrafi, w nikłych, drażniących oparach wymiocin na podłodze, opowiada jej zatem o śmierci matki i jej marnym pochówku, o chorobie, w której leżała blisko trzy tygodnie i małym braciszku bez imienia, karmionym przez przypadkowe mamki na oddziale porodowym. Potem z niepokojem oczekuje jej reakcji i boi się nawrotu omdlenia. Ale Anna tylko płacze cicho, bez słowa, jakby te wiadomości, a przynajmniej ich część, wcale jej nie dziwiły.

60

— Nie wpisałem jeszcze niczego do aktu urodzenia chłopca, trzeba by imię jakieś podać — podsuwa poważnie, kiedy Anna wreszcie ociera łzy.

— Niech mu pan da na imię Adam — decyduje ona głośno, z nagłym, złym i złośliwym uśmiechem na wymizerowanej twarzy

— Adam, kolejna pomyłka Pana Boga.

— To ładne imię — Feliks nie komentuje dziwnego, przerażającego akcentu w jej słowach — zobaczy pani, że chłopiec jest śliczny i zdrowy. Będzie z niego miłe dziecko.

Później wielokrotnie Anna żałowała nienawiści, z jaką nadała imię małemu braciszкови. Chwilami zapominała, że Adaś miał je nosić jak złośliwe wyzwisko, ale im mocniej kochała chłopca, tym dotkliwiej bolało ją, że w podtekście wyboru, serdecznie teraz wypowiedzanego nazwania, tkwił tamten jej ból i niechęć do dziecka. Silniejszy wówczas niż wszystko inne, nawet niż żal po matce.

Pierwszym bowiem uczuciem, które łączyło się z myślą o jego urodzeniu, była dla niej właśnie piekąca wściekłość i całkowity brak akceptacji. Nie jej własny, lecz matki. Anna pamiętała dobrze popłoch, z jakim pakowały się pod koniec września, i gwałtowne ponaglania matki do natychmiastowego wyjazdu, choć nic w wojennej zawierusze nie skłaniało do opuszczenia rodzinnego domu, leżącego przecież jeszcze wtedy bezpiecznie, z dala od frontu.

Ciotka Emilka załamywała dramatycznie pulchne dłonie, a wuj Józef, posiwiwały po pójściu Leona do wojska i wydarzeniach z połowy miesiąca,

usiłował nawet kategorycznie zakazywać. Ale matka, jak natchniona złym pędem, upychała w walizkach niezbędne ubrania i zawijała ciasno w pończochy dokumenty i pieniądze.

— Józiu, ty w ogóle nic nie rozumiesz — kłamała naprędce, usiłując ukryć krwawe rumieńce na spoconej od szybkich gestów twarzy — tak umówiliśmy się z Mariuszem. Jakby stało się najgorsze, to mamy z Anną jechać do Lwowa i tam się z nim spotkać.

— Nic o tym nie wiem — dziwił się wuj — mnie Mariusz mówił zupełnie coś innego. I jakże ty się z nim spotkasz? On w Warszawie przecież, ponadto o wyjeździe ministerstw coś mówią. Jak niby miałyby tu wrócić po was?

— A właśnie nie wrócić! — udowadniała matka w natchnieniu

— to my do niego mamy dojechać, żeby razem jakoś... — milkła zagubiona nieco we własnych kluczeniach, ale zaraz dodawała z gniewem.

•— Co mi tu pod wątpliwość podajesz moje z mężem ustalenia? Dajże spokój wreszcie i pozwól porządnie wszystko spakować!

61

Ale w tym pakowaniu żadnego spokoju nie było. I Anna, równie jak wujostwo zdziwiona, dowiadywała się co chwila, że ma przygotować kilka tylko sukienek, wszystkie rzeczy, albo wreszcie byle co, ale prędko, prędzej, natychmiast, na Boga! Wyglądało to wszystko razem, jakby matka wcale nie wiedziała, na jak długo jada, i raz zakładała, że spotkają się z ojcem, by pojechać gdzieś dalej, kiedy indziej znowu, że wrócą do domu za kilka dni lub tygodni. Chłodne pożegnanie z przyjaciółmi jakoś w ogóle jej nie obeszło, patrzyła tylko zachłannie przed siebie, jakby za horyzontem czekało na niajakieś niezwykle zjawisko, bez którego po prostu żyć dalej nie mogła.

We Lwowie, gdzie z trudem i za straszne pieniądze wynajęły pokój „na krótko”, chaotyczna bieranina matki wcale się nie skończyła. Wychodziła wczesnym rankiem, niby coś ważnego załatwić, i zostawiała przerażoną Annę w obcym domu i mieście, bezradnie wyczekującą jej powrotu, aż po późny wieczór. Niespokojne godziny wlokły się niemiłosiernie, a dziewczyna nie mogła wprost usiedzieć na miejscu, drżąc z niepokoju i wyglądając na każdy dźwięk z zewnątrz, przez brudne szyby okna. Po kilku tygodniach takiej szarpaniny, potęgowanej jeszcze wyraźną niechęcią porozumienia się z córką, matka wreszcie przycichła. Zmaląła nagle, zapadła się w sobie i zamilkła zupełnie, jakby w świadomości nieodwracalnego losu. Wprowadziły się wówczas do niewielkiego mieszkanka na dalekim przedmieściu i wysłały listy. Anna do Leona i ojca,

matka do męża i wujostwa. Nie znały jednak wzajemnie ich treści, bo nadal rozmawiały mało, a matka, na zadawane pytania odpowiadała zaledwie monosylabami. Odpowiedzi przyszły tylko od wujostwa, po wielu dniach, kiedy właściwie przestały być ważne.

Anna wiedziała już wtedy, że matka jest w ciąży i nie chce wrócić do domu. Ojciec wyjechał z rządem tak, jak obawiał się wuj Józef. Ich nieobecność spowodowała, że nie mogły do niego dołączyć, zresztą pewnie i tak by nie zdołały, bo wojska sowieckie zajęły już ich tereny. Ostatecznie więc wracać do domu nie było po co, jak przekonywała matka, bo jeśli już rodzić, w tak późnym wieku, to jedynie w szpitalu. Tym bardziej, że od początku źle znosiła swój stan. Wymiotowała gwałtownie po każdym, najmniejszym nawet posiłku, straciła zupełnie apetyt i popadała często w wielogodzinne, zacięte milczenie, z którego zrywała się potem nagle, by chaotycznie biegać po małym pokoiku, prawie obijając się o ściany. Przypominała

62

óme, która już wie, że nie ucieknie, ale jeszcze walczy gwałtownie, chociaż resztkami sił.

Po latach, wielokrotnie analizując tę sytuację, Anna doszła do wniosku, że matka liczyła na to, iż może uda jej się nie donosić ciąży, albo, kiedy mijały jednak kolejne miesiące, że noworodek po prostu umrze. Z każdym tygodniem czuła się gorzej, puchły jej nogi, drętwiała i omdlewała na długie, przerażające minuty, a jej zaprawione goryczą komentarze, dotyczące nieudanego życia i charakteru mężczyzn, po prostu przerażały córkę. Dziewczyna nie znała jej nigdy takiej. Zjadliwej i pełnej nienawiści, którą zabarwiała każde zdanie swych rozwlekłych, często histerycznych wypowiedzi. Matka śmiała się, płakała, krzyczała lub szeptała do siebie, ale cokolwiek robiła, sprawiała wrażenie ciężko chorej nie tylko cieleśnie i każdy taki wybuch powodował, że bezradna Anna miała ochotę uciec od niej jak najdalej.

Kiedy doczekały wreszcie porodu, nie miały już żadnych pieniędzy ani nawet sił, by w ogóle na siebie patrzeć, i Anna liczyła tylko na to, że po wszystkim wrócą z dzieckiem do domu, gdzie świat, może choć odrobinę, wróci do normalnego stanu. Marzyła o ciotce Emilii i jej radosnym, uspokajającym uśmiechu, mając nadzieję, że dzięki jej pomocy chora odzyska spokój i zdrowie.

Po śmierci matki nic już nie jest takie samo. Nie ma żadnych środków na podróż, a wiezienie na niepewne noworodka, którym nawet nie potrafiłaby się zaopiekować, zdaje się przerastać jej siły. Przerażeniem też napawa ją

fakt, że listy od wujostwa przestały przychodzić wiele tygodni przed urodzeniem Adasia. Wszystko, co było jej bliskie przez całe życie, znika teraz, pozostawiając po sobie jedynie malutkiego noworodka, który za całą rodzinę ma tylko jajedną.

Zostaje więc w szpitalu. Doktor Wierziński łatwo przekonuje ją, że to najlepsze, a właściwie jedyne możliwe wyjście. Może pracować jako salowa, z biegiem czasu nawet pielęgniarka, dziecko jest pod dobrą opieką, a na mieszkanie odstępkuje jej swój pokój. Sam nocuje w mieście, ma tam przecież rodzinę, żonę i dwoje dzieci.

Anna, nazywana teraz przez wszystkich „panną Niusią”, z ulgą przyjmuje to rozwiązanie. Do małego braciszka na razie nie może się jednak przekonać. Strach i żal po stracie matki zagłusza ciężką pracą i stara się nie myśleć, jak będzie żyć dalej. Nie zastanawia się również, dlaczego doktor przedtem mieszkał w szpitalu, a i teraz wychodzi z niego jak najpóźniej, by wrócić z powrotem po kilku

63

zaledwie godzinach. Pracy tu dużo, może kocha swój zawód silniej niż rodzinę? ;

Z biegiem czasu życie szpitalne nabiera dla niej swoistego rytmu, a wolny czas coraz częściej i chętniej spędza jednak z maleńkim Adasiem. Dziecko jest bowiem piękne i radosne. Ma wspaniałe rudawe kędziory i jasną twarzyczkę, uderzająco podobną do ojca. W zabawach z nim dziewczyna odnajduje spokój i jednocześnie dziwną więź z nieobecny, jedynym pozostałym przy życiu rodzicem. Dzięki Adasiowi zapomina też powoli o straszliwych miesiącach, spędzonych z dala od domu, tylko z chorą i przerażającą swym zachowaniem matką.

Praca w szpitalu ratuje też samą Annę. Represje wobec Polaków, których pewnie nie uniknęliby, wracając do domu lub pozostając w nim w październiku 1939 roku, omijają młodą dziewczynę i maleńkie dziecko. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej natomiast, kiedy w szpitalu zaroilo się od rannych, sanitariuszka Nusia Bielska, swobodnie mówiąca po rosyjsku, wtapia się po prostu w tłum innych pielęgniarek i nikogo nie obchodzi, jakiej jest narodowości. Byle dobrze pracowała, a ona rzeczywiście pracuje doskonale, uczynna, chętna do pomocy i nauki, stale pod ręką, gdyż mieszka na miejscu.

Nic nie wie o miłości Feliksa. Zajęta własnym bólem, pracą i Adasiem, przyjmuje dobroć starego, jej zdaniem, lekarza jako jedyne błogosławieństwo losu, dane jej w najgorszym momencie życia. Doktor zresztą nigdy żadnym gestem nie ujawnia wobec niej swoich uczuć. Jest

tak wstrzemięźliwy w okazywaniu przyjaźni, że nawet zawsze skłonne do plotek młode pielęgniarki nigdy nie łączą podejrzliwie ich imion w żadnej rozmowie.

Oczywiście, widuje się doktora Wierzbińskiego spacerującego w nocy po szpitalnych korytarzach i niańczącego marudnego Adasia, jeśli budzi się, gdy Niusia ma dyżur, ale pielęgniarki, które też kochają to roześmiane dziecko, same przecież często pomagają niedoświadczonej dziewczynie w opiece nad braciszkiem. Jakiś spacer po przyszpitalnym ogrodzie?

Odstąpienie młodej Polce własnego pokoju? Cóż to jest, wobec wszechobecnej śmierci wokół, powstrzymywanej właśnie tą wzruszającą historią o samotnej dziewczynie, bez środków do życia, która podjęła się wychować maleńkiego brata! Jeśli istnieje taki promyk zwyczajnych spraw, to może i normalny świat kiedyś powróci?

W szpitalu traktuje się raczej Nusię i Adasia jak swoisty talizman dający otoczeniu wiarę na przyszłość. Roześmiany dzieciak

64

i piękna panna przypadają też do gustu młodym żołnierzom, którzy leczą tu rany. Ta para przypomina im rodzinny dom i bliskich, których zostawili gdzieś, na niepewne, daleko stąd. Dziecięcy śmiech jest przecież jednym z najtrudniej dostępnych zbytków w tym czasie, pełnym okrucieństwa i śmierci.

Tylko Sońka Wierzbinskaja, dawniej wdowa po urzędniku administracyjnym Pietii Kawczynie, wie swoje. Ona zna nieuważne, puste spojrzenie Feliksa i tę zmarszczkę, która robi mu się na czole, kiedy o kimś intensywnie myśli, a nie ma odwagi niczego przedsięwziąć. Taki by jej przecież pozostał na zawsze jedynie w pamięci, gdyby sama kiedyś nie zarzuciła mu ramion na szyję, wyznając tym gestem i szybkimi, urywanymi słowami, jak bardzo, bardzo jej na nim zależy, wyzwalając dzięki temu jego ukryte namiętności.

Szarpie długie, płowe włosy, splatając je w ciasny warkocz, a potem nieuważnie, wcale nie patrząc w lustro, zawija go w wysoką koronę wokół głowy i przypina mocno długimi wsuwkami. Przygryza przy tym zębami pełne wargi i z trudem dusi rozpaczliwy, gniewny szloch w gardle, dbając, by nie powiedzieć ani jednego zbędnego słowa do rozkojarzonego męża, kiedy ten znowu wychodzi pospiesznie do szpitala na kolejny z niekończących się dyżurów. Potem rozgląda się mokrymi od łez oczyma po pustym domu, patrzy niemal z nienawiścią na dwoje drobnych, umorusanych dzieci podnoszących ku niej pulchne, zaczerwienione buzie tak bardzo, wprost nienawistnie podobne do podłego, polskiego ojca.

Jakżeż mogła tak się pomylić?! A przecież była pewna, zupełnie pewna! Że ten nieśmiały i zamknięty w sobie Feliks nigdy nie odważy się nawet podnieść wzroku na inną kobietę. Nie po tym, jak ukołysała go w ramionach i oddała całą swą czułość, nieofiario-waną nigdy wcześniej nikomu, a już na pewno nie zawadiackiemu, dumnemu z siebie Pietii! Wybiega szybko, jak co dzień, zostawiając za sobą rozplakane dzieci i przemierza uliczki w poszukiwaniu jakiejś nadziei. Ale kto jej pomoże? Trzeba było pozostawać wśród swoich! To chciało się szukać szczęścia, Bóg wie gdzie! U Polaczków! Cha, cha, cha! Sąsiadki tylko kryją twarze, kiedy przechodzi obok nich. — Skaranie boskie z tą Sonieczką! Dzieciaki pozostawione same sobie, męża nigdy w domu nie ma, a ona tylko lata! Pokarał Bóg! Pokarał...!

65

Było głowy nie zadzierać! Do cerkwi pokornie chodzić... Szast--prast! I życie zmarnowane!

Leon pojawia się nagle, znikąd. I Anna nigdy nie ma się dowiedzieć, w jaki sposób uniknął aresztowania jako Polak i żołnierz. Może był w ruchu oporu? Może ukrywał prawdziwe nazwisko? Gdzie przebywał przez te wszystkie miesiące, od wybuchu wojny? Dlaczego nie pojawił się wcześniej? Wszystko to pozostanie na zawsze bez odpowiedzi, ukryte pod powiekami młodego, gniewnego mężczyzny.

W każdym razie, w chwili spotkania, nie ukrywa on na pewno swoich uczuć. Pewnie myślał o niej od dawna, szukał wszędzie, przecież kochali się od najmłodszych lat i Anna zawsze wierzyła, że jeśli tylko Leon żyje, to znajdzie sposób, by ją odnaleźć. Ale teraz nie kocha jej na pewno. To widać z jego twarzy i lodowatego spojrzenia.

Są w parku. Późne, jesienne, ale zadziwiająco ciepłe słońce skłoniło Annę do zabrania ciepło opatulonego Adasia na jeden z nielicznych ostatnich czasu spacerów. Podrzucali żółte i czerwone liście wysoko w górę, a kiedy dołączył do nich na chwilę Feliks, zabawa dla chłopczyka zaczęła się na dobre. Ganiali go po parkowych alejkach i śmiali się wesoło, chcąc ukraść rzadką chwilę prawdziwej beztroski i ofiarować ją malutkiemu dziecku, tak dotkliwie doświadczonemu przez los.

Młody mężczyzna patrzy na nich długo, stojąc u wylotu alejki. Utrwała w sobie wtedy przekonania, którym wierny będzie już na zawsze. Te własne prawdy o Annie, jednoznaczne dla niego i niepodważalne. Widzi jak malec, będąc na rękach doktora, wyciąga łapki do Anny, a ona odbiega dla żartu, nie zwracając niby uwagi na wołania brzdąca i nie widząc wcale rozkochanego spojrzenia Feliksa.

— Leon! — wpada na niego nagle, zdumiona, niepewna, czy to naprawdę on, czy przewidzenie, wynikłe z częstego, głęboko skrywanego, myślenia o nim. — Leonie! Jakże? Skąd ty tutaj? O Boże!

— Jesteś teraz Nusią? — pogardliwie wykrzywione wargi ledwo przepuszczają zjadliwie brzmiące słowa. Chłopak patrzy na nią, dziwnie brzydki, mimo swych błękitnych oczu i złotych włosów. — A więc Nusia, tak? Panna Nusia i jej dziecko! — cedzi. — Bo to twoje dziecko, prawda?
66

— To Adaś — odpowiada ona, bezradna wobec okrucieństwa w jego głosie i twarzy — to Adaś, Leonie!

— Nienawidzę cię i żałuję, że dożyłem tej chwili — Leon wcale nie czeka na odpowiedź, jakby znał ją dobrze, zanim w ogóle zadał to pytanie. Dramatyczna, niemal teatralna wypowiedź, też zdaje się przygotowana zawczasu, jakby z nią tu przyszedł. Ukochana twarz przyjaciela z dzieciństwa wygląda teraz jak maska, wykuta z grubej, nieprzenikalnej dla niej warstwy lodu.

Czas zamiera, a z nim stojący przy drzwiach ranni żołnierze, zdumione pielęgniarzki, nawet kolorowe liście na drzewach i ona sama, niemogąca wykrztusić słowa ze ściśniętego w zgrozie gardła. Spogląda jeszcze za siebie, szukając w Feliksie pomocy, ale jego oczy znad rudych loków chłopca zdradzają nagle wszystko, czego nie dostrzegła w nich nigdy wcześniej. I nie ma już ratunku. Ten moment wahania przesądza o wszystkim, o całym jej dalszym życiu. Znikający w bramie parku Leon, wyrażająca całą rozpaczliwą miłość twarz Feliksa i roześmiana buzia wyciągającego teraz do niej rączki Adasia, wszystko to razem pozostaje na zawsze ostrą kreską wyrysowane w jej pamięci.

Jeszcze tego samego dnia Nusia opuszcza szpital. Znajoma siostra oddziałowa, starsza, cicha kobieta, która od dawna wzdychała z bólem nad żalostną farsą uczuć, ukrywanych przez doktora, daje jej adres swej matki. Staruszka mieszka na wsi pod Lwowem i bojąc się samotności, rozpaczliwie wzywa córkę do powrotu. Nusia spędza u niej, wraz z Adasiem, lata do końca wojny, pomagając w gospodarstwie i prowadząc dom.

Nie spotyka już nigdy ani Feliksa, ani Leona.

Jedynie Sońka będzie odtąd zawsze szczęśliwa, z góry patrząca na posiwiśle z żalu sąsiadki, które potraciły to synów, to mężów. Ona ocaliła swoich! I kogo Bóg ukochał? Kogo wysłuchał? Jeszcze się do partii zapisze! Zadba o siebie i swoich, zawłaszcza po wojnie, kiedy już uda jej się zebrać razem całą swoją rodzinę i zyska ostateczną pewność, że Feliks

nie zdecyduje się jednak wyjechać do ojczyzny, gdy mu zagrozi, że ona z dziećmi zostanie tutaj.

Nigdy też nie będzie wspominać ani tym bardziej żałować rozmowy, którą kiedyś odbyła przy bramie szpitalnego parku z pewnym młodym, pełnym niepokoju Polakiem.

V

Mimo że zrobił się już późny wieczór, zaglądam jednak na chwilę do pudła po przodkach, nad którym siedziałam w takiej zadumie, i obok albumu, który obejrzałam poprzednio, znajduję szarą brudną kopertę, a w niej tylko jedno zdjęcie, bardzo pożółkłe i zniszczone. Babcia Nusia jest na nim ubrana w strój jakby sanitariuszki, w białym fartuchu i niewielkim cze-peczku na głowie. To pierwsza nieupozowana fotografia.

Jest chyba lato, bo sukienka babci ma krótkie rękawy, podobnie jak bluzeczka stojącego obok małego chłopczyka, którego buzię otaczają szalone kędziory. Ona pokazuje palcem w stronę fotografa, chcąc zwrócić na niego uwagę malca, który rzeczywiście unosi głowę i w pełnym słońcu widać jego radosny uśmiech. W głębi ogrodu, bo zdjęcie zrobione jest w plenerze, stoi wysoki chudy i trochę przygarbiony mężczyzna w białym fartuchu. Jego twarzy nie widać, bo spogląda gdzieś w bok, a ręce ma głęboko wbite w kieszenie.

Pierwsze zdjęcie wujka Adama. Jest taki malutki i słoneczny. Kto by pomyślał, jak dziwnie ułoży się jego życie. Naprawdę podziwiam babcię Nusię za to, że potrafiła uchronić go od śmierci i wychować, choć musiało jej być przecież bardzo ciężko. Wiem o tamtych jej losach niewiele, tylko, że wojnę spędziła gdzieś we Lwowie czy okolicach, a później przyjechała jako repatriantka na Ziemię Zachodnie.

Stare pokolenie miało w sobie jednak silnego ducha — myślę filozoficznie, patrząc na ciemniejące za oknem niebo i uśmiechając się do migoczących okienek, gwiazdek tej rozległej, miejskiej sypialni. Takiego głupiego Hubercika przemieliłaby Nusia w dwie chwilki przez maszynkę do mięsa! Ani by jej podskoczył! Zawsze wiedziała, co w człowieku siedzi i jaki kto ma charakter. Może i ja zmądrzeję? Mam silnych przodków, którzy nie dali sobie w kaszę dmuchać! Koniec rozczulania się nad sobą! Zabiorę się teraz za tłumaczenia, a papierosy i wino pójdą w ką!... W każdym razie

69

na dzisiaj — zastrzegam się prędko, patrząc w sufit, jakby stamtąd spoglądała na mnie dobrotliwa twarz babci Nusi. Jestem mądra —

postanawiam kategorycznie. Nie będę się niczym przejmować i pójdę spać, jak tylko skończę robotę.

Lubię czytać, literki zawsze działały na mnie dziwnie uspokajająco, jak magiczne znaczki, przenoszące natychmiast w inny, lepszy wymiar. Świat dookoła znika i znajdujesz się w zupełnie innej przestrzeni, zależnej jedynie od twojej wyobraźni. Możesz bezboleśnie uciec od ugniatających smutków i spraw, którym w realnym świecie nie umiałabyś może sprostać. Czytam prędko, więc powieściowe światy czasem kończą się zbyt szybko, ale przecież zawsze jest jeszcze coś nowego, inna bajka, wymyślona przez kogoś, dla mojej radości i ucieczki.

Z tłumaczeniami jest, co prawda, nieco inaczej i zabierają więcej czasu, ale też mają swój urok, zwłaszcza, jeśli trzeba nieco się namęczyć, żeby dobrze, w pełni oddać nie tylko treść, ale i nastrój tekstu. Niestety, najczęściej muszę przekładać pisma mało ważne, raczej chłodne i obojętne w wymowie, ale i tak niemal za każdym razem sprawia mi to frajdę. To prawdziwe szczęście, gdy człowieka bawi jego praca. W moim przypadku tak właśnie jest, więc niestraszne mi nocki nad najnudniejszym nawet tekstem.

Nazajutrz wyspana i pełna nowych sił pojawiam się w biurze, gdzie oddaję przed terminem swoje tłumaczenia, wzbudzając uzasadnioną radość współpracowników. Na horyzoncie spokój, żadnych niepożądanych gości. Czuję, jak z chwili na chwilę staję się silniejsza i gotowa do działania. Wypijam południową kawę z Zośką przyjaciółką ze szkoły i sekretarką biurową jednocześnie, przy czym gadamy o ciepłych ciuchach, które już nieodwołalnie trzeba wyciągnąć z szafy, bo przymrozek zwarzył dzisiaj resztę liści na drzewach. Rano osiadła pierwsza szadź na trawnikach, a z ust przechodniów unosiły się obłoczki pary. Może też warto byłoby wybrać się na jakieś zakupy? Przywitać jesień szalonym strojem? Oczywiście pod warunkiem, że nasze finanse dadzą radę takim babskim ekstrawagancjom.

— Odezwałaś się wreszcie do tego prawnika? — pyta, właściwie niezainteresowana odpowiedzią Zośka, strzelając okiem w stronę kilku wchodzących właśnie do barku młodych mężczyzn. Jest dziś nimi szczególnie zajęta, bo zdecydowała się poważnie i ostatecznie zdobyć sobie kogoś na stałe. Od pewnego czasu jest sama, odkąd odstawiła od piersi tego brodatego plastyka, którego wcześniej rozpieszczała. Chłopak miał rzeczywiście wiele wdzię-

70

ku i nie sposób było go nie lubić, ale jednocześnie nie posiadał za grosz

odpowiedzialności i traktował życie jak niekończącą się bajkę o zaczarowanym świecie kwiatków i wróżek, w którym konkretna z natury Zośka jakoś nie mogła znaleźć dla siebie miejsca.

— Do którego? — odwracam się i podążam wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Głupia! Do żadnego z nich! — chichocze wdzięcznie Zośka i wcale nie mam pewności, czy to ja ją rozśmieszyłam, czy chce tylko zwrócić na siebie uwagę interesujących samców. A jest to możliwe, bo Zośka ma w sobie swoisty seksualny mechanizm, który uruchamia całą jej kobiecość zawsze wtedy, gdy w polu widzenia pojawiają się męskie spodnie, a ona postanawia zadziałać i wywołać zainteresowanie ich właściciela.

— W ubiegłym miesiącu dzwonił jakiś Anglik do ciebie. Jak byłaś w Szczecinie. Powiedziałaś, że wrócisz dopiero przed Wszystkimi Świętymi, ale powtórzyłam przecież Hubertowi trzy razy, żeby ci przekazał. Mówił?

A miało być tak pięknie! Cholera jasna z tym Hubertem! Czy ja już żadnej kawy bez niego wypić nie mogę? Ta jego milcząca obecność powoduje, że każda filiżanka wydaje się dosłownie pełna piołunu. Nic nie mówił!

Wprawiał się w diagnozowaniu hysterii u pozornie bliskich mu osób, a potem dźwigał pospiesznie paczki i meble, to kiedy niby miał znaleźć czas na proste informacje? A teraz przecież nie będę go pytać! Zwłaszcza że zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

— Czego chciał? — zaczynam zatem dyplomatycznie i samodzielnie dochodzić do sedna informacji.

— Kto? Hubert? — Zośka wyraźnie znajduje się poza naszym stolikiem, a jej duchowa powłoka otula właśnie szerokie bary młodego pięknisia, który usiadł nieopodal. Widzę niemal, jak w marzeniach przytula się do niego miłośnie, poprawiając przy tym pedantycznie jego nieco przekrzywiony krawat.

— Skup się! — żądam kategorycznie i skanduję powoli, litera po literze.

— Czego chciał ode mnie ten angielski adwokat? Anglik, kobieto, ten, z którym rozmawiałaś. Czego chciał?

— A bo ja wiem? Rozumiem po angielsku piąte przez dziesiąte, sama wiesz — jej spłoszony wzrok, skierowany teraz wyraźnie tylko na mnie, przypomina mi naszą wspólną tajemnicę, dotyczącą umiejętności lingwistycznych Zośki. Francuski zna, owszem, niemiecki w miarę, ale angielski budzi jej silny sprzeciw już od czasów liceum, kiedy żarliwie i z wzajemnością nienawidziła nauczycielki tego języka.

71

Jestem przekonana, że Biedronka (uwielbiała apaszki w drobne groszki,

które wiązała fantazyjnie na nieco już podwiedłej, chudej szyi) wyczuła w niej po prostu swoje własne fluidy, którymi obie tak silnie emanowały na widok facetów. Biedna belszczyca musiała czuć w Zośce, młodszej i co tu dużo gadać, o niebo zgrabniejszej, silną konkurencję, którą zwalczała wszelkimi możliwymi sposobami. A że miała do dyspozycji jedynie te dydaktyczne, Zośka ciągle lądowała w ławce z dwójkami, tak długo, aż sama, przecież niegłupia, zrezygnowała z nauki angielskiego, dając wreszcie Biedronce uczciwe podstawy do narzekania.

Swoją drogą, ciekawe, dlaczego mnie nie tępiła? Czyżbym była mniej zgrabna, niż Zośka? E, pewnie nie reaguję tak żywiołowo na płęć brzydką. Albo, co bardziej prawdopodobne, to płęć brzydka nie reaguje na mnie. W życiu nie zapomnę, jak skamienieli chłopcy w naszej klasie, kiedy, na początku września, w drugim roku nauki, pojawiła się pierwszy raz Zośka. Nasi koledzy, nasze niemrawe misiaczki, co to nie widziały żadnej z nas, kiedy na przerwach chcieliśmy wepchnąć się do kolejki po drożdżówki w szkolnym bistro, stali się nagle, jeden przez drugiego, męskimi herosami, odważnymi zdobywcami, szarmanckimi dżentelmenami, a każda z nas, stojących akurat, choćby przypadkowo, obok Zośki, stawiała się dla każdego największą przyjaciółką albo zgoła pięknoscią, do której trzeba się szczerzyć i zagadywać. Cokolwiek by mówić, Zośka wprowadziła do naszej klasy powiew romansowy, który już pozostał nam do matury.

— Wciąż tylko powtarzał Chotecka i Chotecka — kontynuuje teraz sprawozdanie Zośka — że chce rozmawiać i że to ważne. Ważne bardzo. Gadał powoli, jak do oślicy, jednak tyle tylko pojęłam. Może i było coś więcej, ale niewiele. No, więc wydukałam w kulawej odpowiedzi, że wyjechałaś w ważnych sprawach służbowych i przedyktowałam numery telefonów. Co przeżyłam przy cyferkach, możesz sobie jedynie wyobrazić. Pod warunkiem oczywiście, że masz tę wyobraźnię wyjątkowo wybujałą.

— Adres też?

— Co adres? A nie, adresu nie chciałam, tylko telefony.

— Pięknie — podsumowuję bezradnie — właśnie zmieniłam numery, więc już po zawodach. Masz tu, zapisz sobie nowe przy okazji, w razie gdybyś znowu musiała się popisywać angielskim.

— Złośliwość szkodzi urodzie, moja droga. Zwróć szczególną uwagę, że nie mówię, piękna. Ale, ale... Hubert nic ci nie powtórzył? Przecież dzwoniłam wtedy zaraz do ciebie i jeszcze działały te stare, skoro się odezwał. Kiedy je w ogóle zmieniłaś i po co?

72

I co mam jej powiedzieć? Nie chce mi się tłumaczyć wszystkiego od nowa

i uprzytamniać kolejnej osobie, jaka ze mnie szczęściara. I jaki mam kolosalny fart do facetów. Jeszcze mi zalegają w pamięci niedawne przeżycia z Ewką, a na kolejne jakoś zupełnie nie mam nastroju.

Masochistką nie jestem, cierpieć nie lubię, cóż, fanaberię mam taką. — Hubert się wyprowadził — mówię więc tylko rzeczowo, kładąc szczególny nacisk na „się”, staram się przy tym wyglądać bardzo spokojnie, ale z niepokojem czekam na jej reakcję.

— Ejże? Nie może być? — Zośka patrzy na mnie, wymownie unosząc brwi. — Takie buty! — dodaje jeszcze z rozpędu i potem zupełnie milknie. Nie ma jednak w tym milczeniu żadnej natrętnej ciekawości, co stwierdzam stanowczo, bo mam ostatnio spore doświadczenie w tym względzie, więc czuję, że lubię ją w tej chwili jeszcze bardziej niż dotychczas. Patrzy przez moment na mnie i łagodnie wzrusza ramionami. — Rozumiem. Teraz już nic do niego nie gadać? — upewnia się jeszcze, a potem tylko kiwa głową. Raz. Że przyjęła do wiadomości. Nie wielokrotnie, potwierdzając, że spodziewała się od dawna, bo taka z nas była niedobrana para.

Doceniam, pełna wdzięczności, jej postawę i owo przyjęcie do wiadomości, że jeśli milczę, to tak właśnie chcę, a gdy dojrzeję do gadania, to powiem jej sama, co uznam za stosowne. W odpowiedniej chwili i czasie. Kiedy będę gotowa do zwierzeń. Więc w spokoju kończymy kawę, i nie odczuwam w sobie histerycznej chęci, by uciec przed nią na drugi koniec świata. Rozważamy też przez chwilę, który z samców obok byłby dla niej najbardziej odpowiedni. Stawiam na tego z przekrzywionym krawatem, ale ona już zwróciła uwagę na innego, przystojniaka z aktówką, siedzącego za moimi plecami. Nie widziałam go dobrze, więc nie wiem, jak dokładnie wygląda i czy odpowiednio reaguje na Zosię, ale jak ją znam, jutro facet będzie stał przed biurem z wiechciem kwiatków w drżących dłoniach, wypatrując stęsknionym wzrokiem jej zgrabnego tyłeczka.

A ponieważ Zośka już zaczyna swoje delikatne uwodzenie, zostawiam ją samą w barku, żeby zrealizowała swój plan na dzisiaj. Mam ochotę na pożegnanie cmoknąć ją dziękczynnie w różowy policzek, ale życzę tylko powodzenia, co przyjmuje życzliwie, ale jedynie kątem świadomości. Chwilami mam wrażenie, że ona uważa dzień za stracony, jeśli kogoś leciutko nie omota, choćby uśmieszkiem albo malutkim geścikiem, od niechcenia rzuconym

73

w stronę spragnionego samca. Ma to po prostu we krwi, lepiej się czuje,

jak profilaktycznie sprawdzi, czy nadal robi odpowiednie wrażenie na mężczyznach.

Ale niech sobie podrywa, nigdy nie posuwa się dalej, niż poza zwykły flircik, bo wbrew pozorom jest bardzo wierna i raczej konserwatywna, a ponadto nie odbija facetów innym babkom. W każdym razie świadomie. Miałyśmy kiedyś, jeszcze w szkole, taki przypadek, że chłopiec przynależny od dawna koleżance zaczął się do Zośki lekko przystawiać. Odpaliła go tak kategorycznie, że dym mu tylko poszedł uszami.

Najbardziej podobało mi się w naszej rozmowie to, że ona nie nawiązywała w niej ani słowem do mojej sytuacji! I nie kazała mi, na przykład, wybrać sobie, choćby do ewentualnego rozważenia, któregoś spośród siedzących w barku facetów, aby polepszyć sobie nastrój, co pewnie zaproponowałyby większość innych dziewczyn. Zośka wychodzi z założenia, że do całkiem nowego podrywu, takiego poważnego, trzeba mieć w sobie odpowiednie siły i spokojne serce. Faceci to, ostatecznie, też ludzie i nie wypada sobie na nich pogrywać, zwłaszcza kiedy się ma takie, jak ona, możliwości.

Anglik, adwokat, Anglik, adwokat — wstukuję w pamięć informację, niepewna na razie, co z nią zrobić, tym bardziej, że muszę teraz starannie omijać nachalnych pieszych, którzy dzisiaj chyba zupełnie zapomnieli, do czego służą pasy na jezdni. Bywają dni, kiedy pieszy i jadący jakoś w ogóle nie potrafią się zgrać. Może to zależy od faz księżyca? Albo dnia tygodnia? Sama nie wiem, w każdym razie czuję niekiedy chęć wyrazistego pogadania z niektórymi i rozumiem wówczas, choć nie popieram, niektórych panów wypowiadających się głośno z otwartych okien swoich lśniących maszyn.

Ciekawe, swoją drogą, że nigdy nie widziałam kobiety, która krzyczałaby do przechodniów, więc jeśli wyrażają swe zdanie, a na pewno to robią jak ja, to raczej pod nosem, dla własnej wyłącznie satysfakcji. Jesteśmy subtelniejsze i wrażliwsze, nie ranimy niepotrzebnie!

Aha! List! — ucieszona sprawnością własnego, kobiecego i delikatniejszego umysłu, zatrzymuję gwałtownie samochód na czerwonym świetle. Szybkie łypnięcie w lusterko, ten z tyłu też zdążył! Jak miło! Dzisiaj jest dzień kłopotów na drodze, więc pukanie w czoło łaskawie mu wybaczam.

74

Dostałam przecież wczoraj list z Harrogate, no, jasne, tylko gdzie go położyłam? Zwiewałam przed... wiadomo kim, potem czailiśmy się oboje po dwóch stronach drzwi, potem robota do wieczora. .. Zajęta

tłumaczeniami zupełnie zapomniałam o wszystkim innym. Niedobrze, bo...

Klakson? No już, już ruszam, palancie jeden! Jeżdżę automatem, więc i tak zawsze cię wyprzedzę na światłach, jak mi się tylko zachce. Zajęta umysłowo jestem, ścigać się z tobą nie będę, nie musisz mnie popędzać! Samochodzik aż ci dudni od basów, na pewno ogłuchłeś, i dobrze ci tak! U fryzjera też posiedziałeś odrobinę zbyt długo, prawda? Jeszcze mnie tu klaksonem popędzasz? Jedź! Zmień sobie pas, skoro tak ci się spieszy, o widzisz? Na drogę patrz! Już mi pokazywałeś to swoje wdzięczne czółko! Co z tymi facetami? Każdy z nich myśli, że jest najlepszym na świecie kierowcą, co szczerze mówiąc, zostało już dawno podważone przez większość obiektywnych statystyk. Ale co z tego? Nawet najmilszy, najbardziej udomowiony mężczyzna każdą z nas przekonuje ciągle o tej domniemanej męskiej dominacji szosowej. Co dzieje się z nimi, kiedy żony siadają za kierownicą ich własnego, ukochanego przyjaciela — samochodu, to czysta zgroza! Wstyd nawet przytaczać szczegóły! Te rozbudowane i wielowątkowe monodramy liryczne, te zamaszyste gesty ciała, sugerujące, że skręcamy tak ostro, iż biedaczek zaraz rozbije sobie głowę o przednią szybę! A wyrazista mimika! Każdy staje się w jednej chwili aktorem stulecia, szkoda tylko, że dla jednego, skołowanego widza rodzaju żeńskiego. Nie potrzeba wcale wypadku drogowego, bo takie małżeństwo gotowe jest zaszlachtować się w środku auta bez jakiegokolwiek zewnętrznej interwencji!

Nie zapomnę, jak Hubert wpajał mi zasady ostrożnego jeżdżenia i uważania na samochodowych złodziei. — Wiadomo, stuknie cię taki leciutko, ty wybiegasz, cała w nerwach, żeby ocenić straty, zostawiasz kluczyki w stacyjce, drzwi otwarte i... gotowe! Okradną cię, dziewczyno, ani nie mrugniesz tym umalowanym oczkiem! To pewne, jak amen w pacierzu! — powtarzał, za głowę się łapał, odgrywał sceny, jak z Monty Pythona, już widział, przeżywał dosłownie, jak to moje auto ginie po prostu, hen, za horyzontem.

I co dzieje się dalej? Otóż, kilka dni później moje bóstwo opowiada, jak to koleś stuknął go na światłach, leciutko, tylko po bagażniku, ale nie warto było nawet niczego spisywać, bo zaraz wyszedł sprawdzić i tylko machnęli do siebie ręką jak prawdziwi dżentelmeni, na znak zgody.

75

— Wyszedłeś z samochodu? Sprawdzić straty? Kluczyki zostały? A chociaż drzwi zamknąłeś? — próbowałam dopytać delikatnie, nauczona przecież zasad przez niego samego! I dowiedziałam się w zamian, że

jestem złośliwa, niczego oczywiście nie rozumiem, a tak w ogóle, to on by, w razie czego, przecież zdążył doskoczyć. Już widzę, jak doskakuje, do drzewa chyba, żeby czołem o korę postukać! I to ja niby jestem nieuważnym kierowcą!

Ale poza kontrolowaniem samochodu, to jednak braki mam wyraźne w mózgu, może nawet wstępne objawy sklerozy? Czy to współwystępuje z histerią? Bo gdzie ja, u licha, położyłam ten list? Były jakieś reklamówki... Pewnie cisnęłam do kosza. Co jeszcze? Czasopismo... Nie mam pojęcia, co z nim zrobiłam. Koperta jest pewnie razem, bo obie rzeczy trzymałam w jednej ręce. Z czasopismem, które odłożyłam... odłożyłam... No, cholera wie, gdzie mogłam je cisnąć!

Spokojnie! Nie dam się przecież teraz ponieść dzikim emocjom, bo jestem silna i mądra, może tylko odrobinę roztrzępana, a wcale niekoniecznie chora umysłowo. Mam porządnych przodków, którzy radzili sobie z każdą emocją. Albo nie radzili, patrz wuj Adam. Cholera! Jeśli natychmiast nie zacznę uważać na jezdnię, to ostatecznie rozsmaruję sobie jednak kogoś na przedniej szybie i zakończę smętnie całe swoje życie, a nie tylko głupie rozważania

O liście. Dosyć!

Z czystymi, na szczęście, szybami docieram do domu, ale w ferworze rozmaitych zabaw ulicznych po raz kolejny zapominam o zakupie jakichś produktów jadalnych. Za czasów Huberta lodówka musiała być co dzień załadowana po brzegi, bo uwielbiał wieczorne przygotowywanie posiłków, które samodzielnie pichcił i niezwykle dumny stawiał przede mną na stole. Mnie te nocne rarytasy nie cieszyły tak znowu bardzo, bo jedzenie o tej porze jest co najmniej niewskazane i zawsze dodaje nieco centymetrów w pasie i biodrach, a ponadto wchodzenie potem do kuchni zawsze groziło nagłym napadem apopleksji, jeśli spojrzano się na jej przestrzeń zawałoną dosłownie wszystkim, co tylko było w szafkach. Zgrzytając zębami, myłam potem tysiące niepotrzebnych przedmiotów, a pan i władca zupełnie nie rozumiał mojego złego humoru i braku jakiegokolwiek entuzjazmu przy swoim następnym napadzie kulinarnych zapędów. Teraz przynajmniej wszystko jest czyste wprost sterylnie, a lodówka świeci sobie po prostu jasnym, puściutkim wnętrzem.

1 super! Zdjęcia do artykułu o skrzętnej gosposi w wypucowanej

76

kuchence można sobie robić, kiedy się tylko człowiekowi zamarzy.

Trudno, nawet jeśli z braku zaopatrzenia w produkty jadalne trochę

schudnę, to mi na pewno nie zaszkodzi, a uparta myśl o liście gna mnie do

mieszkania, nie pozwalając na żadne inne działania.

Tajemnicza koperta leży spokojnie, wraz z czasopiśmie, na blacie szafki w owej lśniącej kuchni, oboje przyciśnięci wdzięcznie korkociągiem, świadkiem moich małych grzeszków z wczorajszego wieczoru.

Zwycięstwo! Nie uczymy go jednak kieliszkiem wina, jako że ostatnio zbyt często używamy tego elementu naszej zastawy stołowej. Tylko postąpimy rozważnie i przeczytamy wszystko dokładnie i całkowicie na trzeźwo. Mamy swoje zasady, z których nie rezygnujemy tak łatwo. Tekst jest bardzo lapidarny, nawet Zosia by go zrozumiała. Niejaki pan Hektor Bradley pragnie jak najszybciej skontaktować się ze mną w sprawie spadku po pani Teodorze Wilson-Bielsky, która zmarła 10 października bieżącego roku w Harrogate, w Yorkshire, w Anglii. Pan Bradley pozostaje z wyrazami szacunku, podając jednocześnie swoje numery telefonu i faksu, jak również dokładny adres, czekając przy tym na rychły kontakt, najlepiej osobisty. Ha! No proszę, jednak bez wina się nie obejść. Wczoraj wypiliśmy tylko jeden kieliszek, więc mam uczciwe prawo do drugiego. Pozwalam też sobie na papieroska. Albo dwa. Niezbędnie. Koniecznie. Natychmiast.

Przyjmuję spokojnie obie trucizny i dumam. Wiem, kim była Teodora. Moją cioteczną babką najmłodszą córką pradziadka Mariusza. Brzmi to może ociupinkę dziwnie, ale jest prawdziwe. Mimo że była mi babką to jednak stosunkowo młodą bo pradziadek żył długo, a różnica lat między pierwszym jej córką i drugą wynosiła dwadzieścia pięć. Nigdy jej jednak na oczy nie widziałam, bo urodziła się w Anglii i w Polsce nie była.

Co prawda, ja pojechałam do Anglii, ale nie miałam wtedy głowy do odwiedzin, zresztą nigdy nie zostałam przez nią zaproszona. Moi rodzice owszem, ale jakoś się nie wybrali. Chociaż chcieli. Nie zrobili jednak wielu rzeczy z tych, które planowali, prawda? Pewien pijany głupek skutecznie im to uniemożliwił.

Do Harrogate wyjeżdżali tylko dziadkowie, oprócz wujka Adama oczywiście, nawet kilkakrotnie, ostatni raz natomiast byli na pogrzebie pradziadka Mariusza, w osiemdziesiątym drugim roku. Przede wszystkim oni utrzymywali stały i osobisty kontakt z Teodorą ale po ich śmierci z kolei rodzice już tylko wymieniali z nią listy, chociaż, o ile pamiętam, nawet dość częste. Bo Teodora była

11

bliska im wiekiem, nieco tylko starsza od mojego taty. A ja? Ja już nie kontaktowałam się z nią wcale. No tak, po raz kolejny okazuje się, że czegoś nie dopilnowałam i nie załatwiłam, jak należy.

Zawiadomiłam, co prawda, Teodorę o tragicznej śmierci swoich rodziców, ale dopiero w jakiś czas po pogrzebie. Nie ze złośliwości. Przypadkiem, bo najzwyczajniej o niej zapomniałam. Przysłała później list, ale go nie przeczytałam, niestety. Jak żadnego innego z kondolencjami. Błąd? Może, ale kilka razy w życiu naprawdę nie otworzyłam niektórych listów. Po prostu nie mogłam, nie potrafiłam ich przeczytać. Potem powinnam się odezwać, wiem, ale i ona już więcej nie pisała. To pewnie żaden dobry argument, tylko po prostu jedyny, który mi przychodzi do głowy.

Siedzę teraz i mam wyrzuty sumienia. I znowu mam sobie coś do wypomnienia. Znowu czemuś nie sprostalam, coś zaniechałam, coś pominęłam. A teraz już nie zdążę tego naprawić. Człowiek zawsze ma jakieś złudzenia, że jeśli nie dziś, to jutro nadrobi stracone możliwości, dogoni je, obłaskawi. Zostaje potem z dojmującym uczuciem straty i niestrawnością, zbudowaną ze świadomości własnych błędów.

Więc zmarła. Szkoda. Nie była przecież taka stara. Urodziła się już po wojnie, mogła mieć teraz niecałe sześćdziesiąt lat albo coś koło tego. Cóż to jest? Żaden starczy wiek. Zatem chorowała. Nieładnie. Nic o tym nie wiedziałam, zresztą okazuje się, że w ogóle niewiele o niej wiedziałam, a przecież byłam jej jedyną polską krewną.

Kwestia tego pokrewieństwa zwraca mnie z powrotem w stronę listu. Spadek? Pradziadek nie miał przecież żadnych pieniędzy w tej Anglii. Wszystko zostało po wschodniej stronie granicy, nawet babcia Nusia niczego nie wyniosła z domu. Rzadko coś na ten temat mówiła, ale dobrze wiem, że pamiątek z jej młodości w domu dziadków nie było. Między innymi dlatego moje rojenia o szlachectwie, związane ze starym albumem, były tak bezpodstawne. Więc o cóż chodzi? Niemożliwe, żeby Teodora nie miała żadnych innych krewnych, bo wtedy moje milczenie byłoby jeszcze okropniejsze!

Pięknie. Teraz i z takim uczuciem niepokoju będę sobie musiała poradzić, choćby przez jakiś czas, bo dziś dzwonić do tego Hektora już nie mogę. Telefony są na pewno służbowe, a teraz jest późne, piątkowe popołudnie, wieczór właściwie. Przecież mu się nie nagram na sekretarkę. Co niby bym miała powiedzieć? Że mi przykro z powodu śmierci Teodory? Czy że czekam niecierpliwie na forszę

78

ze spadku, mimo że pisać mi się do niej nie chciało? Skoro minęło tyle czasu, to możemy równie dobrze poczekać do poniedziałku. Zobaczymy wtedy, o co w tym wszystkim chodzi.

Myśl o Teodorze pcha mnie po raz kolejny w stronę kartonu po dziadkach,

może znajdę w nim jakieś jej zdjęcie? Ostatecznie pradziadek Mariusz przyjeżdżał do Polski i pisywał listy, może coś tu będzie? Stoję chwilę, niepewna, czy rzeczywiście mam siłę i wolę, by zanurzyć się w tych wspomnieniach, bo wymagają jednak pewnej odwagi, o którą ostatnio jakoś szczególnie mi trudno. I po raz kolejny jestem zadowolona, że nikt nie widzi mego kiwania się w tę i z powrotem na środku pokoju. Jest jakiś sens w tej samotności i pustym mieszkaniu, mogę przynajmniej zachować resztki godności, sam na sam ze swoim słabiutkim charakterem.

\

VI

Najważniejsze, że Anna jednak żyje, Bogu dzięki! Choć tak bardzo pogmatwał się jej los, to przecież jakoś przeżyła. Przynajmniej do czasu, gdy spotkał ją Leon — Mariusz siedzi za biurkiem w swoim gabinecie i raz jeszcze przebiega wzrokiem zapisane czarnym atramentem linijki. Stara się zrozumieć pełne pasji uczucia Leona, jednak bolą go ostre słowa, którymi ten bliski mu przecież młody człowiek opisuje jego własną córkę. Informuje go oto, w sposób okrutny i pełen wściekłej pasji, że dziewczyna ma nieślubne dziecko z żonatym doktorem i pracuje w szpitalu, w którym umarła Helena.

O śmierci żony wiedział już wcześniej i choć informacja ta nie została dotychczas potwierdzona dokumentami, wierzył w nią, bo kurier, który przesłał wiadomość, przysięgał, że widział akt jej zgonu. Biedna Helena. Mariusz pamięta ciągle ich pełne żaru pożegnanie w noc wyjazdu, to miłosne uniesienie, które przyszło na nich nie wiadomo skąd i tak boleśnie przypominało jego wyjazd na pierwszą wojnę.

A jednak nigdy się nie rozumieli. Nawet wtedy, w ogrodzie. Helena błagała go wówczas, żeby nie jechał! Jak mogła? Skąd w ogóle taki pomysł? Jakby nie rozumiała, że dostał wezwanie i po prostu musi się stawić! Oczywiście nie wiedzieli wtedy oboje, że wojna jednak wybuchnie i jest to ich ostatnie pożegnanie, ale nawet jeśli by wiedzieli, co mógł zmienić?

A ile żalu i złości było w jej reakcji! Zniszczyła tym zupełnie jego serdeczne wzruszenie sprzed chwili. Pomyślał nawet, znowu żałośnie zawiedziony, że chyba nie była spontaniczna w uniesieniu, któremu ulegli... Nie chciał! Bóg mu świadkiem, że nie chciał tak jej osądzać, a jednak cały urok ich intymnej bliskości rozwiął się natychmiast w jej pełnych wyrzutu słowach i całkowicie zatruł tamto wspomnienie. Jak zwykle, jak zawsze... Boże drogi! Nawet to ostatnie ich pożegnanie, które mogło stanowić podstawę jego czułych wspomnień o żonie, pozostanie w

nim skażone,

81

chore jakoś i nigdy już nie będzie miał co do jego intencji żadnej pewności.

Będąc już w Londynie, martwił się prawdziwie o żonę i córkę, których nie zdołał wywieźć z kraju, więc liczyć mógł tylko na opiekę Józefa nad nimi, ale czuł jednak wyraźnie, że coś dziwnego musiało się między Heleną a Józefami wydarzyć. Jakaś kłótnia? Gwałtowne, niezrozumiałe nieporozumienie? Nie mógł tego pojąć! Przez wszystkie te lata nie przemówili się przecież w żadnej sprawie i nigdy, o nic, między sobą! A tu najpierw przyjaciel zawiadomił go o pospiesznym wyjeździe obu kobiet, później Helena donosiła, że jest chora i bezpieczniej czuje się we Lwowie, w końcu Anna, w dziwnym chaotycznym liście, właściwie potwierdzała obie wersje, pisząc o chorobliwym podenerwowaniu matki. Nie wiedział zupełnie, co o tym sądzić. Jak to możliwe, żeby w tak niebezpiecznym czasie zrywać kontakty z bliskimi jak rodzina ludźmi? Prawdopodobnie Helena czuła się źle już przed jego wyjazdem, stąd dziwny wieczór pożegnalny, później zaś chciała potwierdzić lub obalić swe obawy u lekarzy. Dlaczego jednak nie u miejscowych? Skąd dziwaczne tajemnice przed Emilką i Józefem?

Usiłował się czegoś pewniejszego dowiedzieć, ale listy przestały przychodzić, a w końcu słuch o wszystkich zaginął. Józefów wysiedlono na Syberię i stamtąd nie przyszła już od nich żadna wieść, Helena umarła, a o Annie nie wiedział nic. Wiele razy przeklinał swoją sytuację, był jednak potrzebny tu, przy organizacji zaopatrzenia dla wojska, a także przy Sikorskim. Na tereny okupowane nie mógł przecież w żaden sposób się przedostać. Jeśli już kogoś wysyłano, to młodych chłopaków, których mógł prosić jedynie o jakiegokolwiek informacje.

List od Leona też długo krążył, przesłano go bez znaczka, tylko z nazwiskiem i stopniem Mariusza, a Leon, pisząc zapewne pod wpływem skrajnych emocji, nie podał żadnych dat. Jesień! Na Boga! Ale która? Czterdziestego drugiego? Trzeciego? Ile lat ma dziecko Anny? Kiedy je urodziła? Tego w żaden sposób nie można z tekstu wyczytać! Piszący skupia się tylko na pełnych wykrzykników zdaniach, w których brakuje jednak tych podstawowych przecież informacji. Jakże oni ze sobą rozmawiali? Dlaczego Leon nie zadał tych podstawowych i bardzo ważnych pytań?

Teraz jest wiosna czterdziestego czwartego i wszystkie informacje, a przynajmniej ogromna ich część, są z pewnością całkowicie nieaktualne.

Skąd można wiedzieć, czy Anna nadal mieszka

82

we Lwowie? Czy ten lekarz okazał się na tyle odpowiedzialny, by o nią zadbać? O nią i o dziecko?

Więc okazuje się, że jest już dziadkiem. Boże mój! Jakże inaczej wyobrażał sobie narodziny ewentualnego wnuka! Byliby z Józefem tacy dumni! A kobiety? Wreszcie staliby się prawdziwymi krewnymi, za jakich uważali się od lat. Urządziliby piękne, huczne chrzciny. Jak tamte, pamiętne, Leona. Nie! Huczniejsze nawet! Zebrałaby się cała okolica, Józef znów mógłby się trochę upić. Boże! O czym on myśli? Przecież wojna trwałaby i tak. Nie. Nic, zupełnie nic, nie mogłoby być takie, jak sobie wymarzył. Znowu! Znowu inaczej, niżby pragnął!

Trzeba jednak być dobrej myśli, patrzeć realnie, nie ma sensu gdybać. Teraz Anna i jej dziecko są przecież jedyną jego rodziną. A nawet ten lekarz, zobaczy się, nawet jego można tu sprowadzić po wojnie, kto wie? Może wszystko jakoś się jeszcze ułoży? Ale rozwód? W jego rodzinie? Czy rozwiązanie takie, przerażające i obce jego myśleniu, byłoby w ogóle możliwe?

Jego córeczka, jego maleńka, kochana Anna, matką nieślubnego dziecka! Jak mogło do czegoś podobnego dojść? Jak się z tym pogodzić?

Zrozumieć? Nie! Do licha! Przecież nie jest hipokrytą ani tym bardziej jakimś uwstecznionym głupkiem! Obojętne, czy dziecko jest ślubne! To jego jedyny wnuk! Trzeba o nich zadbać! A nawet o siebie, bo ostatnio czuje się naprawdę kiepsko, a musi mieć siły! Dla siebie, dla Anny, dla dziecka! Co prawda, od śmierci Sikorskiego coraz mu trudniej wzbudzić w sobie jakąś nadzieję, ale trzeba będzie! Wojna niedługo musi się skończyć, a on coraz bardziej pogrąża się w smutku i rozterkach. Teraz jeszcze ta wiadomość! Coraz częściej ma wrażenie, że dawne życie należało do kogoś innego, obcego mu niemal i jest odległe od niego samego o cały świat.

Ale teraz będzie inaczej, znajdzie w sobie wolę, czy to zresztą pierwszy raz? Będzie walczył o bliskich! Już, od zaraz! Musi przede wszystkim podrzeć ten list. Czyta go i czyta od tak dawna, usiłując wysnuć jakieś nowe treści, lub złagodzić gorycz wykrzyczanych oskarżeń. To zupełnie bez sensu! Informacji w nim zawartych i tak nigdy nie zapomni, a ton zapisków i komentarze Leona nie powinny trafić w czyjekolwiek niepowołane ręce. Tak właśnie robi!

— Majorze? — w drzwiach gabinetu staje Vetti i niespokojnie patrzy w jego stronę — może napije się pan herbaty? Są też kanapki. Od rana nic

pan nie jadł. Tak doprawdy nie wolno. Wcale

83

też pan dzisiaj nie wyszedł, wciąż tylko przy biurku i przy biurku, a dzień wyjątkowo ładny, proszę spojrzeć.

— Może rzeczywiście coś zjem? — Mariusz powoli prostuje plecy i uśmiecha się z trudem. Nie chce martwić tej miłej, młodej kobiety, która zajmuje się nim troskliwie i chyba naprawdę pilnuje, żeby się nie zagłodził i nie przepracował. — Dobrze, Vetti, zjem kanapki — powtarza z werwą której nie czuje i energicznie uderza rękami o kolana — trzeba się dobrze odżywiać! Musimy mieć siły!

Jeszcze tylko drze na drobne kawałki ten nienawistny list i odchodzi od biurka, patrząc w stronę okna, za którym dziś rzeczywiście wyjątkowo jasno świeci słońce. Ale co to za słońce? Nie to, co u nich, w domu. Tam, gdy nadeszła wiosna, to świat cały budził się do życia! Pola aż parowały w gorącym słońcu, a tu? Ani porządnej, mroźnej zimy, ani pięknego, obezwładniającego lata, tylko to grzeczne, trochę obojętne ciepélko, suto pokrapiane codziennym deszczem. No trudno, trudno, trzeba się zmobilizować. Nie będzie przecież teraz rozpaczał w tęsknocie za upałem i domem, jak małe dziecko.

— A ty? Jadłaś już coś? — pyta troskliwie, gdy kobieta stawia na stoliku obok biurka tacę z jedzeniem. — Może mi potowarzy-szysz? Herbaty i chleba starczy spokojnie dla nas obojga. Przyjemniej posilać się w towarzystwie, moja matka mówiła, że z innymi ludźmi przy stole apetyt jedzącego wzrasta.

Mówi do Vetti po imieniu od kilku miesięcy, odkąd prosiła go o to skrepowana i zaczerwieniona, gdy spytał, co by chciała na urodziny. Kończyła wtedy trzydzieści trzy lata i uznał, że wypada dać jej jakiś drobiazg. Powiedziała mu szczerze, że najbardziej krępuje ją, kiedy on zwraca się do niej „panienko”, bo dziewczątkiem, zwłaszcza w tym wieku, już się nie czuje, ale nie chce stać się na zawsze „panią Wilson”, bo mężatką przecież też nie jest. Najlepszym więc dla niej prezentem będzie jego przyjaźń, wyrażona bezpośrednimi zwrotami, od których poczuje się mniej samotna.

Mariusz dobrze zna jej losy. Miała narzeczonego, lotnika, który zginął zestrzelony nad Francją na początku wojny. Ciężko przeżyła jego śmierć i choć nie chce o tym mówić, wszystko wskazuje na to, że nie otrząsnęła się po stracie. Unika kontaktów z ludźmi, nie nawiązuje żadnych przyjaźni. Jest pracowita, spokojna i kompetentna, dla wielu jednak odległa jak nieosiągalne gwiazdy.

Kiedyś zagadywał ją nawet jakiś młody oficer, wyraźnie zainteresowany bliższą znajomością ale tak wyraźnie dała mu do zro-

84

zumienia, że sobie nie życzy tych względów, że chłopak uciekał teraz od niej, jak od zadzumionej. Mariusz nawet litował się nad nim i trochę dziwił dziewczynie, bo, cóż, przepiękna przecież nie jest, choć miła i młodzieńczo świeża, ale i młodość wkrótce przeminie, jeśli nie podejmie jakichś decyzji. Ponadto może się tu czuć samotna, bo jej rodzice mieszkają daleko od Londynu, w Harrogate i widuje ich rzadko.

Mimo że po trzydziestce, Vetti robi wrażenie dużo młodszej, ma jasne włosy, lekko piegowaty nos i szare, wyraziste oczy. To typowa, szczupła i wysportowana Angielka, która spędziła dzieciństwo na koniu, uganiając po wrzosowiskach. Ma jasną cerę, płonąca zbyt łatwymi rumieńcami, natomiast opala się z trudem, jedynie w rodzinnych stronach, po całym lecie spędzonym na wolnym powietrzu. Żyjąc w mieście, nabiera niezdrowej bladości, którą podkreśla jeszcze nietwarzowa barwa munduru, dlatego Mariusz często obawia się, że jest chora i dba o nią, podobnie jak ona o niego, pilnując, by się dobrze odżywiała i w miarę możliwości przebywała na powietrzu.

Tu, na obrzeżach Londynu, dokąd przeniesiono ich po bombardowaniach śródmieścia, są właściwie skazani jedynie na swoje towarzystwo, oboje osamotnieni i nieskorzy do przelotnych kontaktów w wojskowej kantynie. Nie przeszkadza im to jednak, nie bywają na ogół skrepowani swoją obecnością, bliscy i zdystansowani jednocześnie, stworzyli w swoich stosunkach płaszczyznę spokojnego porozumienia i wzajemnego zaufania. Dobrze im się pracuje, szanują wzajemnie swoje poglądy, nie zwracając jednocześnie uwagi na drobne wady, doceniają natomiast zalety i, co wydaje się najtrudniejsze w tak bliskim kontakcie, nigdy nie wchodzą sobie w drogę.

A przecież Vetti siedzi teraz naprzeciw niego w skórzanym fotelu i popijając cieką herbatę, kruszy raczej niż je kanapkę z ogórkiem, patrzy przy tym niespokojnie, wyraźnie się waha i nie zaczyna swobodnej zazwyczaj rozmowy. Nie jest nieśmiała z natury, wręcz odwrotnie, żyje w krzepiącym poczuciu własnej wartości, które daje jej na ogół wystarczająco dużo tupetu, by odpalać bez pardonu niechciane zaczepki, tym bardziej dziwi go więc jej dzisiejsze skrepowanie i wyraźne zahamowanie w rozmowie.

— Co ci chodzi po głowie? — pyta zatem wprost, bo sam zmęczony i rozstrojony listem Leona, czuje się po raz pierwszy naprawdę źle w jej

towarzystwie, nacechowanym zwykle spokojną szczerością.

85

— Chcę pana majora do czegoś nakłonić — Vetti decyduje się wreszcie powrócić do swego normalnego zachowania, nabiera w płuca powietrze i patrzy na niego niespokojnie — chciałabym, żeby pan major pojechał ze mną do moich rodziców, na urlop.

Zdumienie, które zapada w tym momencie w gabinecie, jest niemal materialne i można je chyba kroić nożem. Za oknem śpiewają ptaki, dwóch mężczyzn przechodzi ścieżką, śmiejąc się głośno, a po chwili ich głosy nikną z wolna, gdy rozmawiający skręcają za narożnik budynku. Słysząc nawet brzęczenie muchy, a para przy stoliku patrzy na siebie, jakby dotychczas porozumiewała się dwoma obcymi językami. Jeśli Mariusz myślał, że dzisiaj nic go już nie potrafi zdziwić, to zaprawdę był w błędzie!

— To przecież nic złego — odpowiada na jego pytające spojrzenie Vetti — po prostu patrzeć nie mogę na pana ciągle zmęczonego. Oboje mamy masę zaległego urlopu, a tu — rozgląda się nieco lekceważąco po gabinecie, degradując tym gestem nie tylko porządne angielskie wyposażenie, ale w pewnym też stopniu cały jego kilkuletni trud, oddany wojnie — nic właściwie do roboty, bo wszelkie działania nabrały tempa, sam pan major wie, daleko stąd... Przekładamy tylko papiery — ciągnie, już zdecydowana wypowiedzieć wszystko do końca, skoro przełamała onieśmielenie i pierwszą bombę rzuciła między nich, na ten mosiężny stolik, z tradycyjnym dzbankiem herbaty i dzbanuszką mleka pośrodku. — Zwolnić nas w czasie wojny nie zwolnią, ale i przydatni szczególnie nie jesteśmy. Pułkownik już trzy razy pytał mnie, kiedy pan major trochę odpocznie. I kiedy ja mam zamiar wziąć urlop. Pomyślałam więc sobie, że można obie te sprawy sensownie połączyć.

— No, tak. Stary jestem — silny ucisk w sercu Mariusza wzrasta niebezpiecznie, a decyzje o działaniu i odwadze sprzed chwili zaczynają rozmywać się w zniechęceniu — teraz młodzi potrzebni, bo rzeczywiście wszystko przyspiesza... — nie chce mówić dalej, ale czuje, że każde słowo wypisane ma na poszarzałej teraz twarzy. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, że wypomni mu się jeszcze dzisiaj jego wiek i zbyteczność w armii.

— Stary, nie stary — ucina ona energicznie, nie pozwalając, by ostatecznie rozczulił się nad sobą — ale odpoczynek by się panu majorowi po prostu przydał. Jak przyjdzie co do czego, to siły nowe trzeba mieć, żeby sprawom wszystkim sprostać, wtedy chce się pan pochorować? Jaki w tym

będzie sens? A mój ojciec doprosić się nie może tej wizyty, bo ja dużo w listach o panu do rodziców pisałam. Byłoby tam panu naprawdę dobrze! — podsumowuje ostatecznie

86

i, jakby na potwierdzenie tych słów, odstawia z brzękiem filiżankę, którą dotychczas ścisnęła w dłoniach.

Wyjechać? Zostawić za sobą nie tylko to biuro, w którym pobyt coraz bardziej go męczy i daje wrażenie bezcelowości, ale odrzucić też, choćby na jakiś czas, jałowe i bolesne rozważania dotyczące najbliższych, którzy odeszli lub są tak daleko, że pomóc im w żaden sposób nie można. Uciec na wagary od smutku i bezradności, poznać nowych ludzi, nowe miejsca, wziąć oddech! Może rzeczywiście...?

— A wiesz, że to jest niezły pomysł? — odpowiada wreszcie jej przełożony po tak długiej chwili, że już zaczęła tracić nadzieję i wypominała sobie w myśli zbyt bezpośrednie postawienie sprawy. — Rzeczywiście mam wszystkiego dosyć! Trochę odpoczynku na pewno nam nie zaszkodzi!

Rodzinny dom Vetti okazuje się przemiłym miejscem, stoi wśród rozległych, brązowych w słońcu pól, z dala nawet od niewielkiego, cichego miasteczka, do którego zajeżdża się w niedzielę lub w razie niezbędnej jedynie potrzeby. Czas płynie tu, co prawda, powoli, lecz daje jednocześnie złudzenie bezpieczeństwa i całkowitego oderwania nie tylko od wojny, ale w ogóle całego, przerażającego świata. Daje moc i ciszę, wszystko, czego tak bardzo brakowało dotychczas tym dwojgu ludziom, przybywającym na swój wypoczynek z początku tak niechętnie.

Jej rodzice to spokojni, otwarci, sympatyczni ludzie, niewiele tylko starsi od samego Mariusza. Są rozmowni, ciepłi i chętnie nawiązują przyjaźń z samotnym Polakiem, przywiezionym przez córkę. Swobodnie mówią o sobie i Mariusz nie dostrzega w nich żadnej z przypisywanych Anglikom cech, dzięki którym zyskali sobie miano flegmatycznych i zdystansowanych.

Pobrali się bardzo młodo, z miłości, która połączyła ich jeszcze niemal w dzieciństwie, więc gdy James wyruszał (podobnie jak kiedyś Mariusz) na pierwszą wojnę, zostawił żonę z dwójką już dzieci, kilkuletnią Vetti i maleńkim synkiem. Kiedy później chłopiec nagle zmarł na polio, Wilsonowie skupili się na troskliwym wychowaniu córki i statecznym życiu angielskiego ziemiaństwa, ale pozostało w nich ciągle wiele jeszcze werwy, poczucia humoru i zdrowego rozsądku ludzi, gotowych odważnie brać się z życiem za bary. Potrafią czerpać wszystko, co dobre, z każdej

chwili, tyle,

87

ile tylko się da, nie gromadząc smutków, a raczej skupiając się na radościach codzienności. Tę rzadką cechę, łatwo ostatnio popadający w stany niemal depresyjne Polak, ceni sobie w nich chyba najbardziej. Teraz, spacerując z Jamesem wśród pastwisk, Mariusz odkrywa zaskakująco wiele wspólnych z nim przeżyć z okresu międzywojnia. Stwierdzają, że obaj podobnie oceniali rozwój gospodarki, niebezpieczeństwa polityki i codzienność Europy powojennej. Mieli też identyczne zdanie na temat podstępnie rozwijających się poglądów niemieckich lat trzydziestych. Bez radości, ale zgodnie potwierdzają w sobie słuszność owych przewidywań.

— Demokracja potrafi wywinać ludziom niezłego psikusa, jeśli bardzo uważnie nie przyglądać się każdemu politykowi i jego programowi z osobna — James, bardzo po angielsku, pyka fajeczkę. — W naszym parlamencie też nieraz pojawiają się ludzie, których miejsce jest najwyżej na kartonie w parku, żeby tam pokrzykiwali sobie do gawiedzi. Czego jednak można oczekiwać od nowicjuszy, jeśli nawet uznani politycy robią czasem gafy, za które krajowi przyjdzie się długo wstydzić. Tak, tak — kiwa głową nad postępowaniem własnego rządu.

W Jamesie jest coś z Józefa. Oczywiście nie powierzchowność, bo starszy pan ma postawę żołnierza i sprawność, której naprawdę można mu pozazdrościć, ale jego sposób nawiązywania kontaktu, zadowolenie z życia, umiejętność widzenia w każdym zdarzeniu czegoś pozytywnego, przypominają Mariuszowi utraconego przyjaciela i powodują, że łatwiej mu zdobyć się na szczerość nawet w sprawach, o których nigdy z nikim wcześniej nie rozmawiał. Może dlatego mówi Jamesowi o swoim życiu, pogmatwanych losach córki i nagłej śmierci żony, z którą do końca nie potrafił znaleźć wspólnego języka.

Matka Vetti, Cathy, która z uporem dzierga wieczorami na drutach wełniane skarpety dla chłopców w wojsku, jak w czasie pierwszej wojny, i wysyła ciasno związane bandaże do miejscowego ośrodka Czerwonego Krzyża, ma podobny charakter i choć w niczym nie jest podobna do Emilki, ich wspólna, krzepiąca obecność budzi w Mariuszu dawno utracone zadowolenie i uczucie sensowności życia. W jakiś dziwny sposób dramatyczna wojna, nieszczęścia osobiste, wszelkie smutki stają się odległe i nie tak silnie mu doskwierające, jak dotychczas. Martwi się nadal, to oczywiste, jednak więcej w tym uczuciu konstruktywnej woli walki, niż wcześniejszej, tak dojmującej bezradności.

W domu rodzinnym inna wydaje mu się również sama Vetti. Zachowuje się teraz jak młoda dziewczyna, bo jest najczęściej po prostu radosna i roześmiana. Jej buzia, blada dotychczas, nabiera zdrowych rumieńców, a długie, jasne włosy złocistego blasku. Szare oczy stają się momentami aż grafitowe, zwłaszcza wtedy, gdy dziewczyna, czymś podekscytowana, oddaje się całym sercem dyskusji lub żartom. Od razu widać, że świat dzieciństwa wpływa na niej swoisty afrodyzjak. I nagle Mariuszowi dużo łatwiej zrozumieć młodego oficera, który zabiegał o jej względy w Londynie, a któremu wówczas nieco jednak się dziwił.

Dużo wspólnie spacerują po rozległych polach, czasami łagodnie sprzecząc się nawet o sprawy codzienne i błahe, które nabierają tu nagle niezwykłego smaku i kolorytu. Mariusz na nowo uczy się śmiać swobodnie, dużo rozmawiać, odczuwać przyjemność z porozumienia z drugim, bliskim sobie człowiekiem. Młoda kobieta nigdy nie narzuca mu swojej obecności, doskonale czując się w swoim naturalnym środowisku, jednak on sam często, coraz częściej, szuka jej wzrokiem, zagadując i zachęcając do zwierzeń. Z początku jest to zachęta raczej ojcowska, z biegiem czasu jednak nabiera wyraźnie cech przyjacielskich, później natomiast, co jego samego raduje i niepokoi jednocześnie, wynika już z autentycznego, męskiego zainteresowania.

Dzięki temu poznaje radości i smutki jej dziewczęcych lat, jej marzenia, przyjaciół z dzieciństwa, losy młodości, burzliwej miłości, zakończonej tragicznie w pierwszych miesiącach wojny. Codziennie odkrywa w swojej skromnej i cichej dotychczas sekretarce nowe, zadziwiające go cechy i niezwykle emocje. Vetti wydaje mu się teraz spotkaną niedawno, zupełnie przedtem nieznaną osobą, godną jego zainteresowania i nieustającej uwagi. Ale mimo radości, którą dają mu te rozmowy, czuje się wewnątrz coraz bardziej skrępowany, bo doskonale przecież wie o rażącej i niemożliwej, jego zdaniem, do przekroczenia różnicy wieku między nimi.

Łagodne pagórki rozległych przestrzeni, pokratkowanych kamiennymi murkami okalającymi pola, po których spaceruje codziennie, nie przypominają wcale krajobrazów jego własnego majątku, a jednak bardzo go uspokajają. Mgliste poranki, rozświetlane chłodnym słońcem i rozbrzmiewające dzwonekami wyprowadzanych na pastwiska owiec, budzą w nim nie tylko ochotę na przeżycie dnia, ale i całego życia, które mu jeszcze pozostało. Głęboko wciąga w płuca rześkie powietrze i coraz odważniej zmagają się ze zmorami swojej przeszłości.

Na języku czuje wyraźniej smak świeżych potraw, zimnej wody ze źródła i cierpkiego alkoholu, wypijanego wieczorem przy kominku w pubie, do którego James zabiera go co dzień uparcie, chcąc, by poznał i polubił sposób angielskiego życia. Każdym zmysłem chłonie piękno otaczających go przestrzeni Yorkshire i z dnia na dzień silniej czuje się związany z ludźmi stąd. Wcale nie doskwiera mu teraz chłód poranków ani brak upału w ciągu dnia. Uważa nawet, że klimat taki jest o wiele przyjemniejszy niż ten, w którym funkcjonował dotychczas.

Młoda kobieta, która teraz często jest przy nim, skłania go do myślenia raczej o przyszłości niż losach przeszłych. Zmusza go do wewnętrznej walki i badania siebie, własnych uczuć i pragnień. Oczywiście walczy z sobą ale ta ostatnia wojenna wiosna daje mu wiele mocy i ostatecznie godzi z wyrokami losu. Po raz pierwszy od lat śpi spokojnie, więcej je, jeździ konno. Czuje się młodszy i gotowy dalej walczyć o swój los.

Zostanie w nim ta siła na wiele lat i ostatecznie da odwagę do tworzenia nowych, życiowych planów. Nie dziwi się zatem sobie i swoim uczuciom, a także własnej odpowiedzi, kiedy James, żegnając go przed wyjazdem, pyta po prostu: — Wiesz, że moja córka cię kocha, prawda?

Dopiero w drugiej połowie swego życia Mariusz poznaje radość prawdziwej miłości. Zaczyna rozumieć, czym jest bliski, szczery kontakt z kobietą kochającą i spontaniczną. Taką obok której chce się zasypiać i spokojnie, w pełni satysfakcji, budzić rano. Płowowłosa Angielka daje mu prawdziwy spokój spełnionego mężczyzny, a także drugą młodość, zamiast tamtej zagubionej gdzieś daleko, na polach własnego majątku, dawno temu, jesienią tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku.

Jest po prostu szczęśliwy, każdego dnia cieszy się życiem, smakując je w upojeniu i radości, więc kiedy po wojnie i po ślubie z Vetti, w czterdziestym szóstym, rodzi mu się córka, z pełnym przekonaniem przyjmuje propozycję żony, by dać jej na imię Teodora — dar od Boga.

VII

Ostatecznie nie docieram jednak do rodzinnych pamiątek, bo ciszę mieszkania przerywa nagle dzwonek telefonu. To odzywa się Alinka, żona Zbyszka. Mam przyjechać! Natychmiast, bez gadania. Czekają tu na mnie, w większym gronie starych kumpli i mowy nawet nie ma, żebym się nie pojawiła.

— Słuchaj — Alinka ścisza głos — przyjdź, proszę, co z tego, że nie widzieliśmy się tyle lat? W piątkowy wieczór nie będziesz przecież siedziała jak kołek w mieszkaniu. A siedzisz, skoro odebrałaś, więc nie

wymyślaj teraz wymówek, tylko wyskakuj z domu. Zobacysz, że u nas poczujesz się dobrze.

Trochę się opieram, ale nie mocno, bo głos Alinki brzmi rzeczywiście serdecznie i ciepło. Słysząc w nim autentyczną troskę, ukrytą pod lekkim skrepowaniem i żartobliwym tekstem, bo żadnymi wielkimi kumpelkami w życiu nie byłyśmy, znałyśmy się zaledwie trochę, ot tyle, co koleżanki z jednego podwórka, które w dzieciństwie razem bawiły się w piaskownicy, a potem rozmawiały krótko, w przelocie, od przypadku do przypadku, jeśli spotkały się gdzieś w okolicach rodzinnego domu.

Z trudem przełykam ślinę ze wzruszenia, rozumiejąc, jakie to ładne, że Zbyszek pomyślał o mnie, po tej nocnej, niemal milczącej, wymianie zamków w moim mieszkaniu, i oboje z żoną, przełamawszy towarzyskie opory, zdecydowali się zadzwonić. Bezinteresowna dobroć jakoś zawsze rozkłada człowieka na łopatki.

Okazuje się, że są na świecie ludzie, którzy pomyślą o tobie w złej godzinie i będą próbowali jakoś ci pomóc, babo jedna — mruczę do siebie uspokajająco, zakładając pospiesznie odpowiednie ciuchy i czesząc potargane poprzednimi wzruszeniami włosy.

Pojadę. Bo niby, dlaczego nie? Co prawda, przyjełam kieliszek wina, siedząc nad angielskim listem i rozważając swoje kolejne błędy, ale wymyślono już na świecie taksówki, a ja rzeczywiście nie muszę ciągle przebywać sama w tym opustoszałym mieszkaniu, za jedyne towarzystwo mając tylko stare fotografie! Jestem też

91

trochę głodna i choć może nie jest to najlepszy pretekst do odwiedzin, to jednak nawet on ma odrobinę swego znaczenia. Teodora czekała tyle lat, niech i teraz jeszcze poczeka. Zresztą może wcale nie ma w tym pudle jej zdjęć?

Wszystko, byle nie ta głupia samotność i rozliczanie Huberto-wych zachowań — mówię sobie i zabierając dwie pozostałe butelki wina, ładuję miękko na tylnym siedzeniu zamówionej taksówki. — A jak nie pomyślałaś o zaopatrzeniu się w produkty jadalne, to żeruj teraz na cudzej serdeczności — dodaję karcąco i podaję szoferowi adres.

Jednak kilka minut później wcale już nie wiem, czy ta decyzja była rewelacyjna. Może wręcz odwrotnie, całkiem głupia? Stoję niespokojnie przed domem swojego dzieciństwa, czując za plecami ciekawskie spojrzenie taksówkarza, a przed sobą przytłaczający ogrom wspomnień, z którymi nie usiłowałam zmierzyć się od bardzo dawna. Ale ten moment niepokoju mija równie nagle, jak się pojawił, gdy z bramy wychodzi

Zbyszek warujący chyba dotychczas przy oknie i pilnujący, kiedy wreszcie zajadę.

Zbyszek! Ach! Oto cała, zamknięta w jednej, wyrazistej i ogromnej postaci, epopeja mojego miejskiego dzieciństwa! Ani jednoznacznie radosna, ani całkiem smutna. Pełna za to zdrowego kolorytu, utkanego z podziurawionych na płocie spodni, zabaw w wojnę, gry w korale, ciepła i gwałtownych chłódów naszych wzajemnych kontaktów.

Starszy ode mnie o dobre dwa lata, co w czasach szczeniackich stanowiło chwilami przepaść wprost nie do przebycia, był wodzem naszego podwórka, czego nikt z naszej dzieciarni nigdy nie kwestionował. Syn stróża! To nie byle co! Silny, wyższy od nas o głowę, potężny w barach, chodził nawet jak stary, szeroko stawiając nogi i spluwając umiejętnie do najdalszej kałuży, zwłaszcza gdy nikt z dorosłych akurat nie patrzył.

Od niego przecież zależało, czy nasze dziewczynskie zabawy w sklep, na desce podwórzowej piaskownicy, w ogóle się odbędą i czy wykwintnie ubrane, ukochane, będące przedmiotem zażartej rywalizacji lalki dożyją szczęśliwie wieczora. Na ogół był dla nas dobry niemal po ojcowsku i ochraniał konsekwentnie nawet przed chłopakami, kiedy ci wymarzyli sobie naszą piaskownicę na czołg dla czterech pancernych. Ale pierwszą podwórzową Barbie, przywiezioną Hani Dudek przez wujka z Ameryki, którą rozebraliśmy natychmiast mieszaną grupą, komisyjnie i w ogromnym zaciekawieniu, znokautował jednym, despotycznym ruchem, od którego

92

pofrunęła hen... aż za śmietnik i groźnym, kategorycznym okrzykiem: — Precz mi z tym świństwem!

Była to decyzja nieodwracalna i w jej wyniku na naszym podwórku królowały jeszcze długo grzeczne laleczki, o dziecinnie uśmiechniętych buziach i ciałkach bliżej nieokreślonego bobaska, ewentualnie panienki w spódniczkach, z lekko wypiętymi brzuskami. Pilnował tego sokolim okiem starej nauczycielki z dziewiętnastowiecznej pensji dla dobrze urodzonych dziewcząt i żadna z nas nigdy nie naruszyła jego zakazu.

Barbie i Kenem bawiłyśmy się jedynie w domach, dzięki o wiele bardziej liberalnym rodzicom, ale i tak w popłochu rozglądałyśmy się po kątach, czy Zbyszek nas przy tym zdradzieckim procederze jakoś nie nakryje.

Miał też swoją bandę chłopaków, bo nie był przecież niańką dla maluchów, co często zaznaczał bardzo wyraźnie, kiedy szczególnie dopiekły mu nasze spory w piaskownicy. Ganiał z nią zapamiętałe po cudzych bramach i piwnicach, czym wzbudzał nasz pełen zgrozy zachwyty,

jednak czasami znowu królował samotnie na podwórku, rozstawiając nas po kątach i gasząc jednym słowem nasze dziecinne, wrzaskliwe kłótnie. W ogóle był rewelacyjny w krótkich, dosadnych podsumowaniach, co pewnie także odziedziczył po swym milkliwym ojcu.

Ale miał też sobie właściwe, niezapomniane wstawki w słowniku, którymi posługiwał się perfekcyjnie, kiedy szczególnie pragnął błysnąć na forum, przed zgromadzoną licznie dziecinną publicznością. Na przykład, zamiast zwyczajowego wówczas, krótkiego i popularnego „spływaj!”, żegnał pogardliwie swoich wrogów szczególnie rozbudowanym „płyn z falami wysmienitej gnojówki do śmierdzącego oceanu ścieków!”. Pamiętam, że kiedyś, gdy w ferworze dyskusji zastosowałam ten zwrot we własnym domu, na szczęście do lalek, nie wobec ludzi, mama zaniemówiła i otworzyła tylko szeroko oczy, a ojciec zakrztusił się herbatą tak silnie, że ewentualne pouczenie na temat poprawności moich sformułowań rozpląnęło się w gorączkowej walce o jego oddech.

Zbyszek nigdy nie uderzył żadnego z podwórkowych maluchów, chociaż ze swoimi chłopakami z bandy prał się równo po gębie i barach, z czego wychodził zawsze zwycięsko, mimo że nieraz z rozwalonym do krwi nosem. Nas jednak wcale nie musiał uczyć moresu, bo sami z radością oddawaliśmy mu cześć, wdzięczni za każdy przejaw jego wstrzemięźliwego zainteresowania.

Stoi teraz przede mną, uśmiechnięty, i uchylając ciężkie skrzydło bramy, zachęca serdecznie, przytupując w listopadowym chłodzie: — Włóż, włóż mała, co będziemy tu tak marzli po próznicy!

93

W mieszkaniu na parterze bije mi w twarz ciepło, światło i gwar roześmianych głosów. Wychylają się natychmiast w moim kierunku zaróżowione buźki kilkorga drobnych dzieci o zaciekawionych oczkach i zmierzwionych od biegania między dorosłymi czuprynach. O jaka jestem głupia! Nawet cukierków żadnych nie przyniosłam! A trzeba było pomyśleć!

Szerokie ramiona Zbyszka zagarniają jednak łagodnie dzieciarnię i zanim zdążę się cofnąć w poczuciu kolejnego napadu winy, torują mi drogę do pokoju, wielkiej, jasno oświetlonej landary, tak charakterystycznej dla starego budownictwa, której wysokie sufity oraz ogromna kubatura swobodnie pomieszczą i rozprowadzą cały ten gwar, gadaninę i papierosowy dym.

Rozpoznaję kilka roześmianych twarzy z dzieciństwa, wśród nich zaś Alinkę, niegdyś najżarliwszą, młodocianą wyznawczynię Zbyszkowej

władzy na naszym podwórku. Kiedy wyprowadzałam się stąd po śmierci rodziców, ona nie była już jednak taka pewna swego uwielbienia dla Zbyszka. Włosy miała ufarbowane na heban, kolczyki w uszach i nosie, oraz fioletowe wargi, pasujące barwą do cieni na powiekach, słuchała ciężkiej, traumatycznej muzyki i przysięgała, paląc śmierdzące, ciemne papierosy, że Zbyszek może się wypchać pakułami, razem z tym swoim całym, uwstecznionym oraz jednoznacznie drobnomieszczańskim planem na życie.

Dziś, zupełnie odmieniona Alinka, uśmiecha się do mnie łagodnie, włosy ma naturalnie brązowe, a na brzoskwiniowej buzi delikatny makijaż i słoneczny uśmiech spełnionej, zadowolonej kobiety. Ścisza serdecznie, a potem całuje w oba policzki i sadzając między rozgadany towarzystwem, podaje wielki kawałek sernika, po czym obiecuje: — Dobrze się zabawisz, Anka, zobaczysz!

No i rzeczywiście widzę! Przyjmuję i rozdaję wokoło komplementy, bo dawne, dziecinne towarzystwo naprawdę fajnie dorosło, gadam z wszystkimi jak najęta, chichoczę z żartów, opowiadam trochę o sobie, a chwilami nawet tańczę, kiedy chłopaki długim, spontanicznym węzem porywają wszystkie babki do zabawy. Trochę też wyginam się w takt starych przebojów „na parkiecie”, czyli w pokoju obok, w którym wszystkie meble przezornie odsunięto pod ściany, a dywan zwinięto pod okno. Wina jest mało, wódki nie więcej, pełno za to pysznego jedzenia, śmiechu i zabawy, które sprawiają że czuję się jak dziesięciolatka na dziecięcej prywatce.

Kiedy późną nocą mimo że balanga wcale nie ma się jeszcze ku końcowi, usiłuję dryfować w stronę drzwi, Alinka, jak najlepszy detektyw, wyławia mnie sprawnie spośród palt i władczy ruchem wyjmuję komórkę z dłoni.

94
— Nigdzie nie idziesz — oznajmia autorytatywnie — prześpisz się tutaj, a jutro spokojnie pogadamy, bośmy przecież dotychczas słowa logicznego nie zamieniły. Nie myśl, że tak łatwo cię puszcze! Nie widziałyśmy się ze sto lat i trzeba to teraz szybciotko nadgonić, dziewczyno!

— Gdzie ja się tu prześpię? — patrzę bezradnie na rozbawiony tłum, zalegający dokładnie calutkie mieszkanie. — Coś ty, Ala, wcześniej dziś wstałam, naprawdę, i choć bawiłam się u was rewelacyjnie, zaraz po prostu zwalę się ze zmęczenia na podłogę.

— No i dobrze. Miałaś przecież ubawić się do utraty rozumu! Chodź ze mną, będziesz spała sobie wygodniutko, jak panisko, w waszym starym mieszkaniu.

— Oszalałaś? — chwytam ją za ramię, nie usiłując nawet ukrywać narastającej paniki — wepchniesz mnie do obcych ludzi? I do tego po nocy?

— Głupia jesteś, więc ci wybaczę — prycha pogardliwie Alinka i prowadzi mnie konspiracyjnie na pierwsze piętro, pod drzwi mojego dawnego mieszkania. — Nikt tu teraz nie mieszka. Wynajęli dopiero od Nowego Roku. Całe salony masz puste, a ja wszystko ci przygotowałam, ryzyk fizyk, przyjdiesz czy nie, czekało.

W moim dawnym pokoju, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś spałam, stoi teraz polowe łóżko z pościelą w dziecięce pajacyki. — Tylko taką miałam na zaraz — sumituje się Alinka i prowadzi mnie do łóżka, obok którego umieściła stolik z małą lampką, butelką wody, kruchymi ciasteczkami i kartonikiem chusteczek.

— Masz tu nocną koszulę i ręcznik — niby obojętnie mówi Alinka, udając, że wcale nie widzi mojego wzruszenia — łazienka działa jak ta lala. Wykap się i odpocznij. A potem porycz sobie spokojnie — dodaje już dużo ciszej.

Więc ryczę. Najpierw biorąc prysznic, później otulona dziecinną kołderką, słuchając starych przebojów z kaset, bo pod łóżkiem odkrywam jeszcze przedpotopowy magnetofon. Ryczę i jest to najpiękniejszy, czekający na mnie od lat płacz, za który będę wdzięczna Alince i Zbyszkowi do końca życia. Dzięki nim pozwalałam sobie, po raz pierwszy od dawna na wspomnienie ojca, ukrytego za odwieczną, popołudniową gazetą w fotelu pod lampą, na myśli o mamie krzątającej się w kuchni, by szybko zasiąść nad zeszytami pełnymi klasówek i mieć potem dla nas cały wolny wieczór. Myślę o naszych rodzinnych niedzielnych wycieczkach za miasto i wiechciach różnokolorowych traw, jak je nazywał ojciec, które nieodmiennie przywoziłyśmy z mamą do domu, by zapachniało wreszcie wiosną.

95

Widzę moich rodziców wychodzących wieczorem do kina, roześmianych i dla mnie wiecznie zbyt młodych, bo wyglądali jakby szli na randkę, wciąż coś do siebie szepcząc i poprawiając sobie wzajemnie kołnierzyki i szaliki. Uważałam wtedy, że są niepoważni i nawet trochę przynoszą mi wstyd, z tym chodzeniem za rączkę i wiecznym patrzeniem sobie w oczy.

Jakże byłam głupia! Ile wtedy straciłam, ilu spraw nie zrozumiałam i nie potrafiłam docenić! Wszystko, nawet kilimek nad tapczanem, do którego przypinałam wiersze i sentencje, wydaje mi się teraz ważne i piękne, bo stanowi część mnie samej, takiej, jaka byłam, gdy jeszcze miałam ich obok

siebie i kiedy spokojnie patrzyłam w przyszłość, nie doceniając piękna i bezpieczeństwa oczywistej teraźniejszości.

Rano przychodzi Alinka i wykańczamy do zera pudełko z chusteczkami, a ja mówię jej szczerze o swoim, nigdy dotychczas niewypłakany, rozpaczliwym żalu po rodzicach. Ona natomiast opowiada mi o swoim pierwszym, martwym dziecku, urodzonym przedwcześnie po pospiesznym ślubie z tym drobnomieszczańskim Zbyszkiem i o bliźniętach, które dopiero dwa lata później pogodziły ją wreszcie z życiem i z samą sobą. — Płacz jest potrzebny — podsumowuje później sentencjonalnie, ostatecznie wycierając nos — ale życie też. Słyszałam kiedyś, że jaka by nie była przyczyna naszej rozpacz i naszego płaczu, w końcu i tak musimy wytrzeć nos — kończy jeszcze — a ta czynność jest już tak prozaiczna, że po prostu trzeba zacząć żyć dalej.

I dlatego pakuje mi do torby furi jedzenia z wczorajszego przyjęcia, kiedy ostatecznie schodzimy do jej kuchni, żeby uspokoić Zbyszka, że będziemy jednak starały się istnieć nadal. Na potwierdzenie tej decyzji śmiejemy się głośno z jego szalonych dowcipów, a ja upewniam się, że ma naprawdę tatuaże na ramionach. W tym dwa zrobione wbrew kategoriycznym zakazom Alinki, wyrażanym dosadnie, kiedy jeszcze przysięgała, że nigdy za niego nie wyjdzie.

Dziś brzmi to niepoważnie i anegdotycznie, ale wtedy Ala wściekała się naprawdę, kiedy spokojny i pewny swego Zbyszek oznajmiał jej, co dzień od nowa, że i tak zostanie w końcu jego żoną, czy tego chce, czy nie.

Kotłowały się w nich chyba te emocje całkiem nieźle, skoro do ciąży jednak doszło. — Bez zniewolenia! — jak uroczyście zaznacza Zbyszek, ale o ślubie przyszła oblubienica nadal nic słyszeć nie chciała.

Śmierć synka wcale ich nie zjednoczyła. Wręcz odwrotnie. Ala chciała nawet uciekać za granicę do pracy, byle tylko nie widzieć

96

złamanego nieszczęściem męża, któremu zresztą codziennie wypominała, że to on właśnie jest winien wszystkiemu, co się stało. I w końcu, kiedy wydawało się, że nic już temu małżeństwu nie pomoże, to właśnie on jednak je uratował. Jego spokój i wola, żeby przetrwać i przeczekać cierpienie młodej, kochanej dziewczyny, która nie umiała sobie poradzić sama ze sobą, ostatecznie ich pogodziły.

Ala przyznaje to teraz, uśmiechając się ciepło, i patrzy w oczy z miłością temu dawnemu podwórkowemu hersztowi. Łaja go za to, że jest zbyt pobłażliwy dla Zuzi i Maćka, nie zważając, że może z nich wyrosnąć pod ojcowskimi rządami para egoistów lub zgoła młodocianych przestępców,

jeśli nadal będzie dla nich tak jednoznacznie i bez końca wyrozumiały. Przyszli ewentualni młodociani przestępcy tej rodziny mają dziś po cztery lata i uwielbiają swojego tatę, naśladowując go we wszystkim, co, podobnie jak czupryny, odziedziczyli przecież właśnie po nim, a mamy trochę się boją, bo wymaga posłuszeństwa i niczego im nie odpuszcza.

Oboje są jednak przede wszystkim rozbrykanymi i kochanymi dzieciakami, które chętnie zaprzyjaźniają się z nową ciocią. Przy czym nie zapominają się upewnić, czy następnym razem ciocia przyniesie jednak jakieś prezenty. Otrzymałszy za to zapobiegliwe pytanie dobrotliwego kuksańca od groźnej mamy, zmykają ze śmiechem z kuchni.

Pomyśleć, jak losy dziwnie się układają! Herszt bandy podwórzowej okazuje się troskliwym i kochającym tatusiem, a zbuntowana i nienawidząca drobnomieszczańskiej rodziny nastolatka gra w tej parze rolę rygorystycznej i konsekwentnej mamusi. Jak te biedne urwisy będą kiedyś mogły uwierzyć w burzliwą młodość swoich rodziców?

Ostatecznie podjeżdżamy pod mój dom, ze Zbyszkiem i torbą wypchaną prowiantem, dopiero wczesnym popołudniem, a on grubym, nieswoim głosem przypomina mi, żebym ich częściej odwiedzała i nie dała się na drugi raz prosić. Nawet nie całuję go na pożegnanie w policzek, a jest między nami tak, jakbyśmy rzucili się sobie najserdeczniej w ramiona i ściskali Bóg wie jak długo.

W mieszkaniu staram się ochłonać, upychając jedzenie w lodówce, pełnej teraz, jak za dawanych, wcale nefajnych czasów.

Ostatnio ciągle tacham do domu jakieś dobra materialne w wiel-

97

kich siatkach, jeszcze sąsiedzi pomyślą, że szykuję gigantyczną balangę albo postanowiłam uciec w jedzenie ze smutku po byłym ukochanym — mruczę, niby to zaniepokojona, ale w rzeczywistości próbuję po prostu oswoić w sobie przeżycia minionego wieczoru i nocy. To spojrzenie w przeszłość, choć bolesne, dało mi jednak cudowną pewność, że nie jestem sama. Mam nie tylko ludzi dookoła, ale coś o wiele ważniejszego, pamięć o bliskich, którzy mnie ukształtowali i dali wystarczająco wiele, by wciąż od nowa mieć skąd czerpać siłę.

A może wszystko jest potrzebne? Nawet ta nagła samotność, która zmusiła mnie do zatrzymania się w pędzie codzienności i skłoniła do obcych dotychczas rozważań? Może biegłam zbyt szybko, za bardzo bezmyślnie, kiedy los z długą, rudą brodą, niby starodawny lichwiarz, kręcił tylko głową w zakłopotaniu i śpiewnym głosem narzekał na niezapłacone rachunki, przy czym kościstym palcem wymownie stukał w drewno?

Czyżby jakaś wartość miało nawet dramatyczne odejście Huberta? Pewnie! Pewnie! Szczególnie sensowny był ten wielki wóz meblowy! I wymiecenie do czysta wszystkich sprzętów z obu pokojów! Czyś ty zwariowała do reszty? Los ci zabrał, głupia kobieto, stół i łóżko? Pewnie jeszcze, w ramach odsetek za długi, dorzucił sobie sprzęt grający? Ciekawe, czym w takim razie zasłużył na ten wspaniały bonus słodki Hubercik, wraz z piękną Magdusią? Nie dodawaj ty lepiej ideologii do prostych spraw, bo rzeczywiście mózg ci skołowacieje, filozofko z Koziej Wólki! Wyciągaj logiczne wnioski, proszę bardzo, ale nie mieszaj do tego opatrności, kapuściany głąbie!

Gwarzę tak sobie czule do siebie, ale niespokojnie popatruję na rodzinne pudło niespodzianek, wiernie czekające na mnie w rogu pokoju, które rzuca się zawsze w oczy na pustej podłodze, jak jedyny domownik, oczekujący mojej reakcji i sprawozdań, skądkolwiek i kiedykolwiek wracam. Podchodzę do niego niepewnie, łudząc się, że może znajdę w nim jakieś nieznanne mi dotychczas zdjęcie rodziców, co pasowałoby jak ulał zarówno do moich przemyśleń, jak i przeżyć minionej nocy.

Wyciągam na chybił trafił jeden kartonik, ciekawa kolejnej reakcji losu, ale nie doczekuję się realizacji pragnień. Spoglądajana mnie za to ciemne oczy młodego, chłopięcego niemal dziadka Krzysztofa, stojącego na tle drzew i starającego się uśmiechnąć mimo ostrego słońca do robiącej zdjęcie dziewczyny, której zwiewna sylwetka, w szarpanej wiatrem sukience, maluje się cieniem na dróźnie.

VIII

Wielkie, rozedrgane auto niemiłosiernie trzęsie się na wybojach i stęka żałośnie, dając do zrozumienia, jak bardzo jest już wysłużone, ale Krzysztof, mimo wszystko, usiłuje zasnąć, podłożywszy pod głowę zwiniętą kurtkę. Ta jednak za każdym razem zsuwa się niepostrzeżenie i skroń młodego człowieka boleśnie uderza o lodowatą szybę okna. I kurtka, i samochód zdają się drwić z jego zabiegów, podobnie jak szyba, biorąca udział w tej uciążliwej walce, jednak, dzięki ludzkiemu uporowi, scena powtarza się kilkakrotnie, za każdym razem z tym samym, dotkliwym skutkiem.

Krzysztof nie ma oczywiście pojęcia, że polskie drogi i rozklekotane ciężarówki wejdą kiedyś do powojennej legendy i będą nawet budzić pełne wzruszenia uśmiechy weteranów, teraz zresztą nie interesuje go nic poza bezgranicznym pragnieniem odpoczynku, utrudnianego dodatkowo fałszywie brzmiącym pogwizdywaniem młodego, zawadiackiego kierowcy.

Chłopak, który prowadzi samochód, też walczy ze zmęczeniem, spotęgowanym jeszcze bezdenną czernią wokół kabiny i narastającym niepokojem dotyczącym tego, co mógłby nagle ujrzeć na szosie, w skąpym świetle samochodowych lamp. Jadą już bardzo długo, a ciemność wydaje się jedyną rzeczywistością świata wokół i kierowcy z coraz większym trudem udaje się utrzymać nerwy na wodzy.

Ziemie Zachodnie, które rozciągają się dookoła nich, można potraktować, co prawda, jak Dziki Zachód, o którym tyle czytał w książkach przygodowych, jednakże kręcące się tu dzikie bandy rabusiów w niczym nie przypominają honorowych plemion Apaczów z młodzieńczych opowieści. Patrzy więc niechętnie, a zarazem znacząco na swego milczącego pasażera i stara się gwizdać jak najgłośniej, chociaż zaschnięte ze strachu wargi wydają się zaledwie żałosny, proszący o uwagę świst. Dlatego Krzysztof rezygnuje wreszcie z nierównej walki i siada-

99

jąc prosto, poddaje się presji chłopaka oraz jego natychmiast podjętemu monologowi, w którym uczestniczy stonowanymi mruknięciami, ilekroć tamten pytająco zawiesza głos. Nie obchodzi go wcale wojenny życiorys kierowcy, ubarwiony na pewno naprędce wymyślonymi zwrotami akcji, bo chłopak jest po prostu zbyt młody, by przeżyć w czasie okupacji choćby połowę opowiadanych przez siebie przygód. Słucha jednak, a raczej udaje zainteresowanie, bo nie chce zrobić dzieciakowi przykrości, tym bardziej, że rozumie, a nawet podziela jego niepokój dotyczący bezpieczeństwa podróży.

Jeśli nawet kierowca kłamie, to cóż z tego? Jakie ma to teraz znaczenie? Każdy może przecież mówić, co chce, byle tylko fabuła wspomnień mieściła się w dopuszczalnych politycznie normach. Natomiast historia, którą miałby do opowiedzenia Krzysztof, w nich się na pewno nie mieści, milczy zatem, pozwalając chłopakowi beztrąsko skakać, wraz z dzielnymi partyzantami, po krzakach fantastycznego lasu własnej wyobraźni. Obaj są dzięki temu szczęśliwi. Jeden, bo mówi, drugi, bo może milczeć.

Miasteczko, do którego docierają o świcie, rozradowani ostatecznym zakończeniem wspólnej podróży, rozciąga się wzdłuż jednej, zgiętej pod kątem prostym, długiej ulicy. Wjeżdża się do niego przez ruiny średniowiecznej bramy i mijając porośnięte trzcinami wielkie jezioro, dociera się do zgrabnego, czworokątnego ryneczku, za którym właśnie ulica skręca gwałtownie w lewo, pod kątem prostym, jakby chciała zamknąć życie swoich mieszkańców w matematycznie doskonałym narożniku. Właśnie po tej, lewej stronie drogi, skupiają się niewielkie,

najczęściej jednopiętrowe domki i rozliczne, wąskie uliczki, podczas kiedy po prawej pozostaje wiele swobodnego miejsca na park, cmentarze, kościół, jezioro i rozluźnione, jakby pozamiasteczkowe, istnienie. Droga, rozdzielając w ten sposób życie na dwie nierówne części, biegnie dalej, znów prosto, przechodząc łagodnie w lipową aleję, która z kolei zdaża hen, na pola, mijając stary, poniemiecki folwarczek, zamieniony później na przychodnię zdrowia, by ginąć ostatecznie w lasach, ciągnących się do jakiejś innej osady.

Krzysztof przyjeżdża tutaj, bo musi, skierowany do pracy przy organizującej się szkole zawodowo-technicznej, ale nie ma pretensji o ten przymus, wręcz odwrotnie, jest wdzięczny, że wyznaczono mu jakiegokolwiek miejsce do życia i jakiegokolwiek do tego życia prawo. A długo nie wiedział wcale, czy taką zgodę w ogóle uzyska. Wszystko wskazuje jednak na to, że uwierzyli mu w końcu, iż nie

100

brał udziału w powstaniu, a od wiosny czterdziestego czwartego rzeczywiście przebywał z matką w Otwocku i nie spotykał się wcale z Rafałem.

To zresztą była prawda, ale prawdę najtrudniej udowodnić, przy czym może to być najboleśniejша walka zwłaszcza wtedy, gdy życiowa klęska okazuje się przepustką do dalszej egzystencji. Bo on naprawdę nie wziął udziału w powstaniu! Matka błagała go o opiekę, a była tak słaba, że nie dało się jej zostawić po prostu na pastwę losu. Pozostał więc z nią, a zanim umarła, powstanie upadło i Warszawy już nie było.

Z Rafałem rozmawiał potem tylko raz, już po wojnie. I jedynie do tej rozmowy wcale im się nie przyznał, bo była oczywistym dowodem, że brat przeżył obóz, choć oni twierdzili, że zginął z rąk Niemców. Ale przecież i tak, co chwilę mówili coś innego, kręcąc i klucząc, czekając przy tym, czy on przyzna się, że zna prawdę. Nie przyznał się, chociaż wiedział, miał pewność. Jego brata zamknęli swoi, już po wojnie! Tak było! Nikt mu nie wmówi niczego innego!

Wie o tym, bo właśnie w dzień przed aresztowaniem widział Rafała i nazajutrz mieli ustalić, jak będą żyć dalej, już bez matki. Niczego jednak nie ustalili i nie spotkali się więcej. Potem były już tylko jego własne przesłuchania i rozmowy, z których niczego nie potrafił wywnioskować. Nie miał pojęcia, kogo chcieli oskarżyć? Jego czy brata? I o co? Pytania, które mu zadawali, wydawały się tak dziwaczne, osoby, które niby miał znać, zupełnie mu obce, więc nie musiał nawet kluczyć, bo naprawdę niczego nie wiedział. Czuł się przede wszystkim rozgoryczony i oszukany

przez ten nowy, niby własny i polski rząd, któremu zarzucał odpowiedzialność za zaginięcie brata, a sprawy, o które pytali, były mu zupełnie obce. Ostatecznie więc, po wielu bezsensownych miesiącach dali mu spokój i kazali wyjechać.

Stoi oto przed wielkim gmachem z czerwonej cegły i zastanawia się, gdzie poczekać, aż obudzi się kierownik szkoły, który ma wskazać mu adres jego kwatery. Chwilę patrzy nawet w stronę ciemnego od zieleni parku, zastanawiając się, czy nie pójść tam na spacer. Nie wie wcale, że kiedyś, za kilkadziesiąt lat, niemal o tym samym czasie, bo w sierpniu, umrze tutaj, bezradnie myśląc właśnie o Rafale, a jego emocje będą wtedy równie silne i bolesne jak dzisiaj. Ostatecznie decyduje się jednak na słoneczną, prostą jak strzała, lipową aleję, którą idzie powoli wzdłuż pól, paląc papierosa za papierosem i wdychając ciepłe, suche powietrze wstającego dnia.

101

Zajmuje duży, mroczny pokój, chyba dawną jadalnię, bo trzy ściany pomieszczenia wyposażone są aż w cztery pary drzwi. Żyje właściwie w sercu tego domu i powinien chyba czuć zadowolenie, które jednak nie nadchodzi ani razu, gdy pięć pozostałych mieszkańek przemyka tymi licznymi drzwiami we wszystkich kierunkach, we dnie i w nocy, zmuszając go do ciągłego spania z twarzą przy ścianie. Nie ma tu mowy nie tylko o jakiegokolwiek intymności, ale nawet o zwykłym spokoju i ciszy, tak mu potrzebnych po wielu godzinach spędzanych codziennie wśród rozwrzeszczanej szkolnej dzieciarni.

Nie sposób dociec, jakim sposobem pani Leokadia Wiórek, zamieszkująca z trzema córkami i starą matką w maleńkim, parterowym budyneczku, zdołała przekonać władze szkolne, iż może przyjąć do siebie lokatora. Wiadomo natomiast dokładnie, w jakim celu to zrobiła. W miasteczku wolnych mężczyzn ani na lekarstwo, a któraś z dorodnych Wiórkówn powinna przecież wpaść w oko młodemu nauczycielowi.

Dziewczyny są hoże, w różnym wieku, o odmiennym typie urody, zwłaszcza o tej urodzie zacna matka jest głęboko przekonana, niemożliwe, żeby wśród takiego urodzaju chłopak którejś dla siebie nie wybrał. A jeśli woli starsze? Cóż, pani Leokadia zna doskonale swoje walory i wcale by się nie dziwiła, o nie! Wtedy też gotowa jest z godnością przyjąć wdzięczne zaloty. Wystarczy tylko stworzyć odpowiednie okoliczności i pan nauczyciel na pewno będzie zadowolony, z obopólną korzyścią, tego akurat może być całkowicie pewna. Dlatego cała piątka pań, połączonych wspólną myślą o rychłym małżeństwie którejkolwiek, czyni wszystko,

każdego dnia, aby wspomniane okoliczności wreszcie nastąpiły. Trzy dziewczyny, Bronka, Wieśka i Maryśka, starają się, jak mogą, by przychylić lokatorowi nieba. Eksponują swe walory, posuwając się chwilami do dramatycznego wręcz negliżu, na który chłopak w ogóle nie reaguje. Zresztą Bronka ma kształty raczej męskie, z płaską piersią i wąskimi biodrami, należące właśnie do tych dziewczyn, które dobry Pan Bóg stworzył raczej dla hecy, gdyż „z tyłu plecy, z przodu plecy”, Wieśka za to ma aż za dużo biustu, wylewającego się miękką bielą z każdej, głęboko wydekoltowanej sukienki. Może jedynie Maryśka zwróciłaby uwagę jakiegoś spragnionego i wyposzczonego kawalera, ale ta z kolei jest chorobliwie ciekawska i gadatliwa, co peszy i niepokoi każdego ewentualnego amatora jej wdzięków.

102

Pozornie najbezpieczniejsza jest babcia Genowefa, ale i ona ma swój udział w polowaniu na młodego sublokatora, bo zależy jej na męskim towarzystwie w domu pełnym kobiet. Uważa ona, że prawdziwa rodzina powinna mieć przecież swojego wodza, a po wojennej śmierci Alojzego Wiórka, świeć, Panie, nad jego duszą, kobiety zostały zupełnie tego przywództwa pozbawione. Jaki był ten Alojz, taki był, ale jednak potrafił po swojemu zarządzić i pracę rozdysponować. Co prawda, za kołnierz nie wylewał i zdarzało mu się też bijać swoje damy, ale z nim lepiej bywało niż teraz bez niego, już choćby z tego powodu, że Lonia szarogęsi się niemożeb-nie i mężczyznę w domu udaje. A to się Genowefie zdecydowanie nie podoba!

W konsekwencji Krzysztof staje się najaktywniejszym nauczycielem w swojej szkole. Zajmuje się niemal wszystkim i gotów jest na każde pozalekcyjne działanie. Dosłownie wynajduje sobie pracę, przesiadując w salach tak długo, jak to tylko możliwe. Bierze wszystkie nocne dyżury w bursie szkolnej i zawiera znajomości z każdym mężczyzną w okolicy, by jak najczęściej przebywać poza tak spragnionym jego obecności kobiecym domem.

Zresztą kilka z tych kontaktów zawrzeć po prostu musi. Na przykład, z sierżantem milicji Walerym Nowaczykiem, niewysokim, silnym mężczyzną, który swoim autorytetem pozytywnie wpływa na zniknięcie, grasujących jeszcze niekiedy w okolicy, grup szabrowników. Pierwsze spotkanie jednak nie bardzo im się udaje, kiedy Nowaczyk ze zmarszczonym czołem, naznaczonym już pierwszymi znamionami łysiny, dokładnie ogląda dokumenty przyniesione przez Krzysztofa i zastanawia się podejrzliwie, co też mógł zmalować ten przystojny, sympatyczny

młody człowiek, że nakazano mu co tydzień meldować się na komendzie, aby potwierdzić swoją obecność w miasteczku i wzorowe wypełnianie obowiązków zawodowych.

Na szczęście sierżant nie jest głupcem i ma wiele zdrowego rozsądku, wyniesionego z chłopskiego domu, więc szybko przekonuje się, że cokolwiek nauczyciel miał w przeszłości na sumieniu, tu, w miasteczku, nie znajduje żadnego potwierdzenia. Dlatego niebawem cotygodniowe obowiązkowe spotkania Krzysztofa z milicją przenoszą się nad jezioro, gdzie obaj panowie przez długie godziny zgodnie łowią ryby, pociągając z rzadka i tylko po łyku, samogon ze wspólnej manierki. I podczas kolejnego, niespiesznego niedzielnego popołudnia Walery dochodzi po prostu do wniosku, że Krzysztof jest zwyczajnym, porządnym chłopcem, kopniętym nie-

103

zasłużenie przez historię, o czym z powagą donosi, w odpowiednich żołnierskich słowach, swoim podejrzliwym zwierzchnikom.

Ucieczka od kobiet, dybiących na jego kawalerską wolność, przydaje młodemu nauczycielowi jeszcze jednego dożywotniego przyjaciela, tym razem z przeciwległego bieguna społeczności miasteczka. To ksiądz Paweł Żarnecki, ogromnej postury wikariusz, którego Krzysztof spotyka przypadkiem w czasie spaceru na poniemieckim cmentarzu. Obaj zachwycają się niezwykłą urodą żelaznych, kutych ogrodzeń dookoła grobów, które nieodwołalnie ulegają zniszczeniu, zarastane przez chwasty i rdzę.

Ksiądz jest tutejszy, więc wiele wie o losach okolic. Pokazuje nawet Krzysztofowi małą, drewnianą synagogę, ukrytą w labiryncie uliczek, która służy teraz milcząco i bezosobowo za magazyn, pozwalając bez skruchy zapomnieć mieszkańcom o ich znikłych nagle dawnych żydowskich znajomych i przyjaciółach z dzieciństwa.

Swobodna, wstępna pogawędka między nimi doprowadzi z biegiem czasu do wielu zawziętych dyskusji filozoficzno-religijnych, z których oporny młody człowiek wysnuje dla siebie swoistą, bardzo prywatną, odmianę katolicyzmu, nie dającą, co prawda, satysfakcji księdzu, ale godzącą jednak w końcu rozżalonego buntownika z Bogiem. Bo temu odległemu i milczącemu Bogu miałby pełen wściekłości Krzysztof wiele do powiedzenia, a nie byłyby to wcale słowa ciepłe czy rozumiejące, jednak Paweł po wielu godzinach zażartych sporów uzyskuje przecież od niego niechętną i pełną zastrzeżeń akceptację poczynań niezrozumiałego Stwórcy.

Właśnie ksiądz Paweł przyczyni się też przypadkiem do małżeństwa przyjaciela, gdy wyłowi podczas jednego ze wspólnych spacerów z jeziornych szuwarów sinego i szczekającego zębami siedmiolatka, który walcząc piąstkami i szpiczastymi kolankami, wcale nie zdaje się z tego ratunku zadowolony.

Przeniesiony na pobliską plebanię chłopiec milczy uparcie, nawet wtedy, gdy Paweł, ochłonawszy ze zdenerwowania wypadkiem i po zdjęciu z siebie przemoczonej do nitki sutanny, przestaje wreszcie na niego krzyżeć. Łagodne perswazje Krzysztofa, gorąca herbata i ciepły koc, również nie nakłaniają go do podania imienia i pewnie tak bezradnie siedzieliby nad nim do rana, gdyby nie stara Maciejowa, księdza gospodyni, która rzuciwszy tylko okiem na niedoszęłego topielca, wykrzykuje z przekonaniem: — Toż to Adaś, syn panny Niusi z ochronki! — A właśnie, że nie! — równie silnie odkrzykuje na to Adaś

104

i chowa bladą buzię pod koc, jakby chciał zniknąć nie tylko sprzed oczu pochylonych nad nim dorosłych, ale w ogóle z całego tego głupiego świata, któremu wciąż trzeba tłumaczyć fakty oczywiste, jak choćby ten, że Nusia jest jego siostrą. Staje się przy tym taki malutki i drobny, że obaj panowie zastanawiają się nawet z przerażeniem, czy nie boi się po prostu swej, może agresywnej dla nieślubnego potomka, matki i dlatego od niej ucieka.

Panna Nusia wpada na plebanię kilka minut później, a jej oczy i brązowa burza włosów wokół twarzy są wymownym potwierdzeniem pokrewieństwa z chłopcem. Obaj obserwują ją w napięciu, chcąc wy badać reakcję malca w czasie tego spotkania, ale wypierający się przed chwilą swego pochodzenia chłopczyk wyskakuje teraz spod koca, serdecznie całuje i ściska dziewczynę, po czym z płaczem chowa się w jej ramionach, jak w jedynym na świecie miejscu ocalenia.

Bo panna Nusia, mimo siedmioletniego syna, wydaje się Krzysztofowi bardzo młodą dziewczyną, zwłaszcza kiedy badawczo i oskarżycielsko zarazem biega oczyma po twarzach obu mężczyzn, chcąc dociec, jaką krzywdę wyrządzili jej dziecku. Widać wyraźnie, że gotowa jest rzucić się w jego obronie przeciwko każdemu, nie wyłączając tych dwóch postawnych i obcych jej mężczyzn. Dopiero ich dokładne sprawozdanie, potwierdzone autorytetem Kościoła, przy czym Paweł naprawdę musi pokazać mokrą sutannę, skierowuje wzrok Niusi ku chłopcu.

— Adasiu, ty chciałeś się utopić? — przerażenie i bezradność w jej głosie dotkliwie uderza Krzysztofa, który dopiero teraz uprzytamnia sobie

możliwy zakres tragedii, której zupełnie przez przypadek udało im się zapobiec.

— Nie, wcale nie — zaprzecza stanowczo chłopiec — ja tylko w świat iść chciałem, bo dzieci mnie tu nie lubią i śmieją się ciągle ze mnie.

Z dorosłą przenikliwością nie dodaje jednocześnie, że śmieję się również z Niusi, jej akcentu, powagi i samotności. Nie mówi też o innych sprawach, na przykład, o pokrzykiwaniach, które słyszy często za swoimi plecami, takich jak: — Rudy! Marsz do budy!

Albo o piosence, wyśpiewywanej z radością przez okoliczne dzieci, ilekroć zdybia go gdzieś samego:

— Panna z kawaleerem, jechali rowereem... rooower się sto-ooczył i Adaś wskoooczył! — czasem wcale nie musi się słyszeć całej przyśpiewki, bo dręczycielom wystarczy, kiedy nuczaję jedynie jej część, a i tak wszyscy wiedzą, co będzie dalej. On też wie.

105

Dziewczyna jakimś szóstym zmysłem zdaje się słyszeć wyraźnie te niewypowiedziane słowa, ale nie ma zamiaru przy obcych komentować wypowiedzi chłopca, dziękuje im tylko naprawdę szczerze za jego ocalenie i nie pozostaje na plebanii ani chwili dłużej, niż wymaga tego zwykła grzeczność. Po jej wyjściu pozostają obaj w dziwnej ciszy i niepewności, a plebania wydaje się im nagle dwa razy ciemniejsza i brzydsza niż zazwyczaj.

— Nic o niej nie wiem — zamyśla się Paweł — do kościoła nie chodzi, więc...

— No, co? — wybucha zaraz, widząc ironiczny uśmiezek Krzysztofa. — Ja przecież nic przeciw niej nie mówię! Tylko że nie rozmawiałem z nią nigdy przedtem, bo okazji nie było! A chyba trzeba będzie, bo wyraźnie kłopoty ma jakieś.

— Opiekunką jest w sierocińcu — od drzwi wtrąca się Madejowa, która tę całą dziwną scenę z Niusią obserwowała bardzo uważnie i, co u niej niezwykle, w pełnym milczeniu — przyjechała z dziećmi razem, gdzieś z za wschodniej granicy. Po rosyjsku gada i po polsku zarówno, dobra dla małych, więc kochają ją mocno i wciąż w otoczeniu całej gromadki chodzi.

O wiele więcej mówi Maryśka Wiórkówna, która przyłapuje Krzysztofa nazajutrz, gdy ten wraca do domu po lekcjach, bo jednak czasem choćby przebrać się lub umyć musi. Maryśka wie już od Madejowej, że obaj z księdzem wyłowili Adasia z jeziora poprzedniego wieczoru, więc spieszy teraz z uświadomieniem nauczycielowi, co to za osoba, ta jakaś panna

Niusią.

— Z jakimś ruskim ma to dziecko, panie Krzysztofie — peroruje niby zgorszona, ale naprawdę podekscytowana tematem, a jej powabne piersi falują w oddechu pod luźną bluzką, czego zdaje się nie dostrzegać pochylona w zapale ku rozmówcy. — Chłopiec jej nazwisko nosi, więc paniński i tyle. Tak mama mówi. We wrześnieu dzieciak do szkoły iść musi, więc mama już pytała kierownika, czy panna Niusią zapisała chłopca. To może byśmy się czegoś o tym ojcu dowiedzieli, nie?

Usiłując wejść z nim w komitywę, zraża go jednak do siebie całkowicie, bo Krzysztof po raz pierwszy od dawna przejmując się czymś naprawdę, kiedy zaczyna myśleć o hardej dziewczynie i jej synku. Po zniknięciu Rafała założył sobie, że będzie utrzymywał konsekwentny, odpowiedni dystans wobec ludzi. Jakieś rozmowy, spacer czy spotkanie towarzyskie, proszę bardzo, ale nic, co angażowałoby emocjonalnie jego serce i kazało potem cierpieć.

Nie ma pojęcia, że wybrał dokładnie taką samą postawę, jak

106

Nusia. Tylko że jej żyje się zdecydowanie trudniej, bo nie ma tu żadnej bratniej duszy i od lat nikomu się nie zwierza. Przyzwyczałałaby się może do własnej samotności, ale zupełnie nie ma pojęcia, jak uchronić małego braciszka przed ludzką głupotą i chamstwem. Ile razy już mówiła, że Adaś jest jej bratem! Uśmiezki, które bywały jedyną reakcją na te deklaracje, obrażały ją chyba mocniej, niż posądzenie o nieślubne dziecko. Przestała więc prostować ludzkie plotki i zwracać uwagę na słowa innych.

Zbudowała wokół siebie szczelny mur obojętności i wyniośle milczy, słysząc ciekawskie, ironiczne szepty za plecami.

Tylko Adaś wie, jaka jest prawda, ale ciężar tej wiedzy wydaje się zbyt wielki dla małego chłopca. Malec źle sypia, chwilami staje się agresywny lub odwrotnie, całkowicie apatyczny. Nie ma przyjaciół, nie chce też bawić się z dziećmi z ochronki. Jego cierpienie boli Niusię, tym bardziej, że nie potrafi w żaden sposób odwrócić wyroków losu, który uwziął się chyba na nich tak, że nie można nigdzie od niego uciec. Myślała, że może tutaj, gdzie każdy ma popłatane i bolesne doświadczenia wojenne, ludzie dadzą jej spokój, ale...

Zjadliwe zainteresowanie miasteczka, a także zaskakująca obojętność księdza wobec pięknej dziewczyny i jej rudowłosego synka, coraz bardziej martwią Krzysztofa, nie umie pogodzić się z jej osamotnieniem i ostracyzmem otoczenia, coraz częściej spaceruje więc niedaleko sierocińca, jakby chociaż tą milczącą obecnością chciał jej jakoś pomóc.

Ma dobry powód, którym tłumaczy się sam przed sobą, bo wakacje odebrały mu wiele innych wymówek, by omijać lokatorski pokój u pani Leokadii, która, wraz z nadchodzącym latem, nasiliła jeszcze swe mało subtelne, emocjonalne zabiegi wokół nauczyciela. Osaczony tą wybujałą kobiecością przy własnym łóżku, Krzysztof nadal prawie cały wolny czas spędza jak zwykle, poza domem.

Podczas jednej z takich przechadzek spotyka wreszcie Adasia, siedzącego samotnie nad jeziorem. W obawie, by chłopcu znowu nie wpadły do głowy jakieś niebezpieczne pomysły, a także dziękując Bogu za niezły pretekst do nawiązania bliższej znajomości z obojgiem, decyduje się usiąść obok niego i zagadać. Okazuje się, że chłopczykowi tym razem nie w głowie śmiertelne plany, usiłuje natomiast łowić ryby, nie mając na ten temat najmniejszego pojęcia. Tak właśnie, od wspólnego kopania robaków, rozpoczyna się ich przyjaźń.

107

— Zobacz! Zobacz tylko, jakie rybki! — Adaś wprost ustać nie może w jednym miejscu i przeskakując z nogi na nogę, podnosi na Niusię rozplomieniony wzrok, oczekując aprobaty i zachwytu. W rączkach ma sporą siatkę, pełną zupełnie przyzwoitych okoni, na które popatruje dumnym wzrokiem zdobywcy.

— Skąd je masz? Czy aby nie zabrałeś komuś, kto złowił je dla siebie? — zaniepokojona dziewczyna rozgląda się czujnie, jakby w oczekiwaniu czyjejś rozwścieczonej obecności, ale dookoła nie widać nikogo, kto chciałby odebrać malcowi jego skarby.

— Nie, naprawdę są moje — oburzony głos chłopca pozwala przypuszczać, że mówi prawdę — dał mi je Krzysiu. A właściwie obaj je upolowaliśmy!

— Chyba złowiliśmy?

— Jak to, my? Ciebie nie było! My łowiliśmy!

— Więc wy złowiliście — prostuje już ze śmiechem Nusia, szczęśliwa, że braciszek ma tak, rzadką dla siebie, zadowoloną minkę. — A kto to jest Krzyś? Twój nowy kolega?

— Tak! On jest najmądrzejszy na świecie! I wszystko wie! — ekscytuje się nadal Adaś. — Jutro tu przyjdzie, bo znowu się umówiliśmy! Na rybki! I następnego dnia Krzyś rzeczywiście przychodzi po Adasia, ale nie jest to kolega, jakiego spodziewałaby się Nusia. Co prawda, ten dorosły mężczyzna, którego poznała wcześniej przelotnie u księdza i który dotychczas tylko kłaniał się grzecznie, patrzy teraz na nią z uśmiechem i zapewnia, że chętnie zabierze chłopca na ryby, ale dziewczyna wcale nie

jest przekonana, czy to dobry pomysł. Dopiero rozdzierający płacz brata przypomina jej, jak bardzo mały czekał na to spotkanie i, co ważniejsze, jaki był promienny, gdy poprzedniego dnia wrócił z połowu.

Od tego czasu Adaś zaczyna już nieodwołalnie uważać Krzysztofa za swojego prywatnego przyjaciela, jedyne i najlepszego, co podkreśla z dumą i bez przerwy. Tylko o nim wciąż mówi i na autorytet jego świątłych słów powołuje się w każdej dyskusji, aż nieco zazdrosna Nusia musi mu czasami przypominać, kto najbardziej go kocha na świecie.

— Wiem przecież, że ty mnie kochasz, ale Krzyś to mój najprawdziwszy przyjaciel, nie rozumiesz? — małego rozpiera dziecięca duma. — On może tylko mnie ufać, a ja jemu. Mówi mi wszystko o Indianach i innych ważnych sprawach, zupełnie nie dla dziewczyn.

108

Sprawy „nie dla dziewczyn” nie powstrzymują jednak Krzysztofa od systematycznego, regularnego niemal, zachodzenia na pogawędki również do Nusi. Trudno powiedzieć, jak tłumaczy ten fakt swemu małemu wielbicielowi, Adaś jednak nie zgłasza żadnego sprzeciwu, dlatego obywatele miasteczka widują teraz całą trójkę często spacerującą po parku lub nad brzegami jeziora. Każde z nich idzie, co prawda, jakby osobno i wspólnie pochylają się jedynie nad swym najmłodszym towarzyszem, ale bystre oko dostrzegłoby natychmiast, że i na siebie popatrują czasami z zastanawiającym zainteresowaniem, zwłaszcza kiedy drugie tego nie widzi.

Letnie tygodnie mijają powoli, a nad miasteczkiem przetacza się fala wściekłych upałów, na przemian z ogromnymi, grzmiącymi od piorunów burzami, po których przychodzi krótkie, wilgotne wytchnienie, zabijane od nowa gorącym słońcem, jakby ów milczący dotychczas Pan Bóg usilnie się starał dopasować scenografię do pełnych zawirowań, zmiennych nastrojów obojga młodych. Bo, nie wiadomo kiedy, również Nusia zaczyna myśleć coraz cieplej o Krzysztofie. Czasem towarzyszy „mężczyznom” w ich ważnych wyprawach, częściej jednak słucha z rozbawieniem niekończących się wieczornych opowiadań Adasia o ukochanym przyjacielu. W rozmowach z Krzysztofem nadal jednak nie mówi nic o swojej i chłopca przeszłości, od jego ewentualnych pytań uzależniając ich przyszły los.

Ale Krzysztof wcale nie pyta. Kocha oboje po prostu i zwyczajnie, a właściwie niezwyczajnie, bo nigdy by siebie o tyle uczucia nie posadzał, więc kiedy sierpień nieuchronnie zbliża się ku końcowi, proponuje Nusi, by Adasia zapisać w szkole jako jego syna. Nie są to z pewnością

najbardziej romantyczne oświadczyzny, ale dla dziewczyny jedyne możliwe do przyjęcia, bo przekonują ją o prawdziwym uczuciu młodego mężczyzny, któremu, mimo oporów i niepokoju, zdecydowała się jednak zaufać.

Szepty miejscowych plotkarek zagłuszone więc zostają dźwiękami dumnych, weselnych dzwonów, kiedy radośnie uśmiechnięty Paweł udziela im ślubu, a Krzysztof dopiero wtedy dowiaduje się, że Adaś jest jednak bratem, nie synem jego żony.

— Dlaczegoś milczał? — młody mąż dopada przyjaciela-księ-dza późnym wieczorem, wśród weselnej uczty, i przyciska w emocjach do ściany.

— Nie chciałem ci niczego ułatwiać — Paweł śmieje się przewrotnie, uskakując przed dobrotliwymi szturchnięciami tamtego. — Niusia już dawno ze mną rozmawiała. Ty, głupi, myślałeś, że

109

ja tak to zostawię? Nie pomogę dziewczynie? Nie wywiem się, co i jak? To tak mnie znasz? Oj, naiwny ty jak dziecko jesteś, Krzysiu, po prostu jak dziecko! Ona sama prosiła zresztą, żeby ci nic nie mówić. I miała rację. Jak zdecydowałeś się na pannę z dzieckiem, to panna z bratem ci nie zaszkodzi, a gdyby było odwrotnie? Kto wie?

— Masz ty rozum, masz! — podpity sierżant Walery opiera się ciężko na ramieniu Krzysztofa. — Sam bym lepiej nie wybrał, chłopaku! Już się bałem, że któraś z panien od Leokadii ostatecznie cię dopadnie, a to marne dziewczuchy są, tyle ci powiem. W kościele na ślubie wszystkie były! A każda mord w oczach miała, ledwie tylko po wierzchu łzami pokryty! Ale księżulo nie kazał się wtrącać, no nie? — patrzy w stronę Pawła, niepewny, czy tajemnica już może wyjść na jaw, ale na potakujące kiwnięcie księdza, kontynuuje jeszcze radośniej: — Myślałem już, żeby ci powiedzieć ze dwa słowa do rozumu, jak komu dobremu, bo wytrzymać było trudno i nawet patrzeć się nie dało spokojnie, jak żeś tak kluczył i kluczył! Diabli mnie już brali, dosłownie! A tu patrzę? Ksiądz do mnie w odwiedziny przyszedł! Kościół i milicja razem, toż to prawdziwy koniec świata! Gadu, gadu... I zgodziłem się poczekać, chociaż takiej pewności, jak on, nie miałem, czy ty do dobrej decyzji sam przyjdiesz!

— Myślałem... — zaczyna Krzysztof, ale już nie kończy, widząc ich rozradowane twarze. Nie dopowie, jak bardzo czuł się zawiedziony ich milczeniem i obojętnością. Nie podziękuje im nawet za prawdziwie braterską troskę, bo biegnie rozpromieniony w stronę swojej dziewczyny, ślicznej dziś jeszcze bardziej niż zwykle i spoglądającej na niego nieco niepewnym, ale prawdziwie kochającym wzrokiem, spod białego welonu

okalającego delikatną, uśmiechniętą buzię.

Tych dwoje rzeczywiście odnajduje się jak dwie połówki jabłka i przylega do siebie na całe życie, budząc zazdrość, ale i szacunek otoczenia.

Zapominają przy sobie o wszystkich cierpieniach, które zgotowała im wczesna młodość. Budują szczęśliwy dom dla trojga swych dzieci — zarówno Iwa, jak i Adama, a w końcu Janeczki — nie odróżniając przy tym nigdy, które z nich jest zrodzone z ich własnego ciała, a które tylko przybrane.

Przy Krzysztofie Nusia zapomina w końcu o nienawiści Leona

110

i chorej niechęci matki wobec mężczyzn. Zaczyna od nowa śmiać się jak dziecko i odważnie zanurza się w codzienność, złożoną z ich wzajemnej miłości oraz głębokiego porozumienia. Na Krzysiu nie zawiedzie się nigdy, nie mogłaby po prostu, bo on każdego dnia upewniać ją będzie o swoim uczuciu i oddaniu.

IX

Z tyłu, do zdjęcia dziadka przyczepiono spinaczem kilka kartek, dołączonych z pewnością dużo później. Oglądam je z zaciekawieniem, a następnie rozkładałam i znajduję rodzaj listu czy notatki, zapisanej charakterystycznym, pochyłym pismem dziadka Krzysztofa.

We wtorek 23. VII.94 r. — po uprzednim zapowiedzeniu się telefonicznym — przyjechał do mnie pan Edmund Przybylski, zamieszkały... Prosił o fotografię Rafała Choteckiego, mego brata, syna Krzysztofa i Władysławy, urodzonego 12. VI. 1918 r. w... Nie dysponowałem żadnym zdjęciem swego zaginionego brata, więc pokazałem mu jedynie to, własne, pochodzące z czasów już po wojnie, ale oddające podobieństwo. Uważano nas zawsze za bardzo podobnych do siebie...

Pan Przybylski wylegitymował się dowodem osobistym oraz upoważnieniem pracownika Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Przeciw Narodowi Polskiemu, przy Instytucie Pamięci Narodowej. Pragnął powiadomić mnie o losach brata, a jednocześnie dowiedzieć się czegoś o nim samym, aby uzupełnić dokumentację.

Z rozmowy dowiedziałem się, że brat mój został aresztowany 31. VII. 1945 r. na dworcu kolejowym w... We wrześniu 1945 roku odbyła się przeciwko niemu rozprawa pod kryptonimem „Chotecki i inni”, z czego wysnuwam wniosek, że uważano go za przywódcę organizacji walczącej z ówczesnymi władzami.

Rafał wrócił w maju 1945 roku z niemieckiego obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen (Rogoźnica) i zaraz po powrocie zadeklarował współpracę w

konspiracji. Nie ustalono, czy komórka, którą założył, zdażyła przedsięwziąć jakiegokolwiek działania, bo rozpracowano ją bardzo wcześniej i niemal natychmiast aresztowano jej uczestników. Może była w tym jakaś prowokacja? W czasie rozprawy w dniu 25. IX. 45 r, Rafał został skazany na karę śmierci jako jeden z pięciu, inni otrzymali kary od 15 do 20 lat więzienia. Ogółem w czasie tej rozprawy skazano 65 osób.

113
Wyrok na Rafale wykonano 31. X. 45 r. i pochowano go w mogile zbiorowej, której miejsca nie sposób ustalić. Kapelan więzienny, który żyje do dzisiaj, według słów pana Przybylskiego, oświadczył, że dobrze pamięta tych młodych, najczęściej niewinnych chłopców, których spowiadał przed śmiercią. Przedstawiono mi również dokument z podpisem brata, z dnia jego egzekucji. Są na nim informacje dotyczące stanu jego zdrowia, wagi, wzrostu oraz notatka potwierdzająca, że pozwolono mu wypowiadać się przed śmiercią.

Pan Przybylski dysponował jeszcze nazwiskiem i aktualnym adresem żołnierza, który rozstrzelał mego brata, ale nie wziąłem tej kartki.

Krzysztof Chotecki

PS Postanowiłem, że na moim grobie ma leżeć kiedyś tablica pamiątkowa z jego imieniem.

Brak jakiegokolwiek dodatkowego komentarza do tych suchych, wstrząsających faktów uderza mnie chyba najmocniej. Po tylu latach dociekań, badań, poszukiwań, dziadek dowiedział się wreszcie prawdy o śmierci swego brata i do prostych informacji nie dodał już ani słowa! Zdumiona i zasmucona tą notatką postanawiam natychmiast zadzwonić do cioci Janki, ale ona jest równie jak ja zaskoczona i niespokojna, kiedy odczytuję jej treść kartek.

— Nie miałam pojęcia o takim spotkaniu — jej głos drży wyraźnie, gdy stara się przypomnieć sobie wszystko, w miarę najdokładniej. — Jaka, mówisz, data? Co myśmy z Niusią mogły wtedy robić? Gdzie byłyśmy, że nie brałyśmy udziału w tej rozmowie? Krzysztof był już wtedy słaby, często czuł się gorzej, niemal nigdy nie zostawiałyśmy go samego. Doprawdy nie wiem... Musiał ten pan przyjść jakoś, w przypadkową chwilę naszej nieobecności.

Czuję, że gorączkowo rozważa jakąś swoją winę czy nieuwagę, ale moje uspokajające słowa niczego w jej smutku nie zmieniają. Żałuję niemal, że w ogóle do niej zadzwoniłam, ale ona prawie natychmiast wraca, do swojej, niemal legendarnej w naszej rodzinie, równowagi.

— Nie, nie, dobrze zrobiłaś — przekonuje prędko. — Zawsze się

zastanawiałam, co tak nagle wpłynęło na pogorszenie się jego stanu zdrowia. Obie z Niusią zachodziłyśmy w głowę, a tu, patrz, taka sprawa. Załatwimy to na wiosnę, Aniu, zrobimy tak, jak sobie życzył. Widocznie miałaś przeczytać ten list właśnie teraz, dziecko, wtedy może i nie dałoby się nic zrobić? Bogu dzięki, że wiemy, jak

114

to się wszystko potoczyło, los Rafała nam wszystkim zawsze leżał na sercu. Ale to już tyle lat... Przynajmniej nie boli tak dotkliwie. Zrobimy, co będzie trzeba. Tablicę się dołoży do grobu dziadków, dziecko, będzie dobrze, już ty się teraz nie martw.

Jej spokój znowu wpływa na mnie kojąco, z każdej sprawy umiała, już od dzieciństwa, znaleźć odpowiednie wyjście i tak ją ułożyć, że wydawała się niegroźna i możliwa do opanowania. Jak dobrze, że ją przynajmniej mam jeszcze! Przywraca normalne wymiary każdemu doświadczeniu.

— To pięknie się nawet złożyło — mówi teraz. — Iwo za bardzo by się wszystkim przejął, a ty już emocjonalnie tak silnie nie jesteś związana z tymi sprawami, więc po prostu zostanie ci tylko w pamięci, i tyle. Cóż, tak bywało... Ja o moich bliskich, rodzonych, już nigdy niczego się nie dowiem. Może chociaż to za rekompensatę jaką będzie...

Potem rozmawiamy już tylko o sprawach bieżących, a ona, z właściwą sobie niefrasobliwością opowiada o wyskokach wrednego wnuka tak zabawnie, że ostatecznie zaśmiewamy się obie i myślę, że nie ma w tym śmiechu niczego, co uraziłoby dziadka Krzysztofa, a nawet tego obcego stryja mego ojca, Rafała. Bo przecież zarówno śmiech, jak i łzy, są wpisane w nasze życie i trzeba umieć z ich dobrodziejstw korzystać, kiedy się da.

— Dbaj ty o siebie, dbaj — dorzuca jeszcze na zakończenie ciocia Janka.

— Życie trzeba żyć, kochana, podobno tak mówiła jakaś wielka amerykańska aktorka, więc się zastosuj do jej mądrości i nie martw więcej, niż to konieczne.

Resztę soboty spędzam więc elegancko i dostojnie, jak dama, a może i jakaś gwiazda filmowa, zgodnie z namową cioci Janki przyjmując, że możemy wykonać zawsze jedynie dostępną nam część obowiązków, dbając tylko o to, by ta odrobina zrobiona została należycie. Co będzie trzeba, to zrobię dla tego dawnego, młodego chłopaka, będę o nim pamiętać, tak jak myślę i o innych, bliskich mi krewnych.

Wyłączam telefony i domofon, otaczam się natomiast nastrojową muzyką i pozwalam sobie na słodkie nieróbstwo. Godziny wieczorne mijają ospale, bez żadnej niepokojącej myśli, jakby rudobrody los rzeczywiście

postanowił dać mi już dziś spokój. Nieco smutny, stonowany Bach dodaje światu uroku, a ja cieszę się każ-

115

dą chwilą i w skupieniu zajmuję się tylko sobą. Kładę odżywczą maseczkę na umęczoną całonocnym płaczem twarz i leżę długo w ciepłej pianie, namawiając moje ciało, by chłonęło czarodziejskie składniki niezwykle drogiego olejku do kąpieli, który kupiłam kiedyś w przypiływie szaleństwa, przekonana do decyzji mądrym artykułem w modnym czasopiśmie dla kobiet.

Babcia Nusia mówiła zawsze, że do kwiatów trzeba przemawiać, żeby dobrze rosły i szeptała jakieś zaklęcia do ukochanej chińskiej róży, za którą dziadek nie przepadał, bo podobno miała trujące właściwości, ale która kwitła wiernie, co roku, przepięknymi, ogromnymi, ciemnoróżowymi pąkami, zamykając dziadkowi usta i wprawiając w zachwyty dumną z osiągnięć babcię.

Później dowiedziałam się, co prawda, że to dwutlenek węgla z wydychanego powietrza tak dobrze działa na rośliny, a wcale nie dobór słodkich słówek, wyszeptywanych przez podlewającego, ale nigdy nie zdradziłam babci tej prozaicznej wiadomości. Do dziś nie wiem, co działało na tę różę, bliskość biologiczna kochającej właścicielki czy jej serdeczna czułość, ale i tak wszystkie, szaleńczo kwitnące kwiaty babci, wzbudzały zawsze zrozumiałą zawiść każdej sąsiadki w okolicy.

Pamiętając o fenomenie babcinej wiary w miłość, przekonuję teraz komórki mojej skóry do współpracy i odpowiedniego wchłaniania niezwyklej zawartości kosmetyku, a pozostałą częścią mózgu usypiam skutecznie warczące sumienie, wykrzykujące co chwilę wielkim głosem jego barbarzyńską cenę. Potem, uciszając w końcu tę wewnętrzną walkę, bo przecież olejku i tak już nie ma, nadal słucham kojącej muzyki i precyzyjnie maluję paznokcie.

Kiedy ostatecznie wcieram jeszcze tony kremu w blade już po zimowemu ciało, zaczynam powoli czuć się zadbaną, radosną i zadowoloną kobietą. Jednak, mimo tego satysfakcjonującego wrażenia, obiecuję sobie solennie, że w najbliższej wolnej chwili skoczę także do kosmetyczki i położę się na kilka minut w solarium.

O tak! Dwie godzinki u Izki! Oto, czego mi trzeba! Wtedy dopiero wyglądałabym jak prawdziwa dama! Bez porównania do tych moich domowych, pożałuj, Boże, ambitnych zabiegów. Izka to moja koleżanka z liceum, która zaskoczyła niedawno nas wszystkie, otwierając mały, ale niezwykle salonik kosmetyczny w swoim domu. W szkole, co prawda,

mogłabym posadzać ją o wszystko, tylko nie o taki wybór zawodu, ale teraz błogosławię jej decyzję za każdym razem, kiedy uda mi się zarezerwować u niej chociaż godzinę.

116

Interesowała się zawsze teatrem, mówiła wiersze, pięknie tańczyła, w tajemnicy pisywała nawet artykuły do młodzieżowych czasopism, więc widziałśmy ją raczej na scenie czy, w ostateczności, jako krytyka teatralnego na widowni, ale z pewnością nie przy fotelu kosmetycznym. Rewelacyjnie grała na wiolonczeli, a że była drobniutka i śliczna, chłopcy z upodobaniem wyśpiewywali za nią słynne „prześliczna wio... wiolo... wiolonczelistka la, la, la ...” i zabijali się dosłownie o to, który ma jej pomagać w dźwiganiu do domu wielkiego instrumentu. Ona zaś, z przewrotnym uśmieszkiem cherubinka, kiwała tylko smukłą dłonią i wyznaczała kolejnego szczęśliwca, który z wypiekami na twarzy drobił obok niej małymi kroczkami, żeby jak najlepiej dostosować się do jej sposobu chodzenia.

I wszystko mogło sobie tak trwać, ta rozświetlona Izka i jej szaleni konkurenci, gdyby nie Rysiek, który pojawił się nie wiadomo skąd i zniszczył cały jej świat, kiedy byliśmy już w maturalnej klasie. Żadna z nas nie miała zielonego pojęcia, gdzie w ogóle mogli się spotkać ludzie tak bardzo niedobrani. Wyglądali, mówili, zachowywali się nawet, jakby funkcjonowali na dwóch różnych planetach. Dobrowolnie nigdy nie podałabym mu ręki. Nawet nie dlatego, że taka ze mnie była jaśnie panienka, ale zawsze miał te łapy po prostu brudne! Izka zdała wtedy na kulturoznawstwo, a on pracował w myjni samochodowej. Nie mam nic przeciwko ludziom z myjni, broń Boże!, ale z dziewczyną piszącą wiersze, rzadko który sobie pogada, prawda?

Nie pomagały żadne nasze, mniej lub bardziej wyraziste komentarze i sugestie. Izka przyprawiała go na każde spotkanie i, chciałyśmy czy nie, trzeba mu było te brudne paluchy uścisnąć, bez większego grymasu zresztą, bo wcale nie wiadomo, jak by zareagował! Nigdy nie krył swej głębokiej względem nas pogardy, twierdząc, że mamy poprzewracane w głowach, ze swymi naiwnymi marzeniami o studiach.

— Do końca życia będziecie tylko dreptać po ulicach, jak na inteligencika przystało, w okularkach i z tobołem książek pod pachą, a ja będę jeździł taką furą, od której oczu nie będziecie mogły oderwać... che... che... che... A czy którą przewiozę, to się jeszcze okaże — argumentował, gestykulując przesadnie i obejmując władczo drobne ramiona Izki. Sugerował jeszcze z obleśnym uśmieszkiem, od którego zwijały nam się wąpia w środku, jak

to będziemy się musiały postarać, żeby nas tą swoją bryką przewiózł!
Niedoczekanie jego! Każda z nas wolałaby przejść piechotą całą Alaskę,
niż usiąść w jego samochodzie!

117

Co w nim urzekło Izkę? Nie mam pojęcia! Ona sama też nigdy ostatecznie nam tego nie wytłumaczyła, w każdym razie konsekwentnie go broniła przed naszymi oskarżeniami, twierdząc, że nie widzimy, jaki cudowny jest naprawdę, pod tą wierzchnią, ochronną, jej zdaniem, powłoką i ile w nim wspaniałych cech, które dostrzec tylko ona potrafi. My jednak byliśmy ślepe na jego uroki. Nie wiem, jak się to wszystko toczyło dalej, bo w chwilę potem i ja uległam sile szaleńczych uczuć, patrz Hubert, a później nie nadawałam się specjalnie do kontaktu, z racji śmierci rodziców, ale ostatecznie dowiedziałam się tylko, po fakcie, że Izka rzuciła studia i pojechała z brudnym Ryśkiem, nie mylić z Brudnym Harrym, do Ameryki. Znikła nam potem z oczu na kilka lat i do dziś żadna z nas nie wie, co się z nią w tych Stanach działo. W każdym razie, wróciła już sama. W ubiegłym roku. Nie nawiązując ani słowem do swej wielkiej miłości. I od razu zaskoczyła nas, otwierając w małej willi, którą miała po dziadkach, salon kosmetyczny. Ba! Nie salon, po prostu cudo!

Maleńkie to, na parterze, z kilkoma tajemniczymi pomieszczeniami, przynoszącymi szanującej swą urodę kobiecie absolutne szczęście. Dostać się do niej tak trudno, że zapisujemy się w specjalnym kajeciku, ale przystajemy na rygorystyczne wymogi bez jednego słowa skargi, bo naprawdę warto. Izka pracuje wyłącznie sama i od początku udowodniła, że zawód kosmetyczki może być działaniem artystki, perfekcyjnie wykonującej swoje dzieło.

Nie byłam u niej od tygodni, nie zamówiłam też żadnego terminu, więc marudzę teraz sama nad sobą, usiłując przekonać własne ciało, że i ja umiem je rozluźnić i uszczęśliwić odpowiednimi zabiegami. Ono nie jest tego zupełnie pewne, ale ostatecznie godzimy się ze sobą, kiedy kładę je wcześniej spać i oszczędzam mu zarówno wina, jak i papierosów.

Rzeczywiście odpoczywam spokojnie, po raz pierwszy od dawna śpiąc bez snów i majaczeń, by obudzić się późnym, niedzielnym przedpołudniem. Piję właśnie kawę, zastanawiając się, co zrobię z wolnym dniem, by realizować konsekwentnie program dopieszczania siebie samej, kiedy nagle odzywa się dzwonek u drzwi. Wizjer, którego dopadam lekko podenerwowana i niepewna, kogo diabli niosą, ukazuje mi zupełnie obcą twarz starszego pana, któremu, założywszy pospiesznie, że Hubert nie postarzał się aż tak bardzo i niezwykle przystojnie w ciągu ostatnich kilku

dni, otwieram z wdziękiem.

118

Najpierw następuje obopólna konsternacja. Stoimy w milczeniu, niby dwa solne słupki, naprzeciw siebie, bardzo oboje sobą zaskoczeni. On wytrzeszcza, trudno, tak trzeba rzecz po imieniu nazwać, wytrzeszcza oczy, jakby wcale nie mnie spodziewał się ujrzeć, ja zaś wybałuszam swoje, bo nie wiem, dlaczego on jest taki zdumiony, skoro właśnie do moich drzwi, świadomie jak sądzę, zadzwonił. Może mam coś na twarzy? Czyżby resztką wczorajszej maseczki? Albo, nie daj Boże, pryszcz? Wszak po kosmetycznych szaleństwach wszystko może się zdarzyć! — myślę odrobinę spłoszona. Ale nie pobiegnę przecież teraz do lustra, żeby się upewnić! Gdybym odskoczyła do łazienki, dopiero by się przeraził! Więc zalegam przy drzwiach murem i konsekwentnie patrzę mu w oczy, uśmiechając się zachęcająco. W każdym razie mam nadzieję, że zdołałam przybrać taki właśnie wyraz twarzy, bo przy tych pospiesznych rozrachunkach pewności mieć nie mogę, ale się staram! No, popatrz! Staram się! I tak pewnie moglibyśmy pozostać na wieki, oboje z minami niespokojnych, nastroszonych kotów, ale zwycięża w końcu dobre wychowanie gościa, który mimo wahania, decyduje się jednak przedstawić. Ostatecznie jesteśmy ludźmi, na szczęście dano nam umiejętność mowy! Nie musimy ograniczać się do obwąchiwania. Jest Hektorem Bradleyem, owym angielskim prawnikiem, do którego po wszystkich możliwych opóźnieniach miałam zamiar zadzwonić w poniedziałek rano. Jego wyraźne podenerwowanie i pełne obaw spojrzenia, które mi ukradkiem rzuca, powodują, że poziom uprzejmości w naszej konwersacji gwałtownie wzrasta. Wersal, przy tej rozmowie, to zaledwie budka z piwem, na byle jakim rogu. Oboje jesteśmy grzeczni i skrupowani do obrzydliwości. Ja przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej, Anglik sumituje się, że pozwolił sobie najść mnie w domu, w niedzielę i bez zapowiedzi. Dyplomatyczne zabiegi wprost świszczą w powietrzu, powodując, że dosłownie dusimy się, szukając kolejnych kurtuazyjnych zwrotów w przegrzanych mózgach. Ze strachu, że umrzemy za chwilę od ciężaru grzechów, których się oboje dopuściliśmy, proponuję mu kawę i bardzo prozaicznie sadzam w kuchni, na stołku przy blacie, co powinno emocjonalnie i kurtuazyjnie sprowadzić nas na ziemię i nadać wzajemnym kontaktom nieco normalniej szych wymiarów. Nie mogę ugościć go w żadnym innym pomieszczeniu, łazienka chyba byłaby zbyt deprymująca, albo nadałaby naszemu spotkaniu z lekka wyuzdany charakter, a pokoje odpadają, bo nadal nie

dysponuję żadnymi meblami salonowymi. Ale ten właśnie fakt okazuje się zbawienny.

119

Kuchnia bowiem rozładowuje nam zgrabnie sytuację. Pan, odwiesiwszy odzienie wierzchnie w korytarzu, przełamuje następne tabu i pozbywa się marynarki, rozluźniając przy tym nieznacznie krawat, a doprawdy, będąc w koszuli i w kuchni, nawet najbardziej eleganckiej, trudno utrzymać konwersację na poziomie wyższych sfer dyplomatycznych. Powoli zaczynamy zatem głębiej oddychać, płuca otrzymują stosowny zapas tlenu, a rozluźnione mięśnie ze zgrzytem prostują nam ramiona, uniesione dotychczas jak zbroja.

Po dwóch godzinach, trzech filiżankach kawy i kilku sporych kawałkach przepysznego ciasta (dzięki ci, Alinko!), mówimy sobie z Hektorem po imieniu, ponieważ czuje się on przyjacielem mojej rodziny, chociaż tej nieznaney mi części, ale jednak, więc skoro ja poprosiłam go, by zaprzestał tytułowania mnie panią, on również zadbał o bezpośredniość w moim stosunku do niego. Atmosfera z wolna nabiera cech nieco familiarnych i rozmowa toczy się przyjemnie, bez krępujących przerw.

Facet jest zresztą przemiły. Średniego wzrostu, siwy i niezwykle przystojny. Gdybym gustowała w starszych panach, miałby we mnie wielbicielek wierną po grób. Na oko ma około sześćdziesiątki, ale mogę się mylić, bo świetnie zakonserwowany, ponadto bezpośredni, co zawsze ujmuje człowiekowi lat, i z kontynentalnym, nie angielskim, poczuciem humoru. Kiedy przeszły mu emocje wstępne, okazuje się doskonałym kompanem, który potrafi znaleźć się w każdej sytuacji, nie tracąc przy tym galanterii i swoistego czaru. Ech! Stara, dobra szkoła!

Wyjaśnia mi wreszcie, że zobowiązany przez Teodorę, usiłował nawiązać ze mną kontakt jak najwcześniej, tak jak ona sobie życzyła. Dzwonił kilka razy, ale odpowiedzi go nie zadowalały[^] zarówno te z miejsca pracy, jak i z domu. Jak to z domu? Więc rozmawiał jednak z Hubertem? Otóż konwersował dwukrotnie z młodym dżentelmenem, który wszakże mówił dziwnie enigmatycznie i raczej zdawał się dopytywać o sprawę, niż odpowiadać na pytania. Do rozmów z osobami trzecimi Hektor nie poczuł się upoważniony, zdecydował zatem powierzyć sprawę poczcie.

Później jednak, pamiętając o zawirowaniach historycznych w rodzinie i problemach z przekazywaniem informacji, o czym on mówi?!, postanowił sam przyjechać, bo przecież dziś to żaden problem, nie jak przed laty.

Przyleciał wczoraj i, łamiąc wszelkie zasady grzeczności, odnalazł mnie w niedzielę w domu, od poniedziałku bowiem znowu mogłam mieć

zawodowe zajęcia, które uniemożliwiłyby nam spokojną rozmowę. A do rozmowy tej jest

120

zobowiązany prawnie, osobiście natomiast bardzo jej potrzebuje i zgoła pragnie.

— Ale odbędziemy ją już na moich warunkach, jeśli pozwolisz — Hektor zsuwa się z kuchennego stołka i przyjmuje na powrót postawę angielskiego prawnika, w marynarce i z porządnie zawiązanym krawatem.

— Nie mogę nadużywać twojej gościnności, choć przyznaję, że dawno tak swobodnie i miło nie spędziłem niedzielnego przedpołudnia. Pozwól, że w zamian zaproszę cię na obiad, czy jak to wy mówicie, na kolację.

Będziemy mogli wówczas lepiej się poznać.

Mówi to tak sympatycznie i bez jakichkolwiek podtekstów, że zaczynam naprawdę mu ufać i czuć się przy nim, jakby był również moim, nie tylko Teodory, przyjacielem od lat. Rozumiem też, że Teodora mogła mu wierzyć bez zastrzeżeń, podobnie jak zawierają mu na pewno inni klienci jego prawniczej kancelarii. Umawiamy się na osiemną, a ja gratuluję sobie w duchu wszystkich wczorajszych zabiegów kosmetycznych, bo dzięki nim i jeszcze małej godzinie przed lustrem, będę się mogła stawić w miejscu publicznym bez wstydu dla zagranicznego gościa.

Restauracja jest niezwykle elegancka i okropnie droga. Za własne pieniądze nie wstąpiłabym tu nawet na wodę mineralną, ale ponieważ czuję się zaproszona, więc odważnie przekraczam ekskluzywne progi. Kelner gnie się wpół i dostojnie prowadzi mnie do stolika, co przyjmuję ze stoickim spokojem, jakbym na co dzień spotykała się z tego rodzaju grzecznością. Na szczęście ubrałam się odpowiednio, a precyzyjnie umalowana twarz dodaje mi pewności siebie, uznaję nawet, że pieniądze wydane na olejek do kąpieli nie poszły ostatecznie na stracenie, bo oto mogę godnie reprezentować swą ojczyznę, świeżutko przytuloną do matczynych ramion Europy. Po prostu szal ciał i upręży! Wielki świat i bon ton!

Witamy się jak starzy znajomi i chyba rzeczywiście tak czujemy oboje, kiedy swobodnie uśmiechamy się do siebie przy spotkaniu. Po porannej konsternacji nie ma już śladu, dwa nastroszone koty umknęły na pobliskie podwórka, a my stanowimy przykład ludzi grzecznych i umiejących odnaleźć się w każdej sytuacji. Elegancki hotel nie jest może tak intymny, jak moja kuchnia, ale wyraźnie odpręża i jednocześnie mobilizuje Hektora, który teraz dopiero zdaje się przebywać w charakterystycznym dla siebie otoczeniu. Spontanicznie szarmancki i ciepły, naturalnie przejmuje

prowadzenie w rozmowie.

W czasie kolacji dowiaduję się wiele o Teodorze. Okazuje się,

121

że jednak zaprosiła mnie do siebie w liście kondolencyjnym, przed siedmiu laty, i nie wiedząc, że go po prostu nie otworzyłam, założyła, że nie mam siły lub ochoty na bezpośredni z nią kontakt. Moje pełne żalu zawstydzenie Hektor łagodzi zapewnieniem, że nie miała o to do mnie pretensji. Ostatecznie ona sama też nigdy nie przyjechała do Polski, choć wielokrotnie ją do tego zachęcano, a wszystkich zaproszeń była przecież w pełni świadoma.

— Dlaczego tu nie przyjechała? Wiem na pewno, że utrzymywała stały kontakt ze starszą częścią rodziny, często pisywała nawet do moich rodziców. Mogła z pewnością czuć się u nas swobodnie, zarówno dziadek, jak i babcia byli ludźmi otwartymi i bardzo towarzyskimi. Tym bardziej rodzice.

— Nie wiem, naprawdę, co było powodem tej sytuacji — Hektor kręci głową w zakłopotaniu — zawsze znajdowała jakieś wymówki. Nawet sensowne, ale przecież tak wiele podróżowała po świecie... Mogła zajrzeć i tutaj... Sam nie wiem... Z pewnością miała swoje powody. Zrozumiesz, jak poznasz ją lepiej.

— Poznać osobę nieżyjącą? Myślisz, że to możliwe? — nie mam wcale takiej pewności, nie zdradzam jednak wszystkich swych wahań Hektorowi.

— Pewnie trudne, ale... chciałbym, żeby tak się stało. Polubiłabyś ją na pewno, jestem o tym przekonany. Nawet nie wiesz... — tu milknie, rezygnując z dokończenia myśli. — Zresztą sama się przekonasz — kończy jakoś dziwnie niezręcznie.

Widzę, że on sam lubił ją bardzo, to ujawnia się nie tyle w deklaracjach, ile w sposobie, w jaki opowiada, komentuje postanowienia i decyzje swojej przyjaciółki, a nawet w tym jak milknie nagle, wahając się, czy nie zdradza jakichś jej tajemnic, które powinnam odkryć sama lub pozostawić nierozwiązane. Ta wierność jej pamięci jeszcze bardziej mnie wzrusza i przekonuje do niego. Jest wobec Teodory lojalny nawet po jej śmierci, to charakteryzuje zresztą nie tylko jego, ale i ją także jako osobę, wobec której warto pozostać przyjacielem, nawet po jej śmierci.

— Dlaczego jednak właśnie mnie uczyniła swoją spadkobierczynią? Jak to możliwe, skoro wcale mnie nie знаła, a do tego sądziła, że i ja nie mam zamiaru jej poznać?

— Ona lata temu podjęła tę decyzję — przekonuje Hektor, zasmucony

moim zszokowaniem i niepokojami. — Naprawdę, była absolutnie pewna swych decyzji i nigdy nie zwątpiła w ich słusność. Z prawnego punktu widzenia też są zresztą całkowicie poprawne i niepodważalne. Oprócz wszystkiego, jesteś po prostu

122

ostatnią reprezentantką obu rodzin, a właściwie trzech, prawda? Również po stronie ojca?

Jak czuje się spadkobierca? Czy ekscytuje go nieznana wartość majątku? Rozważa, co zrobi i kupi za otrzymane pieniądze? Cieszy się? Może. Prawdopodobnie. Nie wiem. Ja mam wrażenie, że znalazłam się zupełnie sama na pustyni i znowu chcę płakać owinięta w kołdrę w pajacyki, jak przedwczoraj, w swoim dawnym pokoju, w mieszkaniu rodziców. Hektor wyczuwa jakoś, że mnie nie uszczęśliwił, więc zamawia koniak dla polepszenia nastroju i łagodnie poklepuje po ręce, podczas gdy ja staram się oddychać głęboko, żeby nie zrobić z siebie widowiska.

„Czy jesteś histeryczką, Anno? Czy jesteś histeryczką?” — słowa wypływają z podświadomości i natychmiast stawiają mnie do pionu, jak ostry trzask bata. O nie! Tego nie zrobię Hektorowi, sobie ani całej mojej wymarłej rodzinie! Żadnej z tych wymarłych rodzin — dodaję w myśli i nagle mam nieodpartą ochotę zachichotać głośno, jakbym zobaczyła wokół wszystkie znane i nieznane portrety przodków, przyglądających się z troską, czy aby na pewno dobrze wybrali swoją następczynię tronu. Muszę jednak zapanować nad sobą, bo wiem, że mój obłędny śmiech przeraziłby Hektora jeszcze bardziej niż tragiczny szloch, więc łapię kieliszek postawiony przede mną przez kelnera i jednym zamaszystym haustem łykam jego zawartość.

O Jezu!! Oczy dosłownie wyłażą mi z orbit, w gardle płonie żywy ogień, a płuca postanowiły nieodwołalnie pęknąć z trzaskiem. Fizyczność mi kompletnie zastrajkowała i kategorycznie odmówiła jakiegokolwiek współpracy. Czuję tężejące mięśnie twarzy i ostry piorun bólu w tyle czaszki, za chwilę rozpadnę się na tysiące kawałeczków i już nikt nigdy nie poskłada mnie z powrotem do kupy! Pięknie! Tylko resztką niespalonego jeszcze do końca mózgu, zastanawiam się przez ułamek chwili, czy eksploduję Hektorowi prosto w twarz i czy równocześnie włosy sfajczami się z sykiem na głupiej głowie. Tylko się rozprysnę po tej eleganckiej knajpie? Czy wywołam też pożar?

Wszystko, co ten biedny, angielski prawnik przeżył przy swej szalonej klientce, zostanie mu z pewnością w dwójnasób policzone w niebie. Do końca życia nie zapomnę gamy uczuć na jego twarzy, zbliżonej do mnie w

geście troskliwego współczucia. Widziałam na niej kolejno, jak na niemy filmie, spokój, później wzruszenie i lekki szok, aż po autentyczne przerażenie, że będzie oto świadkiem, pełnego huku, fizycznego rozpadu ostatniego potomka trzech znamienitych rodów.

123

Uczciwie muszę też dodać, że nie odsunął owej przerażonej twarzy ode mnie, choć mógł, słusznie przecież założyć, iż moje doczesne resztki zabrudzą mu co najmniej garnitur. Ale jestem młoda i silna, a mój adwokat odważny, więc przeżyliśmy jakoś oboje, a nawet, kiedy wzięłam już kilka wracających życie oddechów, zaczęliśmy się nawzajem nieprzekonująco upewniać, że nic takiego złego się nie stało.

— Kawa dla państwa — przywraca nas ostatecznie do świata żywych grzeczny głos kelnera. — Proszę wybrać sobie desery. Może lody?

Podajemy bajeczne wprost desery lodowe.

Zdaje się, że już zawsze wybawiać mnie będzie z każdej opresji jakaś kawa! Właśnie ona, a nie angielska herbata, po raz drugi tego dnia zdołała skierować nas znowu na bezpieczne wody dyplomatycznej konwersacji.

Ale okazuje się przy tym, że dramatyczne wzruszenia rzeczywiście zbliżają do siebie ludzi! Hektor bowiem opiekuńczo przysuwa się teraz do mnie i po ojcowsku dba przez resztę wieczoru, bym jadła powoli i popijała małymi łykami.

— Teodora nie stawia w testamencie żadnych warunków objęcia spadku — kontynuuje wątek dziedziczenia, po dżentelmeńsku przechodząc wielkim krokiem nad moją przerażającą, trawienną wpadką — możesz z nim zrobić, co zechcesz, nawet sprzedać angielski dom. Chciała tylko żebyś, zanim cokolwiek postanowisz, przyjechała do Harrogate i rozejrzała się trochę.

— Tak oddawać obcej osobie swój dom rodzinny, pamiątki całego życia i prosić jedynie, by zobaczyła, jak wszystko wyglądało za życia właścicielki? — wzruszenie znowu podstępnie wkrada się do mojego, obolałego dziś od nadmiaru wstrząsów, serca — to spory kredyt zaufania. Na jakiej podstawie wierzyła, że na pewno mu sprostam?

— Była spokojna, że postąpisz jak należy. Wiesz, ona sama była wystarczająco niekonwencjonalna, żeby rozumieć sens niezwykłych rozwiązań. Uznała po prostu, że to, jak zdecydujesz, będzie dla ciebie najlepsze. Po co narzucać innym decyzje? Albo im coś dajesz bezwarunkowo, albo nie dawaj wcale. To jej własne słowa. I choć wtedy wydawały mi się dziwne, teraz, kiedy ciebie poznałem — tu Hektor bardzo po polsku całuje z rewerencją moją dłoń — rozumiem, o co

chodziło Teodorze.

Tłumaczy też, dlaczego nie chciała, żebym uczestniczyła w jej pogrzebie, zakładając, że czułabym się wówczas emocjonalnie zobligowana do jakiejś nieprzemyślanej i pospiesznej decyzji. Podejmując ją w takich okolicznościach, nie byłabym do końca obiek-

124

tywna i może żałowałabym później swych postanowień. Ta troska rzeczywiście daje mi kolejną informację o jej charakterze i empatii, z którą podchodziła do przeżyć innych ludzi, którymi przecież wcale nie musiała, a jednak pragnęła się przejmować.

Kiedy wieczór ostatecznie dobiega końca, ustalamy jeszcze tylko plany na najbliższą przyszłość. Hektor wie oczywiście, że nie mogę pojechać do Anglii natychmiast, wiele spraw trzeba pozatłatwiać prawnie, a i ja mam co nieco do przemyślenia i ustalenia. Z takim zresztą założeniem przyjechał, zakładając od razu dłuższy pobyt w Polsce. Dlatego na kilka najbliższych dni wybiera się do Krakowa, gdzie mieszka jego dawny znajomy, od lat usilnie zapraszający go do siebie. Chce też trochę rozejrzeć się po naszym kraju, no i zająć się sprawami spadkowymi tutaj, bo zakłada, słusznie zresztą, że uznam go za swojego prawnego reprezentanta.

— A teraz jeszcze ostatnia sprawa — mówi, gdy ostatecznie zbieramy się do wyjścia — Teodora znała cię dość dobrze, głównie za sprawą twoich rodziców i dziadków, ale ty chyba nawet jej nie widziałaś, prawda? Więc zostawiam ci jej zdjęcie. Jest, co prawda, sprzed kilku lat, ale chyba najlepiej oddaje, jaka naprawdę była.

Biorę do ręki kartonik i oto... patrzę na samą siebie! Będę tak wyglądać za jakieś dwadzieścia lat, moda pewnie się zmieni, sposób malowania oczu na pewno też, ale to po prostu. Blade policzki, pociągła twarz, zielone oczy i ruda czupryna krótkich włosów.

— Więc było nas troje w tej rodzinie — mówię ze wzruszeniem. — Troje samotnych, trochę dziwacznych rudzielców. Wyglądam podobnie, jak oni, jak Adam i Teodora!

— Właśnie — potwierdza on cicho — zauważyłem to już dziś rano, kiedy tak nagle zobaczyłem cię w drzwiach twojego mieszkania. Wprost z podziwu wyjść nie mogłem. Teraz wiem jeszcze, że nawet temperamenty macie podobne.

>

.

X

Wiesz, co dostanę w tym roku na urodziny? — pyta Teo lekkim,

konwersacyjnym tonem, pogryzając słodką migdałową bułeczkę, pełną kandyzowanych owoców i machając swobodnie nogami w białych, przepisowych podkolanówkach, jakie noszą obie z Mary, do granatowego mundurka obowiązującego w staroświeckiej i konserwatywnej szkole, do której chodzą. — Dostanę braciszka!

— Jak to, braciszka? — zdezorientowana Mary patrzy niepewnie na koleżankę, ale nie śmie powiedzieć jej tego, co dla wszystkich jest przecież aż nadto oczywiste, czyli że jej rodzice są po prostu zbyt starzy na małe dziecko. Jej mama może i wygląda bardzo młodo, ale ojciec? Choćby nie wiem jak przystojny i miły, ma na pewno ze sto lat! Albo niewiele tylko mniej. Tak przynajmniej uważa ona, z dorosłej perspektywy swoich kilkunastu. Ponadto żaden niemowlak nie może wydawać się odpowiednim prezentem dla szesnastolatki!

Mary tylko myśli o tym wszystkim, ale za nic nie powiedziała by przyjaciółce ani jednego słowa ze swych rozważań, bo nie chciałaby przecież sprawić jej przykrości nigdy, a już zwłaszcza teraz, przed jej urodzinami, z którymi Mary wiąże swe własne oczekiwania i nadzieje. Bo uwielbia bywać w domu Teo i liczy, że i tym razem zostanie zaproszona. Jest tam zawsze tak pięknie, czyściutko i cicho! Nie trzeba uganiać się za dziećmi, a mama koleżanki traktuje je zwykle z powagą jak prawdziwie poważne panny. Wyprawia się uroczyste przyjęcie, a jej ojciec zabawia towarzystwo anegdotami i prawi przemiłe komplementy. Może sobie być stary, ale jak szarmancko odnosi się do przyjaciółek córki! Całe popołudnie tego dnia, to istny raj. Więc mówienie o bobasie, w tych okolicznościach, jest chyba dziwnym żartem?

— A tak właśnie! Dostanę braciszka! — Teo obojętnie rozgląda się po skwerze przy ciastkarni „U Betty”, w której codziennie kupują ciastka, czekając, aż ktoś, najczęściej właśnie ten stuletni, ale

127

cudowny ojciec Teodory, odwiezie je do domu. Wodzi niespiesznie wzrokiem po klombach kolorowych kwiatów, posadzonych z dumą przez mieszkańców wzdłuż trawników i nawet usiłuje ziewnąć dla podkreślenia oczywistości swoich informacji. Ale nie udaje jej się zbyt długo udawać obojętności.

— Mój starszy brat przyjeżdża do nas, z Polski, w czasie wakacji — dodaje wreszcie litościwie, kiedy proces skomplikowanych myśli, przechodzących przez głowę Mary, staje się zbyt czytelny na jej wyrazistej, średnio bystrej buzi.

Teo świadomie wybrała Mary na obiekt doświadczalny dla swojej

rewelacji. Hektor nie byłby wiarygodny, bo on przyjmuje z pełną akceptacją każde jej słowo. Jemu można by powiedzieć, że odwiedzają Marsjanie, a i tak uznaliby, że żadna wizyta nie jest, w wypadku najbliższej przyjaciółki, niemożliwa. Tu jednak chodziło o sprawdzenie przeciętnej reakcji, charakterystycznej dla każdego mieszkańca miasteczka, do czego szkolna przyjaciółka nadaje się najlepiej. Dziewczyna przerywa więc obserwację skweru i spogląda z ciekawością w oczy koleżanki.

Mary nie wypada jednak dobrze w tej konfrontacji, bo teraz jej spłoszony wzrok błądzi po okolicznym trawniku, jakby obie widziały po raz pierwszy w życiu ten kawałek zieleni przed ciastkarnią. Postronny obserwator mógłby nawet przypuścić, że obie nastolatki omawiają właśnie skomplikowany problem zazielenienia terenów miejskich, wnioskując z zainteresowania, z jakim oglądają, raz jedna, raz druga, parczek otoczony niskim murkiem.

— To fajnie! — Mary żałośnie usiłuje sprostać oczekiwaniom koleżanki. Nie wie jednak, co mogłaby jeszcze dodać i cisza, która między nimi zapada, zdaje się dźwięczeć w uszach. Machają teraz obie nogami i wszystko wydaje się w porządku, ale wyraźnie czują, że jest im nagle szalenie niewygodnie na tym murku, w tym parcz-ku, z sobą razem. W tej chwili z kłopotu wybawia je na szczęście donośny dźwięk klaksonu i obie, udając, że nic szczególnego się nie stało, wsiadają do samochodu matki Mary, która tym razem odbiera je ze śródmieścia.

Przy pani Grubber nie da się milczeć, więc zostają od razu zasypane najpierw gradem pytań, na które nikt nie oczekuje odpowiedzi, a następnie sprawozdaniem z gehenny zakupów, przez którą musi przejść heroicznie każda matka wielodzietnej rodziny. Bo Grubbe-rowie mają całą gromadkę potomstwa, spośród których Mary jest najstarsza i usiłuje teraz potwierdzić swoją wiedzę o trudach skompletowania garderoby dla maleństw, odwracając podekscytowaną buzię do tyłu samochodu, ku szkolnej koleżance.

128

Podróż nie trwa długo, ale daje złudzenie załagodzenia poprzedniej konsternacji. Przed domem Teo dziękuje grzecznie za podwiezienie i macha wdzięcznie ręką do uspokojonej już Mary, aż samochód zniknie za zakrętem. Ale choć wygląda wtedy mile i przyjacielsko, w duchu jednocześnie wścieka się i złości, oraz przysięga sobie solennie, że wcale nie będzie przejmować się opiniami innych na temat swojej rodziny.

Co taka Mary w ogóle może wiedzieć? — mruczy buntowniczo, uderzając z pasją długim patykiem w kolejne drzewa, posadzone w szpaler przy

drodze do domu — wciąż tylko ugania się za dziećmi w domu i wcale nie zastanawia się, czy żyje w normalnej rodzinie, czy nie! Bo czy jej jest normalna? Z taką furą sióstr i braci? Na pewno nie! Ale trudno lekceważyć skomplikowaną historię życiową własnego ojca, nawet wtedy, gdy zna się ją właściwie od dziecka. Teo wie przecież od zawsze, że tatuś miał przed wojną inną rodzinę i w Polsce pozostało dwoje jej starszego rodzeństwa. Usiłuje traktować jako oczywistość, że ma przybraną siostrę, o dziesięć lat tylko młodszą od matki, i starszego brata, którego wiek na szczęście nie odbiega aż tak drastycznie od jej własnego, jednak dla innych może okazać się to szokiem, zwłaszcza kiedy osobiście przekonają się, że ów brat rzeczywiście istnieje, a nawet może z nimi zamieszkać na stałe.

Na szczęście dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, jakim szokiem okazał się ów brat dla swego własnego ojca, który do czasu spotkania z Anną i Krzysztofem, w pięćdziesiątym roku, uważał Adama jedynie za swojego wnuka, nie syna. Ale i tak mężnie, podobnie jak rodzice, stara się sprostać pogmatwanym wymogom rodzinnej historii i wścieka się, kiedy ktoś wyraża swe zdziwienie lub zainteresowanie tą sprawą. Reakcja Mary jest więc dla niej potwierdzeniem, że okoliczni znajomi mogą nienaturalnie przejąć się przyjazdem Adama.

A ona wcale nie traktuje w podobny sposób odwiedzin tego polskiego syna swego ojca! Jak każda niemal dziewczynka, zawsze chciała mieć starszego brata, którym będzie można pochwalić się przed koleżankami i stworzyć komitwę przeciwko tyranii rodziców, nie obawia się zatem wcale jego przyjazdu. Wręcz odwrotnie! Jest nawet ciekawa i podekscytowana, chciałaby tylko, żeby dla innych ten jej nowy brat stał się taką samą oczywistością, jak dla niej. To prawda jednak, że o wiele wygodniej byłoby mieć go obok siebie od zawsze i nie wprowadzać trochę na siłę do swobodnych rozmów z koleżankami, takimi jak Mary, po których widać konsternację i zaniepokojenie.

129

Ona sama też dopiero teraz ma poznać Adama, bo polska rodzina uznała, że chłopak, noszący nie wiadomo dlaczego nazwisko swego szwagra, powinien najpierw ukończyć szkołę i zdać maturę w kraju, by jako człowiek dorosły poznać nowe życie ojca i zdecydować, gdzie chce mieszkać. Były tam jeszcze jakieś względy polityczne czy prawne, których Teo zupełnie nie rozumie, ostatecznie jednak brat rzeczywiście ma przyjechać w tym tygodniu i dziewczyna postanawia sobie bezwarunkowo, że zrobi wszystko, żeby gościć, a może nawet przyszły

domownik, poczuł się u nich naprawdę dobrze.

Dziewczynka stara się patrzeć na dom, rodziców i swoje życie oczyma obcej osoby. Co spodoba się Adamowi? Może ogród z rozległymi rabatami kwiatów i starymi owocowymi drzewami? Albo stajnie? Ciekawe, czy potrafi jeździć konno? Co sobie pomyśli o rodzicach? Czy polubi jej mamę? Czy też będzie myślał jak ona, że tata jest trochę staroświecki i czasami zasady ma z innej epoki? Pokój, który dla niego przygotowali, jest wygodny i przestronny, ale czy jemu się spodoba?

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz — przekonuje Hektor, zawsze gotowy przychylić nieba swej przyjaciółce, zwłaszcza zaś wtedy, gdy jest tak bardzo zdenerwowana jak teraz — a jak nie, to mu przywalę!

— No, wiesz? Jeszcze nie przyjechał, a ty już mu obiecujesz bicie? — chichocze rozbawiona jego zadziornością Teo. — On jest dużo starszy od nas! Ciebie obaliłby jednym palcem! Zresztą — dodaje zaraz, dużo poważniej — to mój brat i musisz być dla niego naprawdę miły!

— A czy ja dla kogokolwiek jestem niemiły? — błaznuje chłopiec, kłaniając się nisko. — Najmilszy ze mnie człowiek na świecie! I jak wspaniale opiekuję się jego siostrą! Jeszcze mi dziękować powinien!

— Idź, ty! Znowu masz oczekiwania nie z tej ziemi! Lepiej bądź grzeczny, bo tata ostatnio marudzi jak nigdy. Nie krzyczmy tu, chodź dalej, do ogrodu.

Mariusz rzeczywiście z trudem utrzymuje spokój, słuchając w gabinecie rozmowy tych dwojga młodych. Drażni go i niepokoi wszystko. Nie tylko przyjazd Adama i związane z nim, pełne napięcia, przygotowania, ale nawet przyjaźń Teo z Hektorem. Może pod wpływem wspomnień, związanych z przyjazdem syna i trudną młodością starszej córki, jakoś nie potrafi zaufać małemu koledze Teodory?

130

Kiedyś, kiedy potrafili jeszcze żartobliwie mówić na ten temat, Vetti ze śmiechem zarzucała nawet Mariuszowi odrobinę zazdrości, bo Hektor należy do rodziny jej dawno zmarłego, młodzieńczego narzeczonego i te insynuacje, wbrew pozorom, rozładowały zawsze napięcie, bo mąż był absolutnie pewien jej miłości i w odpowiedzi podejmował zwykle pełne humoru przekomarzenia, w których śmiechu rozpływały się niemądre zarzuty wobec serdecznego chłopaka.

— To niesprawiedliwe — teraz Vetti z prawdziwym niepokojem patrzy na rozdrażnienie męża — Hektor jest porządnym chłopcem i szczerze lubi Teo. Nie możesz go tak rygorystycznie i bezpodstawnie osądzać.

— Już kiedyś ufałem przyjacielowi z dzieciństwa mojej córki — Mariusz

mimowolnie podnosi głos, chociaż dobrze rozumie, że to, co czuje, jest małostkowe i głupie nawet. — Gdyby nie Leon, życie moich starszych dzieci potoczyłoby się zupełnie inaczej!

— Może tak. Tego nie wiesz na pewno. W każdym razie Hektor nie jest tu niczemu winien. Dajże mu spokój, jesteś zdenerwowany i stąd twoje sądy. Zachowujesz się ostatnio jak obcy mi człowiek. Kochany, nie takiego cię znam — łagodzi Vetti, której zależy zawsze na jego dobrym samopoczuciu, ale przecież nie kosztem pospiesznych wyroków, zwłaszcza wobec tego młodego chłopca, którego ona sama naprawdę lubi.

— Masz rację. No, przepraszam, przepraszam, ale od lat nie denerwowałem się tak bardzo. Nawet wtedy, w Polsce. Matko święta! Jak tylko zobaczyłem Adasia, przecież od razu wiedziałem, że to mój syn! Jak ten głupi Leon mógł pomyśleć, że dziecko jest Anny? Jesienią czterdziestego drugiego roku w żaden sposób nie mogła być matką tak dużego już chłopca, chyba że on sam byłby jego ojcem! Bo tylko z nim widywała się do samej wojny! — po raz kolejny przeżywa w bólu tę dramatyczną w ich życiu pomyłkę, za którą już nawet winić nie ma kogo, bo Leon poległ prawdopodobnie gdzieś w zawierusze wojennej.

— Tyle razy już o tym mówiliśmy — Vetti przytula głowę Mariusza z czułością — nic nie poradzimy na to, co się stało. Teraz możemy tylko zadbać o ich przyszłość. Daj tylko, Boże, żeby się polubili i żeby Adam odnalazł tu miejsce dla siebie. A wtedy wszystko jeszcze da się naprawić. Musimy być dobrej myśli, co pozostaje innego?

Wiedzą oboje, że imię Leona stało się w ich rozmowach nie tylko stałym elementem dociekań, ale i swoistym, drażliwym has-

131

łem, pod którym kryje się, niestety, jeszcze dużo więcej treści. Na przykład, pomyłka w kierunkach poszukiwań Anny i dziecka, które podjęli przez Czerwony Krzyż, zaraz po wojnie. Wnioskując z listu, Mariusz wysyłał zapytania do Lwowa, zakładając, że została z Wierzbińskim, lub przynajmniej nadal korzystała z jego opieki. Jednakże informacje stamtąd, uzyskane zresztą z ogromnym trudem, nie potwierdzały wcale takiej wersji wypadków. Przy rodzinie lekarza nie znajdowali się poszukiwani ludzie, a jego dzieci, co wyraźnie stwierdziła żona, nosiły zupełnie inne imiona. Tamto spotkanie w przyszpitalnym parku wpłynęło też znacząco na postawę samej Anny, która nie potrafiła zdobyć się, wśród trudów i zawirowań opieki nad chłopcem, na samodzielne podjęcie próby odnalezienia ojca. Uczyniła to dopiero po ślubie z Krzysztofem po usilnych staraniach męża, widzącego przecież, jak bardzo brakuje jej, do

uzyskania wewnętrznego spokoju, tej wiadomości o najbliższym członku dawnej rodziny. Właśnie dlatego informacja o poszukiwaniach ojca, przez Annę i Adama Bielskich-Chotec-kich, dotarła do Mariusza tak późno, w czasie, kiedy powoli godził się wewnętrznym z całkowitą utratą tych dwojga.

Dopiero teraz, po tylu latach, można było liczyć wreszcie na poprawę i unormowanie sytuacji. Jakże bardzo wszyscy tego oczekiwali! Nie tylko Vetti i Mariusz, ale też Anna i Krzysztof, którym bardzo leżał na sercu los Adama. Nie puszczali go łatwo i spokojnie od siebie, bo wychowanego jak własne dziecko, kochali swego najstarszego uczuciem najbardziej nasyconym niepokojem. Zнали najlepiej jego zmienne nastroje, a wśród nich przede wszystkim te gwałtowne napady melancholii, wymieszanej z wszechogarniającym entuzjazmem, ale pragnęli, mimo obawy utraty jego obecności, żeby sam zdecydował, jak i gdzie chce żyć. Tyle przynajmniej, jak uważali, i jedni, i drudzy rodzice, należy mu się od życia.

Okazuje się jednak, że Teo nienawidzi Adama. Od pierwszej chwili! Od momentu, kiedy spogląda w identyczne jak swoje oczy tego wysokiego, obcego brata, który bez problemu mógłby uchodzić za jej bliźniaka.

Wszystkie serdeczne obietnice, składane w cieniu domowego ogrodu, wszystkie rojenia, dotyczące wspólnych wędrówek i pomocy chłopakowi w zaaklimatyzowaniu się na obcym terenie, rozpadają się nagle jak domek z kart, wobec ich wzajemnej, obopólnej niechęci.

132

Ze złośliwą satysfakcją Teo odwołuje swe urodzinowe przyjęcie, czym wprawia w zdumienie rodziców i w zupełną rozpacz biedną Mary, ale nie chce, nie życzy sobie wprowadzania Adama do grona swoich koleżanek i przyjaciół. Tylko Hektor obdarzony zostaje wątpliwym wyróżnieniem, ale wcale nie jest z niego zadowolony, bo dziewczyna wykorzystuje jego odwiedziny zawsze tylko po to, by narzekać i komentować zachowania oraz wypowiedzi brata. Jego imię pojawia się w każdym jej zdaniu i zawsze, nieodmiennie zestawione zostaje z jakimś wstrętnym określeniem, które ma go dogłębnie charakteryzować i najdokładniej opisać.

Nikt nigdy dotychczas nie drażnił Teo aż tak bardzo! Wręcz odwrotnie, zawsze przypisywała sobie znajomość ludzkiej psychiki i wyrozumiałość wobec innych. Lubiła ludzi i chętnie wybaczała im różne słabostki.

Szczyliła się nawet mądrą postawą wobec głupiutkiej Mary i zapominała jej za każdym razem drobne uchybienia względem siebie. Nigdy też nie okazywała nikomu jawnej wrogości, przekonana, że to niegrzeczne i

nieleżące zupełnie w jej charakterze. W tym jednak przypadku wszystkie rachuby dziewczyny biorą w łeb od samego początku. Dzika pasja pcha ją w rejony zimnej nienawiści, którą okazuje jawnie i bez skrepowania, powodując, że i Hektor coraz gorzej czuje się w jej towarzystwie. Sytuację jeszcze komplikuje fakt, że Adam wcale nie pozostaje dłużny w okazywaniu swojej niechęci, więc tym trudniej jej zdobyć się na neutralną choćby postawę. I po nim na kilometr widać żywiołową awersję do młodszej siostry. Niemal od pierwszego dnia wskakują oboje na ring zażartej walki i choć zewnętrznie są wobec siebie uprzedzająco grzeczni, można przecież od razu zauważyć, jak po każdym starciu, prawie warcząc, wycofują się do swojego narożnika po to tylko, by czekać na kolejny, odpowiedni do boju moment.

W każdej innej sytuacji reakcja obojga mogłaby nawet wydawać się zabawna, ale nie w takiej chwili, kiedy dzieci z dwóch różnych epok życia jednego mężczyzny, co dzień precyzyjnie odzierają się wzajemnie ze skóry i sypią sobie powolutku sól na rany, uśmiechając się przy tym bardzo kurtuazyjnie do siebie.

— Może gdyby wychowywali się razem?... — Vetti stara się ułagodzić przerażenie męża, który z ciężkim sercem wycofuje się co wieczór do sypialni na górze, by zapytywać siebie, dlaczego jego własne potomstwo aż tak wyraźnie się nie znosi. — Może to chwilowe? Odpracowują po prostu zaległe lata, w których kłóciliby się jak każde rodzeństwo? — żona z równym niepokojem stara

133

się wytłumaczyć sobie nagłą zmianę w zachowaniu zrównoważonej dotychczas i grzecznej córki.

— Zaczną się bić, żeby odrobić stracone lata? — Mariusz parska urywanym śmiechem, choć nie odczuwa przy tym żadnej radości i wie już niemal na pewno, że w takich okolicznościach nie uda mu się skłonić syna do zamieszkania na stałe w Anglii. Wałą się wszystkie jego plany, wszystkie marzenia i próby uładzenia przewrotnego losu, które podejmował od lat, z silnym pragnieniem nagrodzenia Adamowi niezasłużonych smutków dzieciństwa.

Jednak Adam i Teo nie są w końcu małeńkimi dziećmi i dojmująca świadomość cierpienia ojca, kochanego przez nich przecież, skłania wreszcie oboje do podjęcia próby zawieszenia broni. Mimo wszystko, w imię niewyrażonej głośno umowy, zaczynają teraz grać ludzi nieco bardziej cywilizowanych i z biegiem dni coraz częściej udaje im się unikać, w koniecznych rozmowach, jednoznacznych nut ironii i sarkazmu.

Bardzo się starają wzajemnie omijać i utrzymywać między sobą bezpieczną odległość, by zachowywać przynajmniej pozory dobrych, towarzyskich układów.

Chłodne, angielskie lato powoli przepływa nad ich rozpalonymi głowami, a dni zdają się to ciągnąć w nieskończoność, to przyspieszać gwałtownymi skokami, w zależności od temperatury i częstotliwości starć między rodzeństwem. Adam uczy się jeździć konno, dużo czyta, ćwiczy język, rozmawia z ojcem i Vetti, natomiast Teo odwiedza szkolne koleżanki, stara się realizować zwykłe, wakacyjne plany, a Mariusz, z czasem, zasypia nieco spokojniej, pozwalając sobie niekiedy na słabą nadzieję, dotyczącą przyszłości tych dwojga. Patrzy codziennie na dwie rudawe głowy przy swoim stole i zastanawia się, jak ułagodzić rozdygotane myśli, kłębiące się pod strzechą tak podobnych loków, podczas gdy jego dzieci siedzą naprzeciw siebie w milczeniu i rzucają tylko pochmurne spojrzenia spod ciemnych brwi.

— Ale przynajmniej przestali się kłócić, może to dobry objaw? —
upewnia się wieczorami niespokojnie, szukając w żonie sojusznika swych nadziei.

— Na pewno. Częściej przebywają ze sobą, zauważyłeś? Wychodzą też wspólnie na spacer, bez wyraźnego polecenia. Wszystko ma się ku dobremu — przekonuje go Vetti, jakby mówili o dwojgu rozbrykanych i rozkapryszonych szczeniaczkach, ale sama czuje dziwny, narastający strach, zwłaszcza że zupełnie nie może porozmawiać szczerze z Teo, z którą, jak jej się dotychczas wydawało, miała zawsze doskonały, niemal przyjacielski kontakt.

134

Teraz dziewczynka wyraźnie jej się wymyka, na próby porozumienia odpowiadając ogólnikami, z których niczego nie można wywnioskować. Córka sprawia wrażenie szczelnie zamkniętej ostrygi i po gładkiej powierzchni jej zewnętrznej skorupki można najwyżej zsunąć się w kierunku zdawkowej wymiany informacji o pogodzie.

Tymczasem oni, używając Hektora jak swoistego bufora między sobą, wybierają się nawet raz czy drugi na dłuższe wycieczki po okolicy, z których wracają bez wyraźnych ran na ciele i duszy. Przekonują tym rodziców, że sytuacja z wolna zdaje się normować. Teodora, co prawda, wychudła jak chart, a zielone oczy świecą nienaturalnie w jej bladej twarzy, ale odsłania zęby w grzecznym uśmiechu i przełyka mężnie cięte riposty, które same lęgną się w jej głowie przy każdym słowie brata. Wściekłość wyładowuje jedynie przy Hektorze, który, w miarę sił i

możliwości, stara się łagodzić jej emocje i wprowadzać do rozmów ich dawny serdeczny i żartobliwy ton.

Adam jest lepiej uzbrojony. Ma więcej lat, praktykę w ukrywaniu uczuć i wychowywany z młodszymi dziećmi, lepiej radzi sobie w podjazdowej wojnie przeciw siostrze, jednak także on czuje się coraz gorzej, bo nie zakładał przecież wprowadzenia chaosu i nienawiści do domu swego angielskiego ojca. Ponadto zupełnie nie rozumie samego siebie i wścieka się na cały świat, bo choć z całych sił stara się omijać Teo, wciąż ją gdzieś spotyka i nie może wtedy opanować dręczącego przymusu, by natychmiast wysyczyć coś złośliwego wprost w jej zielone, szeroko otwarte oczy.

Powtarza, co dzień od nowa, wszystkie stare prawdy, dotyczące obojętności wobec innych, tłumaczy sobie, że musi po prostu i konsekwentnie omijać dziewczynę, ale wciąż powtarza ten sam błąd, szuka jej, po prostu szuka, po to tylko, by patrzeć na blednącą z wściekłości i bezradności delikatną twarzyczkę i drżące usta.

Najdotkliwiej cierpi jednak Hektor. Ten cichy, od dziecka wierny przyjaciel Teo, nie potrafi znieść trudnej, dziwnie napiętej sytuacji. Pragnie, by wszyscy byli zwyczajnie szczęśliwi, jak dotychczas, a zwłaszcza ta dziewczynka, którą kocha szczerze, nieświadomioną jeszcze do końca młodzieńczą miłością. Przywykł do spontaniczności i szczerości w kontaktach z ludźmi, ale umie też obiektywnie oceniać rzeczywistość, dlatego on właśnie, jako jedyny, widzi nie tylko walkę rodzeństwa, ale także ich ciągłe, nie do końca przez nich samych zrozumiałe, poszukiwanie pretekstów, by być blisko siebie i nie ominąć żadnego powodu do bezpośredniego starcia.

135

I choć Hektora nie ma z nimi w czasie pewnego deszczowego spaceru po polach, chyba jego jednego nie zdziwiłby wcale ten nagły impuls, który niemal w środku kłótni każe im po prostu rzucić się sobie w ramiona i całować się bez tchu, zupełnie nie po bratersku, zachłannie i długo.

Nie jest to ani przypadek, ani pomyłka i oboje doskonale o tym wiedzą. Patrzą sobie przecież w oczy, zalewane kroplami deszczu i bez słowa pozwalają na kolejny i kolejny pocałunek, mając pełną świadomość, że żaden inny nigdy już im się zdarzyć nie może. Żrące podenerwowanie, które z uporem przekuwali w nienawiść przez ostatnie tygodnie, rozwiewa się w czułości wzajemnych oddechów i pozostaje jedynie w skórze dłoni, na wrażliwych opuszkach palców, szukających ciepła w ramionach osoby, którą się kocha.

Jeśli nawet coś mówią, to są to raczej słowa bez związku, wykrzykiwane

pospiesznie w uniesieniu i radości, ale nieniosące ze sobą niczego, co mogłoby im w jakikolwiek sposób pomóc. No bo cóż z tego, że się jednak nie nienawidzą? Co z tego, że są piękni, cudowni, wspaniali? Że nikogo innego już nigdy nie będą tak kochać? Że to na całe życie? Przecież nawet wypowiadając te słowa, jeśli w ogóle padły między nimi, muszą mieć świadomość ich całkowitej absurdalności, prawda?

Cisza, która zalega w domu po tym spacerze, niesie w sobie więcej treści niż wszelkie, największe nawet obietnice i przysięgi, bo wypływa prosto z przerażonych serc obojga i nie pozostawia już żadnych złudzeń, żadnemu z nich. Dlatego Teo bez słowa przyjmuje decyzję brata o wyjeździe i równie milcząco stoi między rodzicami na peronie, kiedy Adam wyjeżdża do Londynu, by wrócić do Polski. Będzie czuć w sobie tę niewyrażoną pustkę już każdego dnia, do końca życia, jak okaleczenie, nieodwracalnie niszczące w niej każdą następną radość.

Jej charakter zmienia się wtedy bardzo i w tak oczywisty sposób, że jesienią Mary ma wrażenie, iż spotyka w szkole zupełnie nieznaną sobie dziewczynę. Podobnie zresztą widzą ją rodzice, a nawet Hektor. Ten, co prawda, nigdy nie przestanie kochać Teo i dzięki tej wierności zdobędzie kiedyś, na krótko, jej wzajemność, ale także on zapamiętać będzie musiał i zaakceptować nowy wymiar jej osobowości, zbudowany z przemilczeń, nagłych zmian decyzji oraz nieprzekraczalnego dystansu wobec wszystkich ludzi,

136

który uczyni z niej doskonałego psychologa i samotnego człowieka jednocześnie.

Nigdy nie rozmawia o Adamie, nawet z ojcem, mieszkając z nim po śmierci matki. Słucha jedynie listów od niego, czytanych zawsze głośno przez Mariusza, które przyjmuje w charakterystycznym dla siebie milczeniu, nie komentując jawnych, uspokajających kłamstw w nich zawartych, które, być może, czytelne i jasne są tylko dla niej. Po latach nie pojedzie również z ojcem na pogrzeb brata, tym razem jednak wcale nie dlatego, żeby nie chciała, po prostu nie ma jej wtedy w kraju i dowiaduje się o jego śmierci dopiero po powrocie.

który uczyni z niej doskonałego psychologa i samotnego człowieka jednocześnie.

Nigdy nie rozmawia o Adamie, nawet z ojcem, mieszkając z nim po

śmierci matki. Słucha jedynie listów od niego, czytanych zawsze głośno przez Mariusza, które przyjmuje w charakterystycznym dla siebie milczeniu, nie komentując jawnych, uspokajających kłamstw w nich zawartych, które, być może, czytelne i jasne są tylko dla niej. Po latach nie pojedzie również z ojcem na pogrzeb brata, tym razem jednak wcale nie dlatego, żeby nie chciała, po prostu nie ma jej wtedy w kraju i dowiaduje się o jego śmierci dopiero po powrocie.

XI

Tu kancelaria mecenas Hibner — budzi mnie w poniedziałek rano bezosobowy głos, doskonale musztrowanej sekretarki — już panią łączę! Proszę tylko chwilę poczekać.

Jakie to cwane! Ona mnie łączy! A czy ja zechcę zostać połączona, choćby tylko telefonicznie, z kimkolwiek o ósmej rano? Świeżo wyrwana ze snu o eleganckich hotelach i angielskich, przystojnych prawnikach? O to mnie nie spyta! Typowe! Ziewam zatem rozpaczliwie i usiłuję przejść pospiesznie na tryb dzienny, by wyrażać się choćby poprawnie w rozmowie z szanowną panią mecenas. Jednocześnie, słuchając tych kilku tonów łagodnej muzyki, wyczuwam gwałtowny przyływ adrenaliny i staję niemal na baczność, zastanawiając się chaotycznie, czy mogę podjąć rozmowę z Julią, mając na sobie jedynie nocną koszulkę? A co tam! Przecież mnie nie zobaczy! — przekonuję siebie zwycięsko, dokładnie w chwili, gdy w słuchawce rozlega się nosowy, despotyczny głos dawnej przyjaciółki mojej mamy.

— Muszę z tobą o czymś ważnym pogadać — mówi spokojnie.

— Właściwie, może dawno już powinnam, ale jakoś nie miałam czasu. Teraz chyba muszę. Bądź u mnie koło szesnastej, dobrze?

— narzuca mi termin i nie pozostawiając żadnego wyboru, kończy gładko rozmowę, dodając, że liczy na moją punktualność. A punktualność u Julity to priorytet, trzeba o tym pamiętać, czy się chce, czy nie, więc w ten sposób popołudnie mam nagle zagospodarowane, zanim zdążyłam na dobre wyjść z łóżka.

Dobrze, że przynajmniej pozwoliła mi spełnić przedtem niezbędne zawodowe obowiązki, ale to akurat mogło zostać przez nią precyzyjnie wykalkulowane czasowo, bo zawsze uważała, że praca zawodowa stoi w życiu kobiety na pierwszym miejscu, przed wszystkim innym, lekceważąc przy tym jednocześnie cudowny mit Matki Polki, tak dominujący przecież w jej pokoleniu. No i dobrze! Przynajmniej zdążę spotkać się z Zośką, co

wydaje się dużo zabawniejsze, bo naprawdę interesuje mnie, czy zdołała poderwać,

139

tak natychmiast, owego przystojnego prawnika z tajemniczą tęcza-ką. Zdołała? Mało powiedziane! Facet jest już trafiony i zatopiony, niby czteromasztowiec z dziecinnej zabawy w okręty, o czym z radością informuje mnie podekscytowana Zośka, ledwo zdążę przekroczyć próg biura. Milutki, całkowicie gotowy do kontaktu i pełen wszelkich zalet, niezbędnych nowoczesnej dziewczynie, jak twierdzi radośnie moja rozświetlona fascynacją koleżanka! Taki zabawny, interesujący, sympatyczny! Jedyne z trudem powstrzymuję się od pytania jak, u licha, udało jej się trafić na to męskie ucieleśnienie boskich cnót ot, zwyczajnie, w biurowym barku?

Siedziałyśmy tam przecież obie i żadnej aureoli wokół jego pięknej głowy jakoś nie zdołałam zauważyć, ale nie będę Zosi odbierała dobrego samopoczucia, bo naprawdę cieszy mnie jej radość, więc przypominanie, że oczywiście, w każdym męskim egzemplarzu, braki i tak ujawnią się w trakcie używania, jest zbędne. Obie doskonale o tym wiemy.

Niech się dziewczyna raduje, co mi tam, wiem po prostu, że potrzeba jej tej odrobiny zdrowych podniet i jak każdej z nas, zwyczajnej satysfakcji, że coś ważnego zaczyna się od nowa, więc można przez chwilę pożyć złudzeniami, że to już sprawa naprawdę istotna i taka do końca życia.

—Ależ jesteś cyniczna — łaskawie wybacza mi Zośka, chociaż nie mówię do niej ani słowa na temat swoich przemyśleń. — Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, prawda? A jeśli ten Mirek jest mi zapisany w gwiazdach? Mam go pominąć, dlatego tylko, że kiedyś już się sparzyłam i nie do końca wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia?

Miłość od pierwszego wejrzenia, gwiazdy i coś naprawdę ważnego!

Proszę, proszę! Oto pojawiły się w słowniku Zosi słowa--klucze, które otwierają przed nami prostą drogę do zakochania na śmierć i życie! Patrząc na nią z uśmiechem i wcale nie mam zamiaru gasić tego radosnego entuzjazmu. Brodaty plastik dostatecznie dał jej się we znaki, niechże teraz doświadczy czegoś innego, może rzeczywiście prawdziwego?

Pamiętam przecież, jak się gryzła i zamartwiała, kiedy ostatecznie od niego odeszła, pełna wątpliwości i wyrzutów sumienia. Jeśli przeżyje trochę śmiechu i przyjemności, to niech ma!

— Zamykam swój kuferek z cynizmem, słoneczko — ściskam ją serdecznie i nie dodaję już ani słowa, z tych, które mogłyby zabić naszą wspólną przecież nadzieję, że miłość jest jednak naprawdę

możliwa — tylko informuj mnie na bieżąco o rozwoju wypadków, niechże się chociaż pogrzeję z daleka w ogniu waszych uczuć!

— Ty podła! — Zośka kategorycznie wypycha mnie za drzwi kancelarii.

— Za karę pogadasz sobie teraz z odpowiednim dla siebie rozmówcą, równie jak ty nieczułym na porywy serca! Ta koleżanka twojej mamy będzie w sam raz dla ciebie! Obie jesteście zimne, niczym lodowe góry. Zero romantyzmu i wiary w szczęście ludzkości! Zmykaj i nie łam zbyt okrutnie mego delikatnego, dziewczęcego serca! —przewraca jeszcze oczami, na znak, że tylko żartuje i sama ma jednak nieco zdrowego dystansu wobec fascynującego Mirka, po czym kategorycznie wysyła mnie jednak do Julity, którą zna trochę z moich, jeszcze licealnych, sprawozdań.

Kim jest Julita? Trudno odpowiedzieć na to pytanie jednym słowem. Na pewno nie ciotką, co zresztą zastrzegła sobie bezwzględnie, gdy miałam może z pięć lat. Więc, ku zgorszeniu bardziej tradycyjnie nastawionego otoczenia, mówiłam zawsze po imieniu do tej, będącej w wieku moich rodziców, niekonwencjonalnej pani. I było to jedyne wyjście, bo Julita w żadnym razie nie zmieściłaby się w kategorii ciotek, nawet przyszywanych. Nic w niej, ani charakter, ani tym bardziej wygląd, nie zgadza się i nigdy nie zgadzało z kategorią bliskiej, starszej krewnej. Postawienie jej obok cioci Janki nie wchodzi w grę! Obie byłyby tym zaskoczone i prawie zniesmaczone!

To zadbana, samotna, młodsza niż własna metryka, pani prawnik, zajmująca się z upodobaniem, co wzbudzało zawsze żywiołową niechęć mojego ojca, rozwodami. Na pewno ma w sobie wiele cierpkiego cynizmu, bo jej świat nakreślony jest ostrymi kreskami, dzielącymi obraz na czerń i biel, bez półtonów, ale i sporo zaskakującej, chłodnej dobroci, która skłania ją niekiedy do niezwykłych działań, jak choćby sponsorowanie anonimowo stypendiów dla dzieci z domu dziecka. O czym wiem zupełnie przypadkiem i kiedy rozmawiam z nią czasami, zastanawiam się nieraz, na ile zdecydowanie wyparłaby się podobnych insynuacji, w chwili ewentualnego pytania na ten temat. Wolę jednak nie ryzykować, bo z chęci udowodnienia mi, jaka jest bezkompromisowa, mogłaby jeszcze cofnąć jakiemuś dziecku swe wsparcie, albo, w co raczej wolę wierzyć, może tylko lepiej je zakamuflować.

Myślę o tym i teraz, patrząc, jak wypielegnowanymi dłońmi

zapala cieniutkiego papierosa, podczas gdy z tyłu, za jej plecami, roztacza

się wspaniała panorama miasta. Na lśniącym, mahoniowym, pustym biurku stoi przed nią jeszcze tylko maleńka filiżanka na spodeczku, tak skromna i delikatna, że musiała na pewno kosztować pół mojej pensji. Ponadto na blacie, podobnie zresztą jak w całym gabinecie, panuje ascetyczna czystość i wstrzemięźliwość, wynikająca z całą pewnością nie tyle ze sprawności sprzątaczek, ile z konsekwentnych założeń właścicielki tego biura.

Nie znam się na malarstwie, ale obraz, wiszący naprzeciwko okna, też wydaje się namalowany wprost do tego gabinetu, a w każdym razie wybierany był starannie, by nie popsuć, a raczej wzmocnić kompozycję całości. Ciekawe, czy zatrudniła dekoratora? Ale raczej nie. Nie zniosłaby przecież narzuconych przez kogokolwiek reguł, tym bardziej, że sama ma naprawdę doskonały gust, to trzeba jej przyznać, kiedy człowiek rozgląda się po otaczających ją przestrzeniach.

Ma pięćdziesiąt pięć lat, obliczam szybko, a dałabym jej może ze czterdzieści. Jej twarz jest perfekcyjnie wymodelowana, włosy ułożone zgodnie z obowiązującymi trendami mody, a strój elegancki, choć utrzymany w uniwersalnym, niekrzykliwym stylu kobiety pracującej. Pracującej i świetnie zarabiającej, co trzeba dodać, spoglądając na drogą, acz subtelną biżuterię. W rozmowie z Julią nie ma jednak czasu na zbyt długie rozmyślenia, ona nie spotyka się z tobą, żeby się pokazać, ale zawsze w ściśle określonym celu, trzeba zatem bardzo uważać, bo mówi krótko, treściwie i tylko to, co chce.

Pamiętam ją jeszcze z wczesnego dzieciństwa, ale zaledwie fragmentarycznie. Nie mieszkała wtedy w naszym mieście i odwiedzała nas jedynie przypadkowo, zawsze niespodziewanie, a mama bladła nieco, ilekroć ta, jedna z jej nielicznych przyjaciółek, pojawiała się w progach mieszkania. Ojciec nie ingerował nigdy w te spotkania, jednak zawsze w czasie jej wizyty wychodził do swojego pokoju, ostentacyjnie, bardzo cichutko zamykając za sobą drzwi, co robiło znacznie większe wrażenie, niż gdyby nimi z hukiem trzasnął.

Chyba za nią nie przepadał, ale na ogół nie komentował tej przyjaźni, ani drogich prezentów dla mnie, które pozostawiała, wraz ze smugą ekskluzywnych perfum, gdy po godzinie lub dwóch opuszczała nasz dom i bezradną mamę, w jej towarzystwie zachowującą się zawsze jak lekko wystraszone dziecko. I przede wszystkim tej matczynej konsternacji ojciec nie znosił, a właściwie

nie akceptował ludzi, którzy powodowali, że czuła się skrepowana i niepewna.

— Do czego ci potrzebna ta cała Julita? — wzdychał, kiedy ostatecznie rozwiewała się mocna woń kosmetyków, a on powracał do nas ze swego dobrowolnego wygnania w drugim pokoju.

— Wiesz, że ma pstro w głowie!

— Jest bardzo mądra, zrobiła prawdziwą zawodową karierę

— uśmiechała się łagodnie mama, udając, że wizyta naprawdę ją ucieszyła. — Jakie u niej widzisz pstro w głowie?

— Życiowe pstro! ot, co! — zrymowało się kiedyś ojcu i odtąd tak brzydko określał zawsze Julitę, ilekroć zdarzało im się na jej temat rozmawiać — „życiowe pstro”!

Ale mama była wierna tej przyjaźni i kiedy, na kilka lat przed śmiercią rodziców, Julita na stałe wróciła do miasta, czasami spotykałyśmy się z nią w kawiarniach, mimo że mnie nudziły raczej jej monologi o wielkim świecie prawników, w którym brylowała już wtedy, zdobywając z każdym rokiem coraz większy rozgłos. Namawiała mnie zresztą na ten kierunek studiów po maturze, ale bez żadnego komentarza przyjęła moją kategoryczną decyzję o filologii angielskiej, patrząc jedynie badawczo na mamę, która tylko uśmiechała się po swojemu, milcząc.

— Chcę porozmawiać o Hubercie — strzela naraz do mnie Julita, po czym milknie na dłużej, co w jej przypadku jest oznaką rzadkiego skrepowania i może nawet, zważywszy następne słowa, swoistego poczucia winy.

— Mieszka teraz z moją siostrzenicą, Magdą, i mam prawie pewność, że przeze mnie ją poznał, tutaj, w ubiegłym roku.

Każdy fragment tego prostego niby zdania ma dla mnie odrębny ciężar gatunkowy, w całości zaś spada mi na głowę dobra tona zdumienia, urażonej godności i bólu. Siedzę sobie tutaj spokojnie i wspominam dawne czasy, myśląc o niej, jeśli nawet nie z serdecznością, to w każdym razie z podziwem, a ona? Ładuje mi nóż w plecy? A właściwie prosto w twarz, bo przecież znajduje się wprost przede mną! Ostatecznie Julita jest moją znajomą, czy jak ją tam zwać, a nie Huberta! Widział ją może ze trzy razy przez wszystkie te lata, które spędziliśmy razem! No, nie! Okazuje się teraz, że co najmniej cztery, jeśli wliczyć jeszcze owo śmiertelne zwierzenie sprzed chwili!

— Nie wściekaj się — w głosie starszej pani (niech ma! jest stara czy nie?!) słychać coś na kształt lekkiego, niepodobnego do jej charakteru, usprawiedliwienia — opowiem ci zaraz wszystko po

kolei. Mojej winy nie ma tu wiele, może tyle tylko, że nie powiedziałam ci wtedy, ale skąd mogłam przypuszczać, jak się wszystko potoczy? Po co zresztą miałabym cię niepotrzebnie niepokoić?

Patrzcie tylko! Jaka jest wrażliwa! Od kiedy to niby dba tak bardzo o uczucia innych? — pokrzykuję sobie w milczeniu, usiłując ostatkiem woli powstrzymać się w ryzach i nie wyrazić głośno swych impertynencji.

— Przyszedł bez zapowiedzi — kontynuuje, widząc, że jednak słucham, choć na twarzy mam na pewno napisane wyraźnie, co sobie o niej myślę, bo jest nieco zaniepokojona — co już mnie nieźle zdenerwowało, gdyż nie zwykłam godzić się na niezapowiedane wtargnięcia jakichś chłystków.

Wpuściła go moja sekretarka, bo miał czelność powołać się na ciebie.

Czyżby cukiereczek? Że niby ja tu jestem zapisana w jakimś tajemnym kajecie jako jedna z tych niewielu, którzy mogą o każdej porze uzyskać audiencję u królowej? Mało! Tym mnie nie przeblągasz!

— Pytał o twoją angielską rodzinę, co całkowicie wytrąciło mnie z równowagi i chłodno zaproponowałam mu, żeby sam sobie z tobą porozmawiał, jeśli czuje tak silne zainteresowanie tematem.

Chłodno? W to mogę uwierzyć! Wiem, jak potrafi zmrozić niechcianego rozmówcę wzrokiem! Jeśli do spojrzenia dodała i słowa, to Hubercik zamienił się migiem w lodowego bałwanka! Dobrze! Ale jeszcze nie doskonale, kontynuuj, piękna pani prawniczko, bo inaczej ja tak schłodzę cię wzrokiem, że się nie pozbierasz!

— Zaproponowałam mu grzecznie — ciągnie Julita tę niezwykłą jak na siebie spowiedź — żeby już opuścił mój gabinet, bo zakłócił tok przyjmowania interesantów, kiedy nagle pojawiła się Magda.

Czyżby Magda też mogła wpadać tutaj bez zapowiedzi, jak niby ja mogę?! Oj, błąd! Straciłaś punkty! Zaraz cię wyautuję, uważaj lepiej na słówka!

Jeszcze jeden poślizg i wylatujesz na bramkę rezerwowych mojej prywatnej drużyny znajomych!

— Wyobraź sobie — głos Julity, jakby w odpowiedzi na moje niewyrażone pretensje, unosi się o dwa stopnie — miała czelność! Dwoje takich ignorantów jednego dnia, to zupełny nefart! W każdym razie — powraca zgrabnie do tonu relacji — wpadli na siebie w drzwiach. Hubert wytrącił jej jakieś notatki z rąk, czy też ona nie dość mocno je trzymała — tu wymieniamy zaskakująco prawdziwe, siostrzane niemal spojrzenie, pojednane nagle w swych opiniach, dotyczących zarówno Huberta, jak i Magdy, oraz typowego

zapoznać — słowem, musiałam ich sobie przedstawić, więc, jakby nie patrzeć, rzeczywiście poznali się u mnie.

Patrzę jej w oczy i czuję wyraźnie, że rzeczywiście więcej nie ma sumieniu, no, może tylko tę odrobinę chłodnej obojętności, która nie natchnęła jej myślą, żeby do mnie zadzwonić, jak również nie sprawdzić przez długie miesiące, jak też ma na imię nowy narzeczony siostrzenicy, o którym głośno już mówiono w rodzinie.

— Nie wiem, od kiedy są razem — zastrzega jeszcze i częstuje mnie papierosem, co w repertuarze jej gestów równa się niemal zaproszeniu do domu, w którym bywają naprawdę nieliczni. Wiem, bo kilka razy, przed laty, odwiedziłyśmy jajeszce z mamą, raz czy dwa byłam też sama, nigdy z Hubertem.

Co mam jej powiedzieć? Nie jestem przecież kompletną idiotką i rozmowy ostatnich dni, a nawet zachowanie samego Huberta, dają mi jasno do zrozumienia, że zdecydowanie liczył na jakąś forszę. Okazuje się, że interesowała go ta moja angielska rodzina znacznie bardziej niż mnie samą, co niestety charakteryzuje nie tylko jego, a również mnie i moją głupotę. Chciałabym jednocześnie wierzyć, że nie myślał jedynie o finansach przez cały czas! Że jakaś miłość jednak nas łączyła i minione lata miały choć trochę sensu.

— Nie chcę wiedzieć, od kiedy mnie zdradzał. Mam teraz analizować, który jego gest jeszcze był szczery, a który już nie? To by mnie tylko zniżało do jego poziomu. Mam swoją dumę — mówię zbyt otwarcie, ale Julita zdumiewa mnie po raz kolejny, potakując głową zupełnie poważnie, jakby i ona miała dokładnie takie samo zdanie.

— Zasłużył sobie na Madzię, jeszcze sama się przekonasz — uśmiecha się nagle, wyjątkowo złośliwie — niedługo będzie wspominał życie z tobą jak pobyt w raju. Wierz mi, wiem, co mówię. To dziewczę przerosło całą naszą babską rodzinę w bezwzględności i uporze. Chwilami mnie samą przeraża...

Jej szczerść, nieco wstrząsająca, uprzytamnia mi jednak, że „życiowe pstro” mego ojca ma jednak w sobie wiele samokrytycyzmu i zdrowych poglądów. Opowiadam jej zatem o wizycie Hektora, bo wiem, że cokolwiek miałaby na sumieniu, prawnych informacji nie zdradzi nigdy osobom trzecim. A nielubianym? Pewnie by nawet skłamała. Ale raczej po prostu nie otworzyłaby do nich ust. Ciekawe, czy będzie w ogóle rozmawiać z ewentualnym mężem siostrzenicy? Też chyba nie, skoro zakłada, że dłuższe pożycie tych dwojga jest raczej niemożliwe.

— Popatrz, jaki ten Hektor mądry — konstatuje z uśmiechem — tak skołował Huberta w swoich rozmowach telefonicznych, że biedaczek ostatecznie stracił nadzieję tuż przed metą! Będzie teraz gryzł pazury ze zmartwienia! Jak miło!

Julita jednak nie słucha zbyt uważnie, tylko głęboko zaciąga się kolejnym papierosem, a jej twarz staje się przy tym jakby nieco starsza. Wpół odwrócona ode mnie, patrzy niewidzącym spojrzeniem w wielkie okno, za którym mży teraz listopadowy kapuśniaczek i wydaje się oddalona ode mnie o lata świetlne.

— Więc Teodora umarła? — pyta, wytrącając mnie z toku rozkosznie satysfakcjonujących rozmyślań o klęsce Huberta.

— Znałaś ją? — dziwię się szczerze, bo traktowałam ją zawsze jak przyjaciółkę matki, niezwiązaną zupełnie z rodziną ojca.

— Bezpośrednio nie. Nigdy jej nawet nie widziałam —■ Julita ma poszarzałą twarz, a papieros w jej palcach drży leciutko. —Ale czasem można kogoś nigdy nie spotkać, a jednak czuć go wyraziście, przez długi czas w życiorysie, jak cień.

Pewnie! — zgadzam się z nią w myśli, bo mam przecież wyraźnie w pamięci Magdę, która zaledwie mignęła mi w supermarkecie i nawet nie potrafiłabym jej opisać, jeślibym, rzecz jasna, w ogóle miała taką potrzebę, a przecież wyraźnie zalega mi na żołądku, jak niestrawiony i ciężki kamień.

—: Chcesz ją zobaczyć? — wyskakuję zatem pod wpływem impulsu oraz osobistych doznań i nie zastanawiając się ani chwili, wyjmuję z torebki zdjęcie Teodory, które dostałam wczoraj od Hektora.

Myślałam, że się pośmiejemy nad moim zaskakującym do niej podobieństwem i posnujemy dywagacje nad niezbadanymi wyrokami genetyki. Zresztą, czyja wiem, o czym myślałam? Po prostu, skoro się zainteresowałam, to chciałam jej pokazać tę fotkę, bez żadnej dodatkowej przyczyny. Mózg mi zasnął czy co? Jak to się stało, że nie zastanowiła mnie wcale jej dziwaczna wypowiedź?

Teraz Julita wygląda nagle na swoje lata. A nawet, w przebłysku świadomości, widzę, jak będzie wyglądała kiedyś, jako staruszka. W tej chwili żałuję bardzo, że pokazałam jej Teodorę, bo ostatecznie wcale nie musiałam jej mówić o tym zdjęciu i pewnie nie powiedziałabym, gdybym zrozumiała, a nie tylko usłyszała jej słowa, ale niczego już nie mogę cofnąć, niczego odmienić, podobnie jak Julita, wpatrująca się z rozpaczliwym napięciem w oczy, obcej sobie, zmarłej tak niedawno Angielki.

Wracam do domu zmęczona i smutna. Ostatecznie spędziłam z Julią więcej czasu, niżbym chciała i teraz cały dzień wydaje mi się po prostu stracony. Uleciała gdzieś cała radość rozmowy z Zosią i tamta leciutka nadzieja, że i mnie może kiedyś znowu się powieździe, może i ja uwierzę od nowa w tajemne słowa-klucze, wyjmowane przez każdą z nas, w tym swoistym czasie pierwszego zauroczenia i otwierające sezam marzeń o wielkiej miłości. Nieuważnie spoglądam na sklepowe wystawy, widząc w nich przede wszystkim własną, bladą i zmęczoną twarz, mijam rozgadanych, rozbieganych ludzi, ot, poruszam się jak każdy samotny człowiek w wielkim, obcym mieście.

Obcym, bo wszyscy są odlegli i zajęci swoimi sprawami, które w ich życiu, podobnie jak w moim, mają oszukać świadomość pustki i bezsensu. Oglądam jakieś kolorowe koraliki, przymierzam nawet jedną czy drugą bluzeczkę, ale wszystko to jedynie służy za pretekst, za złudę jakiegoś logicznego i konsekwentnego działania, która nie obłaskawia wcale mego nastroju.

Robi się zupełnie ciemno, a ulica w późnym, listopadowym zmierzchu staje się nagle sinym, mokrym półmrokiem, w którym wszystko jest jakieś dziwaczne i odrealnione. Niby połyskują kolorowe neony, świecą uliczne lampy, ale paradoksalnie, w ich blasku ludzie są jeszcze bardziej nierealni i dalecy niż zazwyczaj. Twarze, oświetlone pod dziwnym kątem, są trochę jak maski o wyostrzonych rysach i smutnie wygiętych kącikach warg, niby żałosne pier-roty i brak im tylko czerwonej łyzy na pobladłych policzkach. Przez moment mam dziwne wrażenie, że ktoś za mną idzie, przypatruje mi się z boku, wpatruje w plecy. Nawet oglądam się kilka razy za siebie, ale nie dostrzegam żadnej znajomej twarzy, więc karcę tylko samą siebie za początki paranoi, które na pewno ucieszyłyby Huberta, mnie jednak z pewnością nie poprawią smętnego humoru.

Mam przy tym silne, nieprzyjemne uczucie, jakbym zemściła się za coś na przyjaciółce mojej matki, jakbym niechcący dotknęła czegoś niezwykle bolesnego w jej sercu, odsłoniętym nagle i pozbawionym swej dotychczasowej skorupy. Jaka dziwna i zupełnie do niej niepodobna była ta nasza dzisiejsza rozmowa. A kiedy wychodziłam wreszcie od niej, gabinet wcale już nie wydawał mi się tak luksusowy i piękny, podobnie jak jego właścicielka, której wyraźny, ciemny profil rysował się samotnie na tle ogromnego okna.

Wobec własnej bezradności, po raz kolejny dochodzę do wnios-

ku, że życie kręci mną jak chce, a ja, zupełnie bezwolna, ulegam jego zawirowaniom, niby drewniana kukielka, szarpana na wszystkie strony. Drewniana kukielka? Skąd taka romantyczna, niemal teatralna, metafora? Czyżbym rzeczywiście popadała już w starcze zdziecinnienie? Teatralna? Zaraz! Wiem, skąd to skojarzenie! To z powodu pana Franciszka. Mój Boże! Co też człowiekowi może się nagle przypomnieć! Nie myślałam o tym incydencie od lat.

Kiedy byłam dzieckiem, chodziłam często z ojcem do teatru na dziecięce przedstawienia. Uwielbiałam to, a tata też prawdopodobnie lubił patrzeć na moje zafascynowanie, bo nigdy nie nudziły go te wyprawy i wyrozumiale godził się oglądać po raz kolejny ten sam spektakl, który ja za każdym razem chłonełam, jakbym nie widziała go nigdy przedtem. Pamiętam, że trochę złościło mnie, kiedy po powrocie opowiadał mamie ze śmiechem o mojej otwartej buzi i wielkich oczach oraz głośnym poganianiu bohaterów, jeśli nie byli dość bystry i nie od razu orientowali się w podstępnych knowaniach złych czarownic i podłych macoch. Szczególnie lubiałam teatrzyki kukielkowe i mimo widocznych gołym okiem sznureczków, upierałam się, że lalki ożywają na scenie, tylko tatuś, ten niedowiarek, nie chce przyjąć do wiadomości spraw oczywistych. Nie mogliśmy dojść w tej kwestii do żadnego porozumienia, więc kiedy pewnego razu ojciec wyczytał w programie występu nazwisko swojego kolegi z akademika, postanowił zaprowadzić upartą córkę za kulisy. Oboje byliśmy niesamowicie podekscytowani, rzecz jasna, każde z innego powodu, i kiedy spotkaliśmy wreszcie pana Franciszka, zaczęliśmy zaraz na wyścigi wykrzykiwać do niego swoje racje. Pan Franciszek był przemiłym człowiekiem, czego wówczas nie umiałam docenić, ale wyczułam natychmiast duszą zafascynowanego dziecka. Przyznał mi rację i głośno zdumiewał się ignorancją mojego tatusia, który rzeczywiście nie potrafi pojąć rzeczy tak prostych jak ożywające lalki. Pokochałam go natychmiast!

Nie wiem, w jaki pozawerbalny sposób przekonał ojca, ale ten nagle zaprzestał swego poprzedniego uporu i pogodził się gładko z moim twierdzeniem. Wszyscy byliśmy przez chwilę bardzo szczęśliwi, gratulując sobie pomyślnie rozwiązanego sporu, potem otrzymałam w nagrodę za teatralną przenikliwość wielkiego lizaka, a następnie panowie zaczęli wspominać swoje studenckie czasy, tracąc na chwilę z oczu młodą miłośniczkę spektakli.

Poszłam więc ufnie przed siebie w głąb budynku, smakując kolorowego cukierka i rokoszując się wygraną oraz zachwycają-

cą wonią pachnących kurzem pomieszczeń, po czym dotarłam ni mniej, ni więcej tylko do magazynu lalek.

Co przeżyłam, to moje. Naocznie przekonałam się wówczas, że wszystkie kukielki są martwe! Więcej jeszcze! Poplątane sznureczki wielu z nich powodowały, że wyglądały jak zamordowane w jakiś barbarzyński sposób! Ponadto miały luźne główki, miękkie i wiotkie rączki, a czasem najzwyczajniej w świecie brakowało im nóżek! Z bliska ich sukienki wyglądały okropnie i niektóre wcale nie miały królewskiego splendoru. Najgorszy z wszystkiego okazał się jednak fakt, że nic, no zupełnie nic nie potrafiło ich ożywić! Ani słowna zachęta, ani pocałunki, składane na ich brudnych buziach, nawet mój lizak, odważnie i z miłością podtykany do koralowych usteczek królewien! Za to mój wrzask, który rozległ się w chwilę później, obudziłby je z pewnością gdyby w ogóle kiedykolwiek były żywe, w zamian jednak przygoił do mnie natychmiast obu przerażonych panów.

Teraz też nie pomogło już nic, żadne tłumaczenia, łagodne perswazje, ani nawet łajania, zdenerwowanego w końcu ojca. Płakałam, jakby od tego zależało nagle moje własne życie. Umorusana od mokrego kurzu i lepkiej słodkości lizaczka rozmazanego na policzkach, z oczami czerwonymi jak chory królik, zostałam wreszcie, sztywna z wściekłości, wyniesiona po prostu z teatru i napojona w pobliskiej kawiarni gorącą herbatą która, jak sędzę, miała opanować czkawkę, do złudzenia przypominającą popularne pijackie problemy.

Miłość do przedstawień przeszła mi nieodwracalnie na długie lata, a nawet później, w czasach szkolnych, niechętnie wybierałam się do teatru, co wzbudzało szczere zdumienie i niezadowolenie moich kolejnych pań nauczycielek. Z panem Franciszkiem pogodziłam się o wiele wcześniej, bo był naprawdę świetnym kompanem, ale o jego zawodowej pasji nie życzyłam sobie nigdy rozmawiać, co mi wcale nie wyszło na dobre, bo zdobył podobno ogromne uznanie w świecie, a jego spektakle kukielkowe przyciągają widzów wszędzie, gdzie się pojawi.

Muszę być bardzo bezradna, skoro przypomniały mi się tamte biedne lalki i jeszcze siebie do nich przyrównuję! To niedopuszczalne! Gdzie moja sławetna siła? Może prozaicznie jestem po prostu głodna? Babcia Nusia mówiła zawsze w takich sytuacjach: — Oddychaj głęboko, dziecko, zaraz coś zjemy i świat stanie się bardziej znośny, zobaczysz!

Więc grzecznie pracuję nad sobą zgodnie z babciną zasadą cwi-

cząc głębokie oddechy przy otwartym oknie w kuchni. Lodowaty powiew rzeczywiście uspokaja moje wnętrze i powoli czuję, że mam ochotę na coś słodkiego, a także w ogóle na życie. Niech tam! Potarłoszę się z nim jeszcze trochę! Wyprostuję tylko wszystkie życiowe sznureczki i zobaczymy, kto zostanie najfajniejszą królową!

Pełna dobrej woli wydobywam z pojemnika resztki sernika od Alinki, zakładając, że świeży, nie świeży, na pewno pomoże. Kiedy zaś pogryzam bezmyślnie resztki ciasta, które podniosłam do rangi, wracającej życie, baśniowej kolacji, bujam swobodnie wspomnieniami wśród innych ojcowskich kolegów, licznie przewijających się przez nasz dom rodzinny. Było wśród nich kilku prawdziwych oryginałów! Przychodzili z rzadka, ale zawsze tłumem i siadali gdzie popadnie, na podłodze w pokoju ojca. Przynosili wino, jakieś ciasteczka, kopcili niemiłosiernie i wyganiali mnie z pokoju, twierdząc, że będą prowadzić rozmowy nieprzeznaczone dla dziecięcych uszu. Wcale mnie do nich nie ciągnęło, bo mówili zwykle o polityce i nigdy nie potrafili wyciągnąć żadnych sensownych wniosków, tylko spierali się coraz głośniejsze i bardziej zapalczywie. Ale czasami jeden z nich, Włodek chyba, przynosił gitarę i stary śpiewnik, jeszcze ze studenckich czasów, wtedy siadałyśmy z mamą z nimi i dopiero zaczynał się prawdziwy spektakl! Nucili, mruczeli, z zapalem wybierali coraz to nowe piosenki, śmiejąc się przy tym jak szaleni, jakby znowu mieli po dwadzieścia lat.

Czegóż oni nie wyśpiewywali! Jakieś zakazane w ich czasach, wywrotowe piosenki, smętne dumki, wojskowe marsze, niekiedy nawet Rotel Głosy im przy niej tak potężniały, że mama musiała przyciszać wszystkich, przypominając o słuchających za ścianami sąsiadach, ale oni, rozgrzani już i odważni, nie zważali na takie drobnostki, tylko nucili długo w noc te swoje dawne przeboje ogniskowe, a twarze im młodniały z każdą chwilą i kolejną piosenką. Później oglądali stare zdjęcia i zaśmiewali się, przypominając studenckie wybryki, radości i cierpienia, które wówczas wydawały im się najważniejsze na świecie.

I wtedy właśnie ja również przypominam sobie nagle jedno zdjęcie, oglądane przed laty w albumie ojca. Są na nim we troje, Iwo, Adam i Julita właśnie, stojąca między nimi swobodnie, radośnie uśmiechnięta i ubrana w śmieszne, szerokie spodnie-dzwony, w których wygląda po prostu okropnie.

XII

Jego miejsce do życia, legowisko, ku któremu zdąża codziennie, pełen wewnętrznych niepokojów, znajduje się w połowie mrocznego korytarza,

na czwartym piętrze wysokiego, szarego i brzydkiego akademika. Najpierw wychodzi się z podrapanej i cuchnącej windy, by po prawej stronie minąć niewielki stolik z trzema starymi, brudnymi fotelami oraz rachityczną parodią fikusa, mającą stworzyć domowy, swojski nastrój, a później trzeba zanurzyć się w niepokojąco śmierdzący mrok, zakończony szarym oknem, które przepuszcza dokładnie tyle światła, żeby nie potknąć się przypadkiem o kartony, garnki, a czasem i nogi współlokatorów, którzy nie zdołali dowlec się po jakiejś popijawie do swojego pokoju. Potem człowiek wchodzi już do siebie, czyli wielkiego pokoju, zastawionego pięcioma łózkami, dwiema szafami i stołem pośrodku, przy czym o wnęce za plastikową zasłonką ukrywającą umywalkę i blat, używane w celach łazienkowo-kuchennych, lepiej w ogóle nie wspomnieć. Nad całością tego schronienia unosi się zwykle stęchły zapach pięciu chłopaków, ich skarpetek, swetrów i kurtek, a także nikła woń zjedzonej w południe jajecznicy z cebulką przypalonej lekko na wiejskim smalcu, ale to już koniecznie należy pominąć, jeśli nie chce się odczuwać ciągłych mdłości.

Żeby zaakceptować tę rzeczywistość, trzeba mieć naprawdę niezwykłą wolę walki i konsekwentny upór codziennego przystosowywania się do realiów socjalistycznego nauczania na wyższych uczelniach i do całej jego mieszkalnej infrastruktury. A jeśli się ich nie ma? Wtedy cholernie trudno się przyzwyczaić, a poranne wstawanie okazuje się równie bezsensowne, jak wieczorna próba zaśnięcia, ponawiana uparcie, mimo towarzystwa innych oddechów, pomrukiwań i stękania. Jedyna nadzieja w tym, że człowiek może znieść więcej, niż sądzi, a zapachów nie czuje się już po kilku minutach wspólnego koczowania w pokoju. Zresztą jego skarpetki, swetry i bluzy, jego wędzona wędlina, przywieziona z domu, a tak-

151

że stękanie i chrapanie, też pewnie przeszkadza innym tu mieszkającym. — Iwo, gdzie twoje żniwo? — śmieją się koledzy z pokoju, kiedy Iwo po raz kolejny wraca zbyt wcześnie ze studenckiej dyskoteki i usiłuje udawać, że bawił się na niej doskonale i jest naprawdę zadowolony. Ale niełatwo mu kłamać w sposób wystarczająco przekonujący, skoro nie bardzo nawet wiadomo, co powinno się mówić i jak zagadywać do chłopaków, którzy niby potakująco kiwają głowami, mimo że dobrze widzą, jak on najzwyczajniej zmyśla, bo żniwa, którego od niego oczekują, zwyczajnie, jak nie ma, tak nie ma! Żadna dziewczyna nie chce się z nim umówić na randkę, choć naprawdę trudno zrozumieć, z jakiego powodu.

A schował, zgodnie z instrukcjami, na dno walizki wszystkie swoje swetry,

przywiezione z domu, oprócz tego czarnego, po ojcu, który wziął właściwie wbrew sobie, a tu okazał się hitem niezbędnym po prostu dla każdego szanującego się studenta. Wydał nawet ostatnie pieniądze na bony, za które kupił w Peweksie obowiązujące dzinsy. I choć teraz stać go jedynie na bułki z pasztetem, wygląda przynajmniej modnie i nie odstaje tak wyraźnie od swoich miejskich rówieśników.

Wszystko to jednak nie zdaje się na nic. Nie umie w taki sposób rozmawiać z dziewczynami, by zechciały spotkać się z nim po raz kolejny. Każda randka staje zawsze pod znakiem zapytania, a czekający Iwo, nawet jeśli dziewczyna wstępnie zgodziła się z nim spotkać, spaceruje najczęściej samotnie różnymi ulicami, dokładnie tylko poznając miasto, i udaje po powrocie, tak jak dzisiaj, że wszystko było w porządku. Chłopcy jednak wiedzą swoje, więc, mniej lub bardziej złośliwie, komentują jego sercowe niepowodzenia.

Oni radzą sobie o wiele lepiej i często potrzebują pustego pokoju, a wtedy Iwo wraz z pozostałymi musi wędrować na wieczorne seanse do pobliskiego kina, w którym stworzono już nawet specjalny, nocny klub studencki dla fanatycznych miłośników kinematografii. Z historii i bieżących osiągnięć filmu światowego mógłby już chyba zdawać jakiś dodatkowy egzamin, ale nawet ta, intelektualna przecież, wiedza zupełnie go nie cieszy.

W zwycięskich podbojach, na jedną noc, króluje przede wszystkim Tadek. Niewysoki, pękaty blondyn z ciemnymi, wesołymi oczami niegroźnego cwaniaczka, który potrafi mówić i żartować tak sprawnie, że niewielkie mankamenty jego prezencji za każdym razem umykają świadomości rozanielonych koleżanek.

152

— Biorę je na bajer — dzieli się chełpliwie swoją wiedzą z pozostałymi chłopakami — każda złapie się na słodkie słówka. Trzeba tylko wyczuć, co i kiedy ta, konkretna z nich, akurat chciałyby usłyszeć. Pogadasz, pogadasz i masz! — śmieje się swobodnie, obiecując nawet stworzyć zeszycik z potrzebnymi, zawsze oczekiwanymi, zdaniem, które ponoć działają jak wytrych, na każdą panienkę.

Trudno powiedzieć, jak wprowadza te doświadczenia w życie, prawda jednak jest przejrzysta jak szkło. To on najczęściej zamyka za sobą drzwi opustoszałego, akademickiego pokoju, zanim ukloni się w pajacowatym, zamaszystym geście przed kolejną, wprowadzaną do środka, rozchichotaną dziewczyną. Im tylko pozostaje wietrzenie później pokoju z kwaśnego zaduchu, będącego mieszaniną papierosów, wina i tanich

rosyjskich perfum typu „Polne maki” oraz próba zaśnięcia, wśród zwycięskiego pochrapywania rozwalonego na swoim łóżku Tadka. Raz czy dwa, bilety funduje też Włodek, ale jego oczy umykają przy tym na boki i nie ma się wcale wrażeń, by czuł w sobie zwycięskie emocje. Jest raczej skrepowany, kiedy dziewczyna, o której romantycznie roił, wyraża nagle chęć na wieczorne spotkanie, sam na sam, w akademiku. Korzysta zawsze, czemu nie? Ale imię panienki natychmiast przestaje pojawiać się w jego późniejszych rozmowach z kolegami, a on sam tak wyraźnie traci do niej serce, że nawet umyka na drugą stronę ulicy, gdy ta pojawia się naprzeciw.

I pewnie dlatego właśnie Włodek uważany jest przez dziewczyny z sąsiednich, żeńskich akademików, za drania, a Tadka traktują jedynie jak nieszkodliwego Casanovę, mile witającego je zawsze, nawet wiele tygodni po przygodnej randce. Wynika to też zapewne z odmienności, z jaką obaj traktują samą zasadę podrywania dziewczyn. Tadek chce po prostu miłej, satysfakcjonującej dla obu stron rozrywki i pozostawia kolejne zdobycze w poczuciu radośnie przeżytej przygody, podczas kiedy Włodek szuka ideału i zawodzi się boleśnie za każdym razem, gdy panna okazuje się człowiekiem z krwi i kości.

A przy Włodku, inaczej niż wobec Tadka, trudno pozostać niewzruszoną, bo jego zaloty sprawiają ogromne wrażenie, swym czułym i szczególnie uwznioślonym charakterem, okraszonym za każdym razem romantyczną poezją, niekiedy nawet własną, choć silnie ulegającą wpływom mistrza Gałczyńskiego. Więc zaskoczeni bolesną konfrontacją i pełnym żaru konfliktem oczekiwania, Włodek i jego kolejna, idealna partnerka, rozstają się w dramatycznych

153

okolicznościach wśród łez i wzajemnych oskarżeń, pękających od wielkich słów i żalonych gestów, przy których drżą w posadach oba zainteresowane akademiki.

Jakkolwiek jednak toczą się losy podrywów obu panów, mają oni przecież jakieś doświadczenia miłosne, podczas gdy Iwo nadal żadnymi poszczycić się nie może, więc, zjednoczeni wspólnymi siłami emocjonalnych przeżyć, pokpiwają łagodnie z niego, ale przyznają też ze współczuciem, że nie rozumieją przyczyn niepowodzeń tego przystojnego, jakkolwiek by patrzeć, kumpla.

Natomiast on tylko wścieka się w zaciętym milczeniu, ale tłumaczy sobie jednocześnie, że takich zwycięstw, jakimi inni mogą się poszczycić, przecież i tak by nie szukał. Nie zależy mu na łatwej znajomości, której

wystarczają bilety dla kolegów i butelka taniego wina, jednak przyznaje ponuro sam przed sobą, że pójść z dziewczyną na spacer czy pogadać swobodnie, to by chciał i nie może pogodzić się z faktem, że niestety tylko na pragnieniach za każdym razem się kończy.

W miasteczku żyło mu się zdecydowanie prościej! Miał wielu znajomych, w tym również miłe sercu koleżanki, do rodziców wciąż ktoś przychodził, życie dosłownie tętniło wokół, Adam przyprowadzał swoich kumpli, był ciągły gwar i śmiechy. Randek też nie było wiele, ale Iwo czuł się wśród wszystkich na swoim miejscu, wiedział, za co go lubią i jakie ma atuty. Nawet kiedy brat wyprowadził się na Wybrzeże po powrocie z Anglii, nie odczuwało się w domu takiej samotności i pustki jak tutaj.

Teraz niby też jest hałas, ale sztuczny, zbudowany z chełpliwych przechwałek chłopaków z akademika, z których każdy, tak samo jak on, stara się zagłuszyć swoją małomiasteczkowość męską zadziornością. Chwalą się głośno podbojami, od których wszystkim robi się jednak smutno i głupio, bo czują przecież, że wcale nie tak ma wyglądać miłość, za którą w tajemnicy każdy z nich tęskni. Gadają jeden przez drugiego, tylko sensu w tym nie ma za grosz. Może jedyny Franek ma nieco oleju w głowie, ale ten za to jest wiecznie tak nieszczęśliwy, że bez przerwy zasługuje na jawne już drwiny kolegów.

— Podobno na Zachodzie można sobie wyrwać wszystkie zęby i wstawić sztuczne — przekonuje innych, bo najbardziej cierpi z powodu swego straszliwie krzywego zgryzu, z powodu którego nie przyjęto go do łódzkiej filmówki. Od dzieciństwa marzył o tym, by zostać aktorem, prawdopodobnie ma nawet talent, ale cóż z tego, skoro jego wygląd zupełnie nie odpowiada wymagają-

154

cej komisji, która życzyłaby sobie jednak nieco przystojniejszych adeptów sztuki filmowej.

— Ty to ale głupi jesteś! — Tadzio, sypiający nad lwem na piętrowym łóżku, aż kwiczy z uciechy. — Wiesz, jak wyglądają zęby mojej babci w szklance z wodą? Nawet dziadek patrzeć na nie nie może i odwraca się do niej plecami. Dobrowolnie byś się na to zgodził? Palancie jeden? Jak byś sobie z kobietkami poradził?

— A bo ja wiem? Wszystko lepsze, niż nie być aktorem tylko z powodu krzywego uśmiechu! Zresztą może tam mają jakieś inne sposoby, bo widziałeś jakiegoś amerykańskiego aktora z brzydkimi zębami? No, widziałeś?

— Amerykański aktor się znalazł! Jezu! Nie wytrzymam! Ty rzeczywiście

nic, tylko na Marlona Brando mi wyglądasz! — teraz Tadzio już naprawdę nie panuje nad złośliwą radością. — Patrzcie go! Polski pożeracz serc! Franek Koziół! Kłaniajcie się świąty! Tylko podkoszulki i motoru ci brak! — wskazuje na piękne zdjęcie Marlona, które Franek przypiął pinezkami nad swoim łóżkiem, by przed snem chociaż popatrzeć na swego idola i rozkoszować się marzeniami o karierze.

Ale ponieważ Tadek ma w sobie jeszcze trochę litości, nie dodaje, że uważa kolegę po prostu za wsioka, który naoglądał się wielkiego świata w jakimś objazdowym kinie, gdzieś na peryferiach cywilizacji i teraz żyje nierealnymi złudzeniami, nie patrząc obiektywnie w lustro. Jest jednak szczerze przekonany, że ktoś musi wybić marzycielowi te bzdury z głowy raz na zawsze i uznaje, że właśnie on sam, ze wszystkich tutaj, nadaje się do tego zadania najlepiej.

— Nazwisko można zmienić — odzywa się cicho i jakby wbrew sobie Edek spod okna — mój ojciec zmienił — patrzy pocieszająco na rozżalonego Franka, który wciąż nie może pogodzić się ze swoją klęską na egzaminie.

— Ejże? To jak się nazywaliście przedtem? — Tadzio aż unosi się na łokciach, żeby lepiej przyjrzeć się milczącemu zazwyczaj koledze. — Może ty Żydek jakiś jesteś? Co? Przyznaj się lepiej! Czosnkciem tu często zalatuje, aż mi panienki uwagę zwróciły, bo sam to nie czuję, wciąż z wami się kisząc.

— Daj mu spokój! — teraz już nie wytrzyma Iwo. — Czepiasz się każdego, jak rzep psiego ogona! Lepiej, to ty byś się pouczył trochę, zamiast truć bez sensu, bo z tego, co wiem, asystent już drugi raz wyprosił cię z ćwiczeń.

— Co prawda, to prawda — pokornieje nagle Tadzio i przy-
155

pominą sobie, że Edek ma zawsze najlepsze notatki z wykładów, które przecież udostępnia bez zmrżenia oka wszystkim kolegom, a obaj studiują na polibudzie, gdzie, wiadomo, żartów się nie przewiduje w programie. — Nie ma o czym gadać, ten czosnek możesz sobie zreć, na zdrowie, ale jak zawalimy rok, to żaden z nas nigdzie nie zagrzeje miejsca. — A aktorem i tak zostanę! — kończy Franek i pochyla się z niechęcią nad staro-cerkiewno-słowiańskim, bo na razie studiuje tylko prozaiczną polonistykę, w oczekiwaniu na cud dostania się na wymarzone studia. Milkną teraz wszyscy, pogrążeni w myślach, no i jednak w nauce, bo wiedzą dobrze, że rodzice żadnego z nich nie uściskaliby szczególnie serdecznie, gdyby któryś zawalił rok. Dzisiaj mieć wyższe wykształcenie,

to jednak jest coś, zwłaszcza w takim małym miasteczku, z którego każdy z nich pochodzi, starzy na to liczą, zawczasu marząc, jak będą pękali z dumy przed znajomymi i sąsiadami.

Więc Iwo też siedzi skrupulatnie nad książkami i, z braku innego zajęcia, zbiera żniwo wiedzy, które z zadowalającym skutkiem zapisuje się w jego indeksie. Ale nie odczuwa z tego powodu żadnej dumy, więc namiętnie poprawia sobie humor całymi garami budyniu, mieszanego drewnianą łyżką we wspólnej, śmierdzącej kuchni na końcu korytarza. Kuchnia jest naprawdę obskurna, a jedzenie zbyt słodkie, jednak okazuje się jedynym widowym znakiem samodzielności młodego człowieka, który oto może teraz jeść sobie sam deser, jeśli mu się zechce, zamiast porządnego obiadu. — Ojciec będzie z ciebie zadowolony — klepie go dobrodusznie po plecach Adam, odwiedziwszy w końcu brata na tym naukowym wygnaniu. Dawno już ustalili, że będą Krzysztofa obaj, jak zawsze w dzieciństwie, nazywać ojcem, Mariusza zaś dziadkiem, ze względu na jasność w rozmowach, zarówno między sobą, jak i w towarzystwie. Inaczej ciągłe tłumaczenie, kto jest kim w tej rodzinie, doprowadziłoby pewnego dnia wszystkich do szału. Dawniej, nowych znajomych napawało to zawsze tak nienaturalnym zainteresowaniem, że zarówno Adam, jak i Iwo, mieli wciąż nieodparte wrażenie, iż sami nikną po prostu w skomplikowanej historii rodowej. Prościej było zatem nie informować nikogo i nie wzbudzać niepotrzebnych pytań.

156

Wystarczający kłopot był z samym tylko imieniem! Ileż razy Iwo musiał przekonywać, że jest prawdziwe i rzeczywiście istnieje! Jako mały chłopak wściekał się nawet na ojca, że nie dał mu zwykłego, akceptowanego w miasteczku świętego, za patrona. Ale Krzysztof pragnął uczcić narodziny syna imieniem swego brata, a że nie mógł nazwać go Rafałem, bo oficjalnie poszukiwania, zbiegłego ponoć z więzienia, wroga państwa ludowego nadal trwały, chłopiec został lwem.

— Bogu dziękuj, że jestem uparty — łagodził ojciec, widząc łzy złości w oczach małego Iwa — ksiądz Żarnecki chciał ci dać Iwośław! Bo twierdził, że tylko tak może cię ochrzcić! Ale nie pozwoliłem! Rafał nosił pseudonim Iwo i tak brzmiące imię miało pozostać. Cośmy się o to kłócili, to na wołowej skórze by można spisać! Możesz mi wierzyć.

— To stare, celtyckie miano i oznacza „łuk z cisowego drzewa”, byle co cię nie złamie, wojaku! — dodawał jeszcze, sadzając sobie usmarkanego chłopca na kolanach i wycierając mu skrupulatnie nos, mrugał porozumiewawczo do starszego syna.

Ostatecznie Iwo zaakceptował swoje imię, a nawet chwilami jest z niego dumny, bo przynajmniej coś w nim, choćby na krótko, budzi zainteresowanie koleżanek ze studiów. Niestety, nadal jedynie na krótko! Powoli zaczyna już popadać chyba w łagodną paranoję na temat braku powodzenia, bo zanim się orientuje, opowiada wszystkie swe troski zdumionemu bratu.

— I co? Łamiesz się, ty cisowy kołku? — Adam bez zrozumienia przyjmuje ponurą opowieść o samotności młodego studenta w wielkim mieście. — Tego kwiatu jest pół świata! Tylko rękę wyciągnąć! Jednak Adamowe „wyciąganie ręki” też nie bardzo przypada chłopakowi do gustu, bo choć starszy brat jest dorosłym, przystojnym mężczyzną o ujmującym uśmiechu, którym zjednuje sobie wszystkich dookoła, to jednak staje się dziwnie chłodny, niemal okrutny, gdy któraś z dziewcząt okazuje mu zbyt jawnie swoje uczucia. Różnych kobiet, brylujących wokół Adama jest zawsze wiele i każdej bardzo zależy na tym, by zwrócić ku sobie jego zainteresowanie, ale młody mężczyzna wybiera tylko najpiękniejsze, przy czym często porzuca je nagle, czasem wprost niegrzecznie, właściwie zupełnie bez powodu, ot, niemal w środku interesującej, zdawałoby się rozmowy.

Tylko o uwagę Julity, poznanej przypadkiem w czasie jednej z wędrówek po mieście, obaj muszą naprawdę zawalczyć. Onajed-
157

na nie daje po sobie tak łatwo poznać, który z braci rzeczywiście jej się podoba i brawurowo ich kokietuje, wzbudzając tym niechętnie, nieco łowieckie zainteresowanie Adama i gorący żar krwi po raz pierwszy zakochanego Iwa.

Adam często teraz przychodzi do akademika i poznaje wszystkich kolegów brata. Zdaje się przeżywać z nimi coś w rodzaju studenckich wakacji, jakich sam nigdy nie przeżył. Funduje chłopakom wino, śpiewa przy wtórze gitary i ma się wrażenie, że od-młodniał, bo łagodniejszym okiem spogląda nie tylko na świat, ale i na młodzieńcze wybryki studenckiej braci. Śmieje się dużo i chętnie, czym nawet zdumiewa niekiedy młodszego brata, nie znającego dotychczas tych cech jego charakteru.

Zaprzyjaźnia się z Tadkiem, kupuje Włódkowi wymarzoną gitarę, potrafi nawet rozruszać nadzwyczajnie cichego Edka i spowodować, że chłopak zyskuje nieco pewności siebie. Dzięki jego czarowi wokół chłopców roi się teraz od koleżanek, chętnych na każde spotkanie, bo Adam, jeśli zechce, potrafi pięknie mówić, funduje posiłki w kawiarniach, a ponadto

żadnemu z nich łaskawie nie podprowadza dziewczyn, sugerując raczej jak do którejś podejść i czym ją zachęcić do dalszych spotkań.

Jedynie z Frankiem nie może znaleźć wspólnego języka, ale nawet dla niego ma zawsze miłe słowo i dba skrupulatnie, żeby inni docenili wreszcie jego aktorskie zdolności. Do zwyczaju należy, by z powagą, a nawet w skupieniu słuchać Frankowych monologów lirycznych, do czego zresztą nawykają łatwo, po raz pierwszy widząc w nieciekawym chłopaku, z krzywym zgryzem, prawdziwy talent. To jednak nie łamie lodów między nim a Adamem, co bardzo dziwi i niepokoi Iwa, bo właśnie Franka uważa za swego najbliższego przyjaciela w tej grupie.

Chłopak jest z małej wioski, leżącej rzeczywiście gdzieś na końcu świata, jak twierdzi zawsze Tadek, ale ma swoisty szósty zmysł, jeśli chodzi o ocenianie ludzi. Wychowany w wielodzietnej rodzinie i zahartowany w grupowym życiu, nie wydaje się tak samotny jak pozostali, nie tak łatwo zwieść go również powierzchowną atmosferą radości i bez troski, roztaczaną teraz przez starszego od nich, szastającego pieniędzmi, eleganckiego przystojniaka. On też po raz pierwszy zwraca uwagę Iwa na to, że jego brat zbyt dużo Pije.

— Coś ty? Pije tyle, co my wszyscy — przekonuje go Iwo, skrepowany tematem rozmowy, a przede wszystkim niezwykłą powagą przyjaciela.

158

— Nie, chłopie, wiem, co mówię — Franek ma krwiste rumieńce na policzkach i najchętniej znalazłby się sto kilometrów stąd, brnie jednak dalej, bo czuje, że musi powiedzieć prawdę temu prostolinijnemu i naprawdę lubianemu koledze, który, jak się okazuje, widzi Adama jedynie przez pryzmat braterskiej miłości i podziwu.

— Mam ojca i dwóch braci, którzy też tak piją — wydusza z siebie z trudem. — Ten jego dobry humor nie jest naturalny, po nim przychodzi złość i bijatyka albo jeszcze co gorszego. Adam też dobrze wie, że ja go przejrzałem, dlatego właśnie mnie omija, jak tylko może. Będzie źle, zobaczysz, nie dziś, to jutro — kończy jeszcze Franek. — Musisz na niego uważać albo skłonić go, żeby wyjechał. Najlepiej do domu.

Stoją naprzeciw sobie przerażeni intymnością tych zwierzeń, a także szczeniacką bezradnością wobec problemu, który, jak upiera się Franek, jest bardzo poważny. Wiedzą też, że teraz będzie im dużo trudniej swobodnie ze sobą rozmawiać, a może w ogóle zaczną się unikać i rozpadnie się ich, tak bliska przecież, dotychczasowa komitywa. I chociaż Iwo zaczyna nawet wierzyć niedoszłemu aktorowi, zupełnie nie ma pojęcia, co zrobić z jego rewelacjami ani jak na nie zareagować.

Ostatecznie więc nie robi nic i stara się tylko zapomnieć jak najprędzej o wszystkim, co Franek z taką powagą sugerował.

Na razie wszystko układa się dobrze. Bracia czują się doskonale ze sobą i wspólnie spędzają mnóstwo czasu. Iwo, co prawda, obniża trochę loty na studiach, ale ostatecznie, od czego jest młodość i radość życia? Przecież nie tylko do nauki, dosyć napracował się dotychczas, czyż nie? Zwłaszcza że coraz częściej udaje mu się spotykać Julitę, a ta wydaje się nie unikać jego towarzystwa, jak wcześniej inne dziewczyny. Wręcz odwrotnie, jej oczy błyszczą zalotnie, a uśmiech jest chyba skierowany tylko w jego stronę.

Adam ma, co prawda, inne zdanie na ten temat, ale lojalnie ustępuje pola bratu, dbając jedynie, by ten nie deklarował się zbyt jednoznacznie.

Chłodzi też jego uczuciowe zapędy, sprowadzając kolejne, zawsze wspólne, spotkania z dziewczyną na grunt towa-rzysko-rozrywkowy, żartami łagodząc ewentualne napięcia i spory. Nie reaguje też na wyraźne zaczepki dziewczyny, nie chcąc wejść w drogę decyzjom Iwa. Zaprasza oboje do eleganckich restauracji, towarzyszy im w wycieczkach nad jezioro, ale cały czas, z per-

159

spektywy swojej dziesięcioletniej przewagi, próbuje na chłodno ocenić szanse młodszego brata u rezolutnej panny.

Ponieważ i jego Julita trochę pociąga, wydaje mu się tak wyraźnie odmienna od... od każdej innej. Sprawia wrażenie twardej jak skała i bardzo pewnej siebie. To, zdaniem Adama, młoda kobieta, której nie można skrzywdzić i która dokładnie wie, czego chce od życia i mężczyzn, a jemu przecież bardzo zależy na tym, by nie zranić żadnej głupiej, zbyt uczuciowej dziewczyny. Na żadne uczucia nie jest i nigdy nie będzie gotowy. Nie musi patrzeć w oczy Frankowi, żeby wiedzieć, w jaki sposób żyje ostatnimi laty, ma jednak tyle przyzwoitości, by nie przyciągać do siebie naiwnych dzierlatek, liczących na małżeństwo, dom czy dzieci. Ale przecież kogoś w życiu trzeba mieć, tylko na pewno takiego, komu wystarczałoby dobre towarzystwo, zabawa i seks bez zobowiązań. Tym kimś, coraz wyraźniej i coraz bardziej jednoznacznie, wydaje się Julita, beztrąsko łamiąca konwenanse i hardo, bez zmrużenia powiek, wytrzymująca jego chłodne spojrzenie. Nie ma co do tego ostatecznej pewności, więc na razie stoi jedynie z boku i przygląda się tylko z daleka rozwojowi sytuacji między nią a bratem.

Kiedy jednak na któreś spotkanie Julita przyprowadza ze sobą piękną i nieśmiałą przyjaciółkę, wyraźnie przeznaczając ją dla zdezorientowanego i

pograżonego w rozpacz Iwa, Adam decyduje się wreszcie podjąć grę, prowadzoną przez zadziorną dziewczynę. Wydaje mu się przy tym, że wyraźnie określa wobec Julity swoje oczekiwania, zanim sprowadza ją wieczorem do swego hotelowego pokoju. Przez długi czas będzie sobie później wytykał, że nie był dość trzeźwy, by się ponad wszelką wątpliwość upewnić w tej kwestii.

Iwo natomiast bezradnie spogląda w oczy zdezorientowanej Krysi, która okazuje się zupełnie zaskoczona rozwojem wypadków, więc zgodnie z honorowym kodeksem, wpojonym mu przez ojca, szarmancko dotrzymuje jej towarzystwa, po czym odprowadza grzecznie pod drzwi rodzinnego domu. Gdyby tego wieczoru ktoś spytał go, jak dziewczyna była ubrana lub o czym ze sobą rozmawiali, po prostu nie umiałby na to odpowiedzieć, ale pamięta, jak przez mgłę, jej miły uśmiech i spokojne, łagodne usposobienie.

Potem całą noc siedzi w brudnym fotelu na korytarzu akademika, słusznie zakładając, że brat kiedyś przecież musi do niego przyjść. I nawet się nie kłóca, tym bardziej nie dochodzi do bijatyki, przepowiadanej przez Franka, bo ostro pijany Adam, siadłszy

160

nad ranem na podłodze obok Iwa, opiera tylko głowę na jego ramieniu i po prostu płacze rozpaczliwie, jak dziecko, klnąc przy tym \>Tz^6kYo\ - WAX\garave,3ak. uoiosty mężczyzna.

Nigdy już nie rozmawiają na ten temat. Iwo jednak na zawsze zapamiętuje tamten poranek, kiedy po raz pierwszy w życiu poczuł się naprawdę starszy i mądrzejszy od ukochanego brata. Myśli też o tamtym dniu wiele lat później, w chwili pogrzebu Adama, kiedy nad jego grobem pochylają się w rozpacz i bezradności zarówno stary i zniszczony życiem Mariusz, jak i Nusia z Krzysztofem.

Po roku Iwo, gdy dojadło mu ostatecznie życie w męskim kołchozie, a Franek, wierny swoim marzeniom porzucił nieakceptowaną przez siebie polonistykę i wyjechał z miasta, wynajmuje pokój u samotnej starszej pani, by do końca studiów mieszkać w ciszy, na stacji. Nigdy też nie polubi po raz drugi budyniu waniliowego, który z takim zapamiętaniem gotował we wspólnej studenckiej kuchni przez pierwsze miesiące życia w mieście.

Zaczyna za to naprawdę interesować się własnymi studiami i zdobywa spore uznanie u prowadzących zajęcia, jemu samemu jednak bardziej zależy na rzeczywistej wiedzy, dotyczącej ochrony roślin, którymi będzie później zajmował się przez całe swoje zawodowe życie, więc zrezygnuje z

prestżowej nawet, ale kiepsko płatnej propozycji pozostania na uczelni jako pracownik naukowy. W wolnych chwilach pracuje w spółdzielni studenckiej i zamiatając o świcie czy w nocy wielkie hale fabryczne, obiecuje sobie solennie, że zawsze już będzie miał wystarczające finanse, pozwalające na nieco wykwintniej szy posiłek niż bułka z pasztetem. Być może pewne znaczenie ma w tych decyzjach pamięć o tym, jak wyraźnie różnił się stan jego finansów od zasobnej kieszeni Adama. Nigdy, co prawda, nie zazdrościł dofinansowania, które brat otrzymywał od Mariusza, zdawał sobie jednak sprawę z faktu, że swoboda finansowa Adama miała (musiała mieć!) pewne znaczenie w jego kontaktach z kobietami, zwłaszcza zaś z Julią.

Brata spotyka później coraz rzadziej, przede wszystkim w czasie rodzinnych świąt i zawsze wówczas Adam jest trzeźwy, tylko ponury i niechętny nawiązaniu jakichkolwiek bliższych kontaktów. Nie odwiedza też już nigdy więcej Iwa, wymawiając się obowiązkami w redakcji sportowej, gdzie ostatecznie podejmuje pracę i zdobywa nawet spore uznanie, specjalizując się w sprawozdaniach z regat motorowodnych.

161

Studenckie lata będzie Iwo wspominał z mieszanymi uczuciami i rzadko wraca do nich w myślach, może jedynie w czasie doraźnych spotkań z kolegami, z którymi jednak rozmawia przede wszystkim o letnich wyjazdach na praktyki i o obozach sportowych, spędzanych w kajaku, podczas spływów malowniczymi rzekami przez Bory Tucholskie.

XIII

Zbliża się wreszcie koniec tego wrednego listopada, a pogoda postanowiła, choćby na krótko, zaczarować wszystkich, niemal październikowym, jasnym słońcem. Zdjęłam nawet czapkę i poluźniłam szalik, spiesząc na dworzec, gdzie żegnam Hektora wyjeżdżającego wreszcie do Krakowa. Wybierał się codziennie i wciąż coś tak bardzo stawało mu na przeszkodzie, że oczekujący go przyjaciel chyba zdążył ostatecznie zwątpić w tę wizytę.

Ale ja jestem Hektorowi wdzięczna za każdy z tych dni, bo wspierał mnie serdecznie i troskliwie, jak prawdziwy ojciec, za którego chyba podświadomie zaczął się uważać, zwłaszcza po naszym sławetnym spotkaniu w restauracji, z którego wyszedł z przekonaniem, że zostawienie mnie choćby na moment samej może zakończyć się jakąś niebezpieczną aferą, ze śmiertelnym zejściem łącznie. Cóż, sama jestem sobie winna. Ostatecznie wyperswadowałam mu jednak tak skrajne niepokoje i obiecawszy autentyczną troskę o siebie, wyprawiłam wreszcie z miasta.

Trzy razy sprawdzał mój numer komórki, upewniał się, czy na pewno sobie poradzę, deklarował natychmiastowy powrót w razie niebezpieczeństwa, aż państwowe koleje przerwały mu w końcu te ojcowskie dywagacje i uwiozły w siną dal.

Postanawiam wykorzystać sprzyjającą aurę i wybieram się... Gdzieżby, jak nie na cmentarz? Niedługo zrobi się ze mnie prawdziwa kobieta cmentarna. Nic, tylko samotność, smętki albo cmentarze. Widać taka już moja karma, ale jak trzeba, to trzeba...

Groby dziadków Maszkowskich traktowałam zawsze troskliwiej i, co paradoksalne, nieco bardziej lekceważąco, niż te w miasteczku.

Chodziłyśmy na nie często z mamą, która chętnie sadziła, zwłaszcza na mogile swojego ojca, jednoroczne kwiaty, wymagające w sezonie ciągłego podlewania i opieki. Ale tak było od zawsze, pamiętam, że również babcia namiętnie podlewała i grabiła kwiatki na tym grobie, wzbudzając nawet, wspianiałymi efektami swej pracy, ogromne zainteresowanie innych odwiedzających.

163

Dziadkowie jednak leżą osobno. Dziadek w głębi cmentarza, na starej jego części, gdzie dominują pomniki z piaskowca, stojące nad prostokątem czarnej ziemi, wymagającej właśnie jakiegoś kwietnego zagospodarowania, natomiast babcia bliżej wejścia, wśród nowoczesnych, oszczędzających pracy, płyt z różnokolorowego marmuru. Nigdy nie znałam dziadka Maszkowskiego, zmarł zanim się urodziłam, kiedy mama była jeszcze małą dziewczynką i wiem o nim bardzo niewiele, bo babcia opowiadała o mężu dość niechętnie, choć odnoszę wrażenie, że sama dużo i często myślała o swoich małżeńskich czasach.

Mam dziś cały wolny dzień, bo odbębniłam wszystkie zaległe tłumaczenia i szef, w uznaniu zasług, zaproponował mi płatny urlop. Zamiast zasłużonej satysfakcji czuję się jednak trochę jak ów smętny facet z szyderczego rysunku Mleczki, który siedząc na brzeжку małżeńskiego łóżka i chowając skołatana głowę w nagie ramiona, stara się nie patrzeć na rozsierdzoną brakiem erotycznych igraszek żonę, kiedy mówi do niej zupełnie nieprzekonująco:

— Jednakże w pracy mnie cenią!

Cóż, i moje zawodowe zdolności zyskują przychylność otoczenia, prawda? I mnie szef wysyła na płatne urlopy, w podzięce za wierną służbę. Tylko miłosne przyjemności jakoś nie mieszczą się od pewnego czasu w moim dziennym, a tym bardziej nocnym programie. Dlatego postanawiam zachowywać się dojrzałe, jak na osobę powszechnie cenioną przystało, i

uprzątnąć groby dziadków z pozostałości po Wszystkich Świętych, wiedząc, że o tamte w miasteczku zadba, jak zawsze troskliwa ciotka Janka. A takie resztki po każdym święcie są na ogół smętne, prawda? Sprzątając je, nie pamiętamy już na ogół o zabiegach, które czyniliśmy, by ozdobić grób świeżymi kwiatami, by wszystko wyglądało pięknie i jak należy.

Wrzucam do siatki wypalone znicze i zwiędłe chryzantemy z grobu dziadka, oddając się takim właśnie ogólnym rozważaniom, po czym postanawiam nieodwołalnie posadzić tu na wiosnę jedynie bluszcz, bo będzie cały rok wyglądał przyjemnie, a do tego nie wymaga tak skomplikowanych zabiegów w lecie. Mama lubiła tu przychodzić często, ja niekoniecznie. Może jej to miejsce kojarzyło się z dzieciństwem? Dla mnie to przede wszystkim kolejny obowiązek, wypełniany skrupulatnie, ale bez szczególnej estymy. Obok stoi na szczęście mała ławeczka, na której teraz przysiadam z ulgą, oddychając głęboko, zmęczona jednak po intensywnych skłonach w trakcie grabienia liści.

164

Słońce ogrzewa mi plecy złudnym ciepłem, kolorowe liście, pozostałe jeszcze na drzewach wokół, sprawiają miłe wrażenie, jak z romantycznego obrazka o jesieni, ale na łydkach czuję już podstępny, niemal lodowaty chłód, pełgający wzdłuż nagrobków. Na cmentarzu zawsze człowiek marznie albo potrzebuje toalety, ciekawe, dlaczego? Może to owo sławetne potwierdzenie życia, jak stypa po pogrzebie? Rozśmieszona swymi filozoficzno-fizjo-logicznymi dywagacjami, zbieram pospiesznie siatki i badyle, bo niebo nagle chmurzy się wyraźnie, a zmoknięcie, zwłaszcza w tym miejscu i czasie, wcale nie wydaje mi się potrzebne do szczęścia. Muszę również pamiętać, jak nakazał mój samozwańczy opiekun, że mam na siebie uważać.

Zbyt rzadko myślę o rodzicach mamy, a przecież to babcia Gertruda, zwana przez przyjaciółki Trudzią, opiekowała się mną w dzieciństwie. Traktowałam jej obecność jako coś tak oczywistego, ale kiedy po powrocie rodziców z pracy szła do swego domu, nie zastanawiałam się nigdy, jak przebiegają jej popołudnia i wieczory. Na szczęście wiem jednak, że nie była nigdy całkiem samotna, to przynajmniej pewne, bo przemieszkała całe życie w tej samej starej kamienicy, w której się urodziła i przyjaciółki z dzieciństwa stały się w większości towarzyszkami jej starości.

Pamiętam, że otaczało ją stałe grono przyjaciółek, z którymi udzielała się w dzielnicowym kole PTTK i często wyjeżdżała z nimi na różne

jednodniowe wycieczki, przywożąc mi za każdym razem jakieś drobne upominki i kolorowe widokówki, które namiętnie zbierała. Miała zresztą sporo innych, własnych pasji, dających jej życiu wiele małych może radości, ale ją samą w pełni satysfakcjonujących. Uwielbiała na przykład gotować, zaskakując nas zawsze jakimiś tanimi potrawami, które wyglądem i smakiem przypominały wykwintne dania z drogich składników, pojawiające się w przepisach kolorowych czasopism. Oszczędność stanowiła jej punkt honoru i jeśli czegoś nie udawało się zdobyć lub ugotować taniej, to nie stanowiło to dla niej nigdy wystarczającego wyzwania. Drogie prezenty nazywała „wyrzuconym pieniądzem” i nie cieszyły jej ani w połowie tak bardzo, jak coś kupionego okazji. Nie lubiła tylko wyjeżdżać na dłużej, twierdząc uparcie, że potrafi dobrze wyspać się jedynie w swoim własnym łóżku. Mieszkała niedaleko nas, jednak w życiu naszej rodziny uczestniczyła raczej szczątkowo, doglądając mnie przed południem i poza tym odwiedzając rodziców jedynie okazjonalnie w imieniny czy święta. Nigdy nie komentowała naszych rodzinnych przedsię-

165

wzięć, nie jeździła też z nami na lato do dziadków Choteckich, odganiając się od szczerych zaproszeń ojca, jak od natrętnej muchy.

— Co bym tam robiła, Iwo? Ja miastowa kobieta jestem, gdzie mnie po łąkach i lasach biegać? Ania to co innego, należy się dziecku trochę wiejskiego powietrza po tych miejskich kurzach — mówiła nieodmiennie, do końca życia traktując rodzinne miasteczko ojca, jak wieś z krowami i polami, które trzeba obrabiać i obory-wać końmi.

Żegnała nas zawsze czule, kiedy zbieraliśmy się do wyjazdu, ale nie miałam wcale wrażenia, że oto zamiera w smutnym oczekiwaniu na nasz powrót. Wręcz odwrotnie, oczy jej błyszczały od pomysłów na wycieczki i imprezy, które przygotowywała wraz ze swoimi przyjaciółkami, a z których sprawozdania zajmowały nam potem pół września.

A przecież mam pewność, że nas kochała, choć wyrażała swoje uczucia zaledwie milczącą pomocą i serdecznymi gestami, o wspaniałych posiłkach nie wspominając. Dziś wiem, że to było bardzo dużo, ale wtedy jej obecność i miłość zawsze bladła mi nieco wobec donośnego głosu dziadka Krzysztofa i prędziej jak fryga, ciągle uśmiechniętej babci Niusi. Była, no trudno, była dla mnie jakoś mniej ważna, przy mojej zachłannej miłości do miasteczka i tamtego życia, na które czekałam przez zimowe miesiące jako na jedyne mające dla mnie prawdziwy sens.

Mama przylgnęła do rodziny ojca, a babcia Trudzia na to pozwoliła —

rozgrzeszam siebie prędko, uciekając ostatecznie z cmentarza, nie do końca rozliczona jednak z tymi wspomnieniami i uczuciami. Ostatnie wydarzenia zmusiły mnie zbyt nagle do różnych wniosków i podsumowań, ale jednocześnie spowodowały, że czuję się zagubiona i rozbita, nie radząc sobie z natłokiem pojawiających się skojarzeń oraz emocji.

Pewnie dlatego stoję nieuważnie, zamyślona, przy samym krawężniku chodnika, kiedy przejeżdżający autobus opryskuje mnie szczodrą lodowatą falą błota. Muszę wyglądać komicznie, obudzona tak nagle i brutalnie z kontemplacji nad złożonością swej natury, bo za szybą znikającego sprawcy mego nieszczęścia błady wyrostek wykrzywia złośliwie gębę i, pewny własnej bezkarności, wyciąga, wyraźnie w moją stronę, środkowy palec. Chłopak jest obleśny, ma nieczystą, posypaną trądzikiem twarz i wstrętne, świńskie oczka rozradowanego wieprzka, szczęśliwego, że jest oto świadkiem cudzego zaskoczenia i dotkliwej przykrości. Autobus zwalnia nieco na zakręcie, więc mam wątpliwą przyjemność przyglądania mu się przez dłuższą chwilę.

166

Trafia mnie nagła wściekłość! Wraz z lodowatym chłodem i dojmującą świadomością, że jestem brudna od stóp do głów, trzęsie mną okropna złość na kolesia, który ośmielił się chamsko ze mnie zadrwić! Choleryczny charakter każe mi nawet przez moment rozważać zatrzymanie pierwszego lepszego samochodu i dopadnięcie drania, by dobrze nim potrząsnąć, jednak absurdalność pomysłu pozwala mi jedynie na wyrażenie kilku przeokropnych wyrazów, wymamrotanych w dzikiej pasji i gwałtowne odwrócenie się od jezdni, z twarzą przypominającą mokrą jędrę, startującą na Łysą Górę na swej czartowskiej miotle.

I taka właśnie, obrzydliwie wykrzywiona i ze stekiem nieparlamentarnych słów na języku, wpadam wprost w ramiona Piotrusia, który mimo wyraźnego zaszokowania, usiłuje przywitać mnie jakoś grzecznie, ale tak, by jednocześnie uniknąć bezpośredniego kontaktu z plackami błota, dekorującego wdzięcznie całą moją osobę, z włosami łącznie.

Szczęście od Boga, że nie rzuciłam czymś w ten autobus, kamieniem na przykład, więc mogę przynajmniej robić teraz za ofiarę, a nie za kompletną wariatkę, ale i tak jego próby podania ręki na powitanie muszę zbyć machaniem rozczapierzonymi palcami, dbając, by go nie pobrudzić. Staram się usilnie zachować z godnością, ale wiem dokładnie, że nie tylko mnie widział, niestety również, co o wiele gorsze, słyszał!

O słodki Jezu! Przecież wyłącznie jego mogłaś teraz spotkać! Więc dlaczego jesteś taka zdziwiona? Od lat wiadomo, że wpadasz na Piotrusia

w najgłębszych momentach swojego życia! On już wie od dawna, że jesteś walnięta, jak mało kto! — mityguję się w myślach, głośno natomiast dziękuję mu milutko za chusteczkę higieniczną, której następnie używam tylko po to, by rozmazać sobie z uporem resztki makijażu na czole i ustach. Zupełny kretynizm, wymieszany z żalosną groteską!

Zawsze, ale to zawsze! Z maniakalnym wprost uporem natykam się na niego w najokropniejszych warunkach i sytuacjach! Kiedy wyglądam i zachowuję się jak zupełna kretynka, przy czym zakres i objawy mego zidiocenia są za każdym razem tak różne, że jak przypuszczam, zdołał już poznać mnie lepiej, niż ktokolwiek na świecie! Niestety, tylko z jednej, najgłępszej z możliwych stron! Na pewno stanowię dla niego wzorcowy przykład dziewczyny, od której należy uciekać z wrzaskiem, zanim jej szalony wzrok padnie w ogóle na patrzącego. Gdyby dodać jego ewentualne diagnozy do zdania Huberta, powinnam paradować w kaftanie bezpieczeństwa od najmłodszych lat.

167

Za pierwszym razem wyciągnął mnie dosłownie ze schowka na szczotki, gdzie schowałam się pomysłowo w czasie szkolnej zabawy, umykając przed zalotami nachalnego kolegi z IV b, nie zauważywszy przedtem, że drzwi malutkiego pomieszczenia mają klamkę tylko z jednej strony, bo nikt nie zakładał włożenia do jego wnętrza, głęboko pod schodami. Śmierdziałam wtedy tak intensywnie pastą do froterowania podłóg, że mam wrażenie, jakbym czuła ją i teraz, zwłaszcza że jesteśmy niemal w tym samym miejscu, a moje szkolne podwórko znajduje się dosłownie za narożnikiem ulicy.

Mam autentycznego pecha do tego faceta! Zdołałam natknąć się na niego nawet w Łebie, kiedy w czasach licealnych, z porażeniem słonecznym, czerwona jak rak, owinięta tylko w ręcznik na pokrytych bąblami ramionach i konwulsyjnie szczękająca zębami, czekałam na pomoc medyczną w miejscowym ośrodku zdrowia. To, że wtedy nie umarłam przed nim, ze skrępowania i bezradności, to już tylko woła boska. A przecież to jedynie wierzchołek góry lodowej, w którą zamieniły się okoliczności naszych upojnych spotkań przez te lata!

Widzę, że i po jego umyśle przelatują właśnie różnorodne, związane ze mną wspomnienia, które uzewnętrzniają mu się niepewnym uśmiechem na twarzy, więc ze zrozumieniem oczekuję gwałtownej rejterady, ale Piotruś, ścierając mi plamkę błota z policzka, mężnie pozostaje na miejscu i nawet proponuje uprzejmie grzane wino w pobliskiej knajpcie.

Zbawca! Gdyby w tej chwili wspomniał o kawie, kwas żołądkowy chyba

by mi wypełził podstępnie na ust korale, tyle jej ostatnio popijałam w różnorodnym towarzystwie i konfliktowych sytuacjach, ale wino? Proszę bardzo! Zwłaszcza grzane, bo czuję wyraźnie, że cmentarny chłodek, wzmocniony zimnym błoćkiem, rozlanym na całym ciele, rozpoczyna już swój zwycięski marsz ku memu, zbyt doświadczonemu ostatnimi czasy sercu.

Ide! Bardziej jednak pchana zdumieniem, niż czymkolwiek innym, bo naprawdę zaczyna mnie interesować fenomen jego niezwyklej uprzejmości, pomieszanej z wielką odwagą, która pozwala mu pokazać się ze mną w miejscu publicznym. Zdaję sobie przecież w przybliżeniu sprawę, jak cudnie muszę wyglądać po tym starciu z wodną bryzą i z resztkami nie tylko konsternacji, ale również błoćka na twarzy.

A najśmieszniejsze jest to, że nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, naprawdę! Oficjalnie właściwie się nie znamy! W szkol-

168

nych czasach widywaliśmy się jedynie przelotnie, bo przez pewien czas chodziliśmy wspólnie na lekcje religii, które odbywały się jeszcze wtedy w przykościelnych salkach katechetycznych i w jednej grupie spotykały się tam dzieci z całej okolicy, natomiast niekoniecznie z tych samych szkół. Piotruś do mojej szkoły nie chodził, a skąd wziął się na tamtej zabawie mogę tylko przypuszczać, bo ze swoją prezencją i szarmancką grzecznością, która wyróżniała go już w tak młodym wieku, był na pewno łakomym kąskiem dla wszystkich dziewczynek i każda chętnie zaprosiłaby go na potańcówkę, wzbudzając tym zrozumiałą zazdrość innych koleżanek.

Knajpka, do której się udajemy, jest nieduża i zacieniona, więc rozgrzeszam się w myśli z narażenia chłopaka na dyskomfort przebywania na forum publicznym z brudną jędzą, ale rozglądam się ukradkiem, by sprawdzić ewentualną reakcję towarzystwa. Wychodzę z założenia, że twarzy, zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym, ocalić już nie zdołam, ale o jego opinię lekko się jednak martwię. Natomiast mój towarzysz nie wydaje się przesadnie zaniepokojony ewentualnymi reperkusjami tej towarzyskiej niedogodności. Spokojnie, jakbym była całkiem czysta na twarzy i okolicach, stawia przede mną kubek grzanego wina i rozmowa toczy się jakoś sama, od jednej z moich oryginalnych przygód, jak pragnie je określać, do następnej.

Okazuje się przy tym, że nawet nie zawsze byłam świadoma jego milczącej obecności, przełaząc przez płoty, wylewając koktajl mleczny na głowę naprawdę upierdliwego Grzesia, który uparł się „chodzić ze mną” w

podstawówce, czy walcząc z wielkim podwórzowym kotem, któremu dosłownie w ostatniej chwili, wprost z mordki wyrwałam kociego malucha, uznanego przez niego za godnego walki przeciwnika.

Na szczęście Piotruś opowiada mi również o swoich młodzieńczych szaleństwach, nieporównywalnych, co prawda, z moimi, ale potwierdzających, że i on ulegał jakimś obezwładniającym fascynacjom, w tym na przykład miłości do motorów, którym podporządkował całkowicie swe czasy licealne. Jeździł na jakieś złoty, usilnie pracował nad własnym wehikułem, modernizując go i usprawniając, i oczywiście marzył o harleyu, na którym mógłby przewozić roześmiane dziewczęta i zadawać szyku przed kolegami.

— Mnie byś na takie wyprawy w życiu nie namówił — uprzedzam od razu — bo od dzieciństwa mam uraz na punkcie motorów. Kiedyś, na wakacjach, zostałam zaproszona na małą przejażdżkę

169

zwykłym „komarkiem” i natychmiast haniebnie spadłam z niego, szorując kolanami po szosie, bo kurczowo trzymałam się bagażnika, nawet wtedy, gdy pupą dawno już z niego zjechałam.

Nie dodaję oczywiście dalszej części tej historii, kiedy to później usiłowaliśmy z Heńkiem, w garażu jego taty, naprawić zniszczone, w trakcie owej przejażdżki, bawełniane niebieskie spodnie, które miałam na sobie, marząc tylko o tym, żeby babcia nie odkryła naszej niebezpiecznej przygody. Był to chyba mój najbardziej intymny kontakt z owym dziecinnym narzeczonym, który klęcząc wtedy przede mną, drżąc cały ze strachu, zaszywał dziury na okręt-kę, czarną nitką.

Wydaje się, że i jemu ta przygoda dała się silnie i traumatycznie we znaki, bo w następnym roku chodził już za rękę z miejscową koleżanką, niejaką Sabinką, na mnie popatrując jedynie z daleka i z przepaszającym uśmiechem. Nawet nie miałam mu tego za złe, bo Sabinka siadywała na motorze wdzięcznie i jej pupa nigdy nawet nie drgnęła, gdy Heniek, z warkotem, mknął szosą wysadzaną lipami. Może zresztą nie drgała na bagażniku, dlatego że była dość obfita i przyciężkawa, co zauważyłam natychmiast i zanotowałam skrupulatnie we wdzięcznej pamięci. W każdym razie Heniek nie z nią się ożenił, tylko z Joasią, wysoką blondynką, będącą dzisiaj nauczycielką w miejscowym przedszkolu.

— Tak myślałem, że tobie motory by nie odpowiadały — śmieje się Piotruś — nigdy nie widziałem cię nawet na rowerze, chociaż na wrotkach tak, nawet kilka razy. Zjechałyście zawsze całą grupą, trzymając się za ręce i wrzeszcząc w niebogłosy, z tej asfaltowej górki za twoją szkołą,

prawda?

Ciekawe! Gdyby się uprzeć, a nie mam przecież wcale takiego zamiaru, to można by pokusić się o stwierdzenie, że był ciągle dziwnie obecny w moim życiu, gdzieś na marginesie, niby tajemny obserwator, pilnujący, by udało mi się jakoś przeżyć te moje wstrząsające, młodzieńcze przygody. Niby mój prywatny anioł stróż, uśmiechający się z aprobatą i zadowoleniem. Dokładnie jak teraz.

— Byłaś naprawdę rezolutną dziewczynką — patrzy mi w oczy Piotruś — i wyrosłaś na równie zadziorną młodą damę! Czasami miałem doprawdy chętkę, by jakoś ci pomóc, ale zawsze prędzej ode mnie znajdowałaś doskonałe wyjście z wszystkich sytuacji. Aż było mi żal, że jestem taki bezużyteczny.

Jest miły! Na Boga! — myślę z rozrzewnieniem. To jakiś skarb, nie z tej ziemi! Nie tylko greczny i sympatyczny, ale jeszcze po

170

staroświecku uprzejmy, skoro moje wybryki potrafi nazwać zadziornością! Oczy też ma niezłe. W ogóle cały jest interesujący, wysoki, ciemny, z ładnymi dłońmi, o długich, silnych palcach... Hola!

Dziewczyno! O czym ty myślisz?! — czym prędzej przywołuję siebie do porządku — wyraźnie wino zbyt cię rozgrzewa, ty „młoda damo”!

— Czas już na mnie, Piotrusiu — rozbijam ten nastrój rzeczowym tonem i kategorycznie odstawiam pusty już kubek po winie — świetnie się nam rozmawiało, ale...

Zwijam się prędko, by zostawić go z tym złudnym wrażeniem mojej niezwykłości, ale przedtem dyktuję mu przecież swój numer telefonu, dyskretnie przy tym sprawdzając, czy aby wpisał poprawnie wszystkie cyfry, a wracając do domu, uśmiecham się do siebie, bo świat, nie wiedzieć czemu, wydaje mi się bardzo, ale to bardzo fajny! Płaszcz nadaje się, co prawda, jedynie do chemicznego czyszczenia, a innego nie posiadam, ale cóż to znaczy wobec precudownej pogody późnego listopadowego popołudnia! Jakże romantycznego, z tymi lekkimi mgłami, wczesnym, siwym zmierzchem i ludźmi, dziwnie skulonymi i bezpodstawnie niezadowolonymi, w swych czystych przecież płaszczkach i kurteczkach.

Swoją drogą ciekawa sprawa z tymi imionami — zakłamuję sama przed sobą prawdziwy powód dobrego humoru — dlaczego pewne imiona tak łatwo się zdrabnia, a inne nie? O niektórych ludziach można myśleć, nazywając ich tylko tak, a nie inaczej. Na przykład Ewka — kołuję, nie przyznając się nawet w myśli, o kogo i czyje imię tak naprawdę mi chodzi

— nigdy bym nie mówiła do niej inaczej. Ewa zupełnie do niej nie pasuje, a już tym bardziej Ewunia. Bo jakaż z niej Ewunia, skoro tak zachłannie analizuje cudze smutki i niepowodzenia? Z kolei do Alinki nie da się mówić Alino, bo to zakrawałoby po prostu na obrazę, podobnie jak zwrócenie się do Zbyszka formą Zbigniewie!

Imiona w ogóle jakoś charakteryzują człowieka, prawda? A już zwłaszcza jeśli niekiedy zestawić je z określonymi nazwiskami. Ze zgrozą przeczytałam kiedyś na jakimś nagrobku, hen, na końcu cmentarza, kiedy jesienią odwiedzałam to miejsce jeszcze z mamą malutki napis, zamówiony chyba dla samotnej osoby przez wdzięcznych współpracowników, który brzmiał: „Apolonia Konik, przodownica pracy”. Nie wiem, jaką mogła być osobą owa

171

Apolonia, ale pozostawienie po niej takiego tylko wspomnienia wydaje się bardzo smutne i niepokojące. Może była kiedyś piękną Połą? I kochali się w niej wszyscy chłopcy w okolicy? Albo malutką Lusią, ukochaną córeczką mamy i taty? A teraz, co? Apolonia! I do tego wszystkiego „przodownica pracy”, istny konik roboczy, sam smutek!

My sami za to mieliśmy w biurze pewną klientkę, która nazywała się Judyta Cyntia Schulz i naprawdę każdy element tego miana doskonale do niej pasował! Była przewrotna i zawzięta, dosłownie jak biblijna Judyta, przy tym piękna, niby amerykańska Cyntia, rodem co najmniej z samego Hollywood i po niemiecku konsekwentna, kiedy wyduszała ze swego tłumacza dokładnie taki, a nie inny, zwrot do babci w Nadrenii, którą przekonywała o konieczności częstych przesyłek pieniężnych na poratowanie swego, podobno tak wątłego zdrowia. Tomi, nasz niemiecki tłumacz, dostawał dosłownie wysypki, kiedy pojawiała się w drzwiach kancelarii. Zosia opowiadała nawet, że udał chorego na gripę, gdy ostatnio Judyta zgłosiła się znowu z prośbą o jakieś tłumaczenia.

A Hubercik — kombinuję dalej — mimo pozornego zdrobnienia, brzmi jedynie bardzo złośliwie, zamiast przyjemnie. No i dobrze! Przynajmniej teraz wiem już z całą pewnością, jak powinnam go nazywać, jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek przyjdzie mi na myśl!

Inne zdrobnienia zostawiam na razie w spokoju, ale czuję wyraźnie, że są imiona, które brzmią pięknie we wszystkich formach i takie, które można wypowiadać tylko w jeden, charakteryzujący daną osobę sposób. A sam wybór imienia? Czy dziecko byłoby inne, gdyby rodzice nadali mu inne miano? Może dopasowujemy się do imion, które nosimy? W każdym razie na pewno ekstrawaganckie i dziwaczne nazwania dzieci mówią sporo o

charakterze ich rodziców i młody człowiek, przez takich opiekunów wychowany, też najczęściej będzie wydawać się w życiu nieco odmienny. Do legendy naszych wykładów z językoznawstwa weszło zdanie, podawane zawsze jako przykład braku adekwatności wykwintego imienia do sposobu mówienia pewnej matki, która strofując swoje dziecko, krzyczała do niego doniosłe, tupiąc pewnie przy tym nóżkami, obutymi w eleganckie pantofelki: — Żanyta, podej w ty chwili rynkę Andżelinie! Bo jak ci grzmotnę...

Okazuje się, że nie tylko mnie takie myśli chodzą po głowie, bo wieczorem, kiedy dzwoni Piotrek, żeby sprawdzić, czy dobrze zapisał numer i upewnić się, czy nie przemarzłam po spotkaniu z falą

172

błota, rozmawiamy, między innymi, właśnie na ten temat. Piotrek! No proszę! Wszystkie wersje niektórych imion brzmią sympatycznie, prawda? — Ludzie właściwie nazywają mnie Piotrem — słyszę w słuchawce niskie, zabójczo brzmiące tony, bo trzeba przyznać, że głos chłopak ma naprawdę radiowy, nie przesadzam! — twoje zdrobnienie ma jednak tyle uroku... — ten to wie, jak ująć dziewczynę! — Lubię Piotrusia tylko wówczas, kiedy ty tak do mnie mówisz, bo na ogół kojarzy mi się nieco dziecinnie.

— W moim Piotrusiu — mówię nieco przewrotnie — nie ma nic dziecinnego, możesz wierzyć... — Ale zanim zdąży coś na to odpowiedzieć, przechodzę prędko do innego tematu, bo jednak taki jednoznaczny flirt nie do końca współgra z moim nastrojem i uważam, że nie ma sensu niczego przyspieszać w naszej, dość przecież karkołomnej znajomości.

Myśli o przewrotnym Hubercie, któremu wierzyłam tak długo i naiwnie, są zbyt świeże w moim umyśle, żebym mogła teraz zupełnie szczerze pogadać z najfajniejszym nawet facetem. Puste pokoje w mieszkaniu, powodujące dudniące echo, kiedy przechodzę przez nie zbyt szybko, są widowym znakiem dziur w sercu i nie da się ich od razu zapełnić jedną czy drugą najsympatyczniejszą nawet rozmową. Nie wiem nawet, czy w ogóle chciałabym je wypełniać, bo zapchane na siłę i byle czym, raczej mogą się na mnie zemścić, niż pomóc w czymkolwiek.

Zasypiam jednak w radosnym nastroju, a po tym dziwnym dniu śni mi się mama, mokrą szczotką czyszcząca mój zaplamiony od błota płaszcz. I nie mam zielonego pojęcia, co powiedziałby na ten temat Freud! Mnie samą jednak sen ten autentycznie cieszy, bo mama ma w nim tajemniczą minę wróżki, dokładnie taką, jaką miewała zawsze przed jakimiś domowymi

świętami. Po prostu uśmiech niespodziankę, najpiękniejszy, jaki tylko może się nam przydarzyć.

■

■ 4Ełff

XIV

Malutki pokój z dużym oknem zasypany jest dosłownie skrawkami materiałów, kolorowymi plamami niedokończonych bluzeczek i białymi płachtami rozłożonych wykrojów, położonych nierówno, jeden na drugim. Obok sporego stołu, zagraconego tym różnobarwnym i wielowarstwowym dywanem, stoi nieduża, ruchliwa kobietka o bystrych oczach i serdecznym uśmiechu. Ma ciemne, gdzieś przetykane siwizną, gęste włosy, spięte w gustowny koczek i pociągłą, bladą twarz osoby, która rzadko wychodzi na świeże powietrze, a nawet jeśli, to dba zawsze o to, by założyć kapelusik chroniący ją przed słońcem.

Ubrana jest skromnie, ale z niezwykłym wdziękiem, jakby zakładała, że nawet w domu trzeba wyglądać ładnie i elegancko. Jej biała bluzeczka, choć uszyta z taniego materiału, ma w kroju pewien smaczek, podkreślony jeszcze nieskazitelną jasnością koloru i wprawnym prasowaniem.

Wszystko dokoła niej jest czyściutkie i schludne, tak że nieład na stole wydaje się nabierać niemal artystycznego charakteru, podobnie jak manekin, na którym upięto barwną, zwiewną szmatkę, układającą się w długą sukienkę, o falującej kloszowo spódniczce.

— Zobacz, który fason bardziej ci się podoba? — matka rozkłada przed Krystyną dwa lśniące żurnale i pytająco przygląda się córce. — Oba ciekawe, wybierz taki, który tobie bardziej odpowiada — dodaje zachęcająco. Postanowiła właśnie uszyć Krysi letnią sukienkę, bo dostała od znajomej nowe „Burdy” i nie spocznie, póki córka czegoś dla siebie nie wybierze.

Dziewczyna patrzy więc na podsunięte pod nos zdjęcia, ale bez zbytniego zainteresowania, bo uważa, że i tak w niczym nie będzie wyglądała naprawdę dobrze.

— Może być ta — decyduje, na moment zatrzymując wzrok na dowolnym obrazku, przedstawiającym wysmukłą modelkę, z uniesioną bródką, zapatrzoną gdzieś przed siebie, w nikomu nieznaną dal.

Wskazując na tę akurat pannę, Krysia nie zastanawia się

175

wcale, czy krój sukienki rzeczywiście podkreśli linię jej niezwykle zgrabnych i długich nóg.

— Ta? — dziwi się matka, ale po chwili dodaje zdecydowanie — bardzo

dobrze! Masz niezły gust! Kto by pomyślał, na pierwszy rzut oka? Ale rzeczywiście, w tej będzie ci pięknie.

Jaki tam gust? Nie mam za grosz gustu! — buntuje się w duchu Krysia, ale nic nie mówi, bo nie ma sensu sprawiać mamie dodatkowych przykrości, zwłaszcza że ubrania przez nią uszyte, rzeczywiście, jakimś dziwnym trafem, zawsze dobrze leżą i wzbudzają żywiołową zazdrość wszystkich koleżanek, choć akurat na takim uczuciu dziewczynie wcale nie zależy. Zresztą obchodzi ją niewiele spraw, bo życie wydaje jej się tak smutne i niesprawiedliwe, że tylko miłość do matki powstrzymuje ją od jakichś głupich pomysłów.

Ale nie będzie przecież dokładała jej zmartwień swoją osobą. Wystarczy, że mama musi je obie utrzymać i dawać sobie radę bez ojca, który zmarł nagle, pozostawiając obie właściwie bez środków do życia. Wcześniej mama nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem i organizowała ich życie, żeby ojciec po pracy w fabryce, gdzie był majstrem ślusarskim, mógł już tylko cieszyć się spokojem i wygodą. I mieli rzeczywiście sympatyczny i radosny dom, w którym był czas na wszystko, co sprawiało radość ojcu i im obu. Ale tylko do momentu, kiedy zmarł na serce i dawne życie rozpadło się wokół nich, z dnia na dzień, jak dziecięca układanka. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej i jej smutki na pewno w niczym nie pomogą, może tylko zasmucać wiecznie zapracowaną Trudzie, która nie podnosi niemal głowy znad maszyny do szycia, żeby obie żyły jako tako. Dobrze chociaż, że kobiety tak cenią pracę mamy i drzwi od ich mieszkania prawie się nie zamykają, a zadowolone klientki z ust do ust przekazują sobie tajemną wieść o niedrogiej i rewelacyjnej krawcowej.

Przekonana o niezwykłym talencie matki, Krysia żyje w upartym przekonaniu, że to jedynie on dodaje jej nieco uroku i za nic nie chce przyjąć do wiadomości prostej prawdy, że dziewczyny widzą przede wszystkim jej urodę, nie eleganckie skądinąd, ciuchy. Nie tylko dziewczyny zresztą. Zwłaszcza chłopcy, usiłujący bez powodzenia namówić tę milczącą, eteryczną pannę na spacer czy kino.

— Żeby moja była taka! — wzdycha Hibnerowa, ilekroć przychodzi do przymiarki. — Bystra jest, nie powiem, ale za chłopca-

176

kami tylko jej oczy strzelają! Już sama nie wiem, czy za nią jakieś ploty nie zaczną niedługo chodzić!

Hibnerowa jest chyba najlepszą klientką Trudzi. W każdym razie właśnie ona przychodzi najczęściej i wciąż zamawia nowe stroje, przy czym, co

ważne, zawsze płaci w terminie i nigdy nie narzeka na ceny. Przynosi też za każdym razem świeżutkie, nieziemsko pachnące ciasteczka i chętnie pozostaje na kawce u sympatycznej sąsiadki, dając jej miłe wrażenie prawdziwie towarzyskiej, a nie jedynie zawodowej, wizyty.

Nie interesują jej jednak żadne wykroje z tak ciężko zdobytych żurnali, którymi szczyci się każda szanująca krawcowa, a które Trudzia zyskuje, szyjąc co drugą bluzeczkę za darmo dla pewnej pani, mającej krewnych za granicą. Hibnerowa ma własne, bardzo konkretne poglądy i wyobrażenia dotyczące strojów, jakich pragnie. Trudzia kręci na nie tylko głową ze zdumienia, ale przystaje na zaskakujące decyzje władczej kupcowej, która zaznacza zawsze i wobec każdego, że ubiera się przecież tylko u niej.

Trudno powiedzieć, czy to dobra reklama, w każdym razie klientek przybywa i przybywa. Może i one mają takie gusty?

Pominąwszy jednakże poglądy potężnej Hibnerowej, powiedzieć można, że dobrze się dla niej pracuje, bo nigdy się nie wywyższa ani nie mądrzy, rozmawiając sympatycznie ze swą drobnutką krawcową. A mogłaby się przecież puszyć jak paw, to Trudzia wie na pewno, bo jest naprawdę bogata i od lat ma własny, prywatny sklep. Teraz, w środku socjalizmu, ocaliła bezpiecznie swój, niebezpieczny dla innych, status prywaciarki i konsekwentnie prowadzi samodzielny, rodzinny interes. To piekarnia i ciastkarnia. Cudowne, pachnące wanilią i cynamonem, spore pomieszczenie, przed którym ustawiają się codziennie wężowe kolejki łasych na smakołyki głodomorów.

Rano sprzedaje się tutaj gorący chleb i wielkie bułki, po które przyjeżdżają nawet gosposie partyjnych dygnitarzy, zamawiające przy okazji po kilkanaście ciastek z popołudniowego rzutu. Od południa bowiem zaczyna się u Hibnerów orgia słodkich smaków. Pojawiają się błyszczące lukrem serniki, wysokie placki drożdżowe z kruszonką, gorące jeszcze jabłeczniki, rozchwytywane łapczywie przez okoliczne gospodynie, i całe zastępy drożdżówek z makiem, budyniem i konfiturą różaną, a w soboty proponuje się jeszcze malutkie rogaliki do popołudniowej kawy, jedynie dla znawców.

Torty są tylko na zamówienie, bo Hibnerowie szczycą się świeżością swych wyrobów i nigdy nie wstawiliby do sklepu ciasta,

177

które może się nie sprzedać danego dnia. A z tortami, wiadomo, jak niezamówione, to mogą nie iść, bo mało kogo, tak na co dzień, aż na takie rarytasy stać. Ale w cukierni można też zaopatrzyć się w inne smakołyki, dla uboższych kupujących, takie jak świnki z marcepanu, krojone,

kolorowe cukierki w wielkich szklanych słojach i zabawne lizaczki, owinięte w szeleszczący, przejrzysty celofan. Są też małe paczuszki irysków i krówek, a także kartoniki suchych herbatników, którymi jednak kupcowa głęboko pogardza jako wyrobami fabrycznymi.

Ponad tym wszystkim króluje każdego dnia obfity biust Hibnerowej, pod wykrochmalonym, obowiązkowo białym fartuszkim, okryty zawsze kolorowymi sukienkami, uszytymi właśnie przez Trudzie. Hibnerowa wygląda w nich jak jaskrawy okręt z wysoko tapirowanym, tlenionym kokiem zamiast żagli, lekko tylko umalowany, ale za to rozkosznie ubarwiony falbankami, kokardkami i guziczkami, wyegzekwowanymi z dumą i przekonaniem od krawcowej. Kiedy jej głos silną falą przetacza się nad głowami przełykających ślinkę klientów, nikt nie ma siły przeciwstawić się wyrokom tej swoistej bogini słodkości.

Tylko wieczorem, w jej własnym domu, kiedy zakłada się już tylko byle jakie fartuchy dla wygody, często zaplamione na brzuchu albo wytarte pod pachami i kiedy stary Hibner wychodzi nadzorować pracę w piekarni, dwie małe Hibnerówny opierają się zaciekle woli despotycznej matki, walcząc przy tym równie agresywnie na drugim froncie, między sobą. Z tego piekła matka wychodzi nie zawsze zwycięsko, może właśnie z powodu nie dość eleganckiej zbroi, ale za to z nieodmienną pewnością, że Julita zabije kiedyś Hanke, swą młodszą siostrę, w czasie walki na pięści i wyzwiska.

Kryśka jednak nawet Julitę widzi inaczej niż wszyscy. Lubi ją, choć oczywiście trochę się też boi. Ale bardziej lubi, bo koleżanka ma w sobie tę odwagę i poczucie humoru, których jej samej dotkliwie brakuje. Broni więc Julitę nawet przed jej własną matką, na co ułagodzona Hibnerowa chętnie przystaje, zakładając, że może rzeczywiście córka nie szarga sobie tak ostatecznie opinii u ludzi, a z walk siostrzanych kiedyś przecież wyrośnie.

Tymczasem dziewczyny spędzają dużo czasu ze sobą, choć studiują na różnych kierunkach i są tak odmienne jak woda i ogień. Matka Krystyny też patrzy na ich przyjaźń przez palce, bo czuje, że córce przydać się może każde wsparcie w jej chorobliwej wręcz nieśmiałości, ale jednocześnie wcale nie ma ostatecznej pewności, czy Julita rzeczywiście wspiera Krysię swą ciągłą obecnością.

178

Córka bowiem wyraźnie marnieje w oczach i zasmucona Trudzia siada coraz częściej przy grobie Antoniego, pomstując w duchu, że przedwcześnie ją zostawił i nie wspomaga teraz w kłopotach z tym

trudnym dzieckiem.

— Ty już przecież wiesz wszystko po tamtej stronie — szepce cicho, zaciskając dłonie na podołku — nawet to, że cię podstępnie ukradłam tej głupiej Marcie z oficyny. Ale i to musisz rozumieć, że z nią byś życia dobrego nie miał, bo każdy chłop dla niej obojętny był zawsze, więc staraj się teraz, żeby nasza córka za mój grzech nie pokutowała! Bo dziewczyna, jak jakaś zaklęta królewna, świata wokół siebie nie widzi i jeszcze się uparła, że brzydka i nieciekawa! Jak dalej tak pójdzie, to wszyscy chłopcy znajdą sobie żony i nasza dziewczynka na koszu zostanie!

Potem z zapamiętaniem sadzi, podlewa i pielęgnuje kwiaty na grobie męża, jakby poprzez ten kontakt z ziemią na jego grobie była jednak jakoś bliżej niego. Realizuje też tutaj ich wspólne, dawne marzenie o ogródku działkowym, którego oczekiwali z przydziału w jego zakładzie, zanim umarł. Ale potem kadrowa powiedziała Trudzi, że jej jako wdowie już się nic nie należy i może sobie spokojnie zapomnieć o miejscu na liście oczekujących.

Zoła jedna! — Trudzia z taką pasją wyrywa mleczki, które wyrosły między wiosennymi bratkami, jakby miała w palcach kępki siwawych włosów niechlujnej kadrowej — wdowa to dla niej już nie człowiek? Marzeń mi żadnych mieć nie wolno?

— Urody Bardotki to ty nie masz — Julita krytycznie podsumowuje wygląd Krysi, patrząc jednocześnie z lekką zazdrością na smukłą talię koleżanki i jej niedzisiejszą, delikatną urodę — no biustu tyle, co nic! Malować się nie potrafisz wcale i bioder też ci Pan Bóg poskapił. Ale — dodaje za moment wspaniałomyślnie — jesteś miła, niegłupia i przepięknie ubrana! A to już są silne atuty!

Julita bowiem też, ku swemu zdumieniu, lubi Krysię. Może nie tak silnie, jak nienawidzi Hanki, ale w każdym razie ma dla niej więcej pozytywnych uczuć, niż wobec jakiegokolwiek innej dziewczyny. Co więcej, ceni ją, nawet jeśli mimo chęci, to jednak ceni, właśnie za tę wrażliwość i nieśmiałość, których sama zupełnie nie posiada. Wyczuwa w koleżance cechy, które jej samej może i mogłyby się przydać, ale tylko wówczas, gdyby miała taką matkę i taki dom, jak Krysia. W ten sposób obie podziwiają w drugiej dokładnie to, czego nie dostrzegają u siebie.

179

Te plusy, tak kontrastowe wobec jej własnych, każą Julicie zaprosić Krysię na spotkanie do modnej kawiarni, gdzie koleżanka ma poznać „miłość życia Julity” i jego młodszego brata, „bardzo sympatycznego i grzecznego młodzieńca”. Ta miłość to wielka tajemnica przed wszystkimi, zwłaszcza

przed rodziną, więc okazane zaufanie stawia nagle ich przyjaźń na zupełnie nowej płaszczyźnie, jak dla Julity, niebezpiecznie wręcz szczerzej i nawet w pewien sposób przerażającej.

Bo Julita ma takie tajemnice, których by nie wyjawiała nigdy i nikomu, a które gryzą ją codziennie, niby pchły z brudnego siennika. Wstydzi się, na przykład, swojej głośnej matki i żałośnie cichego ojca, którzy razem tworzą przecież parę jak z wodewilu. Ona ogromna i kolorowa jak choinka, on drobny, szary i cichy jak myszka! Wręcz wstyd się zastanawiać, jak w ogóle spółdzili razem aż dwoje dzieci. I co z tego, że jednocześnie bardzo ich kocha? To dziecięce uczucie wcale nie niweluje żalosego skrępowania, odczuwanego na ich widok, przekonania o śmieszności, którą muszą wywoływać u innych, a której dziewczyna organicznie wprost nienawidzi.

Ma też po prostu mdłości na widok drożdżówek codziennie wieczorem przynoszonych z cukierni, które od lat musi zjadać zamiast kolacji, żeby nic się nie zmarnowało i które, ponad wszelką wątpliwość, dodają jej tych kilka niepotrzebnych centymetrów w biuście i biodrach, co może i podoba się chłopcom, ale samej Julicie na pewno nie. Drażni ją ponadto wyraźna różnica między tym, jak rodzina, a zwłaszcza matka, prezentuje się na zewnątrz, a jak wygląda ich dom, ubrania i zachowanie w czterech ścianach, kiedy nikt obcy nie widzi.

Ponad wszystko jednak nie znosi swojej głupiej, bezmyślnej siostry, wizualnie podobnej do matki, która podkrada jej kosmetyki i ubrania, powodując, że nic nigdy nie jest czyste i użyteczne, wtedy, kiedy się tego potrzebuje. W jej domu rodzinnym nie da się normalnie funkcjonować, o tym jest całkowicie przekonana i ma go dosyć, po prostu dosyć! Nie chce takiego życia, takiej rodziny, takiej codzienności i gotowa jest zrobić wszystko, dosłownie wszystko, żeby stąd uciec jak najszybciej i jak najdalej.

Tego, rzecz jasna, nie może powiedzieć Krysi, która jest ukochaną jedynaczką troskliwej, czyściutkiej i schludnej matki. Dziewczynie, która nawet połowy tych problemów po prostu by nie zrozumiała. Ale musi ją jakoś przekonać do spotkania z chłopcami, bo inaczej nigdy nie uda jej się zdobyć dla siebie Adama.

180

Wie z całą pewnością, że ten starszy brat sam nie zrobi niczego, jeśli ona go do tego najzwyczajniej nie skłoni. Młodszy, nieśmiały Iwo dostanie więc Krysię, zresztą jak najbardziej pasującą do niego charakterem i osobowością, a ona usidli wreszcie starszego i będzie w końcu szczęśliwa.

Właściwie trzeba tylko odpowiednio nastroić przyjaciółkę, żeby w ogóle nie miała świadomości, jak bardzo ważne jest to spotkanie. Ot, zwyczajna kawa w dobrej restauracji. Jedna z wielu, nic szczególnego. Julita zatem przygotowuje się do tego wieczoru bardzo starannie, a Krysia wkłada właśnie tę sukienkę, której fason nieuważnie wybrała kilka dni wcześniej i jak zwykle nie ma pojęcia, że wygląda w niej świetnie. Ale okazuje się, że tym razem jej wygląd rzeczywiście nie ma znaczenia, choć rudy, starszy z dwu młodych ludzi, obrzuca ją przy powitaniu krótkim, głodnym spojrzeniem.

Krysia, która nie bywa na takich spotkaniach, nie ma pojęcia, czy wszystko jest w porządku, zatem uwagę skupia przede wszystkim na próbie przełamania własnego skrepowania i nieśmiałości. Ale nad stolikiem unosi się jakaś dziwna, trudna do określenia atmosfera, którą wrażliwa dziewczyna natychmiast wyczuwa. Jest dziwnie pewna, że nastrój ten zdaje się mieć mniej wspólnego z wypowiedziami, padającymi między towarzystwem, a więcej z tym, o czym się między nimi milczy. Zwłaszcza dużo tego napięcia, co dziwne, wyczuwa się między Julitą i Jej miłością", czyli Adamem, więc kiedy Julita wychodzi w końcu ze swym ukochanym, Krysia jest, co prawda, nieco zdumiona jej bezceremonialnością, ale zaczyna czuć się dużo swobodniej w towarzystwie milczącego, ale dla niej zdecydowanie sympatyczniejszego Iwa. Skrepowanie chłopca zmusza ją do samodzielnego nawiązywania rozmowy i dodaje odwagi, natomiast powolny spacer powrotny, w ciepły wieczór, napawa ją poczuciem niezwyklego bezpieczeństwa i skłania do marzeń, o które by nigdy wcześniej siebie nie posądzała. Potem Julita nagle wyjeżdża, twierdząc uparcie, że chce skończyć prawo na ambitniejszym wydziale, pod opieką promotora, który lepiej przygotowuje ją do wybranego zawodu. Nie pomagają prośby ani groźby rozsierdzonej matki, grożącej wydziedziczeniem i wyparciem się wyrodnej córki. Na nic się zdają też próby rozmów,

181

podejmowane przez zdumioną koleżankę. Julita tak konsekwentnie dąży do swego celu, że przełamuje ostatecznie wszelkie opory, a Krysia zostaje sama, dziwnie jednak silna i uzbrojona w nadzieje, które nadają jej buzi wyraz uduchowienia i tajemniczości.

Ta siła pozwala jej nieco uważniej wybierać proponowane przez matkę fasony sukienek i śmiać się przez jakiś czas chętniej, niż zazwyczaj, ale nie wychodzi częściej z domu ani żaden nowy chłopiec nie zaczyna nagle wydzwaniać z propozycjami spotkania, więc wszystko powoli zdaje się

powracać do dawnego, niepokojącego Trudzie stanu.

Patową sytuację przełamuje dopiero przypadkowe spotkanie kobiet na cmentarzu, przy grobie Antoniego. Tradzia zdąża tam pełna nowych, niewypowiedzianych pretensji do męża, gotowa po raz kolejny nakazać mu wyższą ingerencję i obiecać nawet pogodzenie się z wredną Martą, zamiast tego jednak odbywa niezwykle szczerą rozmowę z siedzącą na ławeczce, rozszłochaną córką.

W konsekwencji Krysia dowiaduje się, że mężczyźni są po prostu jak duże dzieci, którymi trzeba umiejętnie kierować w taki sposób, by żyli w złudnym, acz satysfakcjonującym przekonaniu, że samodzielnie podejmują dorosłe decyzje. Każdego z nich można dla siebie zdobyć, w każdej chwili, trzeba tylko wiedzieć, czy się tego naprawdę pragnie, bo na żywym człowieku eksperymentować nie wolno. Jak się już chłopaka w sobie rozkocha, to odwrotu nie ma, bo to wielki grzech! Więc lepiej niech się Krysia porządnie zastanowi, czy chce Iwa na całe życie, czy tylko tak się mazgai, z długiej chwili.

Dziewczyna patrzy, co prawda, na matkę z lekką obawą, jakby ta pojawiła się przed nią nagle w fascynującej i nieco przerażającej postaci czarownicy, a może właśnie dobrej wróżki, ale na temat swego wybranka zdanie ma ustalone. Chce tego właśnie, owszem, na całe życie, tak, będzie go kochać wiernie i do końca życia. I uwierzy w siebie, dobrze, będzie się stosować do wszystkich rad, w porządku, przestanie wreszcie ryczeć, już, natychmiast.

I właśnie dlatego Iwo zaczyna nagle, zupełnie przypadkowo, spotykać w bibliotece, na prywatce lub koło uczelni pewną sympatyczną, delikatną, rewelacyjnie ubraną, piękną panienkę. Dochodzi też do wniosku, że niezwykle łatwo nawiązać znajomość, jeśli się dziewczynę już wcześniej spotkało, nawet w fatalnych okolicznościach, ponadto bardzo swobodnie rozmawia się z kimś tak subtelnym, jednocześnie wesołym i skromnym jak Krysia.

Całując tę cichą, wiotką dziewczynę, zrozumie też, że jej właśnie

182

szukał przez cały czas i na nią jedną czekał tak długo. Prędko nazwie też miłością uczucie, które każe mu spacerować z nią po parku w wietrzny dzień, słuchać jej ulubionych ballad Okudźawy, nucić przeboje Osieckiej i kupować książki, które oboje tak kochają.

Natomiast Trudzia zdecyduje się, po ślubie Krysi i Iwa, na ważny i znaczący w swoim życiu krok, bo choć ostatecznie nie przysięgła Antoniemu, że pogodzi się z Martą uznaje, że należy się jednak wywiązać

z tej, niewyrażonej nigdy głośno, obietnicy. Staje więc pewnego dnia przed drzwiami swej dawnej przyjaciółki i zdecydowanym gestem przyciska dzwonek. Po chwili zaś patrzy w ciemne, błyszczące jak główki od szpilki oczy korpulentnej niewiasty o prawie białych, obciętych na pazia włosach, z grzywką opadającą nisko nad brwiami. Obie milczą chwilę i kiedy Trudzia ma już zamiar wycofać się na schody, tamta wybucha nagle niezwykłym, młodzieńczym śmiechem.

— Ależ to trwało, kobieto! Ciebie to dosłownie po śmierć tylko wysłać! Już myślałam, że przyjdiesz dopiero na mój pogrzeb, a jak cię znam, wiem na pewno, że znienawidzonego wroga to byś przeżyła, z samego tylko uporu!

— Zaraz tam, wroga — zaczyna Trudzia, ale też czuje, że po prostu i ją pusty śmiech ogarnia, jak sobie uprzytomni te całe lata zapiekłej złości wobec Marty, lata, które wynikały przecież z jej własnych wyrzutów sumienia, a niczego innego.

— No, to już wchodź, jak wreszcie doszłaś — śmieje się dalej tamta — piekła ci przecież na schodach nie będę robiła. A swoje musisz usłyszeć, chcesz czy nie. Bo doprawdy tyle lat dobrej przyjaźni na zmarnowanie puścić, tylko przez chłopca? To już tylko ty taka durna być mogłaś!

— Jak to? Więc ty niby żalu do mnie o Antoniego nie masz wcale? — dziwi się Trudzia i patrzy przy tym podejrzliwie na Martę, bo kto ją tam wie? Może żarty sobie jakieś urządza i tyle.

— E tam! Jak bym ja chciała, to byś go tyle miała! — gospodyni już rozlewa do kieliszków po odrobinie słodkiej wiśniówki, więc i pomachać rękami nie bardzo ma jak. — Taka też z ciebie była zwodnica, jak ze mnie masielnica! — rymuje żartobliwie dalej, ale widać wyraźnie, że łzy wzruszenia błyszczą w jej czarnych oczach — dobrze żeś przyszła, Trudka, bo już na tę starość to by naprawdę było mi ciężko tak samej zostać. A teraz przynajmniej zabawimy się wspólnie, póki kostucha nie zastuka do drzwi! Młodzi niech sobie po swojemu żyją a i my coś jeszcze dla siebie uszczkniemy, no nie?

183

— A pewnie! — śmieje się Trudzia i nagle czuje się po prostu jak młoda dziewczyna, która wszystko jeszcze może w życiu osiągnąć, jeśli tylko jej się zechce...

Przez całe swe dorosłe życie Iwo ma satysfakcjonujące przekonanie, że dominuje w związku z nieśmiałą i cichą Krysią, co dodaje mu zdrowej pewności siebie i na zawsze skutecznie prostuje szerokie ramiona. Staje się też prawdziwie serdeczny i troskliwy dla swoich kobiet, bezinteresowną

opieką obejmując też maleńką i wiecznie zabieganą teściową, którą naprawdę szczerze lubi, nie rozumiejąc zupełnie i zawzięcie tępiąc ironiczne, złośliwe żarty na temat rodzinnych związków pokoleniowych. Będzie też wiedział przez całe życie, czym jest prawdziwa czułość wobec kobiety, którą kocha, jak powinna wyglądać troska o nią i ich wspólny dom.

Gdyby odbyła się kiedyś między nim a Adamem rozmowa, do której nigdy nie doszło, powiedziałyby bez cienia wątpliwości: — To ja miałem szczęście w tamtej knajpie, braciszku, pamiętasz?

XV

Nadszedł wreszcie grudzień, a z nim pierwszy śnieg i typowo zimowy nastrój, który po raz pierwszy odgonił od wszystkich bure, listopadowe smutki. Dzieciaki zaczynają marzyć o sankach i bałwankach, a dorośli ulegają niezwyklej, dostojnej bieli, dającej złudzenie czystości ziemi oraz nadzieję na przyszłość. Świat powoli przygotowuje się do przedświątecznych zakupów, czego wyraźnym dowodem są kolorowe lampki na ulicach i wystawy sklepowe, pełne roześmianych, rubasznych Mikołajów, podrygujących topornie swymi grubymi brzuskami w rytm amerykańskich piosenek świątecznych.

Tylko ja nie wiem, co mam teraz robić. Jak postąpić z pracą[^] i z mieszkaniem? Czy wyjechać z Hektorem, który prawdę mówiąc, bardzo na to liczy, a sam już dawno powinien wracać do domu, czy też spędzić święta i Nowy Rok w kraju, a dopiero później zadecydować o swojej przyszłości? Nie wiem, nie wiem, nie wiem... Wszystko zdaje się wskazywać, że ten właśnie refren, zamiast bożonarodzeniowych kołęd, będzie mi towarzyszył przez następne dni.

Oczarowany Krakowem Hektor nie może się nachwalić piękna naszej zimy i radosnych przygotowań do świąt, jednak różnorakie obowiązki wzywają go do kraju, a i czuje się tu chyba nieco samotny, w takiej rodzinnej, przedświątecznej atmosferze. Robi wrażenie nieco zagubionego i oddalonego myślami, jakby wyparowała z niego energia, z jaką tu przyjechał. Miał do spełnienia zobowiązania w związku z testamentem Teodory, a teraz dopiero dopadła go pełna świadomość śmierci bliskiej przyjaciółki, co nie koresponduje chyba z radosnym rozgardiaszem wokół. Nie rozmawialiśmy dotychczas wcale o jego życiu prywatnym i teraz nie bardzo wiem, czy w ogóle wypada go o nie wypytywać, ale czuję się przecież trochę z nim związana, bo naprawdę go polubiłam i chciałabym kupić odpowiednie prezenty dla jego bliskich, więc przy pierwszej, nadarzającej się okazji, pytam go o to najzwyczajniej, wprost.

— Teoretycznie jestem człowiekiem samotnym — odpowiada, unikając mego wzroku i bawiąc się machinalnie serwetką — ale w praktyce mam tak wielką rodzinę, że nie udałoby ci się obdarować ich wszystkich najmniejszym nawet drobiazgiem. Każdy, spośród mego licznego rodzeństwa, ma dzieci, a niektórzy nawet wnuki i ja sam nie jestem nigdy w stanie odwiedzić wszystkich podczas świąt. Najliczniej spotykamy się w sylwestra i właściwie miałem nadzieję, że przede wszystkim wtedy pokażę ci, jak u nas świętuje się Nowy Rok, nawet wstępnie uprzedziłem bliskich, że mogą mieć dodatkowego, miłego gościa, oprócz samego tylko, starego wujka.

To oświadczenie bardzo mnie peszy, bo z jednej strony przekonuje na pewno o jego serdeczności, ale z drugiej, jakoś mnie ponagla do decyzji, której jeszcze nie potrafię i chyba nawet nie chcę, podejmować. Więc tylko biję się z myślami, a przy okazji popijam grzane wino z Piotrusiem, który odzywa się do mnie konsekwentnie, prawie codziennie, dbając, by nasza znajomość przekształciła się jednak w coś bardziej konkretnego.

Pochlebia mi to, zapewne, ale nawet ten jego upór nie do końca mi pomaga, bo ewentualne polubienie go w niczym nie ułatwi mojej sytuacji. Raczej dodatkowo ją skomplikuje. Nie informuję go też o swoich sprawach i problemach, więc mam poczucie, że chroniąc siebie przed nim jako hipotetycznym łowcą posagów, nie tylko go oszukuję, na co przecież niczym sobie nie zasłużył, ale i po trosze obrażam.

Pełna ekscytacji atmosfera, królująca w mieście, wcale nie wpływa najlepiej na moje emocje i późnymi wieczorami, odbywszy zbudowane z niedomówień rozmowy telefoniczne, zarówno z Hektorem, jak i z Piotrem, tworzę sobie cichutko spiskowe teorie dziejów, grzebiąc niemrawo w kartonie z rodzinnymi pamiątkami. Moje noce zatem są może pozbawione dramatycznych przeżyć listopadowych, obfitują za to w różnorodne znaki zapytania, od których równie trudno zasnąć jak poprzednio.

Lubię Piotra, chętnie się z nim spotykam, ale jaki w tym sens? Nie ma we mnie chyba gotowości na nowe uczucia czy związki, więc może postępuję nieuczciwie? Szanuję Hektora, chcę pojechać do Anglii, żeby zobaczyć dom Teodory, jednak na razie nie mam w sobie dość siły, by postanowić coś pewnego, dlatego i w tej sprawie najchętniej poczekałabym jeszcze czas jakiś. Godziny mijają, a ja przewracam się z boku na bok i nie mogę ani niczego postanowić, ani zasnąć.

W ciągu dnia za to, mając teraz pieniędzy jak lodu, bo Hektor założył mi

nowe, bardzo zasobne konto, twierdząc, że wszystkie te kwoty i tak są moje, włóczę się po centrach handlowych i kupuję wszystkim znajomym ekskluzywne podarki, na które nigdy wcześniej nie było mnie stać, i rozważam, czy nie chcę przypadkiem w ten sposób zaskarbić sobie, za mamonę, ich przyjaźni i względów. Jednym słowem, smęcę tak, że sama siebie najchętniej bym owinęła w papier i wysłała bezpośrednio na księżyc.

I właśnie wtedy, kiedy lituję się cichutko nad własnym bogactwem i zbyt wieloma możliwościami życiowymi do wyboru, bojąc się spojrzeć znienacka w witryny sklepowe, by nie ujrzeć w nich przypadkiem gęby wiecznie niezadowolonej z życia kapryśnicy, los postanawia ostroga pogonić mnie do biegu i gwałtownie przywrócić zaniechanemu logicznemu istnieniu. Kogóż spotykam na swej drodze, tak hojnie wybrukowanej pieniędzmi i marudzeniem? Oczywiście Hubercika i Magdusię!

Hubercika owiniętego Magdzinym bluszczem rąk, uśmiechów i nóg niemal! Jest tak ściśle opleciona wokół niego wszystkimi swymi czułkami, że wyglądają jakby japo prostu niósł! Właściwie nie wiadomo gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna! A do tego jego zaborczy, samczy uśmieszek rozświetla okolicę, niby kolejna choinka, upstrzona czerwonymi lampkami. Adrenalina podskakuje mi gwałtownie i od razu świat wydaje się wyrazistszy i bardziej klarowny.

Niechby zdechł! — wyrażam w myśli pospieszne, subtelne życzenie i skręcam gwałtownie do najbliższego sklepu, byle tylko zwiać im z pola widzenia. Na kontakcie bezpośrednim nie zależy mi wcale! Nagle sama widzę, jak byłam głupia, szukając przed chwilą dziury w moim nowym, fajnym losie, niosącym przecież tyle wspaniałych opcji.

Już rozumiem, dobry Boże! Naprawdę! Widzę swoją pychę i tępotę, doceniam każdy dar, który mi ofiarowałeś ostatnimi czasy, tylko proszę, niech mnie tu nie dojrzą! Niech sobie przejdą obok, niech idą gdziekolwiek! Byle nie tutaj! — żarliwość mych próśb jest tym gorętsza, im jaśniej uprzytamniam sobie, gdzie, u licha, wlałam. Stoję oto w sklepie z wyposażeniem łazienek i baranym wzrokiem wpatruję się w sedesy, spłuczki i baterie łazienkowe.

Kolorowe pokrętła i krany są niby szereg dziwnych twarzy, z wystającymi nosami, rozsianych na całej ścianie, a każda patrzy na mnie równie bezmyślnie, niebieskim i czerwonym oczkiem. Niemi obserwatorzy mojej klęski! Każdy, kto choć trochę mnie zna,

wie doskonale, że wszelkie śrubki, metalowe części i elementy wymienne, wystające ze ścian czy podłóg, są ode mnie intelektualnie odległe, niby statki kosmiczne. Chciałam na księżyc? Proszę bardzo! Mówię i mam! Więcej boskiej wyrozumiałości już dziś nie otrzymam, widocznie stwierdzono, że nadużyłam łaskowości losu. Co prawda, to prawda, ale aż taka kara? Zlituj się, Panie!

Wleźli! Wiem to! Po prostu czuję szóstym, umiejscowionym teraz na karku, zmysłem! Stoją za moimi plecami, cholera jasna!

— Cóż tak bardzo zainteresowało cię w kompaktach łazienkowych, Aniu?
— pyta radośnie zaciekawiony Hubert, który całym swym jestestwem daje mi właśnie do zrozumienia, że dokładnie wie, dlaczego tak gwałtownie tu wpadłam. O jejku, jejku! Uciekałam przed nim! Jaka radość! Żeby się tylko nie posusiał ze szczęścia!

— Och, kochany... — szepcze kobieta-bluszcz, wisząca u jego ramienia — to takie niedyskretne pytanie! Pani może planować przecież dokonanie niewielkiego remontu w swojej łazience. Ma do tego prawo. Jak ci mężczyźni potrafią być niedelikatni, prawda?

Ta ostatnia część wypowiedzi skierowana jest wyraźnie do mnie, nie do niego, jakby Magdusia spodziewała się, że oto nawiążemy teraz serdeczną, można rzec kobiecą, więź porozumienia i pewnie uśmiechniemy się jednomyślnie, z odrobiną pobłażliwej wyrozumiałości nad pytaniem, postawionym przez naszego, było nie było, wspólnego mężczyznę.

Modlitewna żarliwość sprzed momentu mija mi jak ręką odjął, w zamian zaś narasta zniechęcona, ale bardzo znajoma furia, nad którą nigdy nie potrafię zapanować. Robi mi się gorąco, a palce zaciskają się w gotowe do boju pięści. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć, ale ja po prostu nie potrafię zapanować nad sobą, choć w głowie dzwięczą mi wszystkie ostrzegawcze dzwoneczki. Cała malutka orkiestra dzwoneczków!

Cofam się, jak na zwolnionym filmie, o maleńki krok i sekunda ciszy, która wisi nad nami, zanim zdążę ostatecznie postanowić, czy przywalę jej siatką z hokejówkami dla Maciusia, syna Alin-ki, czy śmierzącym serkiem, który uwielbiam i kupuję namiętnie, mimo przerażającej woni, ratuje nas wszystkich od ostateczności.

— Już jestem, kochana — rozlega się za mną, cudowny jak pienia anielskie, głos Piotrusia. Faceta, z którym byłam umówiona dopiero za godzinę i który znajduje mnie zawsze w sytuacji jak naj-

188

bardziej krytycznej! Ba! Tym razem udało mu się nawet uprzedzić kretyństwo, jakie popełniłabym za chwilę!

Delikatnym, jakby wyćwiczonym gestem, odbiera mi z rąk obie siatki i czule całuje w usta, a cała para nagromadzonych emocji uwalnia się w tym wspaniałym pocałunku, w ogóle pierwszym, jaki nam się zdarzył, jednak niezwykle pięknym. Całkowicie oszołomiona wpatruję się w oczy Piotra, a on odwzajemnia spojrzenie, uśmiechając się delikatnie i ciepło, jakby nikogo nie było w pobliżu, po czym „zauważa nagle” zamarłą przede mną parę i obrzuca ją chłodnym, pytającym spojrzeniem, jakim obdarza się niegrzecznych natrętów, zanim słownie wymierzy się im kategorię odprawę.

To scena rodem z amerykańskiego filmu! Na wagę złota! Ludzie! Oscara dla tego wytrawnego aktora! Gotowa jestem sama wyrzeźbić dla niego statuetkę, jeszcze dziś, choćby z mydła! W uszach tętnią mi brawa tysięcy widzów, a zresztą może to jedynie mój przyspieszony puls, w każdym razie z radością przeżywam swój triumf, spoglądając na sztywne od urazy plecy odchodzącego Huberta i drobiącej obok niego, a nie wiszącej na nim, Magdusi. Nie wiem, jak zdażył się tak, w jednej chwili, pozbyć wszystkich jej czułek, ale jest mi to zupełnie obojętne, kiedy całym sercem uśmiecham się w stronę rozkosznego obrazka, jaki tworzą, zmykając w popłochu.

Później patrzę ponownie prosto w oczy Piotrusia i jest to zupełnie osobne, przeznaczone tylko dla niego, spojrzenie kobiety rozradowanej, obdarzonej właśnie najpiękniejszym prezentem, jaki można dostać od zakochanego chłopaka, a on ma teraz w uśmiechu właśnie to radosne zafascynowanie, wynikające ze świadomości, że zrobił dla swojej dziewczyny coś, co ją uszczęśliwiło.

I nagle mam cudowną pewność, że żadne kolejne spotkanie z Hubertem nie wywoła już nigdy moich silnych emocji, że będę mogła ze spokojem kiwnąć mu powitalnie ręką, nie zastanawiając się wcale, z kim jest, co robi i jak w ogóle wygląda jego życie. Cała moja wściekłość wyparowała w tamtym pocałunku, a bezradność zmieniła w siłę, od spojrzenia mężczyzny, dla którego nie jestem głupim kurczątkiem, z którego można sobie drwić bezkarnie.

Jakie to dziwne, że wielka, szalona miłość przychodzi na człowieka niby wiosenna burza i w jednej chwili zabiera mu wszelką jasność myślenia, samodzielność, wolę nawet, by szarpać nim potem gwałtownie i dramatycznie, trzaskając wokół, na ślepo, piorunami bolesnych wydarzeń. Trwa dłużej lub krócej, ale zawsze

odbiera spokój, mąci myśli i wyzwala zbyt silne emocje, od których giną

gdzieś nasze własne decyzje, logika i zwykła, ludzka, życiowa mądrość. Popelniamy w jej wyniku głupstwa, od których kurczy się nasze serce i których się wstydzimy, ale brniemy dalej, bezmyślnie, aż po jej kres, zawsze bolesny i bezsensowny. Bo odchodzi równie nagle i zostawia nas potem w żalostnej pustce, bezradnym głodzie silnych podniet i dojmującym poczuciu braku czegoś, co by nas dopełniało, dawało złudzenie, usypiając i okłamując jednocześnie.

A inna, miłość spokojna, ale dużo silniejsza, powoli zapełnia nam serce, wzbogaca życie i cieszy, dając poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Łagodnie wpływa na nasz rozum, nie usypiony wcale, a właśnie, paradoksalnie, wyraziściej odbierający prawdy i kłamstwa, które potrafi precyzyjnie oddzielić od siebie, nie raniąc przy tym. Tylko taka miłość pozwala szeroko otwartymi oczyma oglądać i oceniać rzeczywistość, widząc w niej zarówno dobro, jak i zło, które wówczas wybieramy świadomie. Nie rozrywa nas na strzępy, ale spaja, daje siłę, nie odbierając niczego i dzięki niej tylko możemy egzystować, pozostając w pełni sobą i kochając, rozwijać się nadal.

Dlatego któregoś dnia nie idziemy z Piotrem do kolejnej knajpki na grzane wino, tylko zapraszam go do mojego, okaleczonego mieszkania, gdzie wielokrotnie i bez widzów powtarza tamten czuły pocałunek, tuląc mnie do siebie, nie jak aktor, ale po prostu jak chłopak, w którego ramionach ja również pragnę się znaleźć. Potem rozmawiamy, długo, aż do nocy i nie chcąc nam się skończyć tematy i wciąż coś nowego przychodzi do głowy, więc musimy co chwilę sobie przerywać, śmiejąc się głośno i całując się bez opamiętania, jakby nasze spragnione siebie usta miały tak naprawdę najwięcej do powiedzenia.

Wychodzi wieczorem. Wcale nie dlatego, że nie mam w domu wygodnego łóżka, ale w wyniku naszego wspólnego postanowienia, które, choć niewypowiedziane słowami, daje nam obojgu nie tylko czas na świadome decyzje, ale i spokojną pewność, że mamy przed sobą wiele jeszcze takich, a nawet piękniejszych, wspólnych nocy. Kiedy całuje mnie na pożegnanie, ma w oczach tyle samo tęsknoty i radosnego szczęścia, co ja, i wiem na pewno, że jego dzisiejsza żarliwość nie jest jedynie efektem prostego pożądania, ale zapowiedzią czegoś o wiele wspanialszego, na co, jak myślałam, nie będę już mogła liczyć. Więc stoję przy oknie, patrząc na ciemny parking, z którego dawno już odjechał, i z czołem opartym

190
o chłodną szybę, zaledwie na granicy światła, ustami pijanymi od pocałunków wyszeptuję w przestrzeń swoje pragnienia, jak nową,

tajemniczą mantrę, stworzoną tylko dla mnie i dla niego.

Grudzień staje się nagle nie tylko piękny, ale i bardzo szybki. Dni wprost gnają bo trzeba jednak pożegnać Hektora, obiecawszy mu przedtem wiosenny przyjazd, dokupić mnóstwo prezentów, odwiedzić wszystkich znajomych, pogadać i pośmiać się z Zośką a przede wszystkim trzeba mieć dużo czasu dla Piotra, którego obecność staje się nagle niezwykle potrzebna, po prostu niezbędna do normalnego funkcjonowania. Gdyby za śmiech płacili po groszu, zostałabym w tym grudniu milionerką! Gadam i gadam, a świat wiruje dookoła mnie, posypując scenerię białym puchem śniegu.

Sprzedaję też Zośce swoje pomysły dotyczące imion, kiedy jak zwykle pijemy wspólną kawę, ciesząc się, że obie mamy nowe nadzieje na przyszłość. Teoria bardzo się jej podoba, bo miłszego i prawdziwszego wytłumaczenia dla Mireczka, który jest miłutkim, mrużącym koteczkiem jej aktualnego życia, po prostu nie ma. Wszyscy Mirkowie to istna muzyka dla duszy i ciała, ludzie fajni, sympatyczni i godni miłości, co obie potwierdzamy zgodnie. Ten jeden, szczególnie, Zosiny Mirek, jest oczywiście najlepszym egzemplarzem z wszystkich innych, wzorec po prostu. Niech ma! Zresztą Mirosław to sławiący pokój, więc jakby miało być inaczej?

— Słuchaj, a Patryk? — Zosia nawiązuje do pięknego plastyka, który, chyba z racji długiego istnienia w jej życiu, jakoś jednak wypływa, co jakiś czas, w naszych rozmowach. — Jak to imię charakteryzuje człowieka?

— Bo ja wiem? — improwizuję prędko, bo jakoś o Patrykach dotychczas nie myślałam. — Chyba każdy jest chudy jak tyczka

— oczami duszy widzę jej plastyka i dopasowuję go tylko do sytuacji — znałaś kiedy jakiegoś grubego? I ruchliwy, niby owsik!

— dodaję pospiesznie, ot, dla efektu.

— A wiesz, że może być? — teraz z kolei Zośka sunie wzrokiem po suficie, dumając nad cechami biednych Patryków. — Ale, zaraz! A Ziutek? Ten był jednak gruby jak beczka i ponury.

— Jaki Ziutek? — usiłuję za nią nadążyć, ale nie bardzo kojarzę.

— Teraz chcesz charakterystyki Ziutek? Miałaś takiego chłopca-

191

тогда&л..^

Ziutki, tylko Patryk

jito/c, pamiętasz?

Гак mi niego wo-

iy /iulck Ponurak,
używał jego prawdzi-
dcn! No, może sama
em, bo moja mama była z nią w komiko Miśkiem! pęcznieję z dumy. -
Jednak miałam rację od--ów chude to i ruchliwe, niby owsiki. Nic cieka-
dodaję wspaniałomyślnie — że który nad sobą „cW/Wc? beMseasu
**""*»». „ЖЖ>TM^ ^

■r- r:: #ж *.....—

|B|, A. ias.es! - obie jesteśm, 7**u»

" świat tylko ptzez różowe okulary ■ zroz -

CL-bez umiaru, ale przyjmuje ,e, werdykt ta

„,„,„, „Tiam? Fajna jestem i tyle! A Zos.a c.agn.e dalej.

JpŁ«n? Kto nie pamiętałby najpiękniejszego chłopaka m? Saszka był
przecież idolem żeńskiej części na-S^-4^bK zechciał choć za-
^^O.S^-^^^ąTpls

ka? Kiedy? Nic o tym nie wiem? Ale proszę cię bardzo! Ziutki...? Czeka...

— Jezu! Zwariowałaś chyba! Nie żadne Ziutki, tylko Patryk Kaziucki!

Ziutek na niego mówiłyśmy w szkole, pamiętasz?

— Ponury jak dwa szczury! Rzeczywiście! Tak na niego wołałyśmy, ale
sama popatrz... My mówiłyśmy Ziutek-Ponurak, a chłopcy nazywali go
Kazikiem, nikt nie używał jego prawdziwego imienia, więc co z niego za
Patryk? Żaden! No, może sama matka...

— I ona nie! To akurat wiem, bo moja mama była z nią w Komitecie
rodzicielskim. Nazywała go Miśkiem!

— Widzisz? — pęcznieję z dumy. — Jednak miałam rację odnośnie do
Patryków, chude to i ruchliwe, niby owsiki. Nic ciekawego. Chyba... —
dodaję wspaniałomyślnie — że który nad sobą popracuje, to mu się
ruchliwość bez sensu zamieni w sensowną, ale figura, gwarantowana,
każdziutki chudy, niczym kij!

— O matko! Wiesz, że masz w ogóle rację z tymi imionami? Genialna, no
po prostu genialna jesteś! — obie jesteśmy zakochane i radosne, więc
widzimy świat tylko przez różowe okulary i zrozumią, że kadzimy sobie
bez umiaru, ale przyjmuję jej werdykt bez sprzeciwu, co mi tam? Fajna
jestem i tyle! A Zosia ciągnie dalej: — Pamiętasz Saszkę?

Czy pamiętam? Kto nie pamiętałby najpiękniejszego chłopaka w swoim
liceum? Saszka był przecież idolem żeńskiej części naszej szkoły i prawie
każda z nas marzyła, żeby zechciał choć zagadnąć do niej na przerwie.
Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wykorzystywał swą popularność
do granic możliwości, uderzając do niemal wszystkich ładnych dziewcząt

po kolei, nawet do Zosi, ale ona akurat była wyjątkowo na niego odporna. Jakiż był ładny! Właśnie przede wszystkim ładny, nie przystojny, według ówczesnych kanonów. Subtelny blondyn, z długimi, romantycznymi lokami, opadającymi do ramion i gładką, bladą cerą. Nosił się poetycko, wbrew modzie, paradując zawsze w białych koszulach i czarnych spodniach, nie w bawełnianych podkoszulkach czy dżinsach, jak pozostali. Miał na imię Aleksander i przypominał nam Puszkina, którego poezje chętnie recytował, znając, odmiennie niż my, rosyjski, bo miał w rodzinie jakąś babcię, rodowitą Rosjankę. Wspaniałą ponoć kobietę, która go zresztą wychowywała i miała na niego ogromny wpływ. W zanglicyzowanym świecie naszej szkoły, był cudownym odmieńcem.

192

Ponadto grał na skrzypcach i uwielbiał epatować kobiety wzruszającymi, cygańskimi melodiami, które wykonywał jak profesjonalista na każdym przedstawieniu czy wieczorku poetyckim. Jestem pewna, że pod jego wrażeniem pozostawały też wszystkie nasze nauczycielki, bo posługiwał się sprawnie, wobec każdej z nich i zawsze, wszystkimi odpowiednimi zwrotami grzecznościowymi. — No, tak... — mawiały — tylko Saszka potrafi być naprawdę sympatycznym młodzieńcem, który wie, jak należy się zachować wobec pań.

— Czy pamiętam Saszkę? Dziewczyno... — zaczynam, ale nawet nie wiem, co z tej całej legendy o nim przywołać najpierw.

— Więc zawiadamiam cię uprzejmie — wpada mi w słowo podekscytowana Zosia — że spotkałam to wasze licealne bóstwo kilka dni temu. Siądź wygodniej, bo spadniesz z krzesła. Uprzedzam. Chłopak wyłysiał niemal całkowicie, włoski ścięte na zero, to zresztą w tych okolicznościach jedyna sensowna dla niego fryzura, ale o to mniejsza. Zmężniał, żeby nie powiedzieć zbyczniał. Tak, tak! — potakuje radośnie, widząc moją minę. — Wielki jak szafa, więc z romantycznego poety nie zostało po prostu nic! Więcej jeszcze ci powiem, siedł z żoną z wózekiem, z syneczkiem za rączkę, to dwoje, żona z brzuszkiem, to trzecie, ale... — zawiesza głos dla lepszego efektu — wiesz, jak ona do niego mówiła? Oleczku!! Słowo ci daję!

E tam! Odechciało mi się tych wróżb z imionami. Sprawdzają się aż za dobrze! Z naszego poetycznego, szalonego Saszki pozostał, miły na pewno, ale jedynie tatuś Olek? Nie ma w takim Olku nic złego, wręcz odwrotnie, to fajnie, że jest dobrym mężem i ojcem, ale gdzie podział się tamten tajemniczy skrzypek o smutnych oczach, recytujący w oryginale Eugeniusza Oniegina"? Obie poczułyśmy się nagle nie tak już młode, jak

przed chwilą bo skoro nasi szkolni koledzy mają po troje dzieci?
Popatrzyłyśmy sobie z Zosią głęboko w oczy i pomilczałyśmy znacząco.
Na pewno nie musimy gnać jak Olek, jednak i na nas powoli czas, by
pomyśleć o życiu trochę poważniej. Zgroza!

By zagadać tę dziwną refleksję przechodzimy na rozmowę o świętach i o
tym, jak spędzić je najfajniej i najbliższej sympatycznych nam osób. Ona nie
wie jeszcze, czy pojedzie do Mirka, czy też zostanie z rodziną ale obie
wersje wchodzi w grę i bardzo się waha. My natomiast Wigilię spędzamy
sami, po pierwsze, dlatego że tak jest bardziej romantycznie, ale również z
powodu tradycji, według której Piotra mama spędza ten dzień zawsze u
starszego

193

syna, Jaśka, poza miastem. Natalia i Jasiek mają malutkie dzieci, więc
trudno im byłoby przyjeżdżać, a zakochana we wnukach babcia koniecznie
chce uczestniczyć bezpośrednio w wigilijnym rozdawaniu prezentów.
Jesteśmy jednak zaproszeni do niej na obiad, w drugi dzień świąt, co
muszę przyznać, nieco mnie peszy. Ale na razie staram się o tym nie
myśleć, zwłaszcza kiedy przygotowuję nasze własne świąteczne spotkanie.
Nie byłam jeszcze w mieszkaniu Piotra, więc nie wiem tak naprawdę, jaki
ma gust i na ile moje puste pokoje, choćby najpiękniej przystrojone, będą
bliskie jego wyobrażeniom o Wigilii, choć na razie wszystko wskazuje na
to, że spędziłby ją ze mną w każdym miejscu, nawet na dworcu.

Ostatecznie kupujemy wielką choinkę, która po udekorowaniu
czerwonymi jabłuszkami i białymi pierniczkami robi całkiem niezłe
wrażenie, stół zaś ma nam zastąpić wielki karton, pięknie nakryty i suto
zastawiony wspaniałym jedzeniem. Jednak zamiast kartonu, dostaję w
prezencie od Piotra przepiękny stolik i dwa wspaniałe krzesła, które chyba
musiały kosztować majątek, tak są eleganckie, i dopiero teraz całość
naszego przyjęcia zyskuje swój styl i ciepły urok, w którym nikną zgrabnie
ewentualne inne niedoskonałości lub braki.

Jest pięknie! Wiem, że w pierwszych dniach obopólnego zafascynowania
każda przyjemność smakuje podwójnie, ale bardzo chcę się łudzić, że
nawet postronni świadkowie, których na szczęście nie ma, uznałyby nasze
święto za udane. My w każdym razie czujemy się wspaniale. Doskonałość
aż boli, więc z niepokojem rozglądam się po kątach, szukając usterek, bo
życie w rajku wydaje mi się wprost niemożliwe. A jednak istnieje i trwa
sobie rozkosznie, aż do samego wieczora, zakłóconego może tylko
delikatnie jednym, dziwacznym zdaniem, wyszeptanym przez Piotrusia w
moje włosy, przy samym pożegnaniu. — Pamiętaj, bez względu na

wszystko, że bardzo cię kocham.

„Wszystko” zaczyna się w dwa dni później, kiedy otwierają się przed nami drzwi mieszkania jego mamy, starszej, sympatycznej pani, która ściska mnie naprawdę serdecznie, deklarując, że bardzo jej miło. Ja też się cieszę, chociaż serce mi wali niespokojnie, bo chciałabym wypaść wobec niej nieźle, ale ona naprawdę wydaje się nastawiona pozytywnie, więc decyduję się na pełen ulgi, pojedynczy oddech. Za wcześnie!

194

Bo wtedy nagle, zaraz za nią, pojawiają się roześmiane buźki Zuzki i Maćka, rzucających mi się żywiołowo na szyję. Lekko zszokowana, oddaję całusy, ale myśli, wbrew woli nawet, zaczynają szaleńczo galopować w mojej głowie. Lubię spontaniczność i cieszę się, że widzę te dzieciaki, ale przecież nie powinno ich tu być, prawda? Są z całkiem innej bajki i przynależą, według moich obliczeń, do zupełnie innych rodziców! A jednak nie! Oto wpadam w ramiona Zbyszka i Alinki, witających mnie z radością i odrobinę zbyt hałaśliwie jak na swobodną spontaniczność. Całuski, całuski... Szybkie spojrzenia... Uściski, uściski... Coś tu wyraźnie nie gra!

— Przecież Piotrek to mój kuzyn — wyśpiewuje, ciut za wysokim głosem Alinka, zapraszając do stołu, a ja czuję wyraźnie, jak powoli zapadam się w sobie.

Spojrzenie w pociemniałe i niespokojne oczy Piotra dopowiada mi resztę i widzę już teraz wyraźnie, ile rzeczywistej przypadkowości było w naszym spotkaniu, i ile uczciwości jest we wszystkich naszych uczuciach. Naiwne wyobrażenie o pięknej, spontanicznej fascynacji, z głośnym, wyrazistym chrzęstem rozpada się w mojej głowie, a myśli fruują bezładnie, pokazując urywane fragmenty naszego spotkania przy autobusie i później w sklepie, kiedy to niby tak ładnie Piotrek zachował się wobec mnie, broniąc mej godności przy Hubercie. Zabawili się moim kosztem? Pewnie nie aż tak, ale blisko... Prawdopodobnie Alinka postanowiła zadziałać jako swatka. Namówiła Piotra? Boże! Ale, po co? Jakkolwiek to się toczyło, to jednak nic w całej tej historii nie było na pewno ani przypadkowe, ani naturalne.

Pewnie, że nie wybiegam stamtąd z rozpaczliwym krzykiem, co więcej, nawet uśmiecham się łagodnie, zwłaszcza do jego mamy, całkowicie nieświadomej powodu, dla którego atmosfera tak nagle, acz nieodwołalnie skłęśla i usiłującej godnie sprawować obowiązki gospodyni pośród zwanego towarzystwa. Rozradowane dzieciaki, jedząc deser, omawiają głośno listę swoich prezentów, w które wliczone są również te ode mnie, a

my wszyscy próbujemy rozmawiać, nie patrząc sobie w oczy. Wśród innych ludzi trzeba zachować się z godnością, nie dam przecież nikomu z tu obecnych satysfakcji oglądania kolejnej z moich fatalnych, życiowych przygód, prawda?

Mam wrażenie, że Piotra zupełnie tu nie ma, a w miejscu po nim została jedynie szara, dławiąca pustka, nie pierwsza i nie ostatnia z wszelkich dziur w moich naiwnych planach, w każdym razie ja

195

na pewno go nie widzę, a tym bardziej jego rozpaczliwych prób nawiązania za mną jakiegoś kontaktu. No bo co takiego mógłby mi powiedzieć, czego jeszcze nie wiem? Jedyna logiczna myśl, jaka pojawia się w mojej głowie, dotyczy czasu, który musi upłynąć, by można było grzecznie się stąd wycofać.

Kiedy ostatecznie sprzątnąmy ze stołu po obiedzie, a ja formułuję w myśli zgrabną przyczynę opuszczenia tego domu, Alinka chwytą mnie za rękę i ciągnie w stronę korytarza. Chciałam wyjść, to prawda, ale przecież nie tak niegrzecznie, bez pożegnania, ale skoro rzuca mi płaszcz w ręce i wypycha za drzwi, to pójdę, dlaczego nie? Otóż, dlatego nie, że Alinka idzie zaraz za mną, szepnąwszy tylko przerażonemu Zbyszkowi coś na ucho.

— I co teraz, obrażona królowno? — wybucha, ledwie znajdujemy się na ulicy. — Coś sobie znowu ubzdurała? I nie patrz tak na mnie, jak na malowane wrota! Bo mam ochotę nieźle ci przyłożyć!

— Przykładaj — mówię cicho, bo naprawdę nie mam siły na żadną walkę i nawet wściekać się po swojemu nie potrafię.

— Anka — teraz i ona spuszcza z tonu — dlaczego ty taka głupia jesteś? Czy wszystko ci trzeba tłumaczyć, jak dziecku? Po kolei? Słowo po słowie?

Aleja milczę tylko, bo nie wyobrażam sobie wcale, jakie słowa mogłyby tu pomóc, więc dopinam tylko płaszcz i wkładam rękawiczki, wcale na nią nie patrząc. Nawet stać mi się tu nie chce, ruszam zatem wolno przed siebie po tym cholernym śniegu, w głąb tego cholernego, samotnego świata.

— Dobrze, powiem po kolei, jeśli sama niczego nie rozumiesz — Alinka idzie konsekwentnie obok mnie i wyraźnie stara się nie wpadać w złość, tylko mówić jak najspokojniej. — Piotr jest moim kuzynem, to prawda. I powiedziałam mu, że jesteś teraz sama, to też prawda. Ale on kochał się w tobie jeszcze w podstawówce! I cała nasza rodzina doskonale o tym wiedziała! Dosłownie kino sobie z niego robiliśmy! Bo chodził za tobą,

niby cień jakiś, a ty ślepa byłaś zawsze jak ciele!

Jednak wrzeszczy, choć chyba nie miała takiego zamiaru, bo co chwilę usiłuje nieco zniżyć głos, by za moment znowu wykrzykiwać te swoje rewelacje całej ulicy. Przystaje, potem podbiega, czasem nawet tupie nogą, słowem, jest w zasadzie dość przekonująca, ale boja wiem? Czy warto jej wierzyć? Czy w ogóle można jeszcze wierzyć komukolwiek? Kochał, kochał, teraz łatwo można by mi wmówić każdą bzdurę. Tylko czy ja jeszcze uwierzę w nią, tak naiwnie jak zawsze?

196

— Nie wiem, przysięgam, nie wiem, w jaki sposób się teraz spotkaliście, gdzie i kiedy. A nawet jeśli specjalnie za tobą chodził? No to co z tego? Zawsze tak robił! Aż wszyscy śmiali się z niego! Cholerna niewidzialna ręka! Wydumał sobie, że jakoś tak sami z siebie się poznacie, chociaż nieraz mu mówiłam, że najprościej będzie, jak was sobie przedstawię! To nie, i nie! I mamy teraz! Klops w sosie własnym!

— Nie wciskaj mi tu kulinarnych kawałków! Niby dlaczego kiedyś tam, wcześniej, nie odezwał się do mnie? — podejmuję jednak rozmowę, bo ostatecznie trudno tak milczeć, jak ktoś do ciebie powrzaskuje, aż echo niesie.

— A kiedy miało być to twoje „niby”? — Alinka znów podskakuje, jak podcięta batem. — Mieszkałaś przecież z Hubertem i nawet do nas nie zachodziłaś! Miał się pchać w twoje układy? To byś mu dopiero wdzięczna była! Już to widzę! Coś tam było w czasach licealnych — przypomina sobie nagle — pojechał za wami na obóz, na tym swoim cholernym motorze, że niby tak, na plaży, będzie naturalniej nawiązać kontakty, ale ty chora byłaś? Czy coś?

— Wtedy chciał mnie poderwać? Jak miałam udar słoneczny? Myślałam, że ze wstydu umrę, kiedy go spotkałam, cała byłam w bąblach. Zmykałam od niego, jak od zarazy — parskam na moment krótkim śmiechem, bo powolutku wszystko, co ona mówi, zaczyna się jednak jakoś zgadzać — ale i tak, to do kitu. Myślałam, że los nas połączył...

— Los jest ślepy, ty głupia! To ludzie sobie życie układają. Chcesz do rozumu dochodzić latami, tak jak ja? Bóg wie, ile czekać, aż ci samej się oczy otworzą? Co by było, gdyby Zbyszek nie miał siły za nas dwoje? — zapala się znowu. — Gdzie bym dzisiaj była i jak bym żyła? I jeszcze ci powiem, ale... — tu staje, chwyta mnie za rękaw i patrzy w oczy naprawdę srogo — przysięgnij, że nie wygadasz, nikomu, bo nawet Zbyszek o tym nie wie!

— No? — zaciekawiała mnie jednak, więc przystaję obok niej.

— Nie, żadne no, tylko przysięgaj! Więc... Cholera!... Dobrze, powiem ci. Popalałam marychę, jak takie dołki miałam, pamiętasz? Jeszcze w liceum. No, to wtedy właśnie Piotrek mnie wyciągnął. I przysięgłam sobie, że jakby co, to i ja jemu pomogę. Dlatego powiedziałam mu o Hubercie. Więc jak się teraz będziesz wygłupiać, to wyjdzie, że tylko mu zaszkodziłam. A ja i tak nie wiedziałam, co zrobić z tym dzisiejszym obiadem, to Piotrek powiedział, że trzeba się przyznać, bo tak dalej być nie może.

197

— Nie wiem, pomyślę, Alinko — zaczynam powoli, bo może rzeczywiście jestem przewrażliwiona i trochę się czepiam? A i w tej miłości od przedszkola też jest sporo swoistego uroku, ale...

— Słuchaj, chyba nie myślisz, że on leci na twoje pieniądze? — w tej chwili głos Alinki znowu niesie się wysoko i wzdłuż uliczki. — Bo jeśli tak, to głupia jesteś do kwadratu! Piotrek, a właściwie oni obaj z bratem, mają tyle forsy, że mogliby ciebie i ten twój cały spadek swobodnie sobie kupić, na wyprzedaży nawet! Możesz twierdzić, że Piotr jest naiwny, proszę bardzo, sama ci przyznam rację, bo kochać się w takiej idiotce to już szczyt wszystkiego! Ale chytry to na pewno nie! Pamiętasz tę komódkę, którą się zachwyciłaś u nas? Oni, z Jaśkiem właśnie, je produkują i wysyłają do całej Europy. Fabrykę mebli mają, takich z prawdziwego drewna, u nas nawet nie sprzedają, bo za drogie.

Teraz to już naprawdę mi wstyd, ale tego jej nie powiem przecież. Bo rzeczywiście głupia myśl o pożądaniu angielskiego spadku jakoś świtała mi w głowie. Znałam Huberta, czyż nie? Mogłam mieć kretyńskie pomysły, zwłaszcza po ostatnich, z byłym lubym doświadczeniach. Więc jakieś wytłumaczenie bym znalazła, ale i tak czuję się durnowato. Zawsze czepiam się nie tego, czego trzeba, i wypadam w konfrontacji z losem jak ostatnia wariatka.

— Wracamy — przejmuje inicjatywę czerwona już od mrozu Alinka, widząc, że tym razem jakoś do mnie trafiła — tam kawa pewnie na nas czeka. A przede wszystkim chłopaki, bo zapowiedziałam Zbyszkowi, żeby Piotrka z domu nie puszczał, póki ci wszystkiego nie wytłumaczę, głupia księżniczko na ziarnku grochu.

— I co powiemy? — automatycznie i posłusznie zawracam z nią razem.

— Głupio jakoś. Wyprysłyśmy z domu jak szalone, bez słowa jednego.

— Dlaczego głupio? Na spacer sobie po obiedzie wyszłyśmy, pooddychać świeżym powietrzem, i tyle. Ciocia to kupi, bo wie, że ja jestem narwana, ale jak ty się Piotrkowi wytłumaczysz, to tego zupełnie już nie wiem! —

oddycha z ulgą Alinka i zaczyna rzucać we mnie śnieżkami.

Po powrocie musimy więc przede wszystkim zdjąć przemoczone buty i czapki, potem ogrzać się przy piecu, wypić dużo gorącej herbaty i wytłumaczyć zawiedzionym dzieciom, dlaczego same, bez nich, poszłyśmy bawić się do parku. A później słuchamy kolęd i tak jakoś się dzieje, że łąduję obok Piotrusia na fotelu, a on tuli

198

mnie w ramionach tak mocno i czule, jakby z nagłą odzyskaną po jakiejś strasznej, zagrażającej życiu przygodzie.

— Najbardziej martwiła mnie twoja ewentualna reakcja na wiadomość o Alince — mówi wieczorem, bo nie odpuszczam jednak i zmuszam go do wytłumaczenia się z podchodów, które oboje wyczyniali. — Widząc, jak wyglądasz przy obiedzie, niemal straciłem nadzieję. Zbyszek tylko siłą zatrzymał mnie w domu, kiedy wyszłyście. Zupełnie nie wiedziałem, co robić, jak cię przekonać o swojej uczciwości?

— Naprawdę kochałeś się we mnie już w szkole? — dopytuję, rozradowana cichym wielbicielem z dzieciństwa, o którym nawet nie miałam pojęcia. — To powiedz, kiedy się we mnie zakochałeś? Przy schowku na szczotki?

— Zdaje się, że będę musiał natrzeć Alinkę śniegiem! — obiecuje, niby groźnie, ale ze śmiechem Piotrek. — Tak! Najbardziej spodobał mi się uroczy aromat, którym wprost uwodziłaś wówczas okolicę! Teraz będziecie obie miały powód do naśmiewania się ze mnie, widzisz, jaki jestem biedny i pokrzywdzony?

— A nasze spotkanie? Czy rzeczywiście mnie śledziłeś? — to akurat muszę wiedzieć koniecznie, bo dobrze byłoby choć trochę ocalić z mitu o wielkim przypadku naszego spotkania.

— Szedłem za tobą tylko raz, kiedyś wieczorem, zobaczyłem cię wtedy na ulicy, ale byłaś taka smutna, że wprost nie odważyłem się podejść, zupełnie nie wiedziałem, jak mógłbym ci pomóc, co powiedzieć. Czułem się zupełnie bezradny, więc patrzyłem tylko za tobą, jak odchodzisz po raz kolejny i złościłem się sam na siebie. Natomiast przy autobusie, to był autentyczny przypadek, nie miałem czasu na żadne zastanawianie i to właśnie okazało się zbawienne. Pomyśl, podałem ci chusteczkę do otarcia buzi i wszystko potoczyło się po prostu, samo.

— Dlaczego nie podszedłeś wcześniej? Wtedy. Kiedyś. Wielokrotnie? Tak bardzo się mnie bałeś?

— Czy się bałem, Aniu? — oczy Piotra robią się nagle niezwykle poważne, a w jego słowach nie ma ani odrobiny żartobliwej nuty sprzed

chwili. — Byłem przerażony. Zupełnie sparaliżowany z niemocy, bo zawsze tak bardzo, tak wściekle wprost zależało mi na tobie!

Ś III III

XVI

Ciemno, więc to nadal noc... Boże... Zatem spał zaledwie kilka minut, góra pół godziny, nie więcej... W ciszy, która tutaj nigdy nie bywa całkowita, słysząc szum morza, potem urwany, daleki krzyk gdzieś na dole, może przy plaży i spokojny, głęboki oddech dziewczyny śpiącej obok. Jej ciemne włosy spływają swobodną falą na poduszkę, ale twarzy nie widać, bo odwrócona do ściany, leży na boku, a na łagodną linię gołych pleców i opalonych ramion pada siwawy, lekko srebrny mrok pokoju. Adam podnosi się cicho i delikatnie wysuwa spod prześcieradła, którym byli przykryci oboje, potem naciąga spodenki i na palcach podchodzi do otwartych drzwi balkonu.

Panuje duszny upał, nawet teraz, na jakiś czas przed świtem, kiedy powinno być przecież najchłodniej, ale gorące mury wyparowują jeszcze dzienny skwar, a powietrze też nie zdołało zbyt się ochłodzić po wysokich temperaturach dziennych, które panują nieprzerwanie od początku miesiąca. Więc siada na posadzce balkonu, oparty plecami o ciepłą ścianę i ponuro patrzy przed siebie.

Najgorsze są właśnie te godziny, przed świtem, już nie całkiem nocne, a jeszcze dnia niepewne, które mgliście oplatają świat i nie chcą litościwie ukryć samotności. Wtedy wszystkie smutki stają się czarniejsze niż ciemność, a w pięściach zaciśniętych przy ustach chowa się jedynie drażniąca pustka przemijania i nicość, z którą nie ma jak walczyć...

A może świata w ogóle nie ma? Może wymyśleni tylko i wydumani w snach, nieprawdziwi, okłamujemy los? A on, nieświadomy błędu, daje nam w prezencie chwile, do których wcale nie mamy prawa? Jakieś pospieszne, bezsensowne spotkania, szybkie kopulacje, drażniące smaki i tę żółć na języku, z którą budzimy się, nieszczęśliwi, że sen nie trwał długo, o wiele dłużej, na zawsze?

O Boże... I znowu to milczenie, ta cisza i pustka... Ta niezmienna, jedyna pora oczekiwania, nie wiadomo na co, kiedy sny innych skradają się wzdłuż ulic jak podstępni grajkowie z taniej tancbudy,

201

których ani przywołać, ani uprosić nie można, by zegrali i jemu, choćby na jedną noc... Trochę mdło...

Zapala papierosa, żeby zagłuszyć pustkę żołądka, krzywo sam do siebie

uśmiechnięty za te myśli, takie żalodne i melodrama-tyczne. Czego jeszcze chce? Przecież ma wszystko, żeby czuć się szczęśliwy, w każdym razie przyjemnie zadowolony, według ogólnie przyjętych standardów satysfakcji obowiązujących w świecie dookoła niego. Ma dobrą pracę, która go bawi, pieniądze, powodzenie.

Choćby ta dziewczyna. Poderwana łatwo, na zalanej słońcem plaży. Zgrabna, wesoła i niekłopotliwa, świadoma własnych oczekiwań, na które składa się kolacja w miłym miejscu, chwila tańca, szybki numer i żartobliwe pożegnanie z rana, najczęściej nawet bez śniadania, bo przed południem pija się tylko czarną kawę.

Ale nawet ona, taka młoda i pełna dopiero zachłannych planów na przyszłość, bogatsza jest od niego. Bo ma jednak ten dar, jedyny, którego Adam najbardziej jej zazdrości, łatwość zasypiania po intensywnym seksie, traktowanym trochę jak obowiązująca zabawna i relaksująca porcja gimnastyki, dająca sen zdrowy i krzepiący. Ona śpi. Spokojna, zadowolona, bezpieczna, pogrążona w odpoczynku, który da jej odwagę na następny dzień, zaopatrzy w nową energię, by znowu wyruszyć na łowy, zabawić się, po prostu żyć.

Teraz, jeśli nie jest się chamem, a on nie jest, trzeba poczekać do rana, żeby wyszła, wyspana, prężna i elastyczna, gotowa na innych mężczyzn, inne pospieszne pocałunki, słowem, na kolejne zabawne, wakacyjne przeżycia. A on musi tu siedzieć, z kolanami pod brodą, w ciemności rozżarzonej jedynie ognikiem papierosa i zastanawiać się nad własnym losem, snując głupoty, rodem z psychologicznych seansów. Niech tam! Niech sobie śpi, obojętnie jak długo.

Zobojętnienie jest w ogóle uczuciem najdziwniejszym, no nie? Gdy w zdumieniu patrzysz na innych ludzi, ruszających się powoli, jak za szklaną szybą. Na te dziewczyny, rozprostowujące fałdy sukienek, odrzucające do tyłu grzywę lśniących włosów, na mężczyzn, strzepujących niewidzialny pyłek z fraka, by wyglądać dobrze, lepiej, najlepiej i nawet nie chce ci się do nich zawołać ani skinąć nawet, więc uśmiechasz się tylko zdawkowo, unosząc brew w nieobowiązującym grymasie. Byle zajęli się sobą, odeszli, nie udawali zainteresowania, jak na marnej scenie jakiegoś złudnego życia.

202

Kiedyś nawet wierzył, że jeśli się mocno uprze, to i on zagra przekonująco, a tym samym omami siebie i innych. Ale to wymaga wysiłku, codziennej determinacji, ścisłej koncentracji, na którą nie ma już chęci. Rzeczywistość przerosła wartość złudzeń, to po prostu nierówne

rachunki, niewarte zachodu i tyle. Myślał, że może warto przeżyć wszystko, za wszelką cenę, ale to nieprawda, nieprawda. .. Życie każe sobie płacić słono za każdą, szczerze przeżytą minutę szczęścia, więc łatwiej kłamać, to leci poza licznikiem i można się wykićc byle groszem, nieważnym chłamem, który równie udatnie zapcha każdy dzień.

Trudno powiedzieć, czy drzemie chwilę, czy też świt po prostu objawia się nagle zza horyzontu, w każdym razie minuta po minucie poranek przybliża go wreszcie do odpowiednio wymierzonego czasu, w którym będzie można zachować się na tyle głośno, by obudzić dziewczynę, której imienia nawet nie będzie silił się zapamiętać.

A jest naprawdę ładna, kiedy tak, bez skrępowania, naga kręci się po pokoju, zbierając kolorowe szmatki ubrania, wychodząc powoli do łazienki, pijąc tę obowiązkową kawę, jakby dawała mu szansę na kolejną rozgrywkę, na jeszcze jedną chwilę zapomnienia, na trochę nowych złudzeń.

Ale jemu już naprawdę nie chce się udawać, więc niechże ona wyjdzie wreszcie i zostawi go samego, niech tu nie sprząta, niech nie zagaduje, niech się nie łasi, bo, do cholery, powie coś przykrego i wypchnie ją z domu po prostu bez majtek!

Jedynie resztkami sił zdobywa się jednak na rytualny zestaw zdawkowych komentarzy i gestów, uśmiechów i potakiwań, westchnień i zbytecznych słów, po czym, walcząc z chęcią popchnięcia jej lekko w te opalone, zgrabne plecy, z westchnieniem niebotycznej ulgi zamyka za nią w końcu drzwi od mieszkania.

Ależ tu chlew — mruczy karcąco sam do siebie, bo teraz już może mówić głośno, co go zawsze uspokaja i obniża nieco loty traktowanych z pogardą patetycznych myśli, które przychodzą, kiedy, z jakichś przyczyn, musi milczeć. — Trzeba tu posprzątać, do diabła, bo inaczej Krzysztof przewróci się jutro ze zdziwienia i zgrozy!

A tego przecież nie chcemy, staruszkowi, uczynić. Za nic w świecie! Trzeba się też wykapać, bo śmierdzi. Zmyć z siebie zapach potu i seksu, wszystkie te małe grzeszki, którymi bawi się udatnie od tak dawna.

Przywykł już od lat do ukrywania przed najbliższymi charakteru

203

i sposobu swego życia, bo chociaż jest przecież od dawna dorosły i nie musiałby się wcale usprawiedliwiać, to jednak chce. To jedno pozostało dla niego jeszcze nieobojętne. Serdeczne uczucia Niu-si i Krzysztofa, ufne, radosne spojrzenie Janki i przekonania Iwa, który choć badawczo patrzy, nic mu przecież nigdy zarzucić nie może. Ważna jest też ta drobna,

malutka Krysia, o wielkich oczach, która uśmiecha się do niego niepewnie i nigdy nie pyta go o Julitę. A przecież niemożliwe, żeby nie kojarzyła faktów. A zresztą, kto wie? Julita, z tą swoją tajemniczością, mogła wyprowadzić ich wszystkich w pole, tak samo jak niegdyś jego, ale i niestety samą siebie. Przede wszystkim samą siebie...

Boże! Jaki jest zmęczony... Jak bardzo potrzeba mu odrobiny odpoczynku! Choćby na krótko, na kilka godzin. Czy to rzeczywiście takie wielkie wymagania? Wysypuje kilka tabletek na dłoń, a potem popija szybko, długimi łykami z najbliższej szklanki. Wódka. A cóż to szkodzi? Może przynajmniej raz zadziałają, jak należy. Rozgląda się po dużym, zalanym teraz słońcem pokoju swojej kawalerki.

Okna, zajmujące całą ścianę, wpuszczają do środka jasne promienie, nakreślające wyraźnymi cieniami puste butelki, szklanki, jakieś talerzyki z resztkami jedzenia i kilka brudnych koszul, skarpetek i spodni, walających się tu i ówdzie, na dwóch krzesłach i szafce. Pastelowa żółć ścian odbija się wyraźnie od szarości cieni, rysując precyzyjnie ciemne wykrzykniki przedmiotów, potwierdzających jego wczorajsze szaleństwo. Na parapecie znajduje nawet lśniąca tulejkę po pomadce, którą dziewczyna malowała usta, przeglądając się w szybie. Zabiera się z niechęcią za systematycznie sprzątanie, włącza pralkę i gromadzi w kuchennym zlewie brudne naczynia.

Złotą tulejkę trzyma chwilę w dłoni, zastanawiając się, czy dziewczyna nie zostawiła jej świadomie, by po nią wrócić, ale chyba nie, bo w koszu na śmieci widzi teraz drugą jej część, z resztkami ciemnoczerwonej miazgi, nieco obrzydliwej, bo z zapałką, którą pewnie wydłubywała resztki, nałożone na wypukłe, pięknie wykrojone usta.

Cholera! Może powinien dać jej kilka złotych? Może tak łatwo dała się poderwać na plaży, bo nie miała po prostu pieniędzy na hotel? Ale nigdy nie płaci dziewczynom, więc nie przyszło mu to do głowy, zresztą pewnie poczułaby się dotknięta, gdyby potraktował ją jak zwykłą kurewkę. Nie zachowywała się jak profesjonalistka, wydawała się naturalna i miła nawet. Dobrze, że chociaż ją nakar-

204

mił i pozwolił pospać, rozgrzesza się w myśli, po czym wyrzuca wszystko, wraz z innymi śmieciami, do kosza.

Mieszkanie na szczęście jest łatwe do sprzątnięcia, bo meblował je logicznie i funkcjonalnie, tak, żeby się nie namęczyć w podobnych okolicznościach. Wszystko znajduje się w zasięgu ręki, chociaż pomieszczenia, jak na kawalerkę, są tu zadowalająco przestrzenne. Julicie

bardzo się podobało.

Cholera, po raz kolejny! Wolną ręką znowu sięga po szklanke i popija następne tabletki. Zawsze czuje się wściekły, kiedy przypomni mu się ta dziewczyna i jej, w gruncie rzeczy dziecinne przekonanie, że będą kiedyś razem. Skąd je w ogóle wzięła? Czym karmiła przez te kilka lat, kiedy pozwalał jej zaledwie być obok siebie? Pewnie błędem było nawet to, że pozwolił jej tu przyjechać, wynajął jakieś lokum, dawał pieniądze, ale czuł się trochę winny po tamtej nocy, w hotelu, kiedy okazało się, że wcale nie jest doświadczoną i pewną siebie kobietą, tylko bezbronną dziewczynką, liczącą na jego uczucia.

Uczucia! Chyba oszalała! Skąd między nimi jakiegokolwiek uczucia? Trochę seksu, może nawet sympatii, ale przecież nic innego! Od początku wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że na nic więcej nie może liczyć. A jednak uparcie kręciła się wokół niego, oplatała niemi zażyłości, dodawała każdy miesiąc ich wątpliwej wspólnoty do jakiegoś rachunku, z którego wynikała jej pewność, że jest niezbędna, pomocna i prędzej czy później stanie się jednak tą jedyną.

Prała koszule, gotowała, sprzątała, zupełnie bez sensu, jakby te czynności mogły dać jej prawo do zamieszkania z nim i w jego życiu. Wielokrotnie mówił, że to nawet krępujące dla niego, a po prostu uwłaczające dla niej. Można sobie było gadać! Wciąż od nowa! Po raz kolejny napełnia szklanke, to jedna z ustawionych już wcześniej na kuchennym blacie. Nie ma śladu po szmince, więc pewnie jego, ale jaka to różnica?

Przecież tyle razy jej tłumaczył, że ma sobie ułożyć jakoś sensownie życie, bo z nim tych swoich romantycznych planów nie może, a nawet nie ma prawa wiązać. Jak groch o ścianę! Niby inteligentna i bystra, a w tej konkretnej sprawie niereformowalna jak nasz ustrój polityczny. A może to zresztą złe porównanie? Teraz podobno coś tam zaczynają kręcić ci z Gdańska. Jakieś związki czy inne pomysły wywrotowe. Kto wie? Może i coś osiągną, jeśli potrafią się uprzeć... Sebastian, ten młody dziennikarz z ich redakcji, opowiadał niedawno niestworzone rzeczy! Jeśli więc obalą ten ustrój, no to nie będzie wiadomo ostatecznie, jak bardzo uparta była Julita. Męcząco uparta, w każdym razie.

205

Że ją zdradzał? No zdradzał! Ale czy coś jej kiedykolwiek obiecywał? Nie! Jeśli w ogóle coś komuś przysięgał, to wiele lat temu, nie ostatnio, a już na pewno nie Julicie. To czego się złościła? Od początku ją uprzedzał, że nie chce żadnego stałego związku. Żadnego wspólnego mieszkania, gadania o dzieciach, małżeństwie i tym podobnych bzdurach! Trzeba było

słuchać! Ale ona tylko kiwała głową i myślała, że przeczeka jego krótkotrwałe podrywki. Nie jego wina, że się przeliczyła. Taka mądra niby, a tu proszę, głupota aż biła po oczach, kiedy szło o sprawy oczywiste. Oczywiste i jasne jak słońce!

Kiwa głową nad uporem Julity i myje niechętnie te wszystkie brudne szklanki i talerzyki, bo nie chce przecież narazić się jutro na uwagi Krzysztofa.

Swoją drogą — pociąga tym razem bezpośrednio z butelki — ciekawe, dlaczego Krzysztof od pewnego czasu przyjeżdża po niego zawsze na początku wakacji? Podobno ma tu jakieś sprawy do załatwienia, jakieś ważne spotkania, ale może tylko tak kręci, dla zmyłki? Bo kogo on tu zna? Nikogo! A i bez Niusi nie lubi ruszać się z domu. Więc?

Czyżby maleńka inspekcja? Niemożliwe! W domu nigdy nic nie mówi się o alkoholu. Zresztą po co? Za punkt honoru, oznajmiony z dumą znajomemu lekarzowi w zeszłym miesiącu, stawia sobie przecież całkowitą abstynencję w czasie, kiedy jest w miasteczku. Tam nikt nie mógłby ani pół słowa na temat jego picia powiedzieć. Nawet Iwo, bo i w jego obecności, już od lat, nie był nawet lekko wstawiony. Czyżby Krzysztof rozmawiał z kimś z redakcji? Niemożliwe! Zupełna paranoja! Przecież naczelny nie bawiłby się, aż tak dosłownie, w dobrego wujaszka! Nie wezwał chyba na pomoc tatusia?

Tamten wybryk w redakcji nie był dobrym pomysłem, sam wie to najlepiej, ale zapowiadało się przecież całkiem nieźle. Popołudniowe zebranie kolektywu ciągnęło się w nieskończoność i choć ostatecznie ustalili cały plan artykułów na najbliższy czas, to każdy zmęczony już był, jak wszyscy diabli. Jemu, jak zwykle, przypadły w udziale sprawozdania z wiosennego rozpoczęcia sezonu żeglarskiego, jakieś wywiady, kilka ciekawostek...

Staremu nawet podobał się pomysł artykułu z warsztatu skutniczego, który Adam zaproponował, pewny na sto procent współpracy zaprzyjaźnionego żeglarza. Wszyscy odetchnęli, kiedy wreszcie zebranie dobiegło końca i zaproponowano, nie wiadomo nawet kto, bo z całą pewnością nie on sam, żeby posilić się i odpocząć

206

razem, na miejscu, w salce zebrań. Nikomu nie chciało się teraz wlec do domu, przyjemniej było rozpocząć to odpoczywanie od razu, wspólnie. Razem pracowali, to i razem zabalują... Takie argumenty przekonywały wszystkich... Ktoś wyskoczył po kanapki, jakieś pół literka, dziewczyny zakręciły się wokół kawy... Rozpięli kołnierzyki, zdjęli te cholerne

krawaty, zapalili, atmosfera zrobiła się z lekka weselna...

Długo nieźle się kontrolował, wypił mało, ot, tyle, żeby nieco się rozluźnić, wyraźniej pijani byli inni, choćby i sam naczelny! On przecież zaproponował muzyczkę i tańce. Pooojechali...! Śmiechy, wygibasy, żarty jakieś...

Nic by się jednak takiego nie stało, gdyby nie Regina, to ona podniosła wrzask, że Adam jej spokoju nie daje, obmacuje i wprost zmusza do tańczenia. A ona sobie nie życzy, bo wiadomo, że on zawsze te łapska ma za długie, a zresztą znowu pijany jest w sztok, co każdy widzi! Myślałby kto! Zmusza! Czy on musi namawiać kobiety do tańca? On?! Regina po prostu jako jedyna była trzeźwa i tyle!

Na starego by się nie odważyła gęby rozedrzeć, więc najłatwiej było przyczepić się jego. Bo tylko on jeden z nią tańczył? Wcale nie! Nawet inni, ale tylko z łaski, niech sobie nie wyobraża za wiele, bo wiadomo, że to suka głupia jest i wciąż się kogoś o coś czepia! Jeszcze do partii z ozorem lata! Takie ma chody! Wielkie rzeczy! Na co dzień jedynie się mizdrzy do każdego, a zwyczajnie zazdrosna jest o wszystko, bo talentu za grosz babsko nie ma! Ile z tego pomyślał, a ile powiedział? Trudno wyczuć...

W każdym razie zrobiła się chryja, to pewne. Naczelny, jako że sam w libacji uczestniczył ochoczo, gadać za dużo nie mógł, ani specjalnie pouczać nawet, więc zaczął z tej właśnie, przyja-cielsko-ojcowskiej strony. Jak to patrzeć nie może, że Adam się tak marnuje, że ze swoim talentem mógłby już na cały kraj pisać kawałki, a nie tylko u nich, lokalnie. Wiedzę ma, języki zna, ho, ho, ho, jakie perspektywy dla niego by się znalazły, gdyby...

No właśnie, i tu jest ten zdechły pies pogrzebany! Trzeba coś z tym piciem zrobić, bo jednak za głośno się robi na temat jego chlania, i to głośno wcale nie tak, jakby sobie naczelny życzył dla swoich dziennikarzy i redakcji, a dla niego w szczególności.

Popija znów głęboki haust, przełyka ze smakiem, czując, jak pali w gardle i rozgrzewa skurczony, obolały żołądek, po czym sprawdza, ile jeszcze zostało w butelce. Jezu! Bo to on sam tyl-

207

ko pije? Czepiają się jego, bo w oczy się rzuca i o nic więcej nie chodzi! Spogląda pod światło na butelkę i chichocze głośno. Ale śmieszny świat, wykrzywiony, niczym ta brzydka gęba Reginki! Przez nią teraz do psychiatry, jak jakiś chory na umyśle, chodzić musi. Przysłużyła mu się baba, nie ma co! Wiwisekcję na nim robią, jak na łysej kobyle! Nic, tylko

dziękować pięknie!

A buteleczka? Proszę, jaka czyściutka! Chlup, chlup sobie chlu-pocze... Dobra połowa jeszcze została, to co zrobić z malutką? Przyjaciółeczka jedyna moja! Przynajmniej głowy nie zawraca! Milcząca taka, cichutka... Całuska damy, oj, damy... Masz! Słoneczko ty moje! Przecież cię do zlewu nie wyleję! Strata by była, nic więcej. Wręcz odwrotnie, raczej trzeba się zastanowić nad kupnem następnej, bo ta, biedulka, do wieczora nie wystarczy. Ale cała następna? Czy wytrzeźwieje po niej do rana? I jak da sobie radę na kacu jutro, przy Krzysztofie?

Co zrobić? Może ćwiartka? Mało... Pół litra? I to trudno będzie zgubić do rana. Więc ćwiartka... Niech będzie. Zrobi to dla rodziny, co tam, na kilka dni i tak musi się wziąć w garść. Zostanie w domu z tydzień... Nie, trzy, góra cztery dni, to starczy. Lubi oczywiście te letnie zjazdy, które zawsze zaczynają rodzinne wakacje, ale teraz w domu będzie przecież niemowlę, ta malutka Ania, Iwa i Krysi, więc łatwo się wyrwie po dwóch, trzech dniach.

Dobrze, teraz trzeba się tylko ubrać i zejść do sklepu na dole. Kupi przy okazji jakieś bułki, czy co tam i wykupi receptę, która zawiera komplet pastylek na przyszły miesiąc, przy sobie ma jeszcze trochę, ale lepiej przecież zapewnić sobie zapas, w razie czego.

Z uśmiechem spogląda w lustro. Zupełnie nieźle, jak na czterdziestolatka, figurę i prezencję ma po Mariuszu, to pewne, a jeśli pożyje w zdrowiu tyle, co on? Ho, ho... Przecież staruszek nawet dzisiaj zupełnie nieźle się trzyma, z osiemdziesiątką na karku! Na ostatnim zdjęciu, przysłanym w liście, wyglądał zupełnie dobrze, a tak się bali, czy sobie poradzi psychicznie i fizycznie po śmierci Vetti. Ma ojciec krzepę, bez dwóch zdań! Dla animuszu pociąga jeszcze łyceczek i wychodzi prędko, wciskając w głąb pamięci tamto zdjęcie, nie będzie się nim przecież szczególnie przejmował, tym bardziej teraz, kiedy trzeba szybko załatwić potrzebne sprawunki.

Cholera! Boli jak diabli! Potknął się, wychodząc z apteki i uderzył mocno czołem o futrynę drzwi. Dobrze chociaż, że wcześniej zdążył wszystko kupić, bo zamroczyło go nieźle! A i aptekarka mog-

208

łaby mieć jakieś podejrzenia przy sprzedawaniu tabletek, gdyby się zataczał. A tak? Proszę bardzo! Chwilę postął pod drzewem, odetchnął sobie głęboko, ale udało się! Wszystko ma teraz przy sobie i już wychodzić dzisiaj nie musi. Tylko skroń łupie jak wściekła, trzeba by coś przyłożyć, jakiś lód? Ale w lodówce pustki, nawet głupiego lodu nie ma!

Znowu go zatelepało! Do licha! Słaby jakiś jest, bez dwóch zdań. To na pewno tylko dlatego, że jeszcze nic nie jadł od rana. Albo od wczoraj? Czy cokolwiek przekąsił, kiedy była ta panna? E tam! Miał apetyt na coś innego, to i żarcie nie było mu w głowie. Proszę, jakie w nim siły drzemia! Jest niby tur! Dobra, był... W tej chwili trochę mu słabo, cóż, zdarza się w najlepszej rodzinie. Trzeba zaradzić, szybciotko, bo rzygać się chce coraz mocniej... Ale i teraz nie czuje się głodny, może chociaż mleko?

Z niechęcią patrzy na bułki, ale przygotowuje kanapki, tylko później nakrywa je skrupulatnie talerzem, by za chwilę całkiem o nich zapomnieć. Mleko jednak wypija, bo zdrowe, a że niekoniecznie do leków i wódki? Cóż, o tym nie myśli. Wciąż jednak kręci mu się w głowie od tego wszystkiego. Dobrze byłoby się położyć, tylko czy zaśnie? Łyka jeszcze ze trzy pastylki. Albo cztery! Tak, zawsze lepiej wziąć trochę więcej, bo pewnie już się od nich uzależnił i nie działają jak należy. Bo gdyby było inaczej, to przecież spałby już od wczoraj jak suseł.

Karol, ten lekarz psychiatra, do którego wysłał go naczelny po ostatniej burdzie w redakcji, mówił, że nie uzależniają, ale co on może wiedzieć? Konował jakiś! No dobrze, bądźmy szczerzy! Nie jest taki zły, jak na lekarza, tylko trochę marudny. Stuka paznokciami o przednie zęby, kiedy się nad czymś bardzo zastanawia i wygląda wtedy naprawdę głupawo, nie da się ukryć. Kiedy się tak przed nim siedzi, to widać te wszystkie jego głupie gesty. Jak u dzieciaka, doprawdy!

Ale pytaniami strzela zaskakująco celnie. Wprost do bólu. Trzeba się nieźle nagimnastykować, żeby umiejętnie zmykać przed tymi jego analitycznymi zabawami. Jezu! Taki dzieciaczek niby, a tu proszę! Przykopic ci równo, ani się obejrzysz!

— A traumatyczne wydarzenia z dzieciństwa? Jak je oceniasz? Co o nich myślisz? Nie myślisz? To, jak sądzisz, dlaczego ich unikasz? — strzela jak karabin maszynowy, który drobnymi dziureczkami wyszyje ci w mig ażurowe obramowanie dookoła smętnej sylwetki! I gdzie tu zmykać? A na te spotkania chodzić niestety trzeba, bo naczelny sprawdza, za każdym razem, no zupełnie jak w więzieniu, dają słowo!

209

— Nic nie sądzę i niczego nie unikam, a ty sam nie truj mi tu zbyt wiele!

— Oho! Czasami naprawdę trzeba tego Karola trochę usadzić! Tylko, że jego nic nie wścieka i nie tak łatwo sprowadzić go na inne tematy. Zawsze ma, drań, coś w zanadrzu, żeby człowiekowi dopiec!

— A siostra? Co myślisz na jej temat?

— O Niusi? A co mam myśleć? Kocham dziewczynę po prostu, przecież

wiem, ile dla mnie zrobiła. Zresztą jest zwyczajnie dobrym człowiekiem. Kochająca, troskliwa...

— Nie pytam cię o Niusię. O niej już dosyć rozmawialiśmy. To akurat masz rozpracowane bez problemu. Więc mi tu nie nawijaj bez powodu.

—• Chodzi o Janeczkę? To pytaj raczej Iwa. Wiem o niej tyle, co nic. Oni bliżsi są wiekiem i pomysłami na życie nawet. Jednak kilka rzeczy, proszę bardzo, mogę ci opowiedzieć. Na przykład, jak raz w dzieciństwie...

— Nie ściemniaj, Adam, nie ściemniaj! Pytam o twoją angielską siostrę. O... — pochyła się ku notatkom — o Teodorę. Byłeś o nią zazdrosny? Miałeś żal do ojca, że nie przy tobie był w dzieciństwie? Że to ona wychowywała się, że tak powiem, u jego kolan?

— O co miałem być zazdrosny? Tylko śmiać mi się dosłownie chciało, jak ją poznałem. Wiesz, chłopie, jaka ona do mnie podobna? Wypisz, wymaluj! Jak dwie krople wody! Istna komedia, mówię ci, druga wersja mnie samego!

— To ciekawe... Jaka wersja ciebie? Lepsza? Gorsza? Interesujące stwierdzenie. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, co?

— Nic! — ucina Adam, nie chcąc wypowiedzieć głośno prostego słowa, które wyraźnie mu się nasuwa. — Nic na ten temat nigdy nie myślałem!

— skanduje ze złością, akcentując każdy wyraz. — Odwal ty się lepiej ode mnie, dobrze? Po dobroci ci radzę!

Z trudem unosi opuchnięte powieki i z roztargnieniem rozgląda się po pokoju. Spał trochę? W głowie dudni. Słońce świeci prosto w twarz, a ślina wypełnia usta i powoduje, że chce się splunąć, albo i wymiotować nawet. Czy Karol jest tutaj? Czy siedzi w tym fotelu naprzeciwko, stukając paznokciem w wystające siekacze, czy to tylko wytwór jego chorej wyobraźni?

A mógłby teraz siedzieć! Niechby nawet gadał te swoje bzdury! Byle by był! Ludzi nigdy nie ma przy tobie, wtedy, kiedy są potrzebni... Na przykład, taka Julita, smęciła, kręciła się, a kiedy mogłaby się przydać, proszę bardzo! spakowała manatki i poszła...

210

Kiedy to było? Rok...? Nie, ze dwa lata, albo i trzy... Proszę, jak ten czas leci, tylko go puścić wolno i zaraz jak ptaszek, fru... .

Chciała, żeby się leczył. Męczyła i gadała tylko o tym, w końcu już nawet nie o miłości... Może sobie ostatecznie kogoś znalazła? Kto ją tam wie? W gruncie rzeczy niezła z niej sztuka, facetów to by mogła mieć na pęczki, ale zawzięta akurat na niego była... Nic, tylko leczyć i leczyć... Z czego niby? Z tej chandry, która go gryzie?

Bo chyba nie z takiej niewielkiej skłonności do alkoholu? Ile on pije? Tyle, co nic! I trzeźwieje zawsze do rana, więc o co chodzi? Że czasem nie pamięta, co mówił i robił? No i bardzo dobrze... Kto by wytrzymał ciągle to jej marudzenie? Przynajmniej jakiś kawałek tych bezsensownych narzekań rozpułynał się w niepamięci... Że i on gada wtedy, co mu ślina na język przyniesie? Wielkie rzeczy! Mogła nie słuchać... Powiedział o tych kilka słów za dużo? No, co takiego jej powiedział? No, co...?!

Teraz to już naprawdę ma mdłości, ale nie będzie przecież rzygał na podłogę, nie po to ją sprzątał. Ale ta podłoga błyszczy... I rusza się wyraźnie, w górę... Blee... W dół... Blee... O matko! Rzygnie tu, jak amen w pacierzu... Do łazienki i tak nie dotrze, to pewne... Poleży sobie jeszcze... Jakby się uspokoiło trochę. Cicho... I wcale nie ciemno. Jak dobrze, że jest dzień... Może jednak spróbuje zasnąć? Tak dawno nie wyspał się jak człowiek... Tak dawno nic mu się nie śniło... Głowa boli okropnie i w gardle coś dławi. Kołuje cały świat, kołuje... W skroniach tętni i huczy, a głupie serce bije mocno... Na co? A kto je wie? Może gdyby nie należało do nikogo... to fruwałoby sobie swobodnie, jak marzenie senne, a tak? Zakłamane, zakłamane...

I znowu tamta fotografia... Tylko biel i czern... I jej oczy... Takie roześmiane... Że ani uciec od nich... Ani zapomnieć... Tylko biel i czern... Tylko...

Tak wreszcie zasypia. Spokojnie, z dłonią przy policzku, swobodny jak dziecko, nawet jakby uśmiechnięty? Naprawdę! I dlatego Krzysztof, który odnajduje nazajutrz jego ciało, zawsze będzie chciał wierzyć, że była to śmierć zupełnie przypadkowa, chociaż milicjant, odpowiedzialny za dochodzenie, pozostanie do końca przekonany o świadomym samobójstwie.

— Co z tego, że szwagier upiera się przy sprzątniętym mieszkaniu i jedzeniu w kuchni? W żołądku miał tylko wódkę, trochę mleka i dosłownie tonę prochów, których nie mógł przecież wziąć przez przypadek — powie ze znanstwem do kolegi na komendzie.

211

— Ale, co tam, nie będę się upierał jak głupi, niech im będzie, że nieumyślnie przedawkował. Dla rodziny zawsze to lepiej brzmi, nie? Niby żał ten sam, ale jednak wyrzutów sumienia trochę mniej. Chociaż... Jedno ci powiem... Z pijusami nie wygrasz, żebyś nie wiem, co robił! Sam mam takiego kuzyna w rodzinie, na ilu już był odwykach, chłopie! I wciąż od nowa... Cholera człowieka chce wziąć...

— A może to, mimo wszystko, wiąże się jakoś z polityką?

— będzie rozważał Sebastian, stojąc wśród innych nad grobem starszego kolegi, którego on jeden w redakcji lubił zawsze, wbrew opiniom, że to babiarz i pijak. — To uderzenie w skroń dziwnie symptomatyczne. Niby Adam w nic się nigdy nie mieszał, ale kto to wie? Teraz wszystko się może zdarzyć...

— Nie ma jednak tej angielskiej siostry... — skonstatuje zamyślony Karol, którego ściągnięto, w ramach śledztwa, z wakacji nad jeziorami i który wybierając się na pogrzeb, zaznaczy sobie w notatniku czerwonym długopisem, żeby nigdy nie przepisywać pacjentom zwiększonej dawki tabletek przed żadnymi wyjazdami.

— Przyjechał tylko stary ojciec. Ciekawe, dlaczego? — i robi przy tym tych kilka swoich grymasów, które zawsze tak bardzo bawiły jego trudnego i zamkniętego w sobie pacjenta.

Tylko ksiądz Paweł nie zastanawia się nad niczym szczególnym, odprawia obrządek, nie patrząc na nikogo spośród zgromadzonych, jedynie w myśli powtarza wciąż od nowa żarliwą modlitwę o choćby odrobinę pewności, że Adam zdążył jednak pojednać się z Bogiem, zanim wreszcie zasnął tak mocno, jak tego pragnął.

XVII

Całe to pomieszczenie przypomina mi czarowny, subtelnie drażniący zmysły, a jednocześnie bardzo wyrazisty i upojny sen łakomczucha, począwszy od delikatnie budyniowego sufitu, poprzez ciepłowaniliowe ściany, o niepowtarzalnym kolorze słodkiego, puchatego kremu, przechodzące w połowie w karmelową matową lamperię, aż po podłogę o ciemnej barwie gorącej, gorzkiej czekolady. W powietrzu unosi się ledwie wyczuwalny, chwilami silniejszy, momentami nieco słabszy, zapach mięty i bergamotki, wymieszany z cierpkawą nutą zielonej limonki, a elementem dodatkowym, spajającym całość w kojącą oazę, jest łagodna muzyka relaksująca, skomponowana z szumu strumyka, śpiewu ptaków i łagodnych nut cytry, współgrającej z naturą.

Nie wiem, jak wygląda prawdziwy raj, ale w takim, jak ten, na pewno chciałabym się znaleźć na dłużej. Niestety, czas przeznaczony dla mnie jest tu ściśle określony, nawet wtedy, kiedy, dzięki zabiegom Izki, mam wrażenie, że skomponowany został jedynie na mój prywatny użytek.

Wreszcie zdobyłam dla siebie termin u koleżanki kosmetyczki, o której zdolnościach krążą już prawdziwe legendy i w związku z tym jest oblegana dzień po dniu tak bardzo, że nawet przerwy na sen niedługo zaczniemy jej zazdrościć, a nawet wydzielać.

Na szczęście Izka ma jednak w sobie dużo zdrowego dystansu i potrafi o siebie zadbać, tak jak i wyczuć, kto naprawdę i natychmiast potrzebuje jej pomocy, a kto jedynie pragnie pofolgować zmysłom, więc można mu wyznaczyć nieco krótsze spotkanie. Dlatego mogę dzisiaj plawić się w rozkoszach naprawdę długo. Mam już za sobą rewelacyjny, odprężający masaż twarzy, maseczkę i inne zabiegi, a teraz Izka przycina mi lekko końcówki włosów, aż lśniących od szamponu, odżywek i pielęgnacji, więc możemy spokojnie rozmawiać, wymieniając niespiesznie babskie doświadczenia.

Uwielbiam te pogaduszki, stanowią chyba dla każdej z nas spe-
213

cyficzną formę terapii zdrowotnej i Izka powinna za nie wliczać dodatkową opłatę, jak za profesjonalną usługę, ale ona śmieje się t^\b, тагаахсжаp zabawnie ?vosek l kte_ci £,iową, ceYną. czarnych, naturalnych kędziorków.

— No coś ty, Anka, dla mnie to tylko sama przyjemność, jak mogę z kimś ze starej wiary spokojnie pogadać. Na co dzień niemal nie wychodzę z tej nory — tu obrzuca rajski gabinet pospiesznym, ale uważnym spojrzeniem perfekcjonistki — więc każda z was to dodatkowa premia raczej dla mnie! Przynajmniej wiem, co się z wami dzieje i jak żyjecie. Tego mi chyba najbardziej brakowało w Stanach. Właśnie takich przyjacielskich rozmów z kimś, komu mogę zaufać.

I tak powiedziała dużo, bo jak dotychczas, wszystkie rozmowy o wrednym Rysiu i jej przeżyciach za oceanem obłożone są surowym embargiem i żadna z nas nic o tym nie wie. Czuję się więc mile zaskoczona jej szczerością, ale ona i tak zaraz ucieka w ogólniki, dopytując raczej, jak układają się moje własne sprawy i plany. A one mają się całkiem nieźle, co donoszę Izce z prawdziwą radością i zadowoleniem.

Piotruś sprawuje się świetnie i każdego dnia staje mi się bliższy. Nie ma już między nami żadnych dodatkowych tajemnic, więc możemy cieszyć się swoją obecnością i spokojnie ją rozwijać, ale z pogłębianiem naszego związku jakoś się nie spieszę. Byliśmy razem na nartach, w lutym, i bawiliśmy się naprawdę fajnie, ale nadal sypialiśmy osobno. Odwiedzamy jego mamę, spotykamy się z Jaśkiem i jego rodziną, wybraliśmy się nawet raz czy drugi na wspólną kawę z Zosią i Mirkiem. Dawniej powiedziałoby się, że po prostu chodzimy ze sobą. I tak to jakoś trwa, bez zmian, choć wiosna za pasem. Może to nawet staromodne, ale cudownie jednak jest mieć na własność ten czas wzajemnego, powolnego poznawania się i upewniania, czy rzeczywiście będzie się chciało spędzić ze sobą całe

życie. Bo o tym coś tam przebąkuje się jednak w kularach, zwłaszcza ze strony Piotra.

— Nieprawda — mówię nagle, patrząc Izce prosto w oczy. — Ja też poważnie o nim myślę. Chciałabym wyjść za niego, mieć dzieci, dom, wspólną przyszłość. Tylko, widzisz, teraz muszę mieć absolutną pewność, rozumiesz? Tyle tej pewności, ile się da, żeby nie powiedzieć sobie kiedyś, że znowu coś zrobiłam tylko spontanicznie, tylko pod wpływem silnych emocji, ale wiedzieć, że było to też świadome.

— Facet to nie rower na gwarancji, nie dowiesz się o nim ni-

214

czego, jeżdżąc i rok cały. Lepiej go poznasz, zgoda, ale co będzie dalej, tego nie przeczujesz. Widzisz... — Izka wyraźnie zbiera się w sobie, jakby w wahaniu, czy chce być szczerą — obie już raz tę pewność niby miałyśmy i co z tego wynikło? Wielkie zero, tyle ci powiem.

Jednak umknęła! Patrząc, jak kończy fryzurę, taka skupiona na swojej pracy i żal mi bardzo, że nie chciała powiedzieć więcej. Nie dlatego, żebym potrzebowała sensacji, ale żeby i ona sama wreszcie to z siebie wyrzuciła, bo inaczej... Czy zacznie coś nowego? Kiedykolwiek? Ale i Izce jest chyba źle z tym swoim milczeniem, bo kiedy w końcu siadamy nad filiżankami z przepyszną, zieloną herbatą, do której mnie chce przekonać, gdyż ponoć zdrowa niby jakiś zaczarowany afrodyzjak, bierze jednak ode mnie papierosa i zaczyna zwierzenia.

Nie ma w nich specjalnych sensacji, raczej to, czego mogłyśmy się spodziewać już dawniej, znając Ryśka jeszcze w liceum, a czego ona, zaślepiona pierwszą miłością, nie chciała dostrzec. Był zwyczajnym draniem, i tyle. Nie pracował nigdzie, jadąc tylko na jej pieniądzach i goniąc ją do pracy, ile wlezie. Myła naczynia w tanich knajpach, sprzątała biurowce po nocach, najęła się nawet do mycia wielkich okien na zewnątrz budynków, byle tylko ukochany miał forszę na swoje zachcianki i głupie pomysły.

A wymyślał coraz to nowe interesy, plany jakieś, od których tylko włosy się jeżyły na głowie. Ponadto pił na umór i sprowadzał jej do domu łachmytów, poznanych przygodnie w byle barze. Znosiła to wszystko bardzo długo, niemal dwa lata, bo wciąż wierzyła w niego i w to, że za chwileczkę wszystko między nimi odmieni się na lepsze, aż zaproponował jej kiedyś, żeby się z którymś przespała dla pieniędzy, bo jego potrzeby (także na prochy) wciąż rosły.

Wtedy, bez jednego słowa, wstała z kanapy, wyszła do łazienki i związała przez okno, wprost na ulicę, jak w najgorszych opowieściach o życiu z

marginesu społecznego. Miała przy sobie jedynie torebkę z dokumentami i kilka dolarów, a do pracy wrócić nie mogła, bo Rysiu znał adresy. Rysiu! Nadal tak o nim mówi! Matko Boska! Chyba się wścieknę! W każdym razie poszła przed siebie, zdecydowana przeżyć po ludzku, za wszelką cenę.

— Jak, na miłość Boską? Jak chciałaś przeżyć? — po prostu nie mogę opanować przerażenia i zgrozy, patrząc na te jej malutkie dłonie i drobną sylwetkę, w ogóle na tę całą naszą piękną, licealną wio... wioło... wiolonczelistkę la, la, la...

— Zwyczajnie — wzrusza ramionami — ciężkiej pracy już się
215

nie bałam, od dawna. Musiałam tylko odejść jak najdalej od tamtej dzielnicy i zacząć od nowa, gdzieś indziej, bez Rysia.

Nie komentuję tego jej „Rysia” głośno, tylko po to, żeby się nie zdenerwowała i nie przerwała opowieści, ale jak bym drania dostała w swoje łapy... — To, co? — pytam sama siebie w myślach — no, co? Większy i silniejszy od ciebie, tylko by ci przyłożył, bohaterko jedna! A wtedy? Jak byś miała sińce na twarzy i ciele, to nie mogłabyś się nawet bronić przed jego pomysłami na lepsze wykorzystanie twego ciała dla forsy. I do pracy też by cię nigdzie nie przyjęli. Więc ostatecznie patrzę tylko na nią z respektem i milczeniem.

— Rano byłam już w dobrej dzielnicy — mówi cicho, zamyślona, jakby wbrew sobie wróciła do tamtego czasu i miejsca — wyglądałam nawet nieźle, bo miałam na sobie najlepszą sukienkę. Wyjść mieliśmy do jakichś jego znajomych, tak mówił, ale teraz wiem, że chodziło mu raczej o to, żebym się dobrze prezentowała przed ewentualnym klientem. Wyszło mi tylko na zdrowie, bo nie musiałam się wstydić ciuchów przy szukaniu pracy — komentuje, patrząc na mnie smutnym wzrokiem.

Wypija jeszcze łyk herbaty, ale ja wiem, że nie przedłuży, dla efektu, tylko pragnie raz jeszcze prześledzić w sobie tamte myśli i uczucia. Jest taka piękna! Taka eteryczna i subtelna! Wprost wierzyć się nie chce, że to wszystko przeżyła i dała sobie radę. Gdzie mieści w sobie taką siłę? Patrzę na nią z prawdziwym respektem i wstydem nawet, bo ja sama, cóż... W porównaniu z nią żyłam sobie zawsze spokojniutko i bez problemów.

— Zjadłam porządne śniadanie, drogie jak wszyscy diabli, odpoczęłam też sobie po tej całej nocy, pełnej stresów, bo jakby mnie gdzieś przyjęli, to od razu trzeba było pokazać gotowość do pracy i siłę. Resztę pieniędzy zużyłam na ten posiłek, ale dzięki temu miałam tylko silniejszą motywację. Musiałam po prostu coś znaleźć! Innej rady nie było, no więc

ruszyłam na poszukiwania. Wcale długo nie błądziłam — tu znowu uśmiecha się do mnie filuternie — żadnych dramatów się nie spodziewaj. Dostałam pracę sprzątaczką w salonie kosmetycznym, ot, i cała tajemnica! — Tylko mi nie mów, że tego wszystkiego nauczyłaś się, sprząając w jakimś zakładzie kosmetycznym. Już ci wierzę! Lepiej nie bujaj, jak już raz zaczęłaś opowiadać!

— Myślisz, że głupia jestem? I pięć lat zamiatałam podłogi? Naprawdę, tylko na tyle mnie znasz? Przechodziłam powolutku, od mycia głowy, do paznokci, do nakładania farby, krok po kroku, ale

216

konsekwentnie. Wtedy przyuważyła mnie szefowa. Na pierwszy rzut oka, mówię ci, baba jak piec, a groźna! Bez zbroi nie podchodź! Ale jak widziała, że komuś zależy, to dawała możliwości rozwoju. Ja nawet wolnych dni nie brałam, bo i po co? Wychodzić do miasta po prostu się bałam, żeby gdzieś przypadkiem tego gnojka nie spotkać — teraz już jawnie śmieje się ze mnie, bo widziała przecież, jak mnie ten jej „Rysiu” denerwował i podpuszczała, najzwyczajniej! Wstrętna żmija! — Musiałam też pieniądze zebrać na bilet do domu, bo postanowiłam wracać, kiedy tylko się da, jak najprędzej. Ale szefowa wzięła mnie na rozmowę i wyklarowała, że samym biletem świata nie zwojuję. Jak już tu siedzę, to niech chociaż jakiś pożytek z tego będzie... Pilnowała mnie, jak cerber — dodaje po chwili — wszystkie kursy kazała robić, wskazywała nawet, które będą najlepsze. Załatwiła mi też stypendium, żeby mogła profesjonalną szkołę skończyć. Słowem, pomogła mi baba, jak nikt na świecie. Patrz, obcy człowiek... Miała jednak coś w sobie takiego, ja wiem?... uczciwego do szpiku kości. Pod koniec pobytu traktowałam ją już jak najlepszą na świecie ciotkę, nawet spłakałyśmy się obie na lotnisku. A mojego Rysia... — mruga do mnie porozumiewawczo — nie spotkałam więcej. Jak pokończyłam, co było do kończenia, to wróciłam i tyle. Ale teraz czasami żałuję, że sprawa z draniem została taka... nie całkiem domknięta. Gadać z nim nie było warto, a ja jednak z pustką dziwną zostałam. Widzisz, ani się z tym rozliczyć, ani rozgrzeszyć... Głupio jakoś. — Rozgrzeszyć? Oszalałaś? A co takiego zrobiłaś, że rozgrzeszenia potrzebujesz? Zlituj się, dziewczyno!

— Teraz tak mówisz — Iza patrzy na mnie cholernie poważnie — ale od początku wszyscy mi tłumaczyliście, że to głupek i łajdak, tak czy nie? Durna byłam i sama sobie tego zapomnieć nie mogę. Co ci będę truła? Sama wiesz, jak człowiekowi jest, kiedy głupotę popełni, wielką niby Statua Wolności, że pozwolę sobie

— oddycha już pełną piersią jak po jakiejś spowiedzi, i dolewa nam obu herbaty — takim, z lekka amerykańskim, porównaniem strzelić.

— Sprawę do ciebie mam, głupia... — znowu siedzimy z Zośką w barku, ale tym razem ona patrzy prosto na mnie, a jej wiosenna, piękna bluzeczka przeznaczona jest na wyłączny użytek Mireczka, chociaż facetom dokoła oczy z orbit dosłownie wyskakują na jej widok i drżą łapki z kubkami kawy, nieostrożnie podnoszonymi

217

III*

cio spragnionych ust. ----- Właściwie dwie sprawy -----

prostuje <u>

ściskości ----- i obie głupie.

— pozwalam łaskawie, bo wiosna nastraja mnie optymistycznie do świata, a zbliżający się majowy wyjazd z Piotrem do A.ng,\\\ daje nadzieje, od k!6ryc7 serce bije mocniej i radośniej.

- Zaczynij od głupszej, będzie ci łatwiej.

- Kiedy one obie równo głupie, tyle że każda inaczej — waha się Zośka — ale niech będzie, zacznę od głupszej dla ciebie. Bo i o / luherta — Zośka łypie na mnie przeprasząco, a/e c/Γ^-

K dalej — prosi cię o spotkanie. Przeze mnie, cholera jasna, bo mu, zważ jak lojalnie, twoich numerów nie chce podać. Więc, udno, trafiło na mnie...

III Mój dawny znajomy? Ten Hubert, o którym obie

^1 Wzy może jakiś inny? — nieco mną jednak wstrząsnął

Kat, skoro dolewam śmietanki do zabelonej już kawy

icszam uporczywie, jakby świat tylko od tego zależał, czy mi

/oórze fa śmietanka w białej kawie rozpuści.

2rs^^^*2fi£EK

do spragnionych ust. — Właściwie dwie sprawy — prostuje, dla ścisłości — i obie głupie.

— Wal — pozwalam łaskawie, bo wiosna nastraja mnie optymistycznie do świata, a zbliżający się majowy wyjazd z Piotrem do Anglii daje nadzieje, od których serce bije mocniej i radośniej. — Zaczynij od głupszej, będzie ci łatwiej.

— Kiedy one obie równo głupie, tyle że każda inaczej — waha się Zośka — ale niech będzie, zacznę od głupszej dla ciebie. Bo chodzi o Huberta — Zośka łypie na mnie przeprasząco, ale ciągnie dalej — prosi cię o spotkanie. Przeze mnie, cholera jasna, bo nikt mu, zważ jak lojalnie, twoich numerów nie chce podać. Więc, trudno, trafiło na mnie...

— Jejku!? Mój dawny znajomy? Ten Hubert, o którym obie myślimy? Czy może jakiś inny? — nieco mną jednak wstrząsnął komunikat, skoro dolewam śmietanki do zabelonej już kawy i mieszam uporczywie, jakby świat tylko od tego zależał, czy mi się dobrze ta śmietanka w białej kawie rozpuści.

— Nie wiem, czego on chce, nie pytałam nawet, ale tak się przyssał do mnie, że obiecałam tobie powiedzieć, bo wydzwania bez przerwy, że jeszcze sobie Mirek coś głupiego pomyśli, a tego bym nie zniosła. Prosił, żebyś się odezwała do niego, bo koniecznie chce pogadać.

Milczę, bo nic sensownego nie przychodzi mi do głowy, nie widziałam palanta od grudnia i nawet nie myślałam o nim, a teraz coś takiego. Nawet nie wiem, jak się czuć? Badam w sobie emocje, ale jakoś niczego szczególnego nie odbieram, no, może lekkie zniechęcenie. A ciekawość? E, chyba też nie, co takiego mógłby mi powiedzieć, co by mnie mogło naprawdę zainteresować? Może się żeni? I co? Chce mojej zgody? Akceptacji? Błogosławieństwa? Trzeba przyznać, że dobrze mi bez myśli o nim, więc po co zakłócać w sobie ten stan? Żeby jemu ulżyć? Ha! Jednak pytań dużo się łęgnie... Może nawet zbyt wiele...

— Więc? — Zosia wyraźnie czeka na moją decyzję, a ja zupełnie nie wiem, co jej odpowiedzieć. — Spotkaj się z nim, bo będzie mnie nękał do skończenia świata. Wiesz, że on łatwo nie odpuści. Bogiem a prawdą to już go usiłowałam zbywać, ale się zaparł, osioł jeden.

— Zaparł się, powiadasz... Więc czegoś intensywnie pragnie. Ciekawe. Ale nie na tyle, żebym mu tę łaskę zrobiła. Piotrowi bym musiała powiedzieć, a nie chcę. Zebrać bym się w sobie musiała, anie chcę...

218

— Ja cię proszę, złociutka, kochana — Zosia przewraca oczyma i uśmiecha się przymilnie, a faceci rozlewają kawę na bielutkie koszule, jakby co najmniej do nich się wdzięczyła. Jak tak dalej pójdzie, to bufetowa nas stąd wyrzuci, bo nawet kanapki przestali kupować!

— A druga sprawa? — zbywam ją na razie, bo naprawdę nie wiem, jak z tego wybrnąć. — Co jeszcze wymyśliłaś? Może jakieś łatwiejsze dla mnie?

— O, Jezu! — tu koleżanka uderza w ton żalobny — druga dla mnie głupsza! I tak sobie myślałam, że jak na tamto się zgodzisz, to i druga jakoś mi obleci... Ale trudno, niech będzie... Bo, widzisz, o mieszkanie cię chciałam spytać, ale mi nijak... Jedzicie do tej Anglii... Więc może... No — decyduje się w końcu — my byśmy, z Mirkiem, chętnie je od ciebie wynajęli, jakbyś dużo nie wzięła za czynsz, co?

— A to proste jest dla mnie, niby świński ogonek! — radośnie kiwam głową. — Proszę cię bardzo! Możecie sobie pomieszkać! Tylko że my jedziemy na razie tylko na miesiąc, bo jeszcze pewni nie jesteśmy, co postanowimy dalej. A właściwie, to ja nie wiem, bo Piotrek gotowy jest na wszystko, co postanowię. On swoją kawalerkę sprzedaje, bo jej nie lubi, ale przede wszystkim, dlatego że chce mieć pieniądze do dyspozycji, a z wspólnego interesu z Jaśkiem wziąć nie może. Honorny taki, bez odpowiedniej gotówki jechać nie chce, już mi to wyraźnie zapowiedział. Może tę kawalerkę chcecie?

— Chcieć, to pewnie byśmy i chcieli, ale funduszy na to nie mamy. Żeby coś wynająć, na razie, to może...

— Czekaj! — budzę się nagle z tych jałowych dyskusji o pieniądzach. — Ty mi tu ważne rzeczy mówisz! A bzdurami się zajmujemy! Zamieszkać chcecie razem? Jejku! O tym mi sprawozda-waj! Już! Zaraz!

— Oj... — Zosia tak skromnie spuszcza oczy, że chyba zaraz sama się w niej zakocham, jeszcze wcześniej, niż ci chłopcy dookoła. — No, myślimy o tym, bo każde z nas z rodziną dotychczas mieszka...

— Poszła mi! — nie daję się zbyć. — Ty tu o przestrzeniach mieszkalnych nie gadaj! Od serca proszę, uczciwie powiedz, chcesz z nim być, tak, na serio? Przecież z chudym Patrykiem zamieszkać, tfu... być na stałe nie chciałaś? A chatę miał przecież?

— Mirek jest dla mnie ważny. Bardzo — Zośka milknie nagle, jakby to już miał być cały jej komunikat, ale wie dobrze, że na

219

to nie pozwolę, więc po chwili dodaje ostrożnie: — Chcemy być razem, pobrać się chyba... Nie, nie chyba, a na pewno, co będę owijać w bawełnę, tylko lokum jakieś...

No, i wróciłyśmy do punktu wyjścia! Lokum i lokum! Cholera jasna! A ja bym o uczuciach chciała! A zwłaszcza... Tak, ale o tym rzeczywiście jakoś nie wypada tu, w tym barku. Chociaż? Tu się przecież poznali? Ale mimo wszystko... Jak trudno jest gadać o sprawach naprawdę ważnych! Niby znamy się od lat, a jednak... Czy ona, z tym Mirkiem...? Wiedzieć bym bardzo chciała, ale spytać jakoś niezręcznie, jeszcze pomyśli, że rajcują mnie cudze, intymne opowieści, a to nie tak...

— Boisz się, że nie zapłacimy dużo?

— Co?! — wybiła mnie z zamyślenia, więc wzrok muszę mieć z lekka barani. — Czyś oczadziiała? Czy ja z głodu przymieram pod mostem, żeby z was zdzierać? Przynajmniej mi mieszkania przypilnujecie, tylko, uprzedzam, nie wiem, na jak długo... — ale już tonę w jej uściskach i

całusach, a faceci ostentacyjnie i z niechęcią odwracają wzrok, uznając widocznie, że już na pewno nie mają u mojej Zosi żadnych szans.

I tyle z moich ważnych pytań wynikło. Potem gadamy już tylko, wśród jej pisków i podziękowań, jak sprawę najwygodniej załatwić, bo nie wyprowadzam się przecież całkiem, meble zostają i ciuchy niektóre... No, i naprawdę nie wiem, co ostatecznie postanowimy w tej Anglii, niby Piotr jest gotowy tam zamieszkać, wszędzie w ogóle może żyć, byle ze mną, ale...

Jest pewne okropne, niepokojące ALE, które męczy mnie i powoduje, że choć czekam na Piotra z utęsknieniem, to każdy zbliżający się wieczór napawa mnie jednak niepokojem i smutkiem. Cieszę się, że jesteśmy blisko, mamy sobie zawsze tysiące spraw do powiedzenia, śmiejemy się, potrzebujemy siebie, moglibyśmy się nie rozstawać i oboje tego pragniemy, szukamy zachłannie swoich dłoni i ust...

Wtedy cisza między nami ogromnieje. Rozbiegane myśli, tętniące krwią i pragnieniem, wypełnia powoli dotyk naszych żarliwych pocałunków, moje ciało zanurza się miękko w ciepło jego ramion, a serce bije mocno, dokładnie w rytm jego serca. Wiem na pewno, że tylko tu chcę być, tylko jego dłonie czuć na ramionach i szyi, cały świat ogranicza się wtedy jedynie do nas dwojga, naszych pospiesznych oddechów, drżenia skóry, do najsilniejszej potrzeby bliskości...

A jednak, w którymś momencie cudownego zapomnienia, coś

220

mnie zatrzymuje nagle i ogranicza całkowicie. Coś tak silnie oddala od niego, że każe znowu, ze łzami w oczach, położyć palce na jego twarzy i odsunąć ją od siebie. Po raz kolejny... Jak poprzednio... Jak zawsze...

Milczymy potem, nadal mocno w siebie wtuleni, ale czuję przecież wyraźnie nasz strach, podpełzający podstępnie i kłusający zajadle.

Rozbijający naszą pewność, niszczący radość. Wiem, że go kocham. I on to wie. Ale to przedłużające się milczenie nie wróży nam dobrze. Już tyle razy przekonywaliśmy się wzajemnie, że to nic, że warto poczekać na całkowitą, bezgraniczną pewność, że nasza miłość jest silniejsza od głupich zahamowań i niezrozumiałych lęków.

Tyle razy... Może zbyt wiele? Czuję jego gorące ciało tak blisko siebie i wiem, że mogłabym zwyczajnie zamknąć oczy i wykonać, rutynowo, tych kilka niezbędnych gestów. Ostatecznie nie jestem przecież średniowieczną dziewczicą. Ale właśnie dlatego nie chcę. I on też nie. Bo nie tak miało być. Nie z rutyny miało być zbudowane to, co ważne między nami.

I właśnie dlatego on nadal wychodzi co wieczór, a ja zostaję, przeklinając

własny upór i głupotę, a tajemna, miłosna mantra, którą wyszeptywałam tylko dla nas, brzmi coraz ciszej i ciszej...

Nie wiem, najzwyczajniej nie wiem, dlaczego tak jest? Z Hubertem wszystko potoczyło się niemal błyskawicznie i od razu było po prostu dobrze. Oboje szczęśliwi, spragnieni siebie, uprawialiśmy radosny seks, bez żadnych zahamowań, głupich rozważań i żalonych łez, a przecież nie kochałam go nigdy ani w połowie tak mocno, jak Piotra. I komu mam o tym powiedzieć? Z kim porozmawiać? Kogo się poradzić? Zosi? Izki? Bo przecież nie Piotra, prawda? Ani Huberta? Boże! Z nim w ogóle nie dałoby się prowadzić takich rozmów! Chyba nigdy nie zamieniliśmy na ten temat żadnego logicznego słowa, może jakieś żarty, co najwyżej...

Zaraz? A o czym w ogóle on chce gadać teraz? No, na pewno nie o swoich kłopotach z piękną Madzią! Komu jak komu, ale jemu na pewno nie potrzeba głębokich podtekstów przy pójściu z dziewczyną do łóżka. Chadzał i z dwiema równolegle, nieprawdaż?

Więc czego chce? Może jednak warto sprawdzić? Ostatecznie chyba mebli ma już dosyć, więc nie będzie żądał ode mnie kolejnych haraczy? Dobrze, zobaczę się z draniem, właściwie jakaś rozmowa po tych wspólnych latach nawet by nam się mogła przydać. Podanie ręki na pożegnanie czy coś w tym stylu? Numer komórki jeszcze pamiętam, niech tam...

221

Po raz pierwszy patrzę na niego tak beznamiętnie, z boku, bez większych emocji, jak na żuczka, którego trzeba sklasyfikować i włożyć do albumu wspomnień. Ciekawe doświadczenie... Na pierwszy rzut oka przystojny, bardzo wysoki, jasnowłosy elegant, siedzący przy stoliku swobodnie, z lekko opuszczoną głową i bawiący się od niechcienia łyżeczką.

Sympatyczny gość, naprawdę, ale jeśli przyjrzeć się bliżej, dostrzec można zabawne szczególiki tego obrazka...

Wypiełgnowanymi palcami, trzymającymi błyszczący przed-miocik, wystukuje jednak równy, nieco przyspieszony rytm, świadczący o zdenerwowaniu, bo musi czekać, a tego nie lubi. Pod skórą policzka wyraźnie drgają zaciśnięte szczęki, więc jest trochę spięty, ale nie na tyle, żeby nie być świadomy otaczającej go rzeczywistości, bo oczy tylko pozornie są spuszczone bezradnie, w rzeczywistości bowiem powieki co jakiś czas unoszą się leciutko i wzrok błądzi w wyraźnie określonym kierunku. No proszę! Wyraźnie gra amanta! Dla kogóż to?

Podążam za jego spojrzeniem.... Aha! To ta wysoka, szczuplutka kelnerka zwróciła jego łowiecką uwagę. Jest nawet ładna, co niechętnie muszę jej przyznać, pewna siebie i swojej urody, przyzwyczajona do męskich oczu i

reagująca na zachętę w zależności od swojej woli. Dziś wyraźnie ma chęć na zabawę, bo rusza się swobodnie po sali, niby nieświadoma jego zainteresowania, ale ustawiona zawsze tak, na niewidzialnej niteczce jego wzroku, by widział ją wyraźnie i ani na chwilę nie stracił z pola widzenia. Interesujące, ale całkowicie obojętne, co stwierdzam z prawdziwą satysfakcją. Czy kiedyś by mnie to zabolowało? Chyba nie i wcale nie dlatego, że nie byłam zazdrosna, bo bywałam wściekle, ale z tej oczywistej przyczyny, że to ja bym na niego czekała niecierpliwie, a gdyby wreszcie wszedł, zdyszany i pełen prawdopodobnych usprawiedliwień, patrzyłabym tylko na niego, wcale nie na otoczenie, a tym bardziej nie na inne dziewczyny.

To teraz tylko daję sobie tę chwilkę uwagi, dzięki której widzę go wyraźnie i mam czas na takie konkluzje. Biedak. Chyba nawet nie robi tego całkiem świadomie, tylko sprawdza, jak zwykle, czy nadal jest atrakcyjny dla każdej interesującej kobiety w okolicy. To potwierdzenie na pewno go jakoś dowartościowuje, jakby nie miał już wystarczająco wiele pewności siebie, ale skraca też czas oczekiwania, którego przecież nie znosi.

222

Oho! Mówiłam! Łyp na zegarek! Aż śmiać się chce, taki jest przewidywalny. Odkładamy łyżeczkę, pijemy łyżeczek kawy, precyzyjnie odstawiamy filiżankę, żeby tylko nikt nie pomyślał, że się denerwujemy i... Jednak! Spoglądamy nerwowo w stronę drzwi, no, widzisz, jak ładnie? Oto stoję, właśnie przyszłam, więc patrzysz tylko na mnie, tym swoim specjalnym spojrzeniem zadowolonego Casanovy, przeznaczonym jedynie dla panien godnych uwiedzenia i śliczna kelnerka będzie musiała tym razem obejść się smakiem, jaka szkoda.

Gdy podchodzę, zrywa się szarmancko z krzesła i grzecznie całuje moją dłoń, po czym czeka, aż usiądę, dając popis savoir-vi-vre'u dla nastolatek, uśmiechamy się przy tym do siebie niezwykle kulturalnie, niby starzy znajomi, czego chciał przecież, ale co możliwe jest jedynie bez wozu meblowego stojącego obok. Nie, bądźmy uczciwi, właściwie wszystko to jest realne nie tylko bez legendarnego wozu, również dzięki mojemu nastawieniu, pełnemu satysfakcjonującej obojętności. Równie beztrąsko reaguję też na kelnerkę, która nie odpuszcza łatwo i podchodząc do naszego stolika, patrzy mu wdzięcznie w niebieskie oczęta, kiedy on zamawia kawę dla mnie i jeszcze drugą dla siebie.

— Tak się cieszę, że przyszłaś — dziewczyna jednak nie zdobyła punktów, bo błękitnooki bożek uparcie zwraca na mnie całą swą uwagę. — Już

zaczynałem się niepokoić...

Czy to wymówka, mój śliczny? Możesz sobie darować, widziałam twój domniemany niepokój aż nadto wyraźnie. Raczej bałeś się wystawienia do wiatru, prawda? W to bym łatwiej uwierzyła, ale szczerłość tego rodzaju nie leżała nigdy w twoich obyczajach. Cóż...

— Nie było powodów, żebyś wątpił, czy przyjdę, przecież obiecałam, więc jestem. Bywam słowna, na ogół. Nie wiem tylko, po co nam to spotkanie?

— postanawiam od razu przejść do rzeczy, bo nie będę z nim przecież wymieniać teraz zdawkowych uwag o pogodzie, a inne jakoś nie przychodzą mi do głowy.

— Niepokoiłem się bardziej ogólnie — nieuważnie odbiera od kelnerki ekspresowo przyniesioną kawę i nie poświęcając jej nadal żadnej uwagi, ciągnie dalej, jakoś dziwnie modulując głos. To ma być chyba prawdziwa troska? Tak powinna brzmieć w przybliżeniu, ale on, niestety, nie ma w tym tonie żadnej wprawy. — Nie wiem nic o tobie. Martwię się o to, jak sobie radzisz. Niestety, spotkać cię nigdzie nie mogę, a że nie odzywasz się nawet do starych znajomych, więc...

223

— Jak widzisz... — mogę zaryzykować to stwierdzenie, bo byłam znowu u Izki i wyglądałam po prostu koncertowo —jakoś żyję. Niepotrzebnie się troszczysz, wszystko u mnie w porządku, słowo daję.

— Jesteś, jak zwykle piękna, to prawda — prościutki komplement okrasza zjawiskowym uśmiechem — ale... I tak chciałem wiedzieć, czy nie potrzebujesz może czegoś, czy nie trzeba ci pomóc?

Jak mógłbyś mi pomóc, palancie? Nawet przedtem nie przyjęłabym od ciebie łyka wody na pustyni, a teraz tym bardziej. Ale uśmiechnę się, masz! Żyj sobie w błogim przeświadczeniu, że jesteś taki uczynny i miły dla swojej byłej dziewczyny. Widzisz świat tylko z tej strony, która tobie jest wygodna, ale dyskutować o tym nie będziemy, już nie warto. Długo jeszcze zamierzasz wymieniać te grzeczności? W zdawkowych rozmówkach zawsze byłeś dość dobry, tylko nudnawy.

— Niczego mi nie trzeba, jestem bardzo zadowolona z życia, Hubercie, naprawdę. A ty, jak sobie radzisz? Wszystko w porządku? Jak praca? — o ukochaną cię przecież nie pytam, bo na nic mi informacje o twoich łózkowych radościach. — Nadal prowadzisz gabinet? Masz pacjentów?

— Aniu, nie będziemy chyba mówić o mojej pracy? — pochyła się ku mnie z uwodzicielskim, dobrze mi znanym uśmiechem, który zawsze dotychczas zwiastował serię próśb, z gatunku tych nie do odrzucenia. — Zależało mi na spotkaniu z tobą, bo... No, cóż... Widzisz, ja bardzo za tobą

tęsknię, naprawdę. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak mocno, jak silnie byłem z tobą związany uczuciowo. Trudno mi o tym mówić, ale... — głos mu drży, palce przesuwają się nieznacznie w stronę mojej dłoni... Boże! Zwariował! Muszę mieć zdumienie tak wyraźnie napisane na twarzy, że przerywa niepewnie, patrząc mi tylko w oczy, teraz jednak spojrzeniem zbitego psa. Ależ ze mnie zła pani! Kopnęłam chyba tego zwierzaka!

— To była straszna pomyłka, uwierz mi, dałem się omotać jak głupi, no, sam też zwariowałem trochę, prawda, ale zrozum! Gdybyś mi wybaczyła... Nasze uczucie teraz dopiero stałoby się pełne... To zdarza się w związkach... Tylko nas umocni... Będziemy... — słyszę urywki jego tyrady i dosłownie kręci mi się w głowie z wrażenia. Czy rzeczywiście ma czelność? O czym on mówi? Na co liczy? Zdaje mu się, że wynajmie znowu wóz meblowy i po prostu wprowadzi się na nowo? Nie, nie liczy na to, on to wie!

224

Po prostu jest pewien! Widzę wyraźnie, jak błyszczą mu oczy i rozjaśnia się twarz! Jest przekonany, że jeszcze ze dwa, trzy frazesy i rzucę mu się na szyję z okrzykiem dziękczynnego szczęścia na ustach!

— Hubert! — wyrywam swoją rękę spod jego dłoni, bo kończy się we mnie resztką taktu i dobrego wychowania — daj spokój! Nigdy nie będziemy razem! To nie jest możliwe, nie ma w ogóle takiej opcji.

— Masz kogoś! — to stwierdzenie, nie pytanie, dlatego rozsierdzą mnie jeszcze bardziej, bo tkwi w nim cholerne założenie, że będąc sama, nie potrafiłabym mu się oprzeć. Drań! Na pewno ci na to nie odpowiem! Jeszcze zacząłbyś węszyć, już ja cię znam!

— Nie wpuściłabym cię z powrotem nawet następnego dnia po wyprowadzce, dlatego zmieniłam zamki — mówię cicho, wcale nie tak, jak bym chciała, bo wolałabym wykrzyczeć mu to prosto w pyszałkowatą twarz, ale nie ma sensu marnować na niego energii, uczuć i emocji.

Przyjemnie za to popatrzeć chwilę, jak on się wścieka i ciska bezradnie, usiłując mnie przekonać do swoich racji. Ale i temu nie przyglądam się długo, bo nie chcę przecież stracić wobec niego tej resztki złudzeń, które i mnie w jakiś sposób pozbawiłyby godności. Niemożliwe, że zakochałam się kiedyś w takim głupku!

Jednak głupek nie tak łatwo daje za wygraną, nie daruje niczego ani sobie, ani mnie, więc nadal konsekwentnie tokuje, przechodząc od skruchy, przez rozpacz, aż po roztaczanie cudownej wizji naszej wspólnej szczęśliwości. Wykorzystuje przy tym wszystkie dozwolone i nieuczciwe metody, jakie

tylko przychodzą mu do głowy.

Jest nawet przekonujący, bo takie role ma opanowane do perfekcji, ale ja przyglądam mu się tylko w milczeniu, zastanawiając się, jak mogłam być tak ślepa? Nie przerywam jednak, myśląc, że właściwie nawet powinnam mu być wdzięczna, bo dzięki niemu przecież zrozumiałam, czym może być prawdziwa miłość. Jakież odmienny od niego jest Piotruś! Chyba uśmiechnęłam się do tej myśli, bo Hubert błaga teraz, bym jeszcze przemyślała sprawę i dała nam szansę.

— To nie ma sensu, naprawdę — nie będę przecież okrutna i nie powiem mu o czym, lub o kim myślałam naprawdę. — Lepiej zapamiętajmy wszystko, co było dobre w naszej historii, kiedyś, na jej początku, a teraz nie wracamy już do niej. Uznajmy, że zupełnie się skończyła — mam ochotę uspokajająco poklepać go po ręce, niby zbyt podekscytowanego chłopczyka, który ma nadzieję,

225

że da się jakoś naprawić zepsutą bezmyślnie zabawkę, ale rezygnuję, bo nie chcę go dobijać.

Nie mówię też, żeby nie histeryzował, ani że trzeba umieć zachowywać się kulturalnie przy rozstaniu, bo widzę, że coś jednak bardzo mu dopiekło i naprawdę nie wie teraz, jak wybrnąć z całej sytuacji.

Czyżby piękna Magdusia aż tak mu utruła życie? Julita, co prawda, zapowiadała podobną wersję wypadków, ale po kilku zaledwie miesiącach wielkiej miłości? Aż nie do wiary! Może dowiedział się o spadku po Teodorze i liczy teraz, że na nim skorzysta? A jeśli naprawdę zrozumiał, że pomylił się w swych uczuciach? Ta ostatnia możliwość wcale mnie jednak nie cieszy, bo nie chcę, by cierpiał. Jeśli się pomylił, to szczerze mi go żal, ale oboje zapłaciliśmy za tę pomyłkę zbyt dużą cenę i nie potrafiłabym jej zapomnieć, nawet gdyby nie było przy mnie Piotra. To wiem na pewno, dlatego zamykam mocno oczy i przypieczętuję całą sprawę w głębi siebie, raz na zawsze, wzorem babci Niusi, która nakładała takie pieczęcie na sprawy, które ostatecznie przemyślała i ułożyła, a potem zamykała pod powiekami nieodwołalnie, w niepamięci.

Nie mam nic więcej do powiedzenia i niczego nie muszę przemyśleć, naprawdę, więc znowu zachowujemy się bardzo grzecznie i ostatecznie żegnamy konwencjonalnie, choć przecież widzę, że drżą mu usta, bo nie takiego finału spodziewał się po naszym spotkaniu. Przez chwilę zastanawiam się nawet, nieco złośliwie, co zrobi teraz z tymi wszystkimi sprzętami, które tak skrupulatnie wynosił z mojego mieszkania, ale potem i to mu odpuszczam, bo czuję wyraźnie, jak rosną mi skrzydła, piękniejsze

i silniejsze, z każdym krokiem, który oddala mnie od niego. Mam po prostu ochotę biec przed siebie, z szeroko rozwartymi ramionami i przycisnąć cały świat do rozradowanego serca.

Czuję się wolna i szczęśliwa, gdyby to nie sprawiło mu przykrości, to nawet chętnie podziękowałabym za jego wolę spotkania się ze mną. Wiem, że czegoś chciał, nie był po prostu bezinteresownie miły, ale i tak dał mi wiele. Otrzymałam tę cudowną pewność, że całkowicie uwolniłam się od niego, że nic już, zupełnie nic mnie z nim nie wiąże!

Teraz rozumiem Izkę i jej pragnienie pogadania z brudnym Ryśkiem, tę chęć nowego, odważnego spojrzenia na miniony związek i umarłą miłość. To jakby swoisty rytuał odcięcia pępownicy, nabycie świadomości, że jest się wolnym, niezależnym od przeszłości człowiekiem! Od bezradnej wściekłości, wynikającej z buntu

226

wobec brutalności tego zerwania, uwolnił mnie Piotrek, wtedy, w grudniu, ale teraz odrzuciłam coś więcej, jakąś niepotrzebną mi już część siebie samej, dawno umarły fragment, jak skóra węża albo ogon jaszczurki. Coś, co odzyskam na nowo, mimo że teraz wyrzuciłam daleko za siebie.

— Jest coś dziwnego w takim spotkaniu z dawnym ukochanym, prawda?

— pyta Zośka, którą wyrywam z objęć Mirka dramatycznym komunikatem o konieczności natychmiastowego pogadania. — Wiesz, że między wami wszystko się skończyło, a jednak chcesz wyglądać pięknie i zrobić piorunujące wrażenie, nie? Widzę przecież, że przesiedziałaś u Izki ze trzy godziny! Ale nic nie mówię, ja też wystroiłam się na spotkanie z Patrykiem. Zresztą o wygląd mniejsza. Uczucie i tak mieszane. Też to miałaś? Taką analizę siebie i konieczność potwierdzenia, że naprawdę chcesz iść dalej?

— Spotkałaś się z nim? Jak to? Kiedy? Dlaczego nic nie wiedziałam? — strzelam pytaniami, podekscytowana i szczęśliwa wspólnotą naszych odczuć. — Dlaczego w ogóle się z nim widziałaś?

— Bo jestem głupio lojalna, jak i ty. Ilu w końcu miałyśmy tych facetów w życiu? Takich, z którymi idzie się do łóżka i życie całe planuje? Tych, co to mają być ostateczni i jedyni? Pęczki? No, nie, niestety. Aktualny, to raptem drugi i tyle. Gdyby ich było z piętnastu, to pewnie byśmy się nie zastanawiały... Jak myślisz? Może się rutyny jakiejś nabiera? Ja, w każdym razie, nie mam ochoty sprawdzać. Starej daty jestem. Dla mnie...

— Zośka popija piwo i spogląda na mijające nas pary zakochanych, bo wylądowałyśmy w kawiarnianym ogródku — sprawy intymne nie są wcale takie łatwe ani bezproblemowe. Serce może i by chciało, ale ciało

stawia opór. Zupełnie odwrotnie, niż za pierwszym razem. Wtedy, delikatnie mówiąc, emocje mnie parły, a rozum, cóż... Sama wiesz. — I co ci dało gadanie z Patrykiem? Przecież też chciał, żebyście znów byli razem, jak Hubert ode mnie, co wciąż stwierdzam ze zdumieniem. Chyba mi nie powiesz, że się dowartościowałaś? Bo to ty go zostawiłaś? Ja zresztą też nie poczułam się lepiej, że odpaliłam Huberta. Raczej wściekła byłam, że w ogóle miał czelność przypuszczać, że go przyjmę z powrotem! Takie odgrzewane bigosy to tylko na żołądek szkodzą. — Serce mi się dogadało z ciałem. Ani jednym, ani drugim nie chciałam już być na pewno w tamtym związku. Może i ty tro-

227

chę zmądrzejesz, bo coś mi się zdaje, że kluczysz, niby zajaczek. I chciałby, i boi się jednocześnie, co? Dobrze, dobrze! — dorzuca zaraz, widząc, że chcę się z nią spierać. — Wiem, że nie oszukujesz Piotra, ale sama sobie też nie odpowiadasz uczciwie. Kto ma za ciebie zdecydować? On? Żebyś miała komu zarzucać winę, jakby się wam coś w życiu nie powiodło? Wiesz teraz na pewno, że Huberta nie chcesz, więc...?

— Zjemy ciastka? — pytam nagle, rozradowana jak nie wiadomo co, a cały świat uśmiecha się do mnie promiennie — takie duże? Z galaretką i owocami! Pycha! Co, Zosiu?

XVIII

Jak jaśniutko. Oho, na pewno w nocy spadł śnieg, bo inaczej w pokoju byłoby przecież dużo ciemniej, mimo poranka. Te pnącza na zewnątrz trzeba już koniecznie ściąć z wiosną, bo całkiem przysłaniają okno i słońce nigdy, nawet w upały nie może na dobre ogrzać pokoju. Zimą to niby nic ważnego, ale latem jest tu zawsze cień aż do zachodu, prawie wilgotny, więc nie wiadomo, czy i mury nie dostaną wreszcie jakiegoś liszaju. Trzeba zadbać koniecznie, już bez dwóch zdań. Ale teraz poleży sobie jeszcze otulona szczelnie pod kołderką, bo w pokoju nienapalo-ne, a z wieczora na pewno nic ciepła w piecu nie zostało. Nos zimny, więc to murowane.

Coraz częściej lubi sobie tak dłużej, spokojnie, pozostać rankiem w łóżku. Wygodnie się umościć, nabrać ochoty na wstanie. Pomyśleć o wszystkim po kolei, nastawić się psychicznie na nowy dzień, bo każdy następny przychodzi jej przeżyć z większym trudem. Wieczorem kładzie się obolała i zmęczona, co przecież nie zdarzało się nigdy wcześniej, nawet po wielu godzinach wyętej pracy, ale i rankiem nie ma wrażenia pełnego odpoczynku.

A dawniej? Ileż potrafiła działać! Pokręcić się, pobiegać, załatwić. Od

świtu do późnej nocy! A i tak sił starczało jeszcze na słuchanie słowików, czasem nawet do świtu. Dziś za to i do załatwienia mniej, i ona sama rusza się tyle wolniej... Więc poleżeć cichutko warto, żeby sił nabrać. Zresztą w nocy nie sypia długo i potem budzi się zbyt wcześnie.

Czuje, po prostu wie, że słabnie. Trudno powiedzieć, kiedy, ale na pewno niedługo zgaśnie w niej ta siła, która dotychczas pozwalała jej na życie. I dobrze. Wcale się tego nie boi, raczej czeka spokojnie, bo ma pełną świadomość, że przeżyła wszystko, co było można i co było jej dane. Nie wie skąd, ale czuje z całą pewnością, że to już niedługo. Miesiąc, może pół roku, nieważne. Ta akurat wiedza zupełnie jej nie przeraża, raczej inne przeczucia, wyraźne, a jednocześnie dziwnie nieokreślone, które miewa od dawna.

229

Ojciec opowiadał kiedyś, że w jego rodzinie zdarzały się w kolejnych pokoleniach różne tajemnicze kobiety, ciotki czy babki, przepowiadające przyszłość, ale najczęściej mało się o tym z kimkolwiek rozmawiało, a także one same na ogół skrupulatnie ukrywały swój dar, dzieląc się nim bardzo niechętnie, może tylko czasami, w szczególnych okolicznościach, wymagających ich niezbędnej interwencji i wtedy nawet jedynie z najbliższymi. Przedtem nie rozumiała ich uporu i skrytości, spierała się nawet z ojcem o zasadność takiego postępowania, dziś za to wie dokładnie, dlaczego milczały.

Przyszłość nie powinna być znana, bo ludzie nie potrafiliby sobie z nią poradzić. Wie to na pewno. Zna bowiem owo dręczące przeczucie, związane z niektórymi ludźmi, które ją samą chwilami niepokoi i przeraża. Pojawiło się późno, w drugiej połowie jej życia, kiedy była już niemłoda kobietą, nastawioną raczej na zdystansowane kontemplowanie świata i czerpanie radości z wszystkiego, co dobre i serdeczne wokół niej.

Na początku po prostu bagatelizowała sprawę, tłumacząc sobie te przeczucia zwykłym, ludzkim doświadczeniem i nie kojarząc wcale z opowieściami ojca. Ostatecznie wystarczająco dużo przeżyła i widziała, aby wyciągać logiczne wnioski z własnych obserwacji. Więc cóż w tym dziwnego, że określone zachowania można połączyć z kilkoma tylko możliwymi skutkami? Albo że z dużym prawdopodobieństwem przewiduje się zakończenie czyjejś historii, jeśli taki ktoś z uporem popełnia wciąż te same błędy?

Ale wiedzieć na pewno, że przechodząca obok, zupełnie ci nieznana kobieta, której spojrzysz odruchowo w oczy, jest bardzo chora, chociaż nic na zewnątrz jeszcze tej choroby nie przepowiada, to już dużo bardziej

niepokojące i zastanawiające. Zwłaszcza jeśli po kilku miesiącach człowiek dowie się przypadkiem, że miał rację! Albo mimochodem, zupełnie przypadkiem i bez żadnej świadomej myśli, dotknąć człowieka, z którym się rozmawia, dokładnie w to miejsce na ciele, które od chwili zaledwie zaczęło go dokuczliwie boleć i usłyszeć o uldze, którą to dotknięcie natychmiast przyniosło. Tak. To już może dawać do myślenia. Nawet wtedy, kiedy się nad tym zastanawiać wcale nie chce. Bo ona nigdy nie chciała! Nie śledziła w sobie ani tym bardziej nie pielęgnowała tego daru czy też przekleństwa, które pojawiała się znienacka i coraz częściej. Wręcz odwrotnie! Nauczyła się szybko lekceważyć je, pomijając, w żaden sposób nie potwierdzać. Zrozumiała bowiem nagle, ale bardzo wyraziście, dlaczego jej przodki-

230

nie, jeśli je rzeczywiście miała, nie chciały na ten temat rozmawiać ani pewnie nawet myśleć.

To było jak uporczywe swędzenie, dręczący niepokój, denerwująca konieczność działania, skłaniająca ją chwilami wprost do zatrzymania swego ciała w całkowitym bezruchu, do zamarcia w ciszy, by nie ulec gwałtownej potrzebie biegu, gdzieś przed siebie, aby zapobiec jakiejś nieodwracalnej klęsce, o której tylko ona jedna wie, którą tylko ona przeczuwa. Wyraźnie, jakby ją miała przed oczyma.

Jakby w tej konkretnej minucie człowiek pozbawiony został nagle swojego życia, a stał się jedynie swoistym przekaźnikiem, przerażającym narzędziem, zmuszonym do przeskoczenia w inne miejsce i czas, postawionym najczęściej wobec przerażającej, lub w każdym razie obcej, zaskakującej rzeczywistości, która nie jest twoja, której wcale nie chcesz, ale ona objawia się przed tobą w mgnieniu oka i nie można już o niej zapomnieć ani jej zlekceważyć. Bywały całe dni, kiedy nie działo się nic, kiedy można było żyć zwyczajnie, a nawet przekonywać siebie, że wszystko minęło, było może jedynie wytworem chorej wyobraźni.

A potem nagle błyskało zaskakująco, nawet w pociągu, kiedy nieuważnie spojrzano się w cudze okna. I wtedy pojawiała się pewność, całkowita i niepodważalna, że tam, w tym obcym mieszkaniu, znikającym już, wraz z jednolitym kołatanem pociągu, stało się lub stanie za chwilę coś złego, czemu nie sposób zapobiec, ale, co najstraszniejsze, można by było to dokładniej zobaczyć, jeśli by się skupić.

Oczywiście nie zawsze były to złe przeczucia. Czasem pozostawiały za sobą przemiłą nutę spokoju, pewności, jak wygląda dane wnętrze i jak toczy się w nim życie. Mogłaby wtedy, z pełną dokładnością określić

układ mebli w danym mieszkaniu, opisać ludzi, którzy w nim mieszkają, powiedzieć nawet, jak toczą się ich losy. I tu zaczynał się problem. Bo niczyje losy nie są tylko dobre i miłe, a nawet jeśli teraz tak się wydaje, to przecież...

Nie chciała tego wszystkiego wiedzieć. Nie bawiło jej to nawet wówczas, kiedy ludzie obok byli naprawdę szczęśliwi. Miała swoje życie, które dawało wystarczająco wiele satysfakcji i radości, więc po co by jej były te cudze, absorbujące i niepokojące dzieje. Sama świadomość, że wie...

Czuła się od niej jakoś inna, chora, zdumiona i niechętna sama sobie. Poszła najpierw do lekarza. Wiek był przecież odpowiedni do niepokojów, zarówno o zdrowie fizyczne, jak i o psychikę. Dowie-

231

działa się wszystkiego o ewentualnych dolegliwościach, których mogłaby się spodziewać, dostała nawet jakieś zapobiegawcze pigułki, ale ani fizyczne doznania, ani powierzchowne wahania hormonalne nie mieściły się wcale w sferze doznań, o które jej chodziło.

Jej fizyczność, starzenie się kobiecego ciała, istniały równolegle, poza tą nową świadomością, która ją niepokoiła i stawała się coraz bardziej obecna w jej życiu. Z jednej strony pojawiała się zmęczenie, poty, uderzenia gorąca, jakieś drobne kłopoty z koncentracją i ciałem, ale z drugiej istniało zupełnie odmienne od tamtych, niezależne i pełne skupienie świadomości, wyteżona gotowość, gorąca energia, nastawiona na kontakt ze światem zewnętrznym i jego niepokojami.

Odwiedziła więc księdza, trochę bojąc się jego drwiny, ale przede wszystkim doceniając mądrość i przyjaźń, którą im zawsze okazywał. Paweł jednak nie żartował ani przez chwilę i wcale nie lekceważył jej zwierzeń, ale za to zaskoczył kategorycznym zakazem badania i analizowania tych stanów. Przez moment miała wrażenie, jakby odsunął się nawet od niej, z lekkim niepokojem w oczach i niechęcią. W każdym razie na pewno uwierzył bez zastrzeżeń w jej słowa, ale jednocześnie, bez jakichkolwiek dodatkowych komentarzy, nakazał jedynie żarliwą modlitwę i pokorę.

Dobrze, że miała poczucie humoru, a za nim stały lata uczciwości i wiernego uczucia wobec jej rodziny, bo chyba powiedziała mu wtedy kilka ostrych słów! Przecież sama nie chciała ulegać tym siłom, wcale nie trzeba jej było straszyć ogniem piekielnym! Nie pokłócili się wówczas tylko dlatego, że oboje mieli łagodne charaktery i dużo dobrej woli. Ale problem pozostał.

Tylko Krzysztof, jak zawsze on, podszedł do sprawy najlepiej, jak było

można. Uspokajał ją łagodnie, nakłaniał do myślenia o innych sprawach, rozśmieszał w końcu, a kiedy i to nie pomagało, po prostu wiernie stał obok, robiąc to, o co go prosiła i nie komentując nigdy jej decyzji, nawet jeśli ich nie rozumiał. Dlatego na przykład, przez kilka lat jeździł latem po Adama, bo ona wiedziała, była po prostu pewna, że bratu nieszczęście grozi właśnie wtedy, w te kilka dni, na początku wakacji. Że wtedy trzeba koniecznie przy nim być, jakoś pomóc.

No i co z tego, skoro i tak nie zdążył? To właśnie było najtrudniejsze i najgorsze, bo stało się najwyraźniejszym potwierdzeniem prostej prawdy, że przewidywanie przyszłości sprowadza się jedynie do bolesnej pewności faktu, ale uniknąć jej i tak nie można!

Co z tego, że dokładnie wiedziała? Że tego dnia również miała

232
w sobie tę swoją zniecierpliwioną, wyraźną pewność, tę niezmierną konieczność natychmiastowej pomocy bratu? Krzysztof przecież wyjechał poprzedniego dnia, wcale nie tego, kiedy zapowiadał się u Adama, ale upały spowodowały wygięcie się szyn i wykolejenie pociągu, dlatego, choć nikomu nic się nie stało, przeczekali całą noc w szczerym polu, więc ostatecznie przyjechał tylko trochę wcześniej, ale już i tak zbyt późno. Paweł nie powiedział wtedy, że ją przecież uprzedzał, ale bez słowa również przyjął jej przysięgę, że Adam umarł przypadkiem, nie celowo i pochował go jednak w poświęconej ziemi, bez względu na szept plotkarek. A ona sama, dzięki tej bolesnej lekcji, nauczyła się raz na zawsze nie ingerować w wyroki losu. Nigdy więcej. Bo trzeba tylko bardzo chcieć, a człowiek potrafi znieść i zaakceptować wszystko, nawet to, by nie powiedzieć najbliższemu sobie, ukochanemu, że nadchodzi ostateczny czas rozstania. Wtedy może bardziej świadomie czerpie się radość z każdej wspólnej chwili, która jeszcze pozostała, ale nie mówi się nic, do końca, choćby po to, żeby go niczym nie przerazić i pozwolić odejść tak, jak mu pisane.

Jeśli nie uprzedzasz wyroków losu, to czasem coś może przecież się zmienić, warto w to wierzyć, ale jeśli chcesz być mądrzejsza, to wszystko wydarzy się i tak, a ty pozostaniesz z większym jeszcze bólem i silniejszym uczuciem bezradności. Jak fatum. Ciekawe. Może starożytni byli jednak mądrzejsi od nas? Z tymi swoimi, niby naiwnymi, opowiastkami o wyrokach bogów?

Jakkolwiek by było, chwilami Nusia dobrze rozumie stare wiedźmy z baśń i legend, a zwłaszcza ich ucieczki w głąb głuchych lasów, gdzie wreszcie miały spokój, nikogo nie widząc i nie przewidując jego losu.

Jakaż to musiała być ulga! Spacerować po lesie i nie czuć! Nie czuć niczego innego ponad promienie słońca, szum wiatru, bicie własnego serca. A jeśli ktoś sam je odnajdywał? Jego strata! Jak były wystarczająco na niego wściekłe za zakłócenie spokoju, to mogły nawet prawdę mu przepowiedzieć! Głupcowi jednemu!

— Mamo? Obudziłaś się już? Bo Krysia kawę dobrą przygotowała, może masz chęć się napić? — Iwo wsuwa tylko głowę do jej pokoju, ale i tak smakowity zapach z kuchni zachęcającą falą omiata jej twarz. — Ty się śmiejesz? Dobrze, że masz dobry humor od rana, bo w nocy mróz tak ścisnął, że nie dogrzejemy mieszkania wcześniej niż w południe. Tu też ziąb okropny, kawy nie ma sensu do ciebie przynosić, zaraz by wystygła, więc wstać musisz, bo tylko w kuchni ciepłutko. To jak?

233

— Wstanę, wstanę, synku, już i tak tylko głupoty mi po głowie chodzą, to i śmiech pusty mnie ogarnia, chętnie się z wami napiję. Jeszcze z godzinę spokoju mieć będziemy, bo potem to już tylko bieganina do wieczora.

— Jaka tam bieganina, nic się nie martw, dziewczyny podzieliły pracę między siebie, więc spokojnie do wieczora zdążymy! Wigilia będzie jak się patrzy! Żebyś tylko tu nie przemarzła, chodź do nas, nie ma sensu dumać po próżnicy! Może pogadamy spokojnie, bo na to rzeczywiście nigdy nie ma dość czasu. Czekamy...

Iwo wycofuje się do kuchni zaordynować świeżą kawę dla matki, a Nusia wstaje powoli i owijając się szczelnie ciepłym szlafrokiem, patrzy jeszcze przez chwilę na śnieg za oknem. Bajkowa pogoda! Nie warto się smucić i rozważać spraw, na które i tak nie ma się żadnego wpływu. Jaki ten jej synek mądry jednak. Potem, jak zwykle rano, przytula do twarzy stary sweter Krzysztofa, leżący na krześle, odkąd go tak zostawił przed swoim ostatnim spacerem i wdycha głęboko, ulotny, już prawie niewyczuwalny zapach jego wody kolońskiej. I znowu uśmiecha się leciutko, jak prawdziwa, legendarna wiedźma, która wie zawsze więcej, niżby powinna.

— Na ile osób stół trzeba będzie szykować? — Krysia przysiada obok teściowej z własnym kubkiem, parującym gorącą kawą. — Bo wszyscy razem chyba się nie zjedzą? Jak mama myśli? Raczej później, już po Wigilii, będzie nas więcej?

— Na samej wieczerzy sami tylko będziemy, wy troje, no i ja, nie licząc tych, którzy tylko w pamięci naszej zostali — Nusia popija kawę, zastanawiając się nad liczbą nakryć, bo, jeśliby wszystkich uwzględnić, to dla Adasia, ojca, Krzysztofa... Nie, to bez sensu! — Cztery nakrycia i jedno puste, tradycyjne. Niech ono nam symbolizuje wszystkich, których

kochaliśmy i takich, co chcieliby pewnie tu z nami być.

— Myśli mama o Teo? Nie wiem, czy ona w ogóle kiedykolwiek nas odwiedzi — Iwo marszczy brwi, jak zawsze, kiedy się nad czymś głęboko zastanawia. — Życzenia ładne przysłała i list, nawet długi, ale o przyjeździe, jak zwykle, ani słówka. Już nie wiem dosłownie jak ją namawiać! Co by jej szkodziło ojczyznę ojca raz chociaż odwiedzić?

— Dziecko drogie, a jaki tu kraj ojca naszego? On sam był tu raptem trzy razy, zawsze tylko na chwilkę i w złych okolicznościach. Gdzie tu dla niej ojczyzna? Już prędzej tam, gdzie sama mieszka — Nusia łagodni spokojnie, bo i rozważać nie ma czego, czuje się wyraźnie, że Teo nie ma chęci przyjechać, a ona, Nusia,

234

wcale się temu nie dziwi. Ot, kolejna sprawa, o której lepiej nie mówić, bo nie ma po co. Zapamiętać tylko trzeba, żeby notatki wszystkie i listy od Teo, które do niej jednej były pisane, spalić koniecznie! Jak najprędzej, bo zostać nie powinny. Nikomu nic do nich, i tyle.

— Znowu mama te pieczęcie zakłada? — Iwo całuje Nusię w ciepły policzek, ale patrzy uważnie, bo wcale nie ma pewności, czy matka nie czuje się może słabiej? Wygląda na wyspaną i śmiała się rano, ale on wie dobrze, że jej serce już nie takie i o ojcu zbyt często myśli w samotności, a od tego lepiej się na pewno nie poczuje.

— Pieczęcie? Nic nie rozumiem? — w drzwiach staje rozspana Ania, jak dziecko pocierająca piąstkami oczy. — O czym wy tu rozmawiacie, tak od świtu? Jak tu milutko! W pokoju zimno, że nosa się nie chce spod kołdry wyciągnąć, a wy tu, jak widzę, prawdziwe pracusie jesteście, na nogach i w biegu od samego rana. Mamo? Mogę i ja kawy poprosić? A śmietanka? U babci to jest najlepsza śmietanka do kawusi, nigdzie mi tak nie smakuje poranna kawa, bosko!

— Siadaj przy stole, już ci podaję, śpiochu jeden, zagadała nas od samego progu, skarpety masz? No, twoje szczęście, bo tylko nam zaziębienia jakiegoś brakuje — Krysia niby narzeka, ale z miłością patrzy na swą rozczochraną jedynaczkę, chudziutką, co prawda, jak tyczka, ale naprawdę prześliczną. Czy i na nią matka tak kiedyś patrzyła? Na pewno! Zwłaszcza wtedy, kiedy tak marudziła o swojej brzydocie. Zupełnie jak teraz Ania, która ciągle wynajduje w sobie wady powodujące, że niby nie ma powodzenia u chłopaków.

— A zakładanie pieczęci to takie powiedzenie dziadka. Wymyślił je, żeby nazwać jakoś moją minę, kiedy staram się coś sobie w myślach ułożyć i uporządkować. Zakrywam oczy powiekami i jak pieczęć! Zamknięte! Nie

myśleć już o tym! Koniec! Kropka! — również Nusia czule spogląda na wnuczkę, bo ją kocha, to oczywiste, ale także dlatego, że w jej oczu zawsze może patrzeć spokojnie, a jej smutków, chorób czy nieszczęść nigdy, nawet najogólniej, nie przeczuła.

Jaka to ulga! Wiadomo, że i to dziecko przeżyje swoją porcję cierpienia, jak każdy, ale kiedyś, później, jak Nusi już nie będzie. Wizjonerką, w każdym razie, nie jestem. Nie wiem, co będzie po moim odejściu! I to jest cudowne! — myśli żartobliwie, całując rude loki Ani i podsuwając jej dzbanuszek ze śmietanką.

235

Ale sprawa nie jest chyba aż tak prosta i jednoznaczna, bo inni jej bliscy jednak emanują czasami dziwnymi, nieokreślonymi wibracjami, które wzbudzają jej radość lub, co niestety zdarza się częściej, silny niepokój. Wrażenia te jednak są odległe, nienagłałe, więc nie dotyczą raczej najbliższej przyszłości, a w każdym razie, nie tak bliskiej, jak te, związane z nią samą. Zatem te niepokoje dotyczą czasu, kiedy jej nie będzie, a najbliższych spotka coś przykrego... Ale o Ani nic nie wie, czy to nie dziwne? Od dawna nauczyła się nie badać specjalnie innych i samej nie szukać nigdy wiedzy o nich, ale wnuczka stanowi dla niej zagadkę, z powodu której po raz pierwszy od lat musi wprost walczyć z chęcią podejrzenia jej przyszłości.

Po raz kolejny odpycha teraz tę myśl od siebie i wraca do rozmowy o wieczorze, który ich czeka. Dzieci rozmawiają o rozłożeniu stołu, bo później przyjdzie jeszcze Janeczka z całą rodziną, a to już będzie dodatkowo sześć osób, więc w żaden sposób nie pomieszczą się przy nierozłożonym. Tylko kiedy rozkładać? Przed, czy po Wigilii?

Nusia słucha ich jednym uchem, zastanawiając się chwilę, czy powiedzieć im, że Leszek i Halinka, syn i synowa Janeczki, jednak nie przyjdą? Bo ich dzieci niedługo poczują się bardzo źle po zjedzeniu rankiem, w tajemnicy przed wszystkimi, świątecznego ciasta. Mała Malinka będzie miała raczej wyrzuty sumienia, za to, że nie przestrzegła postu, ale ten psotnik, Jacek, dostanie naprawdę rozstroju żołądka po zjedzeniu na czczo takiej ilości słodkiego kremu.

Obudziła się dzisiaj z tą myślą, ale co było robić? Leszek nie ma telefonu, a Jacek i tak postanowił złamać post, bo założył się wczoraj z kolegami, więc mógłby jeszcze zjeść coś bardziej szkodliwego, a tak do nocy im przejdzie. Malinka zapamięta tę smętną nauczkę do końca życia, a Jacek będzie jedynie pomstował na mamę, że ciasto było nieświeże. Nic się nie poradzi. Naprawdę. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć, bo z każdą chwilą

skupienia widzi się tylko więcej niechcianych szczegółów.

Więc ostatecznie milczy, kiedy dzieci postanawiają jednak rozłożyć stół już przed wieczorem, niech sobie, taki świąteczny, pięknie przystrojony, dominuje nad pokojem. Pewnie, niech sobie... Mocno zaciska powieki i zapieczętowuje w sobie wszystkie obrazy.

Siedzi spokojnie w ciepłej kuchni i wspomina inne swoje Wigilie, takie różne i odmienne od siebie, a wszystkie warte przecież

236

zapamiętania i dobrej myśli. Tamte, dziecinne, jeszcze w domu rodzinnym, kiedy podekscytowana już od rana zastanawiała się, co też dla niej znajdzie się pod choinką... Potem przerażające, wojenne, obchodzone podwójnie, bo i po prawosławnemu, a zawsze w tajemnicy i bez radości. Te, które usiłowała stworzyć maleńkiemu Adasiowi, odnajdując w sobie na siłę radość świąteczną, byle dziecko miało trochę szczęścia. I te dalsze, już z Krzysztofem, zawsze radosne, dające odwagę na życie, uspokajające duszę, godzące ze światem... Tak. Miała dobre życie, złożone z kolejnych wieczorów wigilijnych jak z błyszczących koralików nanizanych na niteczkę codzienności. Dobre, szczęśliwe życie.

Choinkę ubierają pod wieczór, przed samą wieczerzą, tylko we trójkę, bo Krysia kręci się jeszcze po kuchni, kończąc ostatnie przygotowania. A właściwie we dwoje, jeśli zważyć, że Niusia tylko siedzi w fotelu, dyrygując, gdzie, co i jak ma wisieć. Sprawdza przy tym, czy kolejno wieszane stroiki ładnie się komponują i nadają całości odpowiedni wygląd. Drzewko pachnie silnie, świeżo wniesione z chłodnej sieni, a jego gęste, zielone gałęzie, same w sobie, już byłyby wystarczająco piękne, gdyby je tak zostawić, naturalnie i bez udziwnień. W jej domu rodzinnym właściwie niemal taka była, z kilkoma tylko kolorowymi łańcuchami i prawdziwymi świeczkami, zapalanymi delikatnie, żeby się gałązki nie zajęły ogniem. Ale co tam, tradycji musi się stać zadość, dobrze tylko, że wszyscy mają to samo zdanie i nie zapychają biedactwa zbyt wielką liczbą wątpliwych zdobień. Ostatecznie staje, piękna, delikatna i kolorowa, wprost zachwycająca subtelnym urokiem, który udało im się uzyskać.

— Zdjęcie! No, koniecznie potrzebujemy zdjęcia, tak pięknie nam wyszło, prawda? — Ania podskakuje jak żrebaczek i klaszcze w dłonie. — Mamo! Chodź tu do nas'. Zrobię wam zdjęcie, jak stoicie oboje przy tym cudzie! Potem my, z babcią razem, tylko we dwie, dobra? — patrzy przez ramię w stronę zadumanej i pogodnej Niusi, która też napatrzeć się nie może na kolorową, leśną piękność, pełną stroików i świateł. Krysie wyciąga się wreszcie z kuchni i zdecydowanym ruchem pozbawia ochronnego

fartuszką, pod którym jest już elegancko ubrana, w jasną, nową sukienkę, świetnie kontrastującą z pyszną zielenią za jej plecami. Stają oboje, z lwem, zgodnie z instrukcjami rozgorączkowanej córki, przy czym uśmiechają się do niej z pobjawianiem i miłością w oczach.

I właśnie wtedy, w blasku lampy, dokładnie, kiedy Ania robi to swoje wymarzone zdjęcie, Nusia widzi wyraźnie inny las, inną

237

zieleni i jasną plamę sukienki Krysi, leżącej bezwładnie w mokrych, jesiennych trawach. Plamę, zabarwiającą się na ciemno potokiem krwi, której nic już nie zatrzyma. Podobnie jak nic nie można zrobić teraz, bo powiek w żaden sposób nie da się zamknąć, więc Niu-sia patrzy tylko, przerażona i bezradna, konwulsyjnie przyciskając obie dłonie do ust, żeby zatrzymać krzyk, zamarła w bezruchu, aż do czasu, kiedy po niezmiernie długiej chwili docierają do niej wreszcie rozgorączkowane głosy, rozlegające się przy niej, tutaj, w tym pokoju, w dzień Wigilii, przy choince.

Wieczera jest podniosła i piękna, mimo wszystko, bo łatwo przekonać kochające dzieci, że człowiek po prostu się zakrztusił, może nieco zbyt silnie, jednak to już trzeba wybaczyć komuś, kto jest starszy i ostatecznie nie nad wszystkim potrafi zapanować. Taki nagły bezdech to rzecz bardzo niebezpieczna, więc można nawet bardzo zblednąć na twarzy i mieć drżące ręce. Cóż w tym takiego dziwnego? Zdarza się każdemu. Może to nawet powód, żeby po Wigilii, jak już przyjdą wszyscy goście, wypić odrobinę koniaczku, dla uspokojenia i zdrowia jednocześnie. To rzeczywiście przyda się wszystkim.

Więc kiedy przychodzą już Janeczka ze Zdzisiem, przepaszając w imieniu Leszka, który ma w domu jakieś kłopoty zdrowotne z dziećmi, nie mówi się nawet zbyt wiele o tamtym zdarzeniu pod choinką, bo Nusia kategorycznie zabrania nazywać je zasłabnięciem, a o czymś innym, tak prozaicznym jak zakrztuszenie śliną, to nawet i rozmawiać za bardzo nie wypada, prawda? Na szczęście jest wiele innych, wartych poruszenia tematów, zwłaszcza zaś ten, dający prawdziwą radość Janeczce i Zdzisiowi, czyli kupno na własność domku, w którym mieszkają. Transakcję udało się wreszcie zrealizować i radość właścicieli nie ma granic.

— Spokojny będę przynajmniej, że nikt nas stamtąd nie wyrzuci — Zdzisio szuka poparcia w oczach zgromadzonej przy stole rodziny, głęboko zaciągając się papierosem, niezbędnym mu po dobrej kawie i cieście, które właśnie zjadł z ogromnym apetytem. — Jakby i mnie

zabrakło, to Janeczka zawsze na swoim zostanie, a to najważniejsze na stare lata. Tułać się nigdzie nie będziemy ani, co nie daj Boże, dzieciom na karku siedzieć.

Janeczce też oczy błyszczą, bo choć nie komentuje niepokojących uwag męża o jej przyszłej samotności, to przecież wie dobrze, że Zdzisio chory jest na te swoje płuca i pomocy wielkiej spodziewać się od Boga nie można. Tym bardziej że mąż za nic nie chce

238

papierosów porzucić, twierdząc, że chociaż to jedno mu jeszcze z życia zostało, to niech tam!

Nusia dawno namawiała na badania i leczenie, ale czy to z upartym dziadem można coś zdziałać? Janeczka patrzy więc jedynie na tego swojego, tak miłego sercu dziada, i milczy, chcąc wzorem Niusi, brać z ich wspólnego życia, co jeszcze się da i nie myśleć za wiele o przyszłości.

Potem spogląda ponad świątecznie zastawionym stołem, na swą przybraną matkę i uśmiecha się tylko porozumiewawczo, bez smutku.

Nusia oddaje spojrzenie, i tak, bez słowa, ponad rozmawiającym towarzystwem, umawiają się na spokojne pogadanie później, już bez świadków, w jakiś zimowy dzień, kiedy obie będą miały dość czasu dla siebie.

Jakie to szczęście, że ja mam tę Janeczkę! Dobry los mi to dziecko zesłał, to pewne — w pokoju panuje półmrok, bo wszyscy wyszli na Pasterkę, a ona siedzi sobie spokojnie w fotelu, pod choinką i trochę drzemiąc, trochę dumając, czeka na nich w ciszy. Przypomina sobie, kiedy zobaczyła Jankę po raz pierwszy, jeszcze jako drobniutką dziewczyneczkę, o wielkich, szarych oczach, świecących nienaturalnie jasno w malutkiej, wychudzonej buzi. Od razu do siebie przyłgnęły, prawie bez słowa, a mała natychmiast, ufnie, wsunęła brudną piąstkę w jej dłoń.

Takiej wspólnoty Nusia nie poczuła nawet później, przy urodzeniu Iwa, własnego przecież dziecka, na które z Krzysztofem bardzo czekali i które kochała zawsze silną miłością. — Może dlatego, że dziewczynka? — myśli teraz, ale wie, że to nie cała prawda, bo Janeczka była jej po prostu pisana na ukochaną córeczkę i najwierniejszą przyjaciółkę. Czasem bywa tak, że żadne papiery nie są potrzebne, żeby czuć się czyjaś matką. Nigdy jej nie dano Janeczki tak naprawdę, zgodnie z literą prawa, a przecież to wcale nie okazało się ważne...

Nie mówi jej oczywiście wszystkiego, na to było ją stać tylko wobec męża, ale ma w niej powierniczkę wielu innych spraw i przemyśleń, pewna, że Janeczka nigdy nikomu nie powie niczego, co poza ich wspólne

rozmowy wyjść nie powinno. Zawsze sobie ufały, a Janeczka, jak cień, nie tylko chodziła za Niusia, ale i naśladowała ją w każdym geście, tak, że z czasem nawet zrobiły się jakoś do siebie podobne i nikt nigdy nie podawał w wątpliwość ich rodzinnej wspólnoty.

Z jaką dumą oddawała ją Zdzisiowi w dzień ślubu! Wiedziała na pewno, że chłopak, chociaż może prosty i nieco uparty, kocha

239

jednak szczerze swą wybrankę i będzie dla niej dobry przez całe życie. Czuła to zwyczajnie, bo nie miała jeszcze wtedy tych swoich nagłych olśnień, tylko prostą wiedzę o życiu i ludziach, na której też się przecież nie zawiodła.

Teraz z kolei, wie na pewno, że właśnie Janeczce trzeba będzie zostawić nieco poleceń na przyszłość, zwłaszcza po tym dzisiejszym, straszliwym obrazie. Ania wcześniej zostanie sama, to już trudno, więc o nią szczególnie Janeczka powinna się troszczyć i jej ostatecznie przekazać rodzinne pamiątki, zdjęcia, listy, wszystko. Iwa i Krysi nie ma sensu tym obciążać, niech korzystają swobodnie z życia, bez dodatkowych komplikacji.

Przyszłość jest płynna, jak wartka woda, kto wie?, może skreśli gwałtownie, w jakieś inne koryto i potoczy się zupełnie odmiennie? Mała, w każdym razie, jest silna, całe lata przed nią, całe wielkie, wspaniałe życie, pełne różnorodnych doznań, tylko że nie do końca wiadomo, jakich, bo obwarowana tajemnicą, niby murem, jak jaka czarownica...

Co pomyślałam? — Niusia aż unosi się w fotelu, ze zgrozy. — Więc o to chodzi? Dobry Boże! Czyżby jej dziecinną, rudowłosa wnuczka miała odziedziczyć kiedyś ten dar-przekleństwo, nawiedzające rodzinę od pokoleń? Wierzyć się nie chce! Chociaż...? Kto inny niby? Jeśli nie ona, to jej dzieci z pewnością... Ale to o niej nic nie wiem! To jej przyszłości nie przeczuwam, nawet skrawkiem myśli... Biedna mała, żeby tylko miała wtedy przy sobie kogoś, kto będzie dla niej pomocą i wsparciem, jak dla mnie Krzysztof. Ha, nawet poradzić się nie ma kogo, bo Paweł też już po tamtej stronie...

Niusia dobrze pamięta ich ostatnie spotkanie, kiedy był bardzo słaby i jedynie z rzadka odzyskiwał pełną świadomość. Obudził się nagle, w środku nocy, kiedy czuwała przy nim, przy małej lampce, modląc się w ciszy niewielkiego pokoju na brzydkiej plebani, tej samej, gdzie poznała go przed dziesiątkami lat.

Świat rozrósł się, wypiękniał, rozbłysnął kolorami, a ten budynek pozostał przysadzisty i ponury jak zwykle, ze swymi małymi oknami w grubych,

pachnących nieco stęchlizną murach. Był nie do przemienienia, oporny na wszelkie remonty, chyba, żeby go do fundamentów zburzyć. Ale Paweł nie przykładał wagi do tego, jak mieszkał, skupiając się przede wszystkim na swych wiernych i kościele, więc umierał teraz tak, jak żył, w ciasniutkim pokoiku, w świetle starej lampeczki, rzucającej nikłe światło na nich dwoje.

— Tylko mi nic nie mów! Nie daj Boże, nie przepowiadaj mi

240

teraz tej swojej przyszłości! — wychrypiał wyschniętym gardłem, zobaczywszy ją obok siebie.

— Ty jednak głupi jesteś — z czułością podała mu kubek z ciepłym napojem, żeby zwilżył, choć trochę, wargi i usta. — Co tu niby jest do gadania? Modlę się za ciebie i tyle. Zawsze byłeś dobrym księdzem i porządnym człowiekiem, to co mam ci przepowiedzieć? Tylko spokój, a w ludziach samo dobre wspomnienie, więc martwić się nie masz o co. A czy dziś, czy jutro? Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Przyjacielem byłeś nam zawsze najlepszym, to i siedzę przy tobie, żeby herbaty dobrej w potrzebie ci podać. Żeby umiała uzdrawiać, to nie tak byś do mnie po nocy mówił, prawda? A i ja bym ci świata przychyliła, ale nic z tego, kochany, żadnych czarodziejskich ziółek przeciw starości nie znam.

— Czarownica — uśmiechnął się z trudem, przełykając napój i na powrót opadając na poduszkę — na to mi przyszło w godzinie śmierci. Czy jam rzeczywiście wszystko, jak trzeba robił? Skoro moce tajemne przy mnie dzisiaj siedzą?

— Rozumu nie masz za grosz, to pewne. Dobrze, że wiara w tobie silna — odgarnęła mu włosy ze spoconego czoła i usiadła wygodniej, biorąc znowu modlitewnik do rąk. — Jutro ksiądz Jerzyk przyjdzie, to i z tego grzechu się wyświadcisz, więc czysty jak łąza będziesz. A Bóg to nie tajemnica? Że się czasem dziurka jakaś zrobi i trochę jej wyciecze, to ja już na to nic nie poradzę. Tylko gębę na kłódkę trzymać muszę, jak sam kazałeś. To i milczę przecież, niczego nie uprzedzając. Zresztą mówię ci przecież, że nic nie wiem — spojrzała mu w oczy najspokojniej jak umiała, ukrywając swą pewność głęboko w sercu. — Lepiej módl się za mnie, a potem opieką otaczaj, jak za życia, to wystarczy. Świata już nie zmienimy, ani ty, ani ja tym bardziej.

Więc Paweł też już tylko z tamtej strony pomoc mojej Ani może, ale czy to znaczy „tylko”, czy „aż”? Bo jeśli „aż”, to silnych będzie miała sprzymierzeńców i radę sobie da na pewno. Nie dziś, to jutro. Nusia patrzy na kolorową choinkę i z wolna przymyka oczy. Może to wszystko

zresztą to jedynie rojenia starej kobiety, która tylko wyobraża sobie, że wie więcej niż inni? Nawet jeśli, to i tak warto pomodlić się za małą niech ma życie ciekawe, barwne i dobre. Niech sobie radzi jak najlepiej, miłość starej babci na pewno jej nie zaszkodzi.

A kiedy dzieci wracają z Pasterki, z zimnymi policzkami, zaczerwienionymi od mrozu, Nusia ściska je serdecznie i całuje, a potem przyciska do serca tę chudziutką wnuczkę, każąc wskakiwać szybko do łóżka, bo późno i czas iść spać.

1

XIX

Zadowolona? Szczęśliwa? Podekscytowana? — Piotruś głęboko patrzy mi w oczy, pochylając się nad ogromnym stołem w starej, angielskiej kuchni, przy którym jemy śniadanie. Wygląda tu trochę jak na planie filmowym opowieści o życiu służby wyższych sfer, wszędzie wiszą rondle, chochle i stare talerze, a wzdłuż ścian rozstawiono poręczne, długie szafy, na których dałoby się przygotować obiad złożony z kilkunastu wykwintnych dań. My siedzimy zaledwie na rogu stołu, zupełnie z boku, zapełniając jego blat naszymi talerzami i przyborami śniadaniowymi w niewielkiej jedynie części. — Co chcesz robić dzisiaj? Moja ty dziedziczko, zakłeta królewno?

A dziedziczka rozpiera się wygodnie na krześle i rozgląda dookoła z prawdziwą rozkoszą. Kuchnia jest wspaniała, przez duże, nisko przy ziemi umieszczone okna wpada do niej sporo majowego, porannego słońca, które rozświetla jasną przestrzeń i nadaje jej swojski, spokojny wygląd, jest tu cicho i bardzo ładnie. Rozglądam się z zadowoleniem. Co odpowiedzieć? Czy jestem szczęśliwa? Boże! Jak bardzo! Brak słów, żeby określić radość, która rozpiera mnie od tych kilku dni, odkąd tu przyjechalśmy.

Czuję się rzeczywiście jak jakaś zakłeta królewna! Piotrek dobrze mnie zna i wszystkie jego pytania precyzyjnie dotykają mojego nastroju. Zwariowałam dosłownie i obudziło się we mnie jakieś małe dziecko, radosna, rozśpiewana dziewczynka zachłannie zbierająca fascynujące doznania i kolekcjonująca je jak szklane, kolorowe koraliki. Wszystko mnie zachwyca, chciałabym dotknąć, poczuć, przytulić do siebie cały świat! A ten świat, jak zaczarowany, codziennie dostarcza mi nowych wrażeń, rozsadzając dosłownie pełne już od radości serce.

Po powrocie z miasteczka, gdzie ostatecznie przedstawiłam cioci Jance Piotrusia jako swego, ha!, narzeczonego i załatwiłyśmy wreszcie sprawę płyty upamiętniającej życie i śmierć stryja Rafała, ustaliliśmy ostatecznie

termin wyjazdu do Anglii. Muszę przyznać,

243

że byłam wtedy trochę niespokojna, nie do końca wiedziałam, czy nam się tu spodoba i czy nie zawiedziemy Teodory, a nawet Hektora, jeśli uznamy, że dom trzeba po prostu i natychmiast sprzedać. Piotrek pozbył się, co prawda, swojej kawalerki, ale i tak zdecydowaliśmy się pobrać i zamieszkać razem, więc ta sprawa nie wpływała wcale na nasze, że tak powiem, angielskie decyzje.

Te miały zostać podjęte dopiero na miejscu, zgodnie z wolą Teodory, ale i z moimi obawami, dotyczącymi ewentualnej zmiany miejsca na życie.

Jechałam tu dosłownie z duszą na ramieniu, wciąż zasypując sama siebie dręczącymi pytaniami. Ale wszystko potoczyło się lawinowo, cudownie zaskakująco i całkowicie odmieniło moje myśli.

Harrogate mnie po prostu urzekło, zaczarowało i porwało jak swoją, a teraz wiruję wraz z nim, niemal bojąc się przebudzenia. To stary, jeszcze wiktoriański kurort, do którego jeździły damy u schyłku dziewiętnastego wieku dla wypoczynku i ucieczki z Londynu. Cały tonie wprost w kwiatkach, jest tu pełno ogrodów, a dwa razy do roku odbywają się nawet festiwale kwiatowe. Ten wiosenny poświęcony został żonkilom, które pyszną się na każdym klombie, w parku czy ogrodzie. Wszystko tu jest rewelacyjne! Cała okolica mami mnie ciekawostkami i pięknem, więc co chwila mam tysiące nowych pomysłów, które natychmiast muszę zrealizować, koniecznie wprowadzić w życie, bezwzględnie poczuć!

Obaj, Piotrek z Hektorem, podśmiechują się trochę ze mnie, ale grzecznie wypełniają wszystkie polecenia i posłusznie realizują pomysły. Tylko spróbowaliby nie! Energii mam tyle, że pewnie zaniósłabym obu razem dokładnie tam, gdzie teraz właśnie pragnę się znaleźć! I choć Piotrusz uprzedza, że muszę trochę przystopować, bo niedługo zabraknie mi sił, znów pyta grzecznie, jak co rano przy śniadaniu, co postanowiłam dziś robić.

A ja, dla odmiany, chętnie zostałąbym w domu. Obejrzała go sobie dokładnie i poznała jego zakamarki, które dotychczas widziałam tylko pobieżnie, wprost nie mając odwagi przyjrzeć im się bliżej. Miała rację Teodora! Zobaczyć ten dom, to się zakochać. Nieodwołalnie i nieodwracalnie. Jednak zastawiła na mnie tajemne sidła, każąc tu przyjechać i osobiście poczuć jego atmosferę. Hektor zrobił dokładnie tak, jak sobie tego życzyła i obaj, z Piotrem, pozostali w ogrodzie, mnie wysyłając na samotne powitanie tego szalonego spadku. Na początku trochę się opierałam, bo dziwnie mi było tak wchodzić do cudzego domu i

oglądać go, niby jakieś muzeum. Ale Hektor się uparł, a Piotr mu sekundował wiernie, więc ostatecznie zrobiłam, jak chcieli.

244

To miejsce magiczne. Naprawdę. Nie tylko i nie przede wszystkim dlatego, że ładne, raczej ze względu na nastrój, coś ulotnego, co żyje w jego wnętrzu i co czujesz, ale czego nie potrafisz nazwać, ani nawet ogarnąć w całości, w każdym razie na pewno nie za pierwszym, drugim, czy kolejnym razem. Najpierw uderza to, co oczywiste, czyli jego niezwykła uroda.

To stary dom, dosyć duży, kamienny, obrośnięty częściowo pnączami róż, stoi w pewnym oddaleniu od drogi. Do drewnianych, wielkich drzwi, ozdobionych stylową kołatką, dochodzi się wąską, kamienną ścieżką, wśród krzewów, prowadzącą nieco w dół, aż do samego progu, a potem omijającą dom i wiodącą do wielkiego, przepięknie zadbanego ogrodu. Hol jest niski, z ciężkim, belkowanym sufitem, trochę ciemny, ale w głębi, obok schodów, widać drugie drzwi, te do ogrodu i jeśli się je otworzy, prostokąt sieni rozjaśnia się nieco, ukazując wyraźniej czworo drzwi, po dwoje po każdej stronie, prowadzących do pokoi parterowych.

Po prawej stronie znajduje się oficjalny, bardzo elegancki, pokój gościnny, z którego, podobnie jak z korytarza, można wejść do biblioteki, będącej jednocześnie rodzajem gabinetu z wielkim biurkiem i oknami wychodzącymi na ogród i taras. Oba te pokoje są wykwintne i umeblowane z przepychem, według mnie po prostu muzealnym. Nie znam się na meblach, ale widziałam przecież jak Piotr, który skończył konserwację zabytków i zna się na starym drewnie, przyglądał się każdej sztuce z zachwytem. Po lewej jest mniejszy, mniej wystawny pokój, rodzaj kobiecej bawialni dla gości, przechodzący w długą jadalnię, rozjaśnioną wielkimi oknami, do której również wchodzi się z holu i z kuchni, mieszczącej się w głębi, za schodami na górę. W całej tej części domu, w pewnym sensie reprezentacyjnej, znajdują się takie właśnie, bardzo stare, niemal muzealne meble, wprost onieśmielające, przynajmniej dla mnie, przyzwyczajonej do nowoczesnych sprzętów.

Piętro na szczęście jest nieco bardziej przystępne, ale jego cztery piękne sypialnie, z małymi, rozkosznymi łazieneczkami i tak przypominają raczej komfortowy hotel, niż mieszkanie zwyczajnych ludzi. Wyżej, jak w każdym, szanującym się starym domu, jest rozległy strych, pełen staroci i kurzu.

W sumie zatem, jeśli wliczyć w to łazienkę na dole, piwnice, w tym jedną z winem, oraz wielką kuchnię i taras, jestem właścicielką prawdziwej,

angielskiej rezydencji, co przyprawia mnie o szaleńczy zawrót głowy i wariackie bicie serca! Hektor twierdzi,

245

że dom jest miły, zadbane, ale nie taki znowu wystawny, ale co on może wiedzieć? Ja czuję się po prostu, jakbym odziedziczyła starodawny, przepiękny dworek, rodem z dziewiętnastowiecznych romansów. I coś w tym musi być na pewno, bo budynek ma co najmniej sto lat, jeśli nie więcej. Wiem, że w porównaniu z angielskimi wioskami z trzynastego czy czternastego wieku, które tu mijają się po prostu, przejeżdżając autobusem, ten domeczek jest niemowlęciem, ale na mnie wywiera kolosalne i bardzo romantyczne wrażenie.

Zresztą cała okolica sprzyja takim skojarzeniom, bo Yorkshire stanowiło przecież od dawna nie tylko scenerię angielskich romansów, ale również miejsce zamieszkania ich autorów. Znalazłam się bezpośrednio w literackiej fikcji! I do tego szczęśliwa, niczym heroina takiego właśnie romansu! Rewelacja! Nie dalej, jak wczoraj zwiedzaliśmy przecież Haworth, w którym żyły i wymyślały swoich, szalonych z miłości bohaterów, siostry Bronte, autorki Wichrowych wzgórz i Dziwnych losów Jane Eyre. I jak tu nie oszaleć od nadmiaru wrażeń?

Haworth jest po prostu boskie! Oczywiście głównie wtedy, gdy zwiedza się je z ukochanym facetem, który trzyma cię za rękę i nie śmieje się, w każdym razie nie głośno, z twojego dziecinnego podekscytowania!

Zatrzymano tu po prostu czas, dając zwiedzającym możliwość pobycia, choć przez chwilę, w odległej epoce, kiedy trzy samotne dziewczyny, córki ponurego i drętwego pastora, uciekały od otaczającej je rzeczywistości w świat marzeń, w którym możliwe były porywy serca i miłość, silniejsza niż śmierć.

Skłamałabym, twierdząc, że Heathcliff jest moim ulubionym bohaterem, bo jego chora miłość do ukochanej raczej mnie przeraża, niż fascynuje, jednakże maleńki, niemal lalczyny, domek, w który mieszkała z siostrami autorka tej powieści, zrobił na mnie naprawdę ogromne wrażenie. Jeśli spojrzeć się na otoczenie, w jakim wszystkie mieszkały, na stary, kamienny cmentarz za ich oknami i pokoiczki, w których siadywały w długie, jesienne i zimowe wieczory, wtedy łatwo można zrozumieć, skąd w ich powieściach tyle ponurego nastroju, przeplatanego szaleńczą miłością po prostu niemożliwą do ugaszenia.

Piotruś bez słowa stawia przede mną kolejny kubek kawy ze śmietanką i wyrozumiale całuje w czubek głowy, widzi przecież, że znowu uciekłam w marzenia i patrzę przed siebie niewidzący-mi oczyma, oddana wyobraźni

tak bardzo, że rzeczywistość, choć piękna, jakoś mi się na moment rozmyła.

246

— Dzisiaj zostajemy w domu — decyduję, zgodnie ze swoim wcześniejszym postanowieniem — bo inaczej rzeczywiście pękniemy od nadmiaru wrażeń. A ponadto wypada przecież jakoś oficjalnie zaprosić Hektora, bo on uważa, że dom jest nasz i bez wyraźnej zachęty nie ma odwagi wpaść tu na dłużej. Grzeczny, niczym angielski adwokat!

— Dom jest twój — prostuje spokojnie Piotrek, a ja czuję, że angielskich adwokatów znajduje się w moim otoczeniu co najmniej kilku! — Ale rzeczywiście, wypada urządzić jakąś kolację. Tylko, czy już potrafimy dać sobie z tym radę?

Nie będę się z nim teraz spierać o prawo własności, bo jestem zbyt szczęśliwa, ale zapisuję sobie problem w pamięci, ponadto ma rację odnośnie do kolacji. Oboje mamy opory przed grzebaniem w tych szafach i trudności z korzystaniem z domowej zastawy. Używamy po jednym kubeczku i jednym talerzyku, skrzętnie odkładając wszystko na suszarke, jakby prawdziwi właściciele mieli tu za chwilę wpaść z pretensjami. Pewnie dlatego właśnie tak chętnie zwiedzamy okolicę, dom traktując jak nieco zbyt ekskluzywny hotel, w którym nie wypada zbyt dużo przebywać. Patrzymy sobie teraz ze zrozumieniem w oczy i walczymy z nagłą chęcią ustalenia następnej trasy wycieczkowej na dzisiaj.

— Już kocham to miejsce — mówię odważnie, walcząc z wewnętrznymi oporami — musimy je tylko jakoś obłaskawić. Przekonamy się wtedy, czy rzeczywiście potrafilibyśmy tu żyć. Bo, na razie, zostajemy, prawda? — Trochę boję się tej odpowiedzi, znając jego opory dotyczące podziału na „moje i twoje”, ale Piotruś uśmiecha się uspokajająco i kiwa głową.

— ■ Widzę przecież, że jesteś tu szczęśliwa, nie mam zamiaru tego ci odbierać. Dobrze wiesz, że będę z tobą wszędzie, malutka, i bez względu na wszystko.

— Nie ma żadnego „wszystkiego” — nie wytrzymuję jednak — albo zostaniemy, bo oboje tego chcemy, albo wracamy. Masz być równie szczęśliwy jak ja!

— Jestem... — obejmuje mnie i przytula mocno. — Jestem szczęśliwy, mogę tu zostać, naprawdę, jeśli tylko ty będziesz tego chciała.

Rozmawiałem nawet z Jaśkiem, może moglibyśmy otworzyć tu jakąś filię naszej fabryki albo będę robił cokolwiek innego. Bystry jestem, wiesz? Damy sobie radę, tylko nie przejmuj się tym wszystkim zupełnie niepotrzebnie.

Chciałabym w to wierzyć! Ale nie mam pewności, czy nie

247

wymagam od niego zbyt wiele, jest przecież ambitny i sprecyzował już dawno swoje plany na życie, a teraz ja nagle narzucam mu nowe, nieco szalone, a do tego z całą pewnością ryzykowne. W sumie posiadamy trochę pieniędzy, jednakże tylko na bieżące wydatki i naprawdę nie mam bladego pojęcia, na jak długo mogą nam starczyć, bo taki dom wymaga przecież ogromnych nakładów. Nie wiem doprawdy, jak Teodora go utrzymywała? I do tego w rewelacyjnym stanie? Nam może zabraknąć funduszy... Co znaczy „może”? Na pewno nam zabraknie! To jasne! Gdyby go sprzedać... Serce boli mnie od tej myśli, ale gdyby...? Wtedy dopiero mielibyśmy jakąś przyzwoitą kwotę. Tylko na co? Żeby ją radośnie wydać? I co byłoby odpowiednie? Zwiedzanie świata? Szalone wakacje? Czy też kupno innego domu, z którym przecież będą podobne kłopoty, a jednocześnie nawet w części nie zastąpi nam tego, magicznego, w którym właśnie się znajdujemy. Czuję, jak narasta we mnie strach, a równolegle, co ciekawe i krzepiące, jakaś wewnętrzna siła, wynikająca z... czego? poczucia odpowiedzialności? z rodzinnego obowiązku? Nie umiem tego zdefiniować, ale wrażenie jest wyraźne, dominujące, przejrzyste, po prostu wiem, że muszę zrobić, co tylko się da, żeby ocalić ten dom. Nie tylko muszę, chcę!

Wdycham ciepło skóry obejmującego mnie mężczyzny i staram się bardzo nie ulegać tym nagłym niepokojom, tak odmiennym od euforii, z jaką rozpoczynałam dzień. Postanawiam koniecznie porozmawiać z Hektorem, który być może coś potrafi zaradzić, albo chociaż sensownie podpowiedzieć. Dziwię się też trochę, że sam nie wspomniał dotychczas o tak ważnym problemie, a przecież może istnieje jakieś oczywiste rozwiązanie, którego ja, nie znając się na prawie, po prostu nie dostrzegam?

Ostatecznie decydujemy się jednak na oswojenie domu. Trudno! Trzeba powalczyć, zobaczyć, czy da się przygotować zwykłą kolację dla trojga, bez oglądania się przez ramię na duchy właścicieli. Byłych właścicieli, czyż nie? Kwestie finansowe będą musiały poczekać, zajmiemy się na razie sprawami zwyczajnymi i prozaicznymi nawet. To chyba lepiej, oboje będziemy mieli trochę czasu na podjęcie logicznych decyzji, nie takich, które wynikają jedynie z pięknych może, ale doraźnych emocji.

Piotrek bierze na siebie zadanie, pozornie trudniejsze, zaopatrzenia nas w odpowiednie produkty i osobiste zaproszenie Hektora, natomiast ja postanawiam pozostać na włościach, by przyjrzeć się bliżej przestrzeni,

która wyraźnie dała mi o sobie znać w naszej

248

porannej rozmowie. Skąd pojawiło się to niezwykle wrażenie pewności, że chcę, muszę zawalczyć o prawa do mieszkania tutaj?

Dom jest cichy i spokojny, jakby wstrzymywał oddech, mnie samej dając możliwość namysłu, posmakowania, delektowania się otoczeniem.

Słysząc tykanie zegara w holu, a na ciemnym drewnie podłogi kładą się kolorowe smugi słońca, przesączone przez fantazyjne szybki z półkola nad głównymi drzwiami. Zaglądam najpierw do biblioteki, którą z dolnych pokoi lubię najbardziej, i przysiadam chwilę na poręczu starego fotela. Jak tu pięknie!

Od razu widać, że prawdziwe życie zawsze toczyło się wokół, że nie ustawiono wszystkiego tylko na pokaz! Skóra siedziska w fotelu jest wygięta przez kolejnych, pracujących tu ludzi, blat biurka lekko wytarty od ich łokci, stara lampa ustawiona wygodnie, by rzucała odpowiednie światło na książkę lub papiery na biurku. Ktoś ze smakiem i miłością poukładał wszystko, by zachęcało do działania i kusiło urodą. Kominiek poczerniał od palących się w nim polan, a na jego gzymsie przyciągają wzrok zgrabne figurki, jakieś trofea, zdjęcia...

Patrząc na obraz życia ludzi, którzy kochali to miejsce, wracali do niego, odpoczywali tutaj. Widzę uśmiechniętą Teodorę, stojącą obok posiwiąłego już i starego ojca, jest tu także zdjęcie moich dziadków, z Adamem i lwem, obok rodzice, trzymający mnie samą, bardzo jeszcze malutką, na rękach. Mam przed sobą fotograficzny przegląd własnej rodziny, twarze ludzi, których znałam i kochałam. Ludzi, których losy silnie związane są z tym właśnie miejscem. Przestrzenią nieprzypadkową.

Czy to rzeczywiście całkiem obcy dom? Ładne, ale umarłe muzeum, które ma mi jedynie ciążyć finansowo i które dlatego właśnie trzeba będzie sprzedać? Dreszcz przebiega mi po plecach, gdy rozglądam się wokół...

Na półkach stoją nie tylko angielskie, ale też polskie książki, jakieś albumy, encyklopedie, zbiory opowiadań...

Wszystko to przypomina raczej dom moich rodziców i dziadków, nastrój też zdaje się zaskakująco podobny. Brakuje jedynie kwiatów w tych ciężkich wazonach i okno trzeba by otworzyć, żeby wtargnęło wreszcie do środka rześkie, wiosenne powietrze. No proszę, zebrało się nawet trochę kurzu, dom był, co prawda, wysprzątanym na nasz przyjazd, ale przecież minęło już kilka dni...

Podnoszę się nagle, zdecydowana i pewna. Trzeba zacząć się ruszać, bo do wieczora nie zdążę, a Hektora na pewno ucieszy życie, wprowadzone w te

pomieszczenia! Nawet nie wiem, kie-
249

dy zaczynam otwierać, wietrzyć, przekładać, ustawiać to i owo po swoim, nucić w takt muzyki, włączonej właściwie odruchowo, mimochodem... Piotr zastaje mnie już w jadalni, kiedy wyjmuję z kredensu potrzebne talerze, przeglądając, co trzeba przetrzeć, a co umyć koniecznie... Stoi dłuższą chwilę, zanim go zauważam, zaaferowana i radośnie nucąca, wewnętrznie gotowa na życie, w tym domu, w naszym domu, z nim.

Wczesnym popołudniem po zajęciu się wszystkim na parterze, trafiam na górę, do pokoju Teodory, który teraz zajęłam dla siebie. Spoglądam dookoła odmienionym spojrzeniem, przymierzając się do niego od nowa i dopasowując do siebie, tak jak uczyniłam to z pomieszczeniami na dole. Wrażenie muzealnej doskonałości nie docierało tu nawet poprzednio, a teraz całość raczej uśmiecha się do mnie zachęcająco i znacząco za razem. Dom, dotknięty przyjazną ręką, przychylnie odkrywa przede mną swoje wnętrza, zapraszając do ich poznania.

To bardzo kobiecy pokój, ładny i funkcjonalny jednocześnie. Znajduje się nad gabinetem i jego okna też wychodzą na ogród. Rozjaśniają go pastelowe tapety w drobny, delikatny wzorek i lekkie firanki, białą warstwą odcinające się od ciemniejszych mebli i drewnianej, lśniącej podłogi. Oprócz łóżka i toaletki jest tu także malutka garderoba i niewielkie, zgrabne biurczko, stojące przy oknie.

Dawna właścicielka spędzała tu chyba sporo czasu, bo z boku urządzono niewielkie miejsce odpoczynku, z wygodnym fotelem, lampą i podręcznym stolikiem. Spoglądam na wszystko wokół, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego ten właśnie pokój, spośród wszystkich sypialni, wydał mi się najodpowiedniejszy? Równy mojemu odczuwaniu piękna, najbliższy mojej akceptacji? Może byliśmy z Teodorą podobne nie tylko zewnątrz?

Dotychczas niczego tu nie ruszałam, podobnie jak na dole. Moje walizki stoją w garderobie nierozpakowane, a kilka używanych ubrań rozłożyłam na krześle. Teraz odważnie i zdecydowanie wieszam je w szafie, drobiazgi wkładam do szuflad, a kosmetyki rozstawiam swobodnie na toalecie i w łazience. Jest tu kilka jej rzeczy, ręczników, szalików, parasoli, ale większość usunięto, jakby zawczasu przygotowała miejsce dla mnie. Rzeczy, które pozostały, są uniwersalne i po prostu można ich użyć. Drogie perfumy, płyny do kąpieli, mydełko... W szafie zaś wisi kilka wieczorowych sukienek, piękny płaszcz, jakieś spodnie. Wszystko albo

całkiem nowe, albo prawie nieużywane, więc nie

250

sprawia wrażenia obcości, wzbudza raczej babskie zainteresowanie i chęć przymierzenia. Musiała mieć podobną figurę, bo rozmiarowo ubrania wyglądają jak moje własne. Uśmiecham się z wdzięcznością ale postanawiam na razie z nich nie korzystać, bo zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić reakcji Hektora, gdybym taka przebrana za nią pojawiła się na wieczornym spotkaniu. Chociaż... Perfumy pachną zachwycająco! Piotruś kręci się w pokoju obok, po drugiej stronie korytarza i przez otwarte drzwi widzę, że i on wkłada swoje ubrania do szafy. Tamten pokój był z całą pewnością gościnny, bo szuflady i szafeczki są puste, niby w hotelu. Oboje ominęliśmy skrętnie przy wyborze miejsc do spania główną sypialnię, z małżeńskim łóżem, bo naprawdę w pokoju pradziadka Mariusza i jego żony żadne z nas nie potrafiłoby zasnąć. Tam trzeba będzie wszystko pozmieniać, bo inaczej nie odczarowalibyśmy tego miejsca, mimo faktu, że i stamtąd usunięto wszelkie ubrania i osobiste drobiazgi.

Myślę o Teodorze i jej przenikliwej zapobiegliwości. O tym, że nie pozostawiła nam tej bolesnej i krępującej konieczności grzebania w cudzym życiu, przy segregowaniu rzeczy pozostałych po umarłych. Jakże to delikatne, a jednocześnie okropnie przecież dla niej trudne! Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym silniejsze odczuwam przekonanie, że zostawiła tylko to, co uznała za wystarczająco dla nas bezbolesne — zrobiła to z miłości, nie z chęci ukrycia przed nami pamięci życia tego domu i własnej przeszłości.

Niemal widzę, jak zastanawia się nad tym, co jeszcze może się przydać, a co koniecznie trzeba usunąć, by nie sprawiało trudności i nie krępowało nowego właściciela. Ta jej dobroć mnie onieśmiela i wzrusza, świadczy też o jej ogromnej sile, nie wiem, czy sama potrafiłabym podjąć się podobnego wyzwania i stanąć wobec takiej ostatecznej gotowości rozliczenia się z własnym życiem.

Kartki w najniższej szufladzie biurczka odnajduję całkowicie bezwiednie, właściwie nie szukając, pchana po prostu jakimś impulsem, którego nawet nie potrafiłabym nazwać. Nie zaglądałam przecież do wszystkich szuflad ani nie szukałam niczego szczególnego... Nie czytałabym ich nawet, w obawie przed wtargnięciem w jakąś, może zapomnianą przez przypadek, część jej życia, gdyby nie wyraźna adnotacja na pierwszej z nich... „Dla Ani...”.

Tych kilkanaście stron, zapisanych drobnym, odręcznym pismem, to

rodzaj listu, testamentu, spowiedzi nawet, których treść zapada mi głęboko w serce i których, zgodnie z jej prośbą nikomu nigdy nie pokażę. Palę je potem w kominku na dole, walcząc

251

ze łzami, ale czując jednocześnie przepelniającą mnie prawdziwą serdeczność wobec ich autorki. Wiem przy tym, że dzięki temu listowi, stała mi się bliższa i bardziej zrozumiała, niż gdybym ją spotkała naprawdę i знаła osobiście. Zresztą, być może wtedy nie stać by jej było na taką szczerłość?

Niektórych rzeczy nie potrafi się chyba wyjawić nikomu, nawet najbliższym, ukochanym, a może im właśnie przede wszystkim? Bo są zbyt nam drodzy i za bardzo by się ich zraniło? Więc milczy się tylko, a potem zdradza swoje sekrety komuś, kto zrozumie, ale nie odczuje ich tak boleśnie. Może z powodu tych kartek i osobistego poznania domu prosiła, żebym najpierw tu przyjechała, a dopiero potem podjęła decyzje dotyczące spadku?

Wieczorna rozmowa z Hektorem zdaje się właśnie tę prawdę potwierdzać. Zwłaszcza wtedy, kiedy stary prawnik zaczyna nam nagle, późnym wieczorem boleśnie szczerze opowiadać o swojej wieloletniej miłości do niej. O uczuciu, które zdominowało całe jego życie i któremu podporządkował wszystkie lata, nawet wtedy, gdy wyraźnie widać było, że może nigdy nie doczekać się wzajemności, z wyjątkiem krótkiego czasu, kiedy Teodora jednak zdecydowała się zauważyć i docenić jego wierne i pełne uwielbienia czekanie.

— Wtedy i tylko wówczas miałem jakąś nadzieję, jeszcze wszystko mogło się zdarzyć, mieliśmy, ja wiem?, niewiele ponad trzydzieści lat, mogliśmy jeszcze być szczęśliwi. Wyjechaliśmy nawet razem... żyliśmy tą miłością... cieszyłem się i nagle... ot — pstryka w powietrzu palcami, patrząc w ciemniejący, nocny ogród — wszystko zwyczajnie się skończyło, z dnia na dzień. Właściwie nawet nie było żadnego zerwania, tylko odsunęła się ode mnie tak bardzo, że nie potrafiłem już do niej dotrzeć. Oddalała się wyraźnie, jakby nikła, rozwiewała się, ulatywała z moich ramion, patrząc z czułością, ale z oddali, której nie sposób było pokonać. Co prawda, nie odebrała mi swojej przyjaźni, ale pełnej bliskości, szczerości nawet, nigdy już między nami nie było. Kłamała też wiele lat potem, czy jak kto woli, przemilczała wobec mnie nawet swoją chorobę, uparcie tłumacząc, że to przejściowe, niegroźne niedomagania. Nie życzyła sobie niczyjej pomocy, dodatkowych badań, naświetlań. Była tak pewna, że sama, siłą woli wszystko wytrzyma, da sobie radę, zwalczy! Ale czasami myślę... — tu

jego głos niemal niknie, aż do szeptu, wypowiedzanego prawie wbrew woli — że po prostu nie chciała żyć. Choć może i wobec siebie samej nie przyznawała się do tego...

252

— Nie rozumiałem jej! Kochałem całe życie i nigdy nie pojąłem, jaka była naprawdę! —jego rozpaczliwe wyznanie gaśnie powoli, gdzieś w głębi nocnego ogrodu, a on sam wygląda teraz jak smutna kukielka, z poplątanymi sznureczkami myśli i pragnień, z mojego dziecięcego, teatralnego wspomnienia.

Nie patrzę wprost na niego, a jednak, gdzieś w wyobraźni, dostrzegam w nim po kolei dziecięcego przyjaciela, młodzieńczego obrońcę przed przeciwnościami losu, namiętnego kochanka, żyjącego nadziejami na wspólny los, wiernego druha w chorobie i śmierci, aż po tego starszego, smutnego mężczyznę. Wszystkie te epoki przeżył właściwie sam, wewnątrz siebie, przy dalekiej tylko, zdystansowanej obecności Teodory. Wiem więcej od niego i to mnie przeraża, a jednocześnie mobilizuje do dalszego milczenia. Wiem, że tego właśnie chciałyby Teodora. Jego niewiedzy. Skazała go na nią świadomie, a mnie przekazała w spadku obowiązek milczenia. Czyż miałabym prawo to kwestionować? Na pewno przemyślała swoją decyzję wielokrotnie, potwierdzając wciąż od nowa jej zasadność, nie mnie zatem ją zmieniać...

Może odczuwam jedynie jeszcze większą czułość dla tego niezwykłego, starszego pana, mówiącego teraz do nas z głębi swojego cierpienia. Jego samotność składała się z tak wielu wymiarów, utkana z braterskiej akceptacji wobec dziewczynki, z ukrytej fascynacji młodą dziewczyną, z erotycznego uwielbienia dla kobiety i czułej troskliwości, którą otoczył umierającą. A wszystko to działo się najczęściej tylko wewnątrz niego, w ukrytych, burzliwych emocjach w nim samym, obojętnym zwykle dla otoczenia, widzącego zaledwie wierzchnią, grzeczną, dystygowaną obecność wytwornego i eleganckiego prawnika, który zdecydował się na życie w samotności.

— Korzystaj z tego, Aniu. Oboje wykorzystajcie te wszystkie prawdy — odzywa się naraz, całkiem już spokojnie, otrząsnąwszy się siłą woli z niemocy, która ogarnęła go przed chwilą. — Nie pozwólcie, żeby wasze życie tak głupio się ułożyło. Nie budujcie go z przemilczeń i kłamstw, z obojętności wobec cudzych oczekiwań i nieświadomego może, ale bolesnego lekceważenia cudzych uczuć.

— Może, gdyby mi powiedziała, co zniszczyło w niej radość życia... — zaczyna jeszcze. — Przecież nawet wtedy bym ją kochał! Zawsze! Tylko

bardziej świadomie... Świadomie — wzmacnia głos — bardziej dojrzałe.
Może to by pomogło?

253

Teraz już milknie całkiem, a ja sięgam w ciemności po dłoń Piotra i przysięgam sobie, że będę walczyć o taką właśnie miłość i że znajdę, muszę za każdym razem, znaleźć siły na zaczynanie od nowa, na codzienne budowanie naszego życia i miłości. Proszę też los, by nie zgotował mi nigdy takiej sytuacji, w której musiałabym milczeć o sprawach i uczuciach dla siebie najważniejszych. Piotr w milczeniu oddaje mi uścisk, a ja wiem w tej chwili na pewno, że czuje podobnie i też składa sobie w myślach równie żarliwą przysięgę.

Tej nocy, odczarowani, jak dom wokół nas, kochamy się długo i czule, aż po świt. Nocne godziny łaskawie i cicho przemijają nad nami, gdy w skupieniu chłonimy nasze pieszczoty, smak skóry i delikatność pocałunków. Wreszcie odkrywamy się przed sobą ufnie i całkowicie, kiedy bałwochwalczo rozmodleni tworzymy na naszych ciałach własne, tajemne mapy miłości, niby niezapomniane drogowskazy, które prowadzą ku spełnieniu i dają prawdziwe szczęście. Rankiem zasypiam w jego ramionach spokojna i wyciszona, całkowicie pewna, że z nim właśnie chcę dalej iść przez życie, a on przytula mnie zaborczo do siebie, jednym gestem odganiając wszystkie moje dawne strachy i niepokoje.

Następnego dnia, już z większym dystansem, co nie znaczy, że bez emocji, analizuję w pamięci list pozostawiony mi przez Teodorę. Kartki spaliłam, zgodnie z jej wolą, czy jednak powinnam w innych sprawach stosować się do jej życzeń? Poprzedniego wieczoru, w czasie rozmowy z Hektorem, byłam tego pewna...

Cóż, teraz też jestem. Nie wyobrażam sobie powiedzenia mu prawdy. Podobnie jak ona uważam, że nic by się nie zmieniło, jedynie pograżyłoby go to w większym bólu. Tym bardziej, gdyby usłyszał to ode mnie. Co więcej, rozumiem milczenie Teodory. Co miała powiedzieć? Że kiedyś pokochała nieodpowiedniego człowieka? Że przez lata nie potrafiła sobie z tym uczuciem poradzić, a kiedy zdecydowała, że jednak spróbuje obdarzyć bliskością kogoś, kto zawsze był przy niej i ją wiernie kochał, tamten umrze?

Z rodzinnych opowieści pamiętam dobrze szeptane plotki na temat śmierci Adama. Te rozważania, czy powinien mieć taki wystawny grób, te pełne niepokoju przemilczenia i własne dziecinne, ale przecież jednocześnie impertynenckie pytania dotyczące jego ewentualnego samobójstwa... Łudząc się, że Adam jest szczęśliwy, że zapomniał, postanowiła ułożyć

sobie życie. Czy to dziwne? A potem, kiedy oboje z Hektorem wyjechali w swoją pierwszą, a równocześnie ostatnią, wspólną

254

podróż, okazało się, że Adam zmarł. Nie zdążyła nawet na jego pogrzeb. Gdyby zdążyła, to może jakoś poradziłaby sobie ze swoim uczuciem, kto wie? Umiałaby spojrzeć z perspektywy dorosłej kobiety, psychologa, człowieka doświadczonego... A tak? Pozostała z przerażeniem kilkunastoletniej dziewczynki i ze świadomością że zdradziła coś, kogoś najważniejszego w swoim życiu. Czy była histeryczką jeśli uznała, że to omen dla jej związku z Hektorem? A może z chwilą śmierci brata (bo wszak był bratem, czyż nie?) i w jej życiu coś się skończyło — nieodwracalnie, nieodwołalnie...

Czy wszystko to trzeba wykrzyczeć? Nazwać? Dopowiedzieć? I po co? Napisała do mnie... I wiem, ile ją to musiało kosztować. Niemal czuję jej ból. I nikomu o nim nie powiem. Koniec. Kropka.

Odwracam się gwałtownie na ścieżce w ogrodzie, po którym chodziłam, rozważając tę kwestię, czuję zaciśnięte pięści i paznokcie głęboko wbite w skórę dłoni. Gotowa jestem bić się z każdym, kto chciałby naruszyć tę tajemnicę!

Ale zaraz potem oddycham spokojniej i głęboko. Nie ma o co i z kim walczyć. Nie ma powodu do wściekłości, przecież nikt i tak nie zmusza mnie do wyjawienia tej prawdy. Zostanie po prostu we mnie. Bezpieczna i otoczona ciszą.

Do śródmieścia jadę śmiesznym, czarno-czerwonym autobusem, jednym z tych, które kursują żwawo po okolicy i zwożą do centrum mieszkańców przedmieść. Decyduję się nań, bo jeżdżenie odwrotną stroną ulicy przyprawia mnie o palpacje serca. Wciąż mam wrażenie, że zmierzamy wprost na czołowe zderzenie! Nawet w autobusie staram się patrzeć na boki, nie przez przednią szybę, bo żołądek co chwila podchodzi mi po prostu do gardła.

Bojąc się wiążącej rozmowy z Hektorem, a najbardziej jego odpowiedzi, od których może zależeć całe moje dalsze życie, rozglądam się dookoła i próbuję uspokoić w sobie wewnętrzne drżenie, by obiektywnie ocenić miasteczko moich angielskich krewnych.

Harrogate bardzo rozrosło się od czasów królowej Wiktorii i na obrzeżach przypomina inne, zwyczajne brytyjskie miasteczka, pełne ulic zabudowanych identycznymi, niewielkimi domkami z malutkimi ogródkami na tyłach. Nie wiem doprawdy, jak oni upewniają się, że są we własnym, a nie cudzym domu? Wszystkie

ia naprawdę jednakowo! Nie tylko same domki są
лк-. cichutkie, jakby wymarłe, uliczki. I pomy-
ik narzekali na podobieństwo swoich osie-
aczyli typową, angielską uliczkę,
nieście! Toż to czysta zgroza!

jest wyższy, bo każdy ma w tym swoim ik, a w nim na parterze pokój
jadalni ze szklanymi drzwiami do miniogródka, ne! Nawet chatki na
narzędzia stoją w tym Ifago ogródeczka! Całkowite zrównanie, zarówno
Ek i najczęściej w wyposażeniu wnętrza. Potem i. takie, na których dwie
osoby nie miną się sposób, i ostatecznie mikroskopijne sypia-

^'НВД№1Сш,Кш8КоЪ,ЪегХЪт-Щ\Г' И9 [cioiXcp амю огорХ ще miutf
ric

SĆęcie] /л /лХЪогэхейт лшсгъхэ- ьо*еш |cssjc3j sajp/Aiis хшмишлє'
saio/AUO

„lcc/ka! Całkowite zrównanie, zarówno
yposażeniu wnętrza. Potem

. co sprawdzam skrupulatnie, mijając każ-kanalizacyjne. Wszystkie na
zewnątrz! Wyłazą z muru domu i każdy przechodzień wie e się
łazieneczka z toaletą, bo jak drogo-, pokazują niewdzięczne kolanka,
wychynające ze ścian. / żeby z tylnych! Akurat! Idąc uliczką, widzisz je
dokładnie, jak czarowne strzałeczki, wprost do kibelka!

przecież wyglądają naprawdę jednakowo! Nie tylko same domki są
podobne, również całe, cichutkie, jakby wymarłe, uliczki. I pomyśleć, że
Polacy zawsze tak narzekali na podobieństwo swoich osiedli
mieszkalnych! Niechby zobaczyli typową, angielską uliczkę, albo takie
właśnie przedmieście! Toż to czysta zgroza!

Oczywiście, że standard jest wyższy, bo każdy ma w tym swoim domku
jakiś taki malutki luksusik, a w nim na parterze pokój jadalny, kuchnię i
living room ze szklanymi drzwiami do miniogródka, ale wszystko
identyczne! Nawet chatki na narzędzia stoją w tym samym kątku każdego
ogródeczka! Całkowite zrównanie, zarówno w rozmieszczeniu, jak i
najczęściej w wyposażeniu wnętrza. Potem są wążiutkie schodki, takie, na
których dwie osoby nie miną się w żaden cywilizowany sposób, i
ostatecznie mikroskopijne sypia-lenki na górze. W jaki sposób wnoszą
meble na to piętro? Nie mam pojęcia! Chyba w częściach? Bo inaczej po
prostu się nie da. Koniec. Wszystko. Byłeś w jednym takim domku, znasz
je wszystkie. Naprawdę!

A najśmieszniejsze, co sprawdzam skrupulatnie, mijając każdą uliczkę, są rury kanalizacyjne. Wszystkie na zewnątrz! Wylażą sobie, niby jakieś węże z muru domu i każdy przechodzień wie dokładnie, gdzie znajduje się łazieneczka z toaletą, bo jak drogowskaz, pokazują mu to wdzięczne kolanka, wychynające ze ścian. I żeby z tylnych! Akurat! Idąc uliczką, widzisz je dokładnie, jak czarowne strzałeczki, wprost do kibelka! Co kraj, to obyczaj, nie mnie wyrokować, dlaczego tak budują, jednak zadowolona jestem bardzo, że nie odziedziczyłam jednego z takich domków. No proszę! Ale ja mam charakterek! Już się wywyższam! Jest jednak w tej mojej satysfakcji więcej zachwyty i uwielbienia dla domu Teodory niż prostej dumy posiadacza (którym przecież wcale mogę się nie okazać...), więc rozgrzeszam siebie cichutko, nadal łypiąc ciekawie dokoła.

Centrum nie mam nic do zarzucenia. Jest wspaniałe! I ono właśnie tak bardzo mnie oczarowało od pierwszego dnia. Ilekroć tu się znajduję, odczuwam tylko radość i wdzięczność, że spotkał mnie taki dar od losu i po prostu mogę tu być! Przedłużam przyjemność, spacerując powoli, ale i tak nieubłaganie zbliżam się do czasu i miejsca, do którego dążę. Dziś jestem umówiona z Hektorem w cukierni, by samotnie stawić czoła rzeczywistości finansowej odziedziczonego spadku, a potem dopiero mamy spotkać się z Piotrem.

Tym razem to Piotruś został sam, żeby obłaskawiać dom. Zro-
256

biłam to celowo, żeby wreszcie pooglądał w spokoju stare meble z parteru, do czego palił się od samego przyjazdu, ale na co jakoś nie miał dotychczas odwagi. Widzę przecież, jak co dzień okiem znawcy zahacza o każdy sprzęt, a potem odwraca wzrok, niby od niechcenia. Niech przyjrzy się zatem uważnie, bez postronnych widzów, przynajmniej będziemy mieli jasność, co do ich stanu i wartości.

Piotruś nie czuje się jeszcze całkiem swobodnie. Mam wrażenie, że wynika to przede wszystkim z jego świadomości, ile ten dom naprawdę jest wart. Ja odczuwam głównie jego piękno i chłonę atmosferę, a on widzi na wszystkim malutkie karteczki określające, jak cenne są sprzęty wypełniające przestrzeń. To skaza zawodowa, nie zachłanność, ale powoduje, że po pokojach na dole mój ukochany porusza się jak po sklepach z antykami, podczas kiedy ja korzystam z nich swobodnie jakby wtedy, w bibliotece, moi krewni dali mi do tego niezbywalne prawo. Chciałabym właściwie, żeby znalazł, bo ja wiem?, może nie korniki, ale przynajmniej jakieś drobne skazy, które pozwolą mu w końcu usiąść

wygodniej w fotelu i swobodniej oprzeć łokcie na blacie stołu. Wciąż jeszcze nie mówimy o naszej przyszłości tutaj i wiem, że w ogóle nie będzie to możliwe, dopóki on nie znajdzie dla siebie przestrzeni, którą by w pełni zaakceptował. Przestrzeni zarówno zawodowej, jak i konkretnej, własnej, materialnej, w której czułby się beztrąsko i swojsko.

Z tego mojego Piotrusia jest cudowny, ale i pryncypialny człowiek — widzę to wyraźnie. Jest poukładany i pełen własnych postanowień, które podejmuje może i z trudem, ale za to nieodwołalnie. Jakże w takim razie mógł zakochać się we mnie? Zbyt szalonej i spontanicznej? A może ta odmienność właśnie najbardziej mu odpowiada? Podobnie zresztą jak mnie, bo i ja doceniam w nim przecież przede wszystkim te cechy, których sama nie posiadam.

Myślę, że ludzi przyciąga do siebie albo całkowite podobieństwo, albo też zupełna odmienność. Oczywiście oprócz hormonów i całej tej chemii, która łączy pary raczej przypadkowo, by po stanie szaleńczej fascynacji pozostawić je nagle bezradne, z odwiecznymi pytaniami typu: „Co ja w nim widziałam?” lub „Dlaczego w ogóle zwróciłem na nią uwagę?”. Może upraszcam, ale tak z całą pewnością było w wypadku moim i Huberta. Zauroczenie, gwałtowna miłość i sporo przeciwności losowych, które na dłużej zatrzymały nas przy sobie, ale oprócz tego... No właśnie, oprócz tego nie było tak naprawdę niczego więcej.

257

A w przypadku Hektora i Teodory...? Nie zdążę jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo właśnie wchodzę do urokliwej cukierenki, w której się umówiliśmy. Jakże jest odmienna, a jednocześnie dziwnie podobna do tej, w której rozmawialiśmy pierwszy raz! Podobna, bo i tu kelner kłania się nisko, a ceny są wściekle wysokie, ale i odmienna, bo świat takich miejsc zniknął bezpowrotnie, wraz z wiekiem dziewiętnastym.

Cała jest pastelowa, z elementami lśniącego złota na giętych krzesłach i zdobionych ścianach. Zacieniona sutymi, jasnymi zasłonami, oddzielającymi ją od zgiełku ulicy i utopiona w delikatnej, cichutkiej muzyce, subtelnie zatrzymuje czas na niespieszną, miłą pogawędkę. Uracona aromatyczną, pyszną herbatą, z której Harrogate słynie i nasycona słodkimi ciasteczkami, wybranymi ze stoliczka na kółkach, który przytoczył dla nas usłużny kelner, zdobywam się wreszcie na odwagę porozmawiania o finansach, tak niezbędnych przecież, jeśli mamy w ogóle myśleć o życiu tutaj.

Zaczynam niemrawo i niezbyt pewnie. Anglicy w ogóle nie zwykli rozmawiać o pieniądzach (no, może to nie dotyczy jednak adwokatów?)

taką w każdym razie mam nadzieję...), a urokliwe miejsce i beztroski nastrój herbatki we dwoje tym bardziej nie wpływa pozytywnie na podjęcie tematu, ale w końcu muszę uprzytomnić Hektorowi, że nas nie stać na utrzymanie tego domu, co więcej, nie mam żadnego pomysłu, jak temu zaradzić.

I szok! Otoczenie może i jest wiktoriańskie, zwłaszcza z tymi sielskimi sztychami na ścianach, a odziedziczony dom zabytkowy, wraz ze swoimi meblami, oglądanymi troskliwie przez Piotrusia, ale myślenie ekonomiczne okazuje się na wskroś nowoczesne! Otóż istnieje specjalny fundusz na utrzymanie budynku! Ustanowiony od samego początku, jeszcze przez dziadków Vetti, mamy Teodory, a wzbogacony dodatkowo przez jej rodziców po sprzedaży ziem uprawnych i łąk wypasu owiec już po wojnie. Mój Boże! Muzeum finansuje się samo! Kamień z serca! Czyny, podatki, remonty i co tam jeszcze odlatują ode mnie właśnie w siną i odległą dal, z której, jeśli nadal będzie się tymi pieniędzmi odpowiednio obracać, nie powrócą nigdy, by straszyć mnie po nocach! Jestem w raju! Teraz rozumiem, dlaczego nikt, oprócz Wilhelma Zdobywcy, nie pokonał tej wyspy! Anglicy po prostu używają rozumu na co dzień, nie tylko w chwilach zagrożenia życia. I to procentuje. Podobnie jak pieniądze na koncie, z którego bez bólu utrzymam to piękne domiszcze! Hura!

258

Hektor patrzy na moją radość zadowolony, ale i z lekkim zdumieniem, bo nie przypuszczał wcale, że ten problem może mnie w ogóle dręczyć! Przecież w innym wypadku, gdyby nie było funduszu, taki spadek okazywałby się jedynie ogromnym utrapieniem i sam odradzałby Teodorze obciążenie mnie nim, raczej sugerowałby rzeczywiście zwyczajną sprzedaż domu i przekazanie pieniędzy na moje konto. Jakie to dla niego oczywiste! A my z Piotrusiem spać po nocach nie mogliśmy od nadmiaru niepokoju! Rzecz jasna wtedy, gdy po miłosnych uniesieniach chciało nam się wreszcie spać, ale i tak było to nieprzyjemne.

Jednakże w każdej beczce miodu musi znajdować się łyżka dziegciu, a raj przeznaczony bywa z zasady dla świętych i to umarłych, najlepiej w cierpieniu, zatem i ja zmuszona zostaję do powrotu w sferę rzeczywistości. Prawo pozostaje prawem, nawet w sielskim otoczeniu angielskiej cukierni, i podatek spadkowy trzeba będzie uiścić. Nie ma zmiłuj. Na ten wydatek zaś kasy najzwyczajniej nie ma.

— Meble są stare, niektóre naprawdę cenne, ale możecie z nimi postąpić wedle woli. Może zatem warto je sprzedać? — ciągnie Hektor. — Duża

sypialnia jest rzeczywiście nieco staroświecka, więc można zacząć od niej. W mieście aż roi się od sklepów z antykami i znawców sztuki, łatwo znajdziecie na nie zbyt. Co do innych rzeczy, radzę poczekać, zobaczyć, jakie mają ceny i czy opłaca się ich pozbywać natychmiast, chyba, że jednak będziecie do tego zmuszeni. W biurze mam zresztą dokładny spis przedmiotów wartościowych, znajdujących się w domu. Jeśli Piotr zna się na tym, to łatwo wam będzie zdecydować, jak z nimi postąpić. Pośpiech dotyczy przede wszystkim niezbędnych opłat spadkowych.

— Wiem, że pewnie cię zaskakuję — sumituje się Hektor — gryzłem się tym od pewnego czasu i wciąż nie wiedziałem, jak wam to powiedzieć. Liczyłem, że kiedy zobaczysz dom... Wybacz, wiem, że to podstęp właściwie... Bo bieżących funduszy nie będziecie mieli żadnych, a żyć trzeba... Jeśli sprzedacie, cóż, słowa nie powiem... Myślałem nawet, ja wiem? o pożyczce jakiejś, jeśli byś zechciała przyjąć... Może to jakoś by pomogło?

— Dziękuję ci bardzo za tę propozycję — wpadam mu w słowo — ale przecież i tak musielibyśmy oddawać, więc chyba lepiej wybrnąć z tego samemu, jeśli tylko się da. Najważniejsze, żeby spłacić cesarzowi, co cesarskie. Zresztą, jakoś i tak musimy na siebie zarabiać. Dla mnie to żaden kłopot, mogę tłumaczyć, ale Piotr? Sam mówiłeś, że antykwariatów jest tu już dość dużo.

259

— Zbieraczy i kolekcjonerów jeszcze więcej! A ile specjalizacji! Tu prawie nikt nie zajmuje się wszystkim naraz, są specjaliści od każdego drobiazgu. Piotr na pewno coś dla siebie znajdzie — uszczęśliwiony moją zdrową reakcją Hektor popada teraz z kolei w entuzjazm. — A rynek w Polsce? Mniej cenne rzeczy można na pewno i tam zbywać. Jest też spore zainteresowanie współczesnymi meblami. Mówiłaś, że Piotr eksportuje swoje wyroby, Anglia to też niezły rynek, a ceny macie na pewno konkurencyjne.

Realizm sytuacji stawia mnie momentalnie do pionu. Hektor zdaje się nie rozumieć, że sama świadomość możliwości zatrzymania tego domu już mnie uskrzydla. Jakkolwiek głęboko nie ukrywałabym tego przed innymi i sobą nawet, bałam się, że będziemy musieli zrezygnować. Anglicy, ze swoimi funduszami, zbieranymi od pokoleń, mogą dbać o takie domy, ale my? Potrzebowalibyśmy drugiego spadku, żeby w ogóle pomyśleć o jego utrzymaniu! Sam fakt, że budynek jest bezpieczny i można się o niego nie martwić stanowi kuriozum! Skąd myśl, że chcielibyśmy jeszcze pieniędzy na własne życie?

To zdecydowanie lepsza wiadomość, niż ewentualne znalezienie korników w meblach! Piotrusiowi, który tymczasem dotarł już do nas, oczy tylko się świecą od nowych informacji, to przecież woda na jego młyn! Trzeba pracować! Wykazać się! Nawet i zacisnąć pasa, żeby wybrnąć z opłat spadkowych! Mój mężczyzna może się popisać pomysłowością i talentem, jest potrzebny! Niemal widzę, jak spływa z niego napięcie, cały ten drażniący niepokój, że oto miałby zostać na utrzymaniu żony.

Odrobinę mnie to śmieszy, bo mógłby być ciamajdą, a i tak bym go kochała, ale jeśli nie jest, to tylko lepiej dla nas obojga. Zresztą... czy rzeczywiście czułabym do niego dokładnie to samo, co teraz? Jakie to szczęście, że nie muszę sobie odpowiadać na to pytanie! Więc oddycham głęboko i z ulgą, po czym zamawiam dla wszystkich kolejne ciastka.

Wszak jak szaleć, to szaleć! Prawda?

Jest zadziwiająco ciepło i słonecznie, silne promienie prześwietlają rude liście na drzewach, a ciepły wiatr rozwiewa włosy na odkrytych głowach przechodniów. Jesień tego roku wyjątkowo nas dopieszcza, dając długo miłe i jasne dni. Ma się wrażenie, że babie lato po prostu nie chce odejść i wciąż bawi się z nami, śląc złudne, ale piękne czerwono-złote blaski. Ten dzień wydaje się

260

niemal spóźnioną majówką, ludzie porozpinali płaszcze i spacerują powoli wśród grobów, zbierając się miejscami w niewielkie grupki rozmawiające cicho i przyjaźnie. Ktoś gra smętne melodie na skrzypcach, a dźwięk wibruje w czystym powietrzu, skłaniając przechodzących, by wrzucali grajkowi drobne do kapelusza. Oba światy — żywych i umarłych — koegzystują ze sobą bezkonfliktowo, jakby śmierć rzeczywiście nie przerażała nikogo, a była jedynie przejściem do lepszej i radośniejszej rzeczywistości.

— Nadal nie lubię dnia Wszystkich Świętych, nawet jeśli bywa tak urokliwy i złudny jak dzisiaj — wzdycham ponuro do Piotra, zapalając znicze przy grobie rodziców. — Tak bym chciała, żeby byli na naszym ślubie, żeby mogli cieszyć się życiem razem ze mną.

— Wiem, kochanie — Piotr rozstawia światełka, jak lubię, w dwóch długich rzędach, rozświetlających całość i uwypuklających barwę kwiatów. — Ale oni na pewno wiedzą, że jesteśmy szczęśliwi. Wierzę, choć nigdy ich nie poznałem, że byliby zadowoleni, widząc cię taką promienną.

Tak, jestem szczęśliwa, więc pewnie to po mnie widać, jestem jednak również sentymentalna, dlatego przywiozłam na grób Adama suszone

wrzosy z Anglii... Ludzkie słowo nie wypowie, ile mnie to kosztowało trudów i tłumaczeń na odprawie celnej, ale było warto. Położyłam je na marmurowej płycie nie tylko od siebie samej i miałam wrażenie, że świat zaśmiał się do mnie w tej chwili, a oni oboje, pogodzeni już przecież w zaświatach, pobłogosławili nam, tutaj, tak jeszcze niepewnym swojej przyszłości.

Przyjechaliśmy do kraju już w październiku, na ślub Zosi i Mirka, żeby zostać tu aż do świąt. Pobierzemy się wtedy, a wracając, urządzimy tamtej młodej parze wspaniałą podróż poślubną, na którą cieszymy się wspólnie, nie tylko my z Zośką, ale też faceci. Mirek wprost doczekać się nie może wycieczki do Yorku, odkąd Piotrek opowiedział mu cuda o muzeum Wikingów i o innych absorbujących atrakcjach angielskich, przeznaczonych dla wszystkich małych chłopców.

— Zobaczysz, że nie wyciągniemy ich z pubów — wzdychałam do Zosi, kiedy widziałyśmy się ostatnio. — W Harrogate jest cała ulica ekskluzywnych pubów, Parliament Street, a obok druga Cheltenham Parade, zanim obejdą wszystkie, doczekamy się wiosny! Jednak, jeśli nam się znudzi siedzenie z nimi, to pójdziemy w odwiedziny do Hektora, który mieszka całkiem niedaleko, na Cold Bath Road, najelegantszej ulicy miasta, powiadam ci, sam

261

szuk! I spędzimy sobie czas jak damy, w towarzystwie prawdziwego dżentelmena.

Ale Zosi nic nie może zrazić do ukochanego męża, patrzy na niego jak w obraz i tylko radośnie zgadza się na wszystko, a jej rozanielony uśmiech stanowi jedyną odpowiedź na wszelkie moje, choćby i najmroczniejsze przepowiednie. Trochę boję się, czy w długie zimowe wieczory nie znudzą się nami, bo w mieście życie zamiera już o siedemnastej trzydzieści, kiedy zamykają sklepy i wówczas trzeba już albo siedzieć w barach, albo bawić się samemu, w rodzinnych podgrupach. Zosia jednak chyba na te podgrupowe zajęcia liczy przede wszystkim, bo zwierzyła mi się, że tutaj właściwie czasu dla siebie nie mają, oboje zagonieni w poszukiwaniu pieniędzy.

Daliśmy im, co prawda, mieszkanie na rok do zasiedlenia prawie za darmo, ale na własne i tak zapracować muszą, a Zosi marzą się chyba dzieci i to zaraz, najlepiej ze dwoje. Dziewczyna jest szaleńczo zakochana, jak niegdyś jej własni, liczni wielbiciele. Zresztą rozumiem ją doskonale, bo i ja z trudem zdobywam się na obiektywizm, kiedy patrzę na Piotra i nasze wspólne życie. Ciepło mi się robi na sercu, kiedy widzę go w

pobliżu i wiem, że jest ze mną szczęśliwy.

Poprzednie miesiące upłynęły nam bardzo szybko, bo zajmowaliśmy się domem i gośćmi, którzy licznie zaczęli do nas przybywać. Jaka to frajda móc ugościć fajnych ludzi i nie oglądać się, czy starczy do pierwszego, jeśli z nimi trochę zaszalejemy! Tym bardziej, że na początku wcale nie mieliśmy pewności, jak nam się te finansowe sprawy poukładają. Na podatki jednak starczyło, a zaraz potem Piotr rozpoczął negocjacje z Jaśkiem, by otworzyć w Harrogate filię ich zakładu produkującego meble. Wszystko jest w fazie wstępnej, ale daje przynajmniej poczucie pewnej stabilizacji i perspektywy na przyszłość.

Finansowo wybrnęliśmy z niezbędnych zobowiązań, choć nie obeszło się bez przyspieszonej sprzedaży części mebli. Resztę pieniędzy dołożył mój prywatny ukochany, a w odwodzie zawsze mieliśmy pożyczkę u Hektora, więc ani na chwilę nie zwątpiliśmy w możliwość urzeczywistnienia naszych marzeń. Ostatecznie wyszliśmy więc na prostą i kiedy zaczęliśmy powoli przyzwyczajać się do istniejących warunków, nadeszło lato, a wraz z nim stęsknieni bliscy.

Nie musieliśmy martwić się finansami w związku z ich przyjazdem, bo wyraźnie zaznaczyli, że chcą mieć swój udział w utrzyma-

262

niu. Na początku było to nawet nieco krepujące, a nawet smutne dla mnie, ale Piotr wytłumaczył mi, że może nas być stać na luksus swobodnego goszczenia bliskich dopiero za kilka lat, a tyle przecież nie chcielibyśmy czekać. Oni zresztą też nie.

Najpierw przyjechała mama Piotra, Natalia z Jaśkiem i dzieciaki.

Patrzyłam na całą tę rodzinę z sympatią, ale też z lekką zazdrością, że tak dobrze im z sobą i tak doskonale się rozumieją. Bliźnięta — Maria, zwana Myszka i Tomek, noszący miano Szczurka z racji swojego upodobania do ciągłego biegania z miejsca na miejsce, co powoduje, że włoski ma sterczące i ciągle mokre — sapo prostu wspaniałe! Rozdokazywane trzylatki, których wszędzie pełno, uwielbiane są przez rodziców, jak i babcię, oraz wujka. No i rzecz jasna, przez nową ciocię, czyli mnie.

Trochę zastanawia mnie liczba bliźniąt w tej rodzinie, ale Piotruś twierdzi, że to nic takiego i jeśli nam też się trafią, to na pewno damy sobie radę, skoro i Aline, i Natalii się udało. Ale jeśli będą równie szalone jak ja? — To tatuś będzie je tylko jeszcze mocniej kochał — odpowiada na to mój mężczyzna, więc staram się nie przejmować na zapas i dopieszczać te, które już są. Myszka i Szczurek mają swoją przebojowość po matce, to widać od razu, bo Natalia to dziewczyna z charakterem, którego nie

sposób opanować ani ujarzmić. Spokojny i małomówny Jasiek wcale tego zresztą nie czyni, tylko wodzi za nią rozmodlonym wzrokiem i z rozkoszą godzi się na każdą jej fanaberię.

Dobrze, że znalazłyśmy wspólny język, obie kochając przestrzeń i szaleństwo, bo inaczej musiałabym prowadzić z tą przyszłą szwagierką ciągłą walkę. Można ją tylko polubić albo znienawidzić, innej rady nie ma. Na szczęście mamy podobne temperamenty i wspaniale się dogadujemy, liczę też na to, że Natalia, poznawszy Zosię, dołączy do nas jako trzecia partnerka do babskich pogadu-szek i pomysłów.

Zresztą Natalii właśnie zawdzięczam najnowszą moją pasję i wielką miłość, mianowicie konie. Za ogrodem, na granicy z polami w Harrogate, stoi spora, ostatnio nieużywana stajnia, z której, jak twierdzi Hektor, zawsze korzystała cała rodzina, posiadając na stanie co najmniej dwa lub trzy rumaki na własność. Teraz ich oczywiście nie ma, bo Teodora sprzedała ostatniego na kilka lat przed śmiercią, ale łatwo można wszystko odrestaurować i przywrócić do stanu świetności.

Obie z Natalią zapaliłyśmy się bardzo do pomysłu i postanowiłyśmy zrealizować go na przyszłą wiosnę. Na razie korzystałyśmy

263

z koni sąsiadów, którzy wypożyczali nam je tym chętniej, że widzieli i podziwiali naszą prawdziwą, choć trochę neoficką fascynację.

Spędzałyśmy więc sporo czasu w siodle, ucząc się jeździć i poznając wzajemnie swoje charaktery.

To lato miało mi sprzyjać i przekonać mnie nieodwołalnie, że cuda się zdarzają. Owi sąsiedzi, dzięki którym próbowałyśmy udawać wytrawne znawczynie hippiki, okazali się przyjaciółmi Teodory i twierdzili uparcie, że nie tylko nie musimy płacić za jazdy, a wręcz świadczymy im grzeczność, objeżdżając konie, które w innych okolicznościach musiałyby stać bezproduktywnie. Pani Mary, nasza sąsiadka, chodziła kiedyś do szkoły z Teodorą i mnie zaczęła traktować po trochu jak jej córkę, nie tylko spadkobierczynię. Gdy przyglądam się Mary, mam zresztą wrażenie, że została trochę taką małą dziewczynką z dawnych lat, ubraną w okrągłości dojrzałego wieku i zmarszczki na twarzy, ale nadal pełną dobrej woli i nieco naiwnego, choć miłego zaskoczenia wszystkimi zjawiskami świata.

Mama Piotra to bardziej skomplikowana natura. Jest niewątpliwie sympatyczna i dobra, ale ma też swoje wewnętrzne życie, trochę pogmatwane i mroczne, do którego nie dopuszcza nikogo, a które uzewnętrznia się niekiedy nastrojami melancholii i wyraźną separacją od

bliźnich. W Harrogate lubiła udawać się wtedy na samotne spacerunki po wrzosowiskach, które wyraźnie wpływały na nią kojąco, bo wracała z nich zawsze zarumieniona, weselsza i gotowa na nowo do udziału we wspólnej z innymi egzystencji.

Myślę, że na te jej nagłe zmiany emocji najsilniejszy wpływ mają wcześniejsze doświadczenia życiowe całej rodziny. Ojciec Piotra odszedł od nich, kiedy chłopcy byli jeszcze bardzo mali, i matka wychowywała ich całkiem sama, nie zostawiając sobie ani skrawka marginesu na życie osobiste. Zadbala o nich rzeczywiście wspaniale, bo wychowała przecież fantastycznych facetów, ale sama, jako kobieta, jest na pewno nie do końca zrealizowana. Piotr twierdzi, że nie chciała nikogo, mimo że jacyś panowie pojawiali się przecież na widnokręgu, ponieważ jest interesująca jeszcze dziś, a w przeszłości musiała być piękna, aleja i tak sędzę, że jest w niej jakiś smutek i samotność, z którą nie umie sobie poradzić.

Trochę popycham ją w stronę Hektora, co ich oboje niby to złości i deprymuje, ale bardzo grzecznie i skrupulatnie wykonują moje polecenia, teoretycznie, żeby mi zrobić przyjemność, w praktyce jednak z ogromną własną satysfakcją. Byli w Londynie

264

na jakiejś premierze, pojechali nad morze zwiedzać stare zamczysko, słowem, czują się w swoim towarzystwie całkiem nieźle, co ze spokojem tłumaczę nieco zaniepokojonemu moją interwencją Piotrusiowi. Zresztą mama sama zdecydowała, że zostanie dłużej, już po wyjeździe Jaśka z rodziną, co też wydaje się znaczące. Niby czekała na Alinkę i Zbyszka, ale ja tam wiem swoje! Jak Hektor przyjedzie na nasz ślub, to przyjrę się wszystkiemu dokładnie.

Tylko ciocia Janka, uparta jak niegdyś babcia Trudzia, przyjechać do nas nie chce, wymawiając się koniecznością pilnowania własnego domu, więc my postanowiliśmy na kilka dni zatrzymać się u niej, w miasteczku, żeby osobiście przekonać ją do późniejszych odwiedzin. Chcę też pokazać Piotrowi świat mego dzieciństwa, a przy okazji sprawdzić, czy ciocie nie dzieje się jakaś krzywda od wrednego wnuka, Jacusia. Odkąd stałam się „bogata, angielską kuzynką”, Jacuś jest dla mnie bardzo milutki, ale ja wiem dobrze, co ma za uszami, a jeszcze lepiej, co mu się w tej głupiej łepetynie lęgnie. Ten, to by przyjechał do nas natychmiast! Ale niedoczekanie! Nie dam na sobie żerować temu małemu łobuzowi!

W miasteczku spotkałam też Ewkę, która przyjechała do rodziców, żeby odwiedzić groby dziadków i od niej właśnie, bo od kogóż by innego, dowiedziałam się, jak żyje Hubert. Otóż został jednak z piękną Madzią.

Chcę wierzyć, że nie tylko ze względu na brak innych pomieszczeń na nasze wspólne dawne sprzęty, ale nie będę tego dociekać. W każdym razie planują się pobrać i są podobno bardzo szczęśliwi. Mówiąc to, Ewka baczenie mi się przyglądała, ale ja naprawdę nie mam żadnych ukrytych myśli, kiedy życzę im wszystkiego dobrego! Niech sobie żyją jak najlepiej, byle z dala ode mnie.

Wychodząc w tłumie z cmentarza, przytulam się do Piotrusia i szukam wśród ludzi osób znajomych z dzieciństwa, poznaję niektóre twarze, ten i ów kłania się lub odpowiada uśmiechem na mój uśmiech. Widzę też Heńka z żoną, który kłania się z daleka i porozumiewawczo zerka na mojego towarzysza. Twierdząco kiwam mu głową, odpowiadając na niezadane pytanie, a on unosi w górę kciuk, wyrażając niemo swą aprobatę. Przez moment mam nawet wrażenie, że miga mi z daleka sylwetka Julity, ale to przecież całkiem nieprawdopodobne, bo skąd by ona tutaj?...

U cioci Janki gadamy długo, aż do nocy, wspominając różne rodzinne spotkania i moje dziecinne przygody, a kiedy zasypiam

265

wreszcie, przytulona do Piotra, obiecuję sobie solennie, że zimą, w tym wspaniałym gabinecie na dole, zabiorę się wreszcie do wyrysowania naszego drzewa genealogicznego. Dla siebie samej i dla przyszłych pokoleń.

wreszcie, przytulona do Piotra, obiecuję sobie solennie, że zimą, w tym wspaniałym gabinecie na dole, zabiorę się wreszcie do wyrysowania naszego drzewa genealogicznego. Dla siebie samej i dla przyszłych pokoleń.

I